

Karen
ROBARDS

NIKT NIE JEST ANIOŁEM



Przełożyła: E. S. H.



NIKT NIE JEST ANIOŁEM

ROZDZIAŁ 1

- Zuzanno, chyba nie mówisz poważnie! Przecież nie możesz naprawdę kupić człowieka! - ciemnobrązowe oczy Sary Jane rozszerzyły się w zdumieniu na widok zdecydowanej miny starszej siostry. Kiedy Zuzanna tak wyglądała, nie warto było z nią dyskutować, o czym rodzina przekonała się po wielu gorzkich doświadczeniach.

- Papa dostanie ataku.

Tę radosną przepowiednię wygłosiła piętnastoletnia Emilia, najmłodsza z czterech sióstr Redmon. Ponad ramieniem Zuzanny przyglądała się Craddockowi. Pogrążony w pijackim oszołomieniu mężczyzna leżał na workach z sianem, wypełniających większą część wozu. Z jego otwartych ust wydobywało się chrapanie tak głośne, że aż krępujące na niezwykle ruchliwej ulicy w samym środku Beaufort. Wystawiał zabłocone buty poza krawędź wozu, a w dłoni trzymał prawie pustą butelkę. Srebrzysta struśka śliny ściekała z obwisłych warg w stronę worka mąki, na którym wspierał głowę.

- Papa nigdy nie dostał ataku od czegoś, co postanowiła Zuzanna. Zawsze mówi, że ona wie najlepiej i tak jest rzeczywiście.

Siedemnastoletnia Amanda była rodzinną piękną, z czego zdawała sobie sprawę.

Była wesoła i niesłychanie rozpieszczona, choć Zuzanna surową dyscypliną starała się złagodzić najgorsze efekty, jakie wywierało spełnianie wszystkich kaprysów Mandy przez każdego niemal przedstawiciela płci odmiennej. Jednak wysiłki te przyносиły mierne rezultaty. Mężczyźni reagowali na obecność Mandy równie naturalnie jak kwiaty odwracające twarze ku słońcu a ona kwitła pod ich spojrzeniami. Nawet teraz, gdy uśmiechała się czule do Zuzanny, zerknęła równocześnie na trzech modnie ubranych dżentelmenów, idących właśnie ulicą. Mandy potrząsnęła kasztanowymi lokami, by mieli co podziwiać. Jeden z przechodniów, który reagując na zalotne spojrzenie zwolnił i dotknął kapelusza, już po sekundzie został zmroźony do szpiku kości lodowatym spojrzeniem panny Zuzanny Redmon.

Skarcony dżentelmen pośpiesznie dołączył do przyjaciół. Czułby się urażony, gdyby dowiedział się, że Zuzanna właściwie go nie dostrzegła. Jej reakcja była czysto odruchowa, ukształtowana wieloletnim doświadczeniem w zrażaniu adoratorów młodszej siostry. W ciągu dwunastu lat od śmierci matki rola groźnego smoka stała się dla niej równie naturalna jak oddychanie.

- Przynajmniej nim tu padł, ten przeklęty typ zdążył sprzedać maciorę i prosiaki! -

Zuzanna spojrzała groźnie na Craddocka, potem zrezygnowała zdając sobie sprawę, że niczego w ten sposób nie osiągnie. Był równie nieczuły na jej gniew jak deski, na których leżał. Powstrzymując pragnienie, by kopnąć okute żelazem koło, Zuzanna rzuciła paczki na wóz i sama wdrapała się tam

równieŜ. Pochyliła siê i siêgnęła do wypchanej kieszeni płaszcza Craddocka, odwracając przy tyra głowę, by nie czuć zapachu whisky, unoszącego siê wokół

jak niezdrowy opar. Z uczuciem ulgi znalazła to, czego szukała: gładką skórzaną sakiewkę wypełnioną srebrnymi monetami. Zmówiła cichą modlitwę dziękczynną za to, Ŝe Craddock nie przepił pieniędzy. Wsunęła sakiewkę do woreczka, zwisającego z jej nadgarstka.

Czy mogłabyś zejść? Gdyby ktoś zobaczył co robisz, pomyślałby, Ŝe nie masz wstydu!

PrzecieŜ nawet dotykane takiego osobnika przekracza granice tego, co wypada, a w dodatku twoje siedzenie sterczy w powietrzu! - Sara Jane spoglądała nerwowo na idących ulicą ludzi.

Była przeraŜona, Ŝe mogą spotkać kogoś znajomego, ale widziała tylko obcych, których do sennego zazwyczaj Beaufort ŝciągnął spektakl rozgrywający siê w tej właŝnie chwili nad brzegiem morza. Przywiezionych z Anglii skazańców sprzedawano na publicznej aukcji do przymusowej, terminowej słuŜby. Wydarzenie ŝciągnęło dziesiątki widzów. W mieŝcie panowała ŝwiąteczna atmosfera.

- To nasze pieniądze, gąsko, ze sprzedaŝy ŝwiń, które same wyhodowałyśmy!

Wolałabyś, Ŝebym je zostawiła, a Craddock zgubił, gdy siê przewróci lub, Ŝeby je ukradł jakiś przechodzący złodziej? - Zuzanna spojrzała na siostrę z udanym rozdraŝnieniem i zsunęła siê z platformy.

Kochała dwudziestoletnią Sarę Jane, lecz odkąd ta zaręczyła siê z młodym pastorem, stała siê wzorem wszelkich cnót aŜ czasem było to wręcz irytujące.

- Och, nie bądź taką piłą, Saro Jane! - w przeciwieŝstwie do Zuzanny Emilia nie przepadała za starszą siostrą. - A poza tym ona ma rację chcąc kupić człowieka! I tak mamy za duŜo pracy, a kiedy wyjdiesz za mąŜ, będzie jej jeszcze więcej!

O tym nie pomyślałam. - Mandy wydawała siê wstrząŝnięta. Jednym z rezultatów rozpieszczania był fakt, Ŝe trzecia z sióstr Redmon stała siê po prostu leniwa. Mandy pracowała, gdy juŜ naprawdę nie miała innego wyjŝcia. Ale kiedy tylko mogła, unikała przemęczenia siê.

- Ale Ŝeby kupić ludzką istotę! To wbrew wszystkiemu, czego uczył nas papa! -

stwierdziła Sara Jane. - To popieranie niewolnictwa, a sama wiesz, co papa o tym myśli!

- Choćby był niezadowolony, nauczy siê z tym ŝyć. To ładnie z jego strony, Ŝe poświęca cały swój czas, pomagając róŝnym nieszczęŝnikom, ale ktoś musi zadbać o dom.

Przyznaję, papa wykazał chrzeŝcijaŝskie miłosierdzie, zatrudniając największego pijaka w okolicy, ale same wiecie co z tego wyszło. chociaŜ on, naturalnie, nic nie zauwaŜa. Zuzanna powstrzymała siê przed lekcewaŜącym wzniesieniem oczu do nieba.

JuŜ dawno uznała, Ŝe nieuleczalny optymizm ich ojca, wielebnego Johna Augusta Redmona, pastora stawiającego pierwsze kroki Pierwszego Koŝcioła Baptistów, był krzyŜem, który został jej

przeznaczony. Ojciec nie zniŝał się do twardego pragmatyzmu w sprawach tak przyziemnych jak jedzenie i dach nad głową. Pan zaspokoił nasze potrzeby, utrzymywał

wielebny Redmon nawet w najtrudniejszych chwilach. Potem uśmiechał się słodko i z roztargnieniem i odmawiał przejmowania się kłopotami. Denerwujący był fakt, Ŝe miał rację.

Pan - z niewielką pomocą swej ziemskiej słuŝebnicy Zuzanny - zwykle zsyłał im to, czego właŝnie potrzebowali.

- Moŝe wrócimy do domu i tam porozmawiamy? Zwracamy na siebie uwagę. - Sara Jane jeszcze raz rozejrzała się niespokojnie.

Miała rację. Przechodnie, zwłaszcza męŝczyźni, przyglądali się dziewczętom z zaciekawieniem. Wŝcibskie istoty, pomyślała Zuzanna, mruŝąc oczy. Nie zdawała sobie sprawy, Ŝe ich czwórka stanowiła niezwykły widok, gdy tak kłóciły się na ulicy. Najbliŝej chodnika znalazła się Emilia o marchewkowo rudych włosach spływających od prostej wstąŝki na czubku głowy aŝ do połowy pleców. Bladoŝłta suknia podkreślała młodzieńczą pulchność, z której dziewczyna jeszcze nic wyrosła. Kój piegów pokrywał nos, gdyŝ, mimo upomnień Zuzanny, Em nigdy nie pamiętała o kapeluszu. Była ładną dziewczyną, choć przyćmiewała ją stojąca tuŝ obok Mandy. Mandy, podobnie jak Emilia, była wysoka, lecz smukła tam, gdzie Em pozostała jeszcze pulchna. Suknia koloru zielonego jabłka podkreślała szczupłą figurę, a obsyty koronką kapelusz był starannie dobrany, by gwarantować najlepsze tło dla porcelanowej cery i kasztanowych loków. Jeśli nawet nie była ideałem urody kobiecej

- miała zbyt długi nos i nieco szpiczasty podbródek - i tak w Beaufort nikt bardziej od niej nie zbliŝył się do niego, i w roku pańskim 1769 stanowiła ozdobę stanu.

Sara Jane, stojąca naprzeciw Emilii, była bardziej zwyczajna, z tą spokojną urodą, odpowiednią dla ŝony pastora. Miała powaŝne, duŝe oczy, zawsze starannie uczesane, miękkie kasztanowe włosy i - choć niŝsza od młodszych sióstr - była równie ładnie zbudowana. W białej sukni z róŝowymi dodatkami i w róŝowym kapeluszu wyglądała jak zawsze czysto i apetycznie, niczym bochenek ŝwieŝo upieczonego chleba.

Zuzanna, wciŝnięta między Sarę Jane i Emilię, zwracała tyle uwagi, co mała brunatna sikorka między parą jaskrawych, tropikalnych -ptaków. Była niska, niŝsza nawet niŝ Sara Jane, ale miała krępa budowę, podczas gdy pozostałe dziewczęta były bardziej delikatne.

Nosiła luźną sukienkę, skrojoną raczej dla wygody i skromności niŝ w celu uwydatnienia figury, która, jej zdaniem, wymagała raczej maskowania. Myśląc o domowych obowiązkach, a nie o modzie, wybrała brązowy perkal, gdyŝ na nim brud był najmniej widoczny.

Brzoskwiniowy kapelusz na głowie miał chronić przed jasnym majowym słońcem bardziej oczy niŝ skórę, o którą niewiele się troszczyła. Zbyt szerokie rondo razem z dość luźną wstąŝką pod brodą dawało niezbyt szczęśliwy efekt -twarz wydawała się równocześnie płaska i kwadratowa. Włosy nijakiego koloru, coś między blond a kasztanowymi, zaczesywała z wysiłkiem do tyłu i wiązała w sterczący spod kapelusza zgrabny węzeł. Były szorstkie jak ogon konia i tak gęste, Ŝe z trudem

przesuwiała przez nie grzebień, a na dodatek skręcały się niesfornie. Gdy była dziewczynką, przyprawiały ją o rozpacz, ale teraz nauczyła się z nimi żyć. Każdego ranka atakowała je wodą i szczotką, poskramiała układając we fryzurę, która była przynajmniej względnie porządna. Zuzanna miała ładnie wykrojone, choć nieciekawej, orzechowej barwy oczy, długie rzęsy, mały zadarty nos, szerokie usta o pełnych wargach i podbródek niemal tak szeroki jak kości policzkowe. Nie była piękną i wiedziała o tym dobrze. Wyglądała dokładnie tak jak się czuła: dwudziestosześcioletnia kobieta, na którą nikt nie zwracał uwagi, nie pragnąca i nie mająca nadziei na zdobycie jakiegoś mężczyzny.

- Nie pojedziemy do domu, choć masz rację, zwracamy na siebie uwagę. Wrzućcie swoje paczki na wóz, moje drogie, i ruszamy. - Zuzanna rozejrzała się i sięgnęła po pakunki siostry. Sara Jane cofnęła się o krok.

- Zuzanno, chyba nie mówisz poważnie! Jak mogłaś choć pomyśleć o czymś takim?

- Pewnie to siedzenie przez pół nocy przy łóżku pani Cooper, potem pobudka o świcie tylko po to, by się przekonać, że Ben zniknął i wszystkie jego obowiązki spadły na nas, a także perspektywa pielęgnowania Craddocka po jego kolejnym pijaństwie i wykonywania również jego prac, przyćmiły mi umysł - odparła kwaśno Zuzanna.

Ben, o którym mówiła, był jeszcze jednym podopiecznym przysparzonym w miłosiernym odruchu przez wielebne Redmona. Zaraza, która wybuchła kilka lat temu, zabrała mu ojca, a chudy chłopak znajdował kłopoty w sposób równie naturalny, jak igła kompasu znajduje północ. Trafił na farmę, by wyręczać dziewczęta w takich pracach jak rąbanie drewna czy rozpalanie ognia. Wykonywał je bez zarzutu przez prawie rok, po czym dwa miesiące temu zakochał się. W rezultacie nie można było na nim polegać bardziej niż na Craddocku.

- Wynajęcie jakiegoś uczciwego parobka ułatwiłoby nam życie, ale przecież

skazaniec to nie to samo co parobek i...

- Sara Jane, wiesz przecież, że papa nie zapłaci parobkowi tyle, ile powinien i dlatego Saden u nas nie zostanie. Uważam, że pomysł Zuzanny jest znakomity. -

Jasnobrązowe oczy Mandy błyszczały podnieceniem.

- Nie podoba mi się...

- Nic ci się nie podoba, odkąd zaręczyłaś się z tym świętoszkowatym Peterem Bridgewaterem! - Emilia oparła pięści na biodrach i patrzyła gniewnie na siostrę.

- Jak śmiesz obrażać Petera - powiedziała zaczerwieniona Sara Jane. - Jest człowiekiem jak najbardziej godnym szacunku i...

Wiemy o tym i Emilia nie miała racji, mówiąc o nim w ten sposób. Prosiłam cię już, Em, byś powstrzymała swój niewyparzony język. Sara Jane wybrała Petera i jestem pewna, że z czasem wszystkie nauczymy się kochać go jak brata. Zuzanna starała się, by w jej głosie nie zabrzmiało

powątpiewanie. Jej zdaniem, narzeczony siostry był stuprocentowym durniem, ale Sara Jane była tak zakochana, że żadne ostrzeżenia nie mogły zmienić jej uczuć.

Dlatego najstarsza siostra trzymała język za zębami i uprzedziła młodsze, by robiły tak samo, jeśli chciały po ślubie Sary utrzymywać z nią rodzinne kontakty.

Emilia wyraźnie zapominała o ostrzeżeniach. Parsknęła z lekceważeniem. Sara Jane już otworzyła usta, by odpowiedzieć.

- Co to ma wspólnego z naszym problemem? - wtrąciła Mandy, machnięciem ręki zaślęgując wiszącą w powietrzu kłótnię. Zwróciła się do Sary Jane. -Rzecz w tym czy masz ochotę wykonywać pracę za Craddocka? Trzeba przenieść zapasy, wyczyścić i nakarmić konia, nakarmić świnię, wydoić krowę... i to zaraz po powrocie do domu. I jest jeszcze praca, która należy do Bena. No i oczywiście nasze obowiązki.

Papa... - Głos Sary Jane ucichł, gdy dotarły do niej argumenty. Wyczuwając wahanie, dziewczęta rzuciły się na nią. Wyrwały paczki ze stawiających słaby opór dłoni. Rzuciły sprawunki na wóz, na końcu dodając własne.

Większa część owiniętych papierem paczuszek zawierała koronki, wstążki i materiały przeznaczone na ślubny strój Sary Jane. Każda z dziewcząt spełniła równieś po kilka własnych zachcianek ze skrupulatnie zbieranych kieszonkowych. Te zbytki zostały umieszczone na wozie ze szczególną ostrożnością. Jedynie zbliżający się termin ślubu przekonał ojca, by dla zaspokojenia kobiecej próżności rozdzielić tak wielkie fundusze.

Doskonale wiedziały, że podobna okazja szybko się nie powtórzy. Zwyczajem wielebnego Redmona było przeznaczanie każdego miedziaka, który nie był niezbędny dla przeżycia rodziny, na poprawienie losu członków jego kongregacji. Tym razem jednak Zuzanna oświadczyła stanowczo, że Sara Jane musi mieć ślubną wyprawę. A kiedy Zuzanna podejmowała decyzję, ojciec zawsze się podporządkowywał.

Tego ranka, po wypełnieniu swoich i Bena obowiązków, wyruszyły do miasta.

Towarzyszył im Craddock, a także wspaniała świnię i prosięta, wybrane z cierpliwie hodowanego przez Zuzannę stada. Pieniądze ze sprzedaży miała zamiar przeznaczyć na opłacenie podróży Sary Jane i jej przyszłego męża. Gdy nadejdzie wrzesień, a wraz z nim ślub, nowożeńcy wyruszą wygodnie i w dobrym stylu do Richmond w stanie Virginia, gdzie Peter Bridgewater miał zostać pastorem. Ale do września pozostały jeszcze cztery miesiące, a parobek był niezbędny natychmiast. Miejsce na statku mogło zaczekać.

Zuzanna rozmyślała o możliwości nabycia skazańca od kiedy zobaczyła afisze informujące o aukcji. Ani ona ani jej siostry nie miały siły, żeby pracować fizycznie na farmie. Craddock często ulegał alkoholowym „chorobom”, które czyniły jego pomoc w najlepszym razie niepewną. Myśl o zakupie parobka czaiła się w zakamarkach umysłu Zuzanny, kiedy wybierała na zakupy ten akurat dzień. Przez cały ranek świadomość konieczności posiadania parobka walczyła z wiernością wobec wzniosłych zasad moralnych ojca. Skrupuły wielebnego Redmona niemal wygrały, mimo że prowadzenie domu i

gospodarstwa, pełnienie obowiązków towarzyski pastora w kongregacji, wychowywanie trzech ruchliwych sióstr, a równocześnie powstrzymywanie ojca, by nie rozdał biednym ostatnich okruchów ze spiżarni, wyczerpywały rezerwy jej cierpliwości, nie mówiąc już o siłach. Ostatni wybryk Craddocka był kroplą, która przepełniła czarę. Bywają sytuacje, gdy rozsądek musi wziąć górę nad zasadami, a prawda była taka, że Redmonowie potrzebowali mężczyzny do ciężkich prac na farmie.

Ojciec będzie wstrząśnięty, ale w końcu uzna, jak zawsze, jej decyzję. Tego Zuzanna była pewna. W ciągu ostatnich dwunastu lat coraz bardziej oddawał się sprawom ducha, jej rozsądkowi pozostawiając bardziej przyziemne i kłopotliwe problemy. - Nie możesz... nie masz pieniędzy! - zawołała tryumfalnie Sara Jane, wytaczając najpoważniejszy argument.

Zuzanna klepnęła woreczek, który zawiesiła na ręku. Srebro brzęknęło uspokajająco.

- Owszem, mam.

- Ale to są pieniądze na moją podróż poślubną! - zawołała Sara Jane i natychmiast przybrała skruszony wyraz twarzy. - Ja... nie chcę być egoistką, oczywiście. Wykorzystasz te pieniądze na co zechcesz, ale...

- Będziesz miała swoją podróż, nie martw się kochanie. Sprzedam jakiegoś wieprzaka, którego miałam zarzącać na jesieni. Papa i tak oddałby komuś całe mięso, więc nie będzie wielkiej straty.

- Jakże jestem samolubna! Nie mogę... - Ton i wyraz twarzy Sary Jane świadczyły o wyrzutach sumienia.

- Och, daj już spokój. Robi mi się niedobrze, kiedy cię słucham. - Mandy rzuciła jej pełne niesmaku spojrzenie. Dla świeżej pobożności siostry miała równie mało cierpliwości co Emilia.

Dość tego. Jeśli nie macie ochoty mi towarzyszyć, musicie zostać tutaj. Ja idę na aukcję. Zuzanna miała dość całej tej dyskusji. Uniosła spódnicę i ruszyła swawo w stronę chodnika.

- Ale papa...

Podjęłam już decyzję Sara Jane. Możesz sobie darować całe to biadolenie, bo i tak niczego nie zmieni - rzuciła przez ramię, wstępując na podest z desek, biegnący przed frontem sklepu. Sara Jane chciała jeszcze coś dodać. Zrezygnowała jednak, uznając, że to na nic. Wszyscy wiedzieli, że gdy Zuzanna coś postanowiła, ziemia mogła się zatrzęść pod stopami, niebo mogło ciskać błyskawice, głos Boga mógł wzywać ją na Sąd Ostateczny, a Zuzanna i tak zrobiłaby to, co zaplanowała. Uparta jak muł, jak określał ją ojciec w rzadkich chwilach, gdy nie zgadzał się z opinią najstarszej córki, zresztą zwykle bez wpływu na przebieg sprawy. I teraz, podążając za niską sylwetką swej siostry, Sara Jane pomyślała ze smutkiem, że Zuzanna była uparta właśnie jak muł.

ROZDZIAŁ 2

- Placuszki! Komu świeże placuszki?

Głos należał do pulchnej wieśniaczki, niosącej na ramieniu nakryty ściereczką kosz.

Przesuwawa się wśród nowo przybyłych widzów.

- Kraby! sywe kraby!

Brodaty rybak ustawił stragan z drewnianej skrzyni, w której zapewne trzymał te morskie stworzenia. Zajął miejsce na samym skraju łąki, gdzie odbywała się aukcja.

- Ryś! Komu ryśu?!

Obok rybaka usadowiła się nad parującym kociołkiem stara kobieta i, mieszając w nim od czasu do czasu, nawoływała gromko przechodniów.

Te i inne głosy wznosiły się ponad gwar tłumu, nadając wydarzeniu karnawałową atmosferę. Zuzanna zwolniła kroku, by siostry mogły ją dogonić. Emilia przyglądała się wszystkiemu z szeroko otwartymi oczami, a policzki Mandy zarumieniły się z emocji. Sara Jane wyglądała na zmartwioną, ale z uwagi na panujący wokół hałas nawet gdyby chciała nie byłaby w stanie ponownie zaprotestować.

Krzycząc co sił w płucach wędrowni kupcy zachwalali wszystko: od orzeszków po wstąski do włosów. Ludzie przemierzali się nieustannie, niektórzy odchodzili, ale jeszcze więcej przybywało. Kobiety w jaskrawych perkalowych sukienkach i kapeluszach z szerokimi rondami ścisnęły za ręce niesforne dzieci, a wszyscy szukali miejsca, skąd mogliby dobrze widzieć. Dżentelmeni we frakach i cylindrach ocierali się o traperów w skórzanych kurtkach i skromnie odzianych farmerów. Do każdego słupa przywiązano konie. Powozy i furmanki wiozące przeróżne towary, od narzędzi po skrzynki kurczaków, blokowały ulicę.

Na łące zbudowano specjalne ogrodzenie, za którym tłoczyli się przeznaczeni na sprzedaż skazańcy, a obok wzniesiono podwyższenie. Zaledwie tydzień temu prom przepłynął rzeką Coosawhatchie, wioząc ludzki towar. Plotka głosiła, że skazańcy przybili do brzegu w Charles Town. Stamtąd przewieziono ich do Beaufort, uważanego za najbogatsze miasteczko w Południowej Karolinie. Mieszkańcy byli słusznie dumni z tej opinii.

Zamożność obywateli Beaufort powinna uczynić transport opłacalnym.

Gdy siostry zbliżały się do miejsca licytacji, minęło je dwóch mężczyzn. Każdy ciągnął za sobą świeżo kupionego słuśącego. Pierwszy skazaniec, jakiego zobaczyły, miał

związane ręce, a kostki nóg spętane krótkim sznurem. Zmuszony był kuśtykać niezgrabnie, wykonując coś pomiędzy truchtem a skokami, by dotrzymać kroku nowemu panu, z którym łączył go zawiązany na szyi powróż. Drugi skazaniec miał tylko sznur na szyi i powłócząc nogami, ze spuszczoną głową podążał za właścicielem. Obaj byli zaniedbani i brudni. Płomyk wątpliwości zatlił się w umyśle Zuzanny.

- Zuzanno, oni wyglądają na strasznie sponiewieranych! - wykrzyknęła Sara Jane wprost do ucha siostry.

- Ile mam zażądać za ten wspaniały egzemplarz, za robotnika dobrego jak wszyscy Szkoci i silnego jak wół? - ryknął z podwyższenia licytator, wymieniając zalety krępego mężczyzny z grzywą rudych

włosów, który mimo swego położenia spoglądał na tłum z pyszałkowatym uśmiechem.

Ten wygląda nieźle - stwierdziła Zuzanna. Okrzyki z tłumu odwróciły jej uwagę od protestów Sary Jane. Stojące w pobliżu trzy znajome matrony dostrzegły właśnie siostry.

Pomachały i krzyknęły coś na powitanie.

- Dzień dobry Elizo, Jane, Virgie! - odkrzyknęła Zuzanna. Panie Eliza Forrester, Jane Parker i Virgie Tandy należały do trójki wielbnych Redmona i siostry dobrze je znały.

Uśmiechając się, machając ręką i witając, Zuzanna straciła szansę na udział w licytacji.

- Po raz pierwszy, po raz drugi, sprzedany Tomowi Hardy'emu za dwieście funtów!

Może pan odebrać swojego człowieka, panie Hardy, no i oczywiście zapłacić.

Aukcję prowadził Hank Shay. Zuzanna знаła go, choć raczej ze słyszenia.

Podróżował wzdłuż wybrzeża Karoliny, odbierał niewolników i skazańców z portowych miast i sprzedawał ich na prowincji - jego wyczyny były słynne, a wielbny Redmon nazwał go kiedyś sędzią żyjącym się ludzkim bólem i cierpieniem. Shay był

grubym, łysym i czerwonym na twarzy mężczyzną około pięćdziesiątki o głosie donośnym jak grom. Grzmiał teraz, zachęcając do licytacji kolejnego nieszczęśliwca.

- Będziesz licytować, czy nie? - Mandy szturchnęła Zuzannę.

Emilia splótła ręce na podołku i przyglądała się wszystkiemu z wyraźnym zachwytem.

Sara Jane, stojąca po drugiej stronie, była wprost zrozpaczona.

- Zastanów się, Zuzanno. Ci ludzie... pamiętaj, to przestępcy, inaczej by ich tu nie było. Możesz kupić złodzieja, a nawet mordercę!

Mordercę! - Oczy Mandy rozblęły; niezwykłość sytuacji rozpałała jej wyobraźnię.

Zuzannę ogarnęła kolejna fala zwątpienia - do chwili, gdy pomyślała o czekającym w domu nawale pracy. Nie pozwoli, by opinia Sary Jane zepchnęła ją z raz obranej drogi.

- Bzdury! - oświadczyła stanowczo. - Gdyby ci ludzie byli niebezpieczni, nie sprzedawano by ich na publicznej aukcji, prawda? Tutaj! - Podniosła rękę i krzyknęła, gdy licytator podniósł cenę do osiemdziesięciu funtów.

Shay dostrzegł i potwierdził jej podbicie, a Sara Jane wymruczała coś, co zabrzmiało jak prośba do Wszechmocnego, by przywrócił siostrze rozsądek. Gdy sprzedawca wzywał do dalszej licytacji, Zuzanna uświadomiła sobie, że w pośpiechu, by nie dać się przekonać Sarze Jane, raz tylko rzuciła okiem na skazańca, którego chciała kupić. Stała więc teraz na palcach, wyciągnęła szyję i po raz

pierwszy obejrzała go dokładnie.

Uznała, że jest wysoki, porównując jego wzrost ze wzrostem handlarza oraz dwóch potężnych strażników uzbrojonych w zwinięte pejcze i strzelby, stojących po obu stronach podwyższenia. Jeśli szerokość ramion o czymś świadczyła, to był tak potężnie zbudowany, choć obecna sytuacja lub niedawna choroba wyniszczyły go tak, że ubranie wisiało na nim jakby uszyte na o wiele większego mężczyznę. Długie do ramion włosy wydawały się ciemne, lecz były tak splątane i brudne, że nie dało się określić ich koloru. Skóra miała ziemisty odcień, a zmierzwiona, ciemna broda zasłaniała dolną część twarzy. Oczy, również o trudnym do określenia kolorze, wydawały się zapadnięte. Kiedy spoglądał na tłum, pojawiały się w nich złe iskry, a wargi wyginały jakby chciał warknąć. Ręce zwisały bezwładnie z przodu, obciążone kajdanami łączącymi nadgarstki. Miał zaciśnięte pięści, co Zuzanna uznała za kolejną oznakę wojowniczości. To zły człowiek, pomyślała dygocząc wewnątrz i obiecała sobie, że nie będzie więcej podbijać ceny. Ostrzeżenia Sary Jane nie wydawały się już tak bezpodstawne.

- Kto da setkę? No dalej, sto funtów! Może pani, panno Redmon?

- Nie? A pan? Ktoś musiał podnieść rękę, ponieważ Shay zmienił ton.

- Mam sto funtów! Mam setkę! Pozwolicie, by ten silny, wielki mężczyzna został sprzedany za taką nędzną sumę? Ja...

- Dlaczego wciąż jest w kajdanach? - zapytał jakiś męski głos.

Sprawia kłopoty, co? - uwadze rzuconej przez farmera stojącego na skraju łąki towarzyszyło parsknięcie śmiechem. Z tłumy wyleciał jakiś przedmiot i o włos mijając głowę skazańca uderzył o krawędź platformy. Dojrzały pomidor, pomyślała Zuzanna, wnioskując po plamie. Mężczyzna nawet nie drgnął, tylko oczy zapłonęły mu jakby mocniej. Skrzywienie warg stało się bardziej wyraźne. Czuło się jego wrogość. Zwrócił głowę w stronę, skąd nadleciał pocisk i przeorał spojrzeniem tłum.

- Dość tego, chłopcy, albo zaciągnę was do magistratu! Nie lubię, kiedy psuje mi się interesy. Radzę wam o tym pamiętać. - Gdy załatwił sprawę z rzucającymi pomidorami i z jego przyjaciółmi, Shay złagodniał, zwracając się do farmera. - ślazo to tylko środek ostrości, nic więcej. Widzicie, że jest duży i silny. Mogę to potwierdzić! Będzie świetnym pracownikiem dla szczęśliwego nabywcy. Czy usłyszę sto dziesięć?

Licytacja trwała, ale Zuzanna nie zwracała na nią uwagi, jako że nie miała zamiaru się włączać. Skazaniec wyglądał na rozjuszonego lub co najmniej nieokrzesanego, i stanowczo nie był człowiekiem, jakiego szukała. Mimo to współczuła mu, jak współczułaby każdemu stworzeniu, tak okrutnie traktowanemu. Jeszcze się z nienawiści niczym zwabiony w pułapkę niedźwiedź. Ale kogo należało winić, zapytała samą siebie, niedźwiedzia, czy tego kto go złapał? Nie mogła żywić do tego nieszczęśnika pretensji o zawziętość, choć wróżyło mu ono kiepską przyszłość. Tylko głupiec kupiłby skazańca sprawiającego wrazenie, że z przyjemnością zamordowałby człowieka w jego własnym łosku.

- Potrafi czytać i pisać po angielsku jak sam król! To podnosi jego wartość.

Sprytny nabywca zrobi świetny interes za jedyne sto sześćdziesiąt funtów!

Czy usłyszę sto sześćdziesiąt?

Shay usłyszał, choć potencjalny nabywca nie był chyba zbyt przekonany.

Licytator nie dostanie za tego człowieka tyle ile oczekiwał, to było jasne. Widząc jak groźnie skazaniec spogląda na zebrany tłum, Zuzanna dziwiła się, że ktokolwiek ma dość odwagi, by go kupować. Ale Shay powiedział, że to wykształcony człowiek. Ciekawe czy to prawda, zastanawiała się Zuzanna, czy tylko sztuczka, by podbić cenę? Skazaniec nie wyglądał na uczonego, choć gdy przyjrzała się mu dokładnie dostrzegła, że jego ubranie było niegdyś eleganckie. Nosił czarne spodnie, teraz podarte i brudne, równie poszarpaną koszulę, dawniej pewnie białą, strzępy kamizelki uszytej z czegoś, co mogło być złotym brokatem i parę butów z niewyprawionej skóry, które smętnie kontrastowały z resztą stroju. Nie nosił

pończoch, więc poniżej mankietu spodni wyraźnie były widoczne owłosione nogi.

Wcześniej licytowany rudzielec był o wiele bardziej ujmujący i lepiej nadawałby się dla celów Zuzanny. Ale w tym człowieku coś budziło współczucie.

Zuzanna stała w milczeniu, podczas gdy aukcja trwała dalej. Mandy i Emilia z rozszerzonymi oczami przyglądały się widowisku. Wyraz ich twarzy świadczył, że są przyjemnie podniecone aurą okrucieństwa, którą roztaczał skazaniec. Chyba jednak nie chciałyby go mieć w domu za słuchającego. Sara Jane kręciła się niespokojnie, jakby naprawdę się bała, że Zuzanna straci głowę i kupi tego w oczywisty sposób nieodpowiedniego mężczyznę. - Dzień dobry, panno Amando, panno Zuzanno, panno Saro Jane, panno Emilio.

Drogi panie, co wy tu robicie? Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdy ten zbój Shay wymienił pani nazwisko, panno Zuzanno i zobaczyłem, że pani licytuje. Proszę nie mówić, że wielbny przyzwolił na coś takiego, bo nigdy nie uwierzę!

Powitanie rozległo się bez ostrzeżenia, tuż za lewym ramieniem Zuzanny. Było a

nadto dobrze słyszalne. Szybko odwróciła głowę i -jak się tego spodziewała - ujrzała Hiram Greera. Zamożny plantator indygo od dawna już oglądał się za Mandy. Był w wieku pastora, a do tego miał szorstkie maniery prostaka, więc Sadna z sióstr nie traktowała poważnie jego starań, choć istotnie był dość bogaty. Mandy, mimo swych skłonności do flirtów, nigdy świadomie go nie zachęcała. Wyobraził sobie jednak, że będzie kiedyś jej mężem i zwracał

się do reszty rodziny z taką poufałością, że dziewczęta miały ochotę zgrzytać zębami. Z

piersi jak beczka, krępy, średniego wzrostu, z rzadnymi siwymi włosami i o ostrych rysach twarzy, Hiram Greer przypominał byka zarówno z wyglądu jak z zachowania. Zuzanna wprost go nie znosiła, był jednak jednym z najważniejszych filarów kongregacji, więc z konieczności musiała zachować uprzejmość.

- Dzień dobry, panie Greer. - Nie odpowiedziała wprost na jego pytanie, a on nie był człowiekiem, który potrafiłby rozpoznać i zaakceptować odprawę.

Dobry Boże, panienko, kiedy zobaczyłem panią tutaj z siostrami, myślałem, że mam omamy! Powinna pani wiedzieć, że podniesienie ręki Shay uznaje za włączenie się do licytacji. Na pewno nie zrobiła pani tego świadomie. Na szczęście inni zaproponowali więcej, bo mogłoby się okazać, że została pani właścicielką bandyty i musiałaby pani odpowiadać za to przed swoim ojcem. Pozwólcie panie, że was stąd wyprowadzę. Nie czekając na odpowiedź, wziął Zuzannę pod ramię i odciągnąłby ją, gdyby nie wyrwała mu łokcia.

- Zapewniam, że to pan nie zrozumiał sytuacji, panie Greer - odparła stanowczo. - Nie mam zamiaru stąd się ruszać. Co więcej, przyszedłam tu specjalnie, by kupić skazańca.

Z tymi słowami zadarła głowę i raz jeszcze spojrzała na podwyższenie. Shay nawoływał

wciąż do licytacji. Skazaniec wyszczerzył zęby, jakby naigrywając się z potencjalnego nabywcy. Shay posłał mu wrogię; spojrzenie, które źle wróżyłoby więźniowi, gdyby ten pozostał w jego rękach. Przez chwilę nikt nie licytował, po czym jakiś człowiek w samym środku tłumu podniósł dłoń.

- Sto siedemdziesiąt! Mam sto siedemdziesiąt! To śmieszna cena za wykształconego dżentelmena, dość silnego, by pracować w polu, a przy tym umiejącego poprowadzić wasze księgi. No ludzie, czy pozwolicie, by panu Renard udało się ta kradzież?

Niech Renard go poskramia! On ma do tego nerwy. My nie lubimy używać bata! Ten okrzyk wywołał falę rechotów. Georges Renard posiadał plantację bawełny w głębi kraju, a jego okrucieństwo było przysłowiowe. Niewolnicy w jego majątku byli chłostani do krwi za najdrobniejsze przewinienia. Plotka głosiła, że przynajmniej połowa ludzi nie wytrzymała i umierała, choć na ogół nie wierzono tym pogłoskom. W końcu Renard był człowiekiem interesu, a niewolnicy kosztują. Zuzanna zadrżała na samą myśl o tym, co może spotkać skłonnego do buntu skazańca.

- Nie kupi pani tego człowieka - oznajmił stanowczym tonem Greer. - Słyszysz mnie pani, panno Zuzanno? Nie mógłbym spać, martwiąc się o panią i o pani siostry, gdyby taki jak on mieszkał w pobliżu. Jeśli musi już pani mieć służącego, to ja go pani wybiorę. Trochę później wystawię człowieka, na którego sam mam oko. Starszy, ale wygląda krzepko i został

skazany za fałszerstwo. Pytałem. Nie jest groźny. Kiedy go wystawię, wylicytuję go dla pani.

Proszę to uznać za prezent.

Hojność propozycji wywołała zdumione westchnienie Emilii i rumieniec u Mandy.

Zuzanna zirytowała się do tego stopnia, że musiała odetchnąć głębiej, by nie wpaść w gniew.

Porywczość była jej największą wadą.

- Dziękuję, ale zdecydowałam się już na tego - oświadczyła, uświadamiając sobie, że tak jest w istocie. Podjęła decyzję i podniosła rękę.

Sto osiemdziesiąt! Mam sto osiemdziesiąt! - Shay niemal natychmiast dostrzegł jej gest. Greer poczerwieniała, a dziewczęta jęknęły cicho, co mogło oznaczać zdziwienie, albo -

w przypadku Sary Jane - prawdziwy lęk.

- Czy ktoś da sto dziewięćdziesiąt? Nie? Może sto osiemdziesiąt pięć? Nie? To wasza ostatnia szansa, dobrzy ludzie, na najlepszy interes roku! Pozwolicie panie Redmon wykraść go sobie sprzed nosa za marne sto osiemdziesiąt funtów? Kto da więcej? Nikt? Więc po raz pierwszy, drugi, sprzedany panie Redmon za sto osiemdziesiąt! Zrobiła pani znakomity interes, proszę pani!

- Och, Zuzanno! - jęknęła Sara Jane.

Zuzanna sama miała ochotę jęknąć. Znowu ogarnęły ją wątpliwości. Ale Hiram Greer jeśly się tuś obok, a oczy wszystkich zebranych zwróciły się ku niej, więc nie była to odpowiednia chwila na poddawanie się zwątpieniu. Wyprostowała się i z podniesionym czołem ruszyła przez tłum w stronę podwyższenia, skąd właśnie sprowadzano skazańca. Za nią podąsały siostry oraz Hiram Greer, który przynajmniej raz milczał zaskoczony. Dręczona nieprzyjemnym uczuciem, że się i gniew skłoniły ją do popełnienia powaśnego błędu, Zuzanna odliczyła zadeklarowaną kwotę człowiekowi, który siedział obok podwyższenia i pilnował skrzynki z pieniędzmi. Męśczyzna przeliczył gotówkę, po czym wręczył jej kartkę papieru - wyrok, jak później odkryła - i wystrzępiony koniec sznura. Szeroko otwartymi oczami przebiegła wzrokiem wzdłuś powrozu aż do jego drugiego końca zawiązanego na szyi kupionego skazańca.

ROZDZIAŁ 3

Tłum, który kłębił się wokół podwyższenia wydawał się Ianowi Connelly'emu jednolitą, barwną, hałaśliwą masą. Pojedyncze twarze rozmywały się przed oczami, gdy tkwił

niby skała za stolikiem, przy którym Walter Johnson, pomocnik Shaya, chciwie przeliczał

gotówkę, za którą kupiono skazańca. Kupiono! Tak jak on kiedyś kupował konia lub krowę.

Nie rozróśniał dziwnie akcentowanych słów, które wznosiły się i cichły. Intonacja nieprzyjemnie przypominała rytm fal, uderzających bezustannie o kadłub statku, którym przyłynął z Anglii. Dudniło mu w głowie, choć nie wiedział, czy to od duszącej wilgoci, jakiej nigdy nie doświadczył, czy z powodu głodu, którym próbowali go poskromić. Słońce -

z pewnością nie było tym samym słońcem, które łagodnie ogrzewało irlandzkie łąki, czy przepędzało posępne angielskie mgły - bezlitośnie paliło odkrytą głowę. Nogi miał jak nie swoje, kolana uginały mu się, a ramiona drsały. Tylko najwyśszym wysiłkiem woli zmusił

się, by najpierw stać bez drgnienia na podwyższeniu, a potem zejść prowizorycznymi, drewnianymi schodami na zdeptaną trawę. Przy sięciu trzymała go nienawiść: czarna, płonąca nienawiść do

wrogów, do których zaliczał teraz większą część ludzkości. - Rusz się!

Jeden z ludzi, których Shay wynajął do pilnowania pieniędzy, bez uprzedzenia pchnął

Iana od tyłu. Więzień z trudem utrzymał równowagę. Odwrócił głowę i zaciskając pięści warknął na nowego prześladowcę. Ten cofnął się pospiesznie. Potem przypomniał sobie kim i gdzie jest, i postąpił krok do przodu, demonstracyjnie potrząsając batem, jakby uŚycie go miało mu sprawić przyjemność.

- Nie tutaj durniu. Shay nie byłby zadowolony - mruknął inny strażnik, stając między nimi. Pierwszy rozejrzał się i ponuro skinął głową.

Tak, masz rację - burknął zwijając pejcz. Ian poczuł jak spływa z niego napięcie - bez walki nie poddałby się kolejnej chłości. Lecz strażnik jeszcze z nim nie skończył. OdłóŚył

pejcz, chwycił kawałek sznura, związał na końcu coś, co przypominało szubieniczną pętlę i z drwiącym uśmiejem zarzucił ją Ianowi na szyję.

- Nie podoba mi się to, ale chyba pozwolimy, by rozprawił się z tobą nowy właściciel.

Jakie to uczucie być niewolnikiem mój piękny paniczu? - MęŚczyzna rzucił tę drwinę cichym głosem, by nikt nie mógł go usłyszeć.

Ian zacisnął pięści. Płonął Śądzą krwi, ale opanował chęć mordy. Mógłby skrócić kark temu wrednemu robakowi, lecz zyskałby tylko chwilową satysfakcję, za którą zapłaciłby potem własnym Śyciem. Ten bękart nie był tego wart.

Szorstkie konopie otarły skórę, gdy strażnik złośliwie zacisnął pętlę na szyi, a potem pociągnął mocno do przodu. Lecz po wszystkich upokorzeniach, jakie Ian przeŚył w ciągu minionych miesięcy, niemal nie zauwaŚył tej drobnej niewygody. Naprawdę cierpiała tylko jego duma. Z jakichś powodów sznur wokół szyi poniŚał go bardziej niż łańcuch krępujący ręce. Strażnik nie był ani gorszy ani lepszy niż mógł się spodziewać po takich dozorcach. Byli wszyscy jak szakale, chętni szarpać ciała słabszych, Lepiej niech modlą się do Boga, gdy Ian odzyska dawną pozycję.

Ale nie został pobity, podczas gdy jeszcze dwa dni temu jedno wyniosłe spojrzenie sprowadzało chłostę rzucającą go na kolana. Więc dlaczego teraz nie? Umysł otępiały od zapachów, upału, czy może przekłętej fizycznej słabości, nie od razu podsunął odpowiedź: nie był już ich własnością i nie mogli się nad nim znęcać.

Został sprzedany. Uwolnił się od sadystycznych dozorców. Teraz musiał sobie radzić z nowym właścicielem. Spojrzenie Iana, kierowane raczej instynktem, niż świadomym aktem woli, podąŚyło wzdłuż sznura, trafiając w końcu na drobną, choć wyglądającą na silną dłoń.

Dłoń kobiecą. Został kupiony przez kobietę! Podniósł wzrok ku jej twarzy i poczuł jak gdzieś w głębi budzi się gorące uczucie. Wiedział co to jest: wstyd. Sądził, że już dawno utracił taką wraŚliwość.

Jednak zostać sprzedanym jak zwierzę, i to kobiecie, było bardziej poniŚające od wszystkiego, co go

dotąd spotkało. Kiedyś, jakby w poprzednim Śyciu, nie zaszczyliłby spojrzeniem tej zaniedbanej istoty, która stała teraz przed nim, przyglądając mu się wzrokiem pełnym stanowczości, ale i skrywanego lęku. Była niska, czubek jej głowy sięgał mu najwyŜej do ramienia, nawet gdy starała się wyprostować, co zdawała się robić w tej chwili. I miała pospolitą twarz. Klucha -to słowo przyszło mu do głowy, gdy zmierzył ją wzrokiem.

Kwadratowa twarz i ciało teŜ jakby kwadratowe. Piersi wydawały się w miarę pełne, podobnie jak biodra, minimalne wcięcie między nimi zdradzało szeroką talię. Wycucie mody najwyraźniej było jej obce. W jasnobrązowej, wyblakłej sukni, którą dodatkowo szpecił deseń w pomarańczowe kwiatki, wyglądała wprost szpetnie, a jeszcze na dodatek ten pomarańczowy kapelusz. Nawet jego ognista Serena, wysoka i szczupła, w takim stroju nie wyglądałaby pięknie.

Podczas rejsu spędził całe tygodnie przykuty w ciemnej, cuchnącej ładowni. LeŜąc na drewnianych deskach między stłoczonymi ludźmi zachował zdrowe zmysły, wyobraŜając sobie, co go czeka w przyszłości. Wiedział, Őe gdy tylko zawiną do portu, zostanie sprzedany na aukcji. Stanie się własnością farmera, kupca, lub jednego z plantatorów, którzy -jak słyszał

- władali tą częścią Őwiata nazywaną Karoliną, tak jak szlachta władała Anglią. Ale nie zamierzał długo pozostawać niewolnikiem. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności zrobi to, co będzie konieczne, by odzyskać wolność. Jeśli okaŜe się, Őe musi uŜyc siły, trudno, to dla niego Őadna nowość. Lecz w jego planach nigdy nie pojawiła się kobieta. Nawet tak mało kobieca jak ta. Przemoc wobec odmiennej płci leŜała poza granicami jego moralności. Do tej pory. Ale okoliczności się zmieniły i on takŜe.

Zrobi wszystko, by odzyskać wolność. Kamienne mury Newgate i cuchnące trzewia statku mogły go powstrzymać; tej drobnej kobiecie to się nie uda.

- Dziękuję - powiedziała do Johnsona, gdy wręczył jej sentencję wyroku.

Ian Conneily po raz pierwszy usłyszał jej głos, niski i głęboki. Melodyjnie przeciągała słowa, co było o wiele bardziej pociągające niŜ jej wygląd. Wbrew woli Ian poczuł, Őe ten głos go intryguje: był piękny, kojący jak kołysanka wśród koszmaru, który tak niespodziewanie pochwycił go w swoje szpony.

- A teraz proszę rozkuć kajdany.

Słucham? - Johnson wytrzeszczył oczy. Ian spojrzał na nią równie zdziwiony. To niemoŜliwe, by tak ułatwiała mu zadanie.

Uniosła brwi. Były gęste, proste, o ton ciemniejsze od włosów, niezwykle wyraziste.

- Powiedziałam, Őe chcę, by zdjęto mu kajdany. Natychmiast, jeśli moŜna.

Mimo aksamitnego tonu było jasne, Őe jest przyzwyczajona do wydawania poleceń.

Johnson spojrzał na nią niepewnie i oblizwał wargi, Ian takŜe przyglądał się jej spod opuszczonych powiek, mając nadzieję, Őe nie zdradził go nagły błysk oczu.

- AleŜ proszê pani, nie śmiałbym zrobić czegoś takiego. To niedobry człowiek.

Porywczy, jak sami mogliśmy się przekonać. Trafił tu za próbê morderstwa i...

- Nie potrzebuję jego łańcuchów. Nie mam zamiaru traktować go jak psa, więc proszê je zdjąć.

Johnson urwał w połowie zdania, wzruszył ramionami i skinął na straŜnika, by wykonał polecenie lady. Przyciągnięto kowadło i Ian przykucnął, by ułoŜyć na nim przedramiona. Pobjak uderzył o dłuto, metal zadzwieczał o metal. Jeden, a potem drugi nit wystrzelił z otworu. Przy ostatnim uderzeniu dłuto zadrapało mu nadgarstek, Ian nie zwrócił

uwagi na tę drobną ranę, nauczył się ignorować gorsze niewygody. Ŝył i tylko to się liczyło.

Gdy był juŜ wolny, Ian zaczął powątpiewać w zdrowy rozsądek kobiety. Wstał

powoli, by nie pogarszać zawrotów głowy, roztarł zdrętwiałe dłonie, a potem rozpostarł

szeroko ręce. Mięśnie ramion i grzbietu zareagowały bólem na nieoczekiwany ruch. Ale to był przyjemny ból i Ian powitał go z radością. Przez prawie pół roku zapomniał o swobodzie ruchów. StraŜnik odskoczył pośpiesznie, a dłoń Johnsona sięgnęła do pistoletu za pasem.

Lecz kobieta obserwowała go spokojnie z przechyloną na bok głową, wciąż trzymając w dłoni koniec sznura zawiązanego na jego szyi. W normalnych okolicznościach Ian uznałby taką sytuację za wyjątkowo komiczną. Kobieta mogła mieć nie więcej niŜ metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, a moŜe nawet nie tyle, podczas gdy on mierzył sto osiemdziesiąt pięć i to boso. Była silna jak na swój wzrost, a on wycieńczony, jednak potrafiłby jedną ręką pochwycić ją i unieruchomić, a drugą skrócić kark. Mimo to nakazała, by zdjęli mu kajdany. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby zaczął się nieodpowiednio zachowywać?

- Zuzanno, bądź ostroŜna!

Ta prośba i nerwowe chichoty za plecami kobiety odwróciły jego uwagę.

Spoglądając ponad obrzydliwym kapeluszem, Ian dostrzegł trójkê dziewcząt. Jedna była ładna, a dwie pozostałe zaledwie znośne. Wszystkie trzy patrzyły na niego jakby nagle na głowie wyrosły mu rogi. Jedna uniosła dłoń do ust i przyglądała mu się z nieskrywanym przeraŜeniem, Ian z trudem opanował chęć wyszczerzenia zębów, by mogła posmakować tego, czego najwidoczniej oczekiwała.

- Panno Zuzanno, wezmę tego łotra i zwrócę pieniądze, które pani zapłaciła, co do funta. To Ŝaden wstyd przyznać się do błêdu.

Jakiś męŜczyzna stanął obok kobiety. Wyglądał na choleryka i mógłby być jej ojcem, gdyby nie sposób, w jaki się do niej zwracał.

- Bardzo dziękuję, panie Greer, ale nie mam zamiaru z niego rezygnować.

Jestem przekonana, że doskonale się nada do moich celów.

Mimo że wyglądała na prostaczkę, kobieta potrafiła przemawiać z chłodną wyniosłością księżnej. Udało jej się nawet sprawić wrazenie, że spogląda z góry na wyższego od niej o pół głowy mężczyznę.

- Kiedy ta bestia spróbuje nocą zamordować was wszystkie, inaczej pani zaśpiewa, moja droga. Ale wtedy będzie już za późno. Jeśli nie myśli pani o sobie, to niech pani pomyśli o swoich biednych, niewinnych siostrach.

Greer miał na sobie ciemnozielony surdut, który lepiej by wyglądał, gdyby go porządnie wyszczotkować, i czarne spodnie, które uszyto chyba na kogoś o wiele szczuplejszego. W każdym calu wyglądał na zadufanego prowincjusza i wyśmiano by go, gdyby pokazał się w Londynie czy nawet Dublinie. Tutaj, jak się wydawało, był poważnym człowiekiem i kimś przyzwyczajonym do wydawania poleceń. Upór kobiety sprawił, że jego twarz przybrała barwę głębszej czerwieni niż ta, którą dała mu natura i to piekielne słońce Nowego Świata.

- Nie jest bestią, lecz istotą ludzką i z pewnością nie będzie chciał nas wymordować w nocy. Pańskie sugestie są wprost absurdalne!

Stanowcza przemowa, wygłoszona z przesadnie uniesionym nazbyt szerokim podbródkiem, doprowadziła Greera prawie do stanu apopleksji. Zaciął wargi i spoglądał

groźnie na nią i na Iana.

- Absurdalne, tak? Kiedy nawet taki Hank Shay i jego ludzie bali się zdjąć mu kajdany? To nie ja zachowuję się absurdalnie!

- Nonsens.

Nonsens?! Zimne spojrzenie kobiety zdawało się doprowadzać Greera do pasji. Zanim Ian zrozumiał, co ten zamierza, Greer wyrwał sznur z rąk kobiety i mocno pociągnął. Konopie wgryzły się głęboko w skórę szyi i Ian z trudem stłumił przekleństwo.

- Panie Greer!

Ian błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił pięść mężczyzny zanim jeszcze kobieta zdążyła zaprotestować. Oczy mu płonęły. Zaciął palce i przez chwilę miał ochotę samym naciskiem ręki powalić na kolana tego gdczącego durnia. Ale ponisając publicznie tego człowieka, zyskałby niebezpiecznego wroga, a tych Ian miał aż nadto. Przez moment, tylko przez jeden moment, patrzył Greerowi prosto w oczy. Powoli zwalniał nacisk, po czym puścił

dłoń mężczyzny i cofnął się.

- Zapłacisz mi za to!

Greer aż podskakiwał z wściekłości. Pogroził pięścią Ianowi, który spoglądał na niego obojętnie.

Greer robił groźne miny, ale uważał, by się zanadto nie zbliżyć, Ian znał wielu podobnych ludzi, mocnych w gębie, póki nie zostaną wystawieni na próbę. Wtedy pierwsi rzucają się do ucieczki. Z pogardą zmrużył oczy.

- Każę cię wychłostać do krwi, ty zuchwały bękarcie! Do diabła, sam to zrobię i to z rozkoszą! Oduczysz się podnosić rękę na lepszych od siebie! Nie będziesz już taki dumny, kiedy bicz potnie ci grzbiet na pasy!

Minione osiem tygodni wyczuliły Iana na tę szczególną groźbę. Gorzka jak sól wściekłość zacisnęła mu krtań, a oczy zabłyśły dziko. Greer uznał, że lepiej będzie zamilknąć.

- Dość tego, panie Greer! Bez żadnego powodu robi pan widowisko z siebie i z nas przy okazji. Będę wdzięczna, jeśli to mnie zostawi pan opiekę nad moimi ludźmi.

Delikatne zlewanie się słów nie zmniejszyło ich gryzącej ironii. Odebrała Greerowi sznur, wyminęła go i zdecydowanie pokazała mu plecy. Potem uniosła głowę i spojrzała wprost na Iana. Jej oczy przypominały głos: delikatne i nieoczekiwane piękne.

- Nie musisz się lękać - powiedziała. - Będziemy cię dobrze traktowali i nie grozi ci chłosta. Nie obawiaj się.

- Zuzanno, powinnaś się przynajmniej zastanowić nad ostrzeżeniami pana Greera.

To nie jest kulawy pies, ani jednooki kot, ale męszczyna. - Smarkuła w różowym kapeluszu zwróciła się zapalczywie w kierunku pleców jego nowej właścicielki.

Wprawdzie porównanie wydało się Ianowi bez sensu, lecz Zuzanna -podobnie jak głos, imię było zaskakująco kobiece - zrozumiała je natychmiast.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Saro Jane. Ale jestem pewna, że pan... - rzuciła okiem na papiery i obejrzała się na niego - pan Connelly nie robi nam krzywdy. Prawda, Connelly?

ROZDZIAŁ 4

Ian patrzył na nią w milczeniu. Wrząca nienawiść, która stała się jego nieodłączną częścią -jak ręka lub noga, ostygła odrobinę. Kobieta była tak naiwna, że miał ochotę się roześmiać. Czy naprawdę sądziła, że można wierzyć słowu kogoś takiego jak on? Lecz patrzyła na niego oczami tak wielkimi i pełnymi powagi, że musiał udzielić odpowiedzi, jakiej oczekiwała.

- Nie zrobię - powiedział i wolno pokręcił głową.

Długo nie używany głos zabrzmiał zgrzytliwie. Sam z trudem go rozpoznawał.

Uśmiechnęła się, co zupełnie odmieniło jej twarz.

- No właśnie. - Spojrzała triumfalnie na zebraną wokół grupę.

Nie muszę nawet mówić, że moim zdaniem podjęła pani błędną decyzję. Jest pani aniołem na ziemi, wszyscy o tym wiemy, panno Zuzanno. Nie rozpoznałaby pani diabła, gdyby stanął po pani prawicy. Szanuję panią za to, choć lękam się, że ta dobroć będzie przyczyną zgryzoty. Czy jednak pani tego chce, czy nie, muszę uczynić wszystko, co tylko w mojej mocy, by zapewnić bezpieczeństwo pani rodzinie. Greer spojrzał posępnie na Iana. Ten przyglądał mu się obojętnie. Greer zacisnął pięści i rzucił szorstko:

- Cokolwiek sobie myślisz, pamiętaj, że panna Zuzanna i jej siostry mają opiekę.

Jeśli ośmielisz się wyrządzić im jakąkolwiek krzywdę, czy choć urazisz czymś, mój pejcz zedrze z ciebie skórę kawałek po kawałku.

Obojętne czy panna Zuzanna zgodzi się na to czy nie. A jeśli popełnisz coś niewłaściwego, zaciągnę cię przed magistrat i dopilnuję, by cię powieszono, na co z pewnością już dawno sobie zasłużyłeś. Zrozumiałeś mnie, człowieku?

Ian zeszywniał i to była jedyna jego reakcja. Ten typ okazał się tchórzem i durniem nie wartym ceny, jaką musiałby zapłacić, gdyby zgniótł go jak mrówkę. Lecz nienawiść rozgorzała na nowo.

Z jakichś niezrozumiałych przyczyn Ian z radością powitał odrodzenie tej emocji.

Wzmocniła go, osłoniła przed bólem, strachem i bezsensownym rozczuleniem, które wezbrało, gdy spojrzał w uśmiechnięte oczy panny Zuzanny. Już tak dawno nie widział

prawdziwej dobroci, że niemal zapomniał jak wygląda.

- Byłabym wdzięczna, gdyby przestał pan grozić moim ludziom, panie Greer. - Jeśli Zuzanna uśmiechała się, spoglądając na Iana, to uśmiech znikł, gdy zwróciła się do Greera.

Oczy błysnęły gniewnie, podbródek uniósł się i przebiła kandydata na opiekuna morderczym wzrokiem. Odnosiło się wrażenie jakby urosła dwukrotnie i w dodatku stała się mężczyzną. -

A teraz muszę pana przeprosić. Chodźmy Connelly. Wy te dziewczęta. Nie zaszczycając nieposądanego opiekuna już ani jednym spojrzeniem, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

- Ależ Zuzanno... - słabo zaprotestowała dziewczyna w różowym kapeluszu, schodząc siostrze z drogi.

Ciszej, Saro Jane - odparła Zuzanna i pociągnęła za koniec sznura. Zrobiła to z roztargnienia, ale dla Iana to już było za wiele. Szorstki powróż uraził otarcie, powstałe przy ostrym szarpnięciu Greera. Lecz ból był niczym w porównaniu z raną, jakiej doznała duma.

Nie pozwoli ciągnąć się na smyczy przez ten tłum. Nie ruszył się z miejsca. Obiema rękami chwycił za węzeł i zaczął zsuwać pętlę przez głowę.

Sznur naprężył się i zatrzymał Zuzannę w miejscu. Obejrzała się przez ramię i dostrzegła, że zdjął już pętlę i trzymał ją w rękach. Wyraziste brwi kobiety uniosły się w niemym pytaniu. Zamiast

odpowiedzi rzucił sznur na ziemię i spojrzął na nią wyzywająco.

Nie protestowała; energicznie skinęła głową.

- Oczywiście masz rację. TeŜ nie chciałabym, by ktoś mnie ciągnął na sznurze.

A teraz proszę za mną.

Ku własnemu zdziwieniu Ian posłuchał. Wolny od sznura i kajdanów, tym mocniej odczuwał zew wolności. Nie mógł jednak po prostu odwrócić się i odejść, choć miał na to wielką ochotę. Ktoś z pewnością by go ścigał. Schwytanego i zapewne surowo ukaranego, w przyszłości strzeŜono by starannie. Było jasne, Ŝe jego nowa właścicielka chętniej słuŜa głosu serca niŜ rozsądku. MoŜe spędzić w jej domu jakiś czas, nabrać sił i ułoŜyć plany na przyszłość, nie lękając się ani fizycznych cierpień ani poniŜenia. Po raz pierwszy od bardzo dawna przyszłość rysowała się w jaśniejszych barwach.

Ian poczuł nagły przyptyw otuchy. Niestety, ciało wolniej niŜ umysł reagowało na odrodzoną nadzieję. Stawiając jedną stopę za drugą, z przeraŜeniem uświadomił sobie jak bardzo jest słaby. Musiał skoncentrować całą siłę woli na tak prostej czynności jak chodzenie.

Stopy niechętnie wykonywały rozkazy oŜepiałego mózgu. Coś - moŜe upał, słońce albo ten unoszący się dookoła obrzydliwy odór gnijącej roślinności - przyprawiało go o zawroty głowy.

Był tak oszołomiony, Ŝe prawie nie dostrzegał ciekawskich oczu, wpatrujących się w niego ze wszystkich stron. Udało mu się jeszcze zauwaŜyć, Ŝe co najmniej połowa obecnych tu matron wita Zuzannę, która odpowiada uśmiechem lub skinieniem ręki. Kilka kroków za nim podąŜała trójka dziewcząt - domyślał się, Ŝe były jej siostrami. Wiedział, Ŝe idą, bo słyszał ich szepty. Jedna z nich zachichotała.

Jeszcze bardziej zakręciło mu się w głowie, był oślepiiony i ogłuszony. Ta smarkuła oczywiście drwiła z niego. Znow obudziło się poczucie wstydu. W jaki sposób on, Ian Connelly, popadł w tę otchłań hańby? Naturalnie doskonale wiedział kto jest za to odpowiedzialny. Miał szczęście, Ŝe nie został zamordowany. Ale to, co z nim zrobiono, wcale nie było lepsze.

Został skazany na siedem lat. Siedem lat dla męŜczyzny trzydziestojednoletniego nie jest długim okresem oczekiwania na zemstę. Nie miał zresztą zamiaru odpracować całego wyroku. Kiedy tylko zechce, moŜe zwyczajnie odejść od tej zaniedbanej kobieciny i złapać najbliższy statek do domu.

A wtedy jego wrogowie krwawo zapłacą za swoje czyny.

Na obrzeŜach łąki stało sporo osób o skórze w róŜnych odcieniach kawy. Kobiety w długich sukniach, z pewnością ładniejszych niŜ ta, którą miała na sobie Zuzanna, i męŜczyźni w zwyczajnych koszulach i spodniach. WyróŜniali się tylko kolorem skóry, Ian przyglądał im się z ciekawością. Zaszokowany pojął, Ŝe spogląda na murzyńskich niewolników. Słyszał

naturalnie opowieści o nich, ale nigdy Ŝadnego nie widział na własne oczy. Gdy zeszli z łąki, zwrócił uwagę na zbliŜającą się ulicą wysoką kobietę o hebanowej skórze, z turbanem na głowie.

Miała na sobie wykrochmalony, biały fartuch i długą suknię z jasnobłękitnego perkalu. Szła o krok za modnie ubraną damą, zapewne jej właścicielką, Ian zauważył ze zdumieniem, że Murzynka przygląda mu się z nie mniejszą ciekawością, niż on jej.

Uświadomił sobie, że skazaniec jest dla niej równie niezwykły, jak dla niego murzyńska niewolnica. Pomyślał, że mają ze sobą wiele wspólnego.

- Bandyta! Bandyta!

Nie wiadomo skąd nadleciał kamień i trafił Iana w ramię. Męszczyzna drgnął, obejrzał się szybko i uniósł rękę, by osłonić twarz przed następnymi pociskami. Jasnowłosy łobuziak uciekał już, by dołączyć do chichoczącej grupy kolegów, wyglądających zza rogu.

- Przestań natychmiast, Jeremy! Bo porozmawiam z twoją mamą! A wy wszyscy lepiej zachowujcie się odpowiednio, żeby ktoś w bolesny sposób nie przywołał was do porządku! - Zuzanna klasnęła w ręce, by podkreślić wagę słów.

Przestraszony chłopiec zniknął za rogiem. Po jego kolegach nie został nawet ślad.

- Przepraszam, panno Redmon. Proszę nie mówić nic mamie!

- Przepraszam, panno Redmon!

Przepraszam! Winowajcy wychylili głowy, a Zuzanna pośegnała ich ostrym spojrzeniem i ostrzegawczym gestem ręki. Iana zaskoczył szacunek, jakim się cieszyła. Wielu jego krzepkich znajomych nie potrafiłoby równie sprawnie poradzić sobie z grupą łobuziaków.

- Nic się nie stało, Connelly?

Nie zatrzymała się. Rzuciła mu tylko spojrzenie przez ramię. Łagodność jej oczu podkreślały jeszcze długie rzęsy. Niewielki nos wydał mu się zaskakująco zuchwały. Gdyby miała zgrabniejszą figurę i lepszy gust, nie byłaby tak całkiem nieatrakcyjna. Teraz czekała na odpowiedź. Bolała go głowa, a chodnik zaczynał falować pod nogami, lecz trafienia kamieniem w ogóle już nie czuł.

- Nie - odparł po krótkiej chwili, jaką zajęło mu przywołanie na usta właściwego słowa. A po namyśle dodał. - Proszę pani.

W nagrodę za tę uprzejmość otrzymał przelotny uśmiech. Obejrzała się lekko zwalnając, jakby chciała na niego zaczekać. Naturalnie czekała na siostry. Nie był aż tak otypały, by tego nie zrozumieć. Lecz uśmiech przeznaczyła dla niego i raz jeszcze Ian był

zdumiony, co potrafi on zrobić z jej twarzą.

- Nie przypuszczałam, że zrobi coś takiego, byłabym wtedy bardziej surowa.

Widzisz, Jeremy nie jest złym chłopcem, ale bardzo chciałby zrobić wrażenie na kolegach.

Ojciec jest znanym łajdakiem i w rezultacie Jeremy'emu zdarzają się takie wybryki.

- Usprawiedliwiłabyś samego diabła, gdyby przybył pod postacią dziecka -

oświadczyła najładniejsza z dziewcząt, gdy wszystkie trzy, omijając go ostrośnie z daleka, stanęły wokół siostry.

- Nie będę się tłumaczyć z tego, że lubię dzieci - odparła z werwą Zuzanna, ponownie przyspieszając kroku.

- Powinnaś mieć własne, Zuzanno - zauważyła panna Róśowy Kapelusze.

- Najpierw musi wyjść za mąż, głuptasie, a nikt jakoś nie prosi ją o rękę. - Ta uwaga pochodziła od pulchnej dziewczyny w szóltej sukience.

- Cicho, Em! - rzuciła panna Róśowy Kapelusze, oglądając się podejrzliwie na Iana.

W porządku, Saro Jane. Emilia mówi prawdę i nie może jej za to karcieć - oświadczyła spokojnie Zuzanna. Ian wydedukował, że paniński stan i brak konkurentów nie dręczyły jej specjalnie. Ze zdziwieniem stwierdził, że budzi to jego podziw. Niemal wszystkie kobiety, które znał do tej pory, uważały małżeństwo za najważniejszy cel życia.

Skręcili w szeroką aleję ze sklepami. Czwórka dziewcząt szła razem, a Ian podążał ich śladem. Zauważył, że damy, które mijali, były nadspodziewanie dobrze ubrane, biorąc pod uwagę przerażającą suknię Zuzanny i prowincjonalność miasteczka. Niektóre niosły kosze z zakupami. Inne spacerowały trzymając pod rękę swych towarzyszy. Niemal wszyscy kłaniali się Zuzannie i jej siostrze. Na twarzach malowała się ciekawość, gdy zauważali brudnego, okrytego łachmanami Iana, podążającego za paniami. Gdyby czuł się trochę lepiej, warknąłby w stronę tych najbardziej ciekawskich, tylko po to, by widzieć jak otwierają szeroko oczy ze strachu. Ale był coraz bardziej oziębiały i cały wysiłek wkładał, by utrzymać się na nogach.

- Jesteśmy.

Zuzanna zatrzymała się przed zakurczonym wozem. Na koźle siedział mężczyzna z głową opartą na dłoniach, istny obraz cierpienia.

- Panna Zuzanna - powiedział chrapliwie, podnosząc głowę. Ruch musiał mu sprawić ból, gdyż opuścił czoło w kołyskę dłoni.

- Musimy poważnie porozmawiać, Craddock, ale zaczekam na bardziej odpowiednią chwilę. Będę wdzięczna, jeśli przejdziesz na tył.

- Nie chciałem... - zaczął szłośnie mężczyzna, ale Zuzanna przerwała mu.

- Natychmiast, Craddock. Głos miała zimny choć nadal bardzo uprzejmy. Craddock umilkł.

Niezgrabnie, jakby był osiemdziesięcioletnim starcem i na dodatek kaleką, zsunął się koźla i

przeciogał na tył wozu. Wywieszając nogi na zewnàtrz, usiadł oparty o beczkã.

- Ty teŹ siadaj z tyłu, Connelly. - Zuzanna zwróciła siã do niego.

W jej wzroku nie było ani krzty kobiecej nieŹmiałości, nic Źwiadczàcego, Źe postrzega siebie jako kobietã, a jedynie bezpoŹrednioŹc, jakiej mógłby oczekiwaã od innego męŹczyzny.

Groźna kobieta z tej panny Zuzanny Redmon pomyŹlał Ian i zrobił krok, by wykonaã polecenie. Lecz ten ruch okazał siã pomyłkà. Zakrãciło mu siã w głowie i miał wraŹenie, Źe nagle zakołysała siã ziemia.

- Connelly, dobrze siã czujesz?

Ian zatoczył siã. Zuzanna złapała go za rãkã. Przyglàdała mu siã za niepokój ona. Ian slyszàł jej głos, czuł zadziwiajàcy chłód palców na nagiej skórze przedramienia, gdzie koñczył siã oddarty rãkaw koszuli. Wokół kobiety unosił siã ŹwieŹy zapach mydła. I... czyŹby cytryny? Wtedy, tak nagle, Źe nie mógł na to poradziã, chodnik zafalował, a kolana ugiãły siã. Poczul, Źe pada, wiãc bezskutecznie próbujàc utrzymaã siã na nogach, chwycił siã tego, co akurat znalazło siã w zasiãgu rãk. Była to panna Zuzanna Redmon. ŹwiadomoŹc, Źe obejmuje jà i ciãgnie za sobà w dół, była jego ostatnià przytomnà myŹlã.

ROZDZIAŁ 5

zatrzymała wóz przed piãtrowym, białym, drewnianym domkiem, który stanowił

rodzinne gniazdo Redmonów. Brownie, domowa suka, podniosła siã z ulubionego miejsca na ganku i zaszczekaçła na powitanie. Była tłuŹtym, brunatnym zwierzakiem. WyróŹniała siã spoŹród innych tym, Źe miała tylko trzy nogi. Lewà tylnà straciła kilka lat temu w zderzeniu z powozem. Zuzanna była wtedy w mieŹcie, widziała wypadek i przywiozła okaleczone zwierzã do domu, by ocaliã przed „miłosiernym” zastrzeleniem. Pielãgnowała sukã, aŹ ta przyszła do zdrowia, a teraz trudno wrãcz było zauwaŹyã, Źe Brownie brakowało jednej koñczyny. Jedynie starcza otyłooŹc krãpowała jej ruchy. WciãŹ jednak potrafiła donoŹnieszczekaçã. Kury na podwórze zagdakały wystraszone przez psa. Z pastwiska koło stodoły ryknął muł, Stary Cobb, witajàc wŹspółmieszkañca stajni, Darcy'ego, który ciãgnął wóz. Darcy zarŹsał w odpowiedzi. Kotka Klara przebudziła siã z drzemki, przeciãgnęła leniwie na porãczy ganku i dołãczyła swój głos do ogólnej wrzawy. Przyzwyczajona do takich powitañ Zuzanna nie zwróciła na to uwagi. Z roztargnieniem nakazała umilknaã psu, co zresztà nie odniosło Źadnego skutku. Ramiã bolało jà w miejscu, którym uderzyła o ziemiã, gdy skazaniec pociãgnął jà za sobà. Lecz ignorowała ból, który z kaŹdym ruchem przeszywał rãkã.

- Craddock, weź go za rãcã. Dziewczãta, pomóŹcie mi przy nogach.

Nie chcesz chyba powiedzieã, Źe mamy go nieŹc? - Mandy wdziãcznie wydeła wargi.

Niestety jej mina nie wywarła na siostrze Źadnego wraŹenia. Zuzanna zawiàzała lejce wokół gałki, w tym wlaŹnie celu umieszczona na wozie, i obrzuciła Mandy poirytowanym wzrokiem.

Wszystkie cztery tłoczyły się na koźle. Przez całą drogę Mandy i Em narzekały, jak im ciasno i jak bardzo chciałyby być już w domu. Teraz Sadna z nich, podobnie jak Sara Jane, nawet nie próbowała zsiąść. Tylko Craddock, krzywiąc się, jakby każdy ruch sprawiał

mu ból, zwłóknął się na ziemię.

- Tak, chcę żebyście mi pomogły. Jak inaczej wniesiemy go do domu? W obecnym, dość marnym stanie, Craddock sam może podnieść najwyżej jajko.

- Przecież nie możesz zabrać tego skazańca do domu! - Sara Jane szeroko otworzyła oczy.

A gdzie mam go zabrać? Do stodoły? Do kwatery Craddocka? A może do kurnika?

Czy raczej możemy mu spać na strychu razem z Benem? Jest chory i potrzebuje opieki.

Oczywiście, że chcę go zabrać do domu, przynajmniej na razie. Żle o tobie świadczy, jako o córce i przyszłej Sonie sługi bożego, że takim tonem mówisz o skazańcach. Zuzanna zeskoczyła na ziemię. Twarde lądowanie wywołało kolejną falę bólu w ramieniu. Jak zwykle miała zbyt wiele na głowie, by przejmować się drobną dolegliwością.

- Masz rację, oczywiście, i nie chciałam, by zabrzmiało to nieszykliwie, ale... ale on jest brudny! Możemy tylko zgadywać do czego się posunie, kiedy wydobrzeje! Wiemy o nim jedynie tyle, że został skazany za próbę morderstwa. Być może narażasz nasze życie!

Oświadczam, że będę się bała spać we własnym łóżku, dopóki ten ska... e, ten człowiek pozostanie w naszym domu! - W głosie Sary Jane brzmiała prawdziwa rozpacz.

Jesteś strachliwa jak krab bez szczypiec. Mnie tam nie przeszkadza, że go przeniesiemy i będzie spał w domu - oznajmiła dzielnie Emilia. Siedziała obok Mandy, która wciąż zajmowała prawy koniec kozia, ale mimo to zeskoczyła na ziemię. Po prostu odepchnęła siostrę z drogi. Na szczęście potraktowana bezceremonialnie Mandy zdołała utrzymać równowagę.

- Ej, ty cielaku, uważaj co robisz!

Mandy uniosła oburącz fałdy eleganckiej spódnicy i spojrzała groźnie na Emilię. Choć z pewnością miałyby ochotę natrzeć siostrze uszu, wołała przyjąć raczej pozę młodej damy niż rozkapryzonego dziecka. Z zakłopotaniem spojrzała na Craddocka. Jej opanowanie w dużej części brało się ze świadomości, że obserwuje ją mężczyzna, choćby nawet tak mało ważny jak Craddock. Zuzanna wiedziała o tym i stłumiła westchnienie.

Emilia była czuła na punkcie swojej tuszy, o czym Mandy wiedziała doskonale, a przy tym na tyle młoda, by nie dbać o zachowanie godności. Poczzerwieniała z oburzenia.

- Jak śmiesz nazywać mnie cielakiem! Sama jesteś jedynie wystrojonym pawiem!

Interesuje cię tylko lustro! Jesteś leniwa, próżna i...

- Emilio! Dość tego! Chyba wyrosłaś już ze spychania siostry z wozu i obrzucania jej wyzwiskami. To samo dotyczy ciebie, Mandy. Pamiętaj, że słowa ranią czasem bardziej niż czyny. - Zuzanna nigdy nie podnosiła głosu, ale zawsze udawało jej się uciszyć dziewczęta. Przez wiele lat spełniania obowiązków matki wyrobiła sobie autorytet.

Patrzyły na siebie gniewnie, ale nie odzywały się więcej. Zuzanna bezgłośnie zmówiła modlitwę do dobrego Boga w niebie, by obdarzył ją cierpliwością. Przeszła na tył wozu i skinęła na siostry. Podeszły, choć Mandy i Em były nadęsane, a Sara Jane wyraźnie pełna wątpliwości. Stały przy wozie i milcząc przyglądały się leżącemu człowiekowi.

Jego nogi, nagie od kolan w dół były owłosione i brudne. Trzewiki zdawały się za małe, a przez wielką dziurę w podeszwie widać było kawałek stopy. Podarte spodnie odsłaniały nieprzyzwoite fragmenty męskiego ciała każdemu, kto chciałby się przyjrzeć.

Zuzanna oczywiście nie chciała. Koszula była po prostu szarą szmatą i tylko złocista kamizelka, u której cudem zachował się guzik, osłaniała nagą pierś mężczyzny. Świadoma, że jej młode, niewinne siostry wpatrują się w odkrytą część bardzo muskularnej, owłosionej piersi skazańca, Zuzanna poczuła kolejny przypływ zwątpienia. Oto następna komplikacja, której nie wzięła pod uwagę. Jaki efekt wywrze na dziewczętach obecność w domu tak samczego i zapewne całkowicie amoralnego człowieka?

Sara Jane miała chyba rację, przyznała załamana. Nie powinna była dopuścić, by gniew na Hiram Greera i współczucie wobec skazańca popchnęły ją do zakupu. Mogły z tego wyniknąć najrozmaitsze problemy, a tych doprawdy miała aż nadto. Ale co się stało, to się nie odstanie. Musi ograniczyć kontakty tego mężczyzny z Mandy i Em, które z racji swej młodości były najbardziej podatne na złe wpływy.

A jeśli on okaże się niemoralnym amatorem młodych dziewcząt? Na samą myśl o tym Zuzanna poczuła mdlący lęk. Potem przypomniała sobie o solidnej, żelaznej patelni, która wisiała na haku w kuchni, i odzyskała pewność siebie. Jeśli zajdzie potrzeba, solidnie przyłoży temu hultajowi, a potem sprzeda Hiramowi Greerowi, by ten go przykładnie ukarał.

- Craddock, stań za jego głową i chwyć pod ramiona. Mandy, ty i Em weźcie jego lewą nogę.

Sara Jane, pomóż mi przy prawej.

- Tak, proszę pani. - Craddock wdrapał się na wóz. Siostry, choć niechętnie, również

wypełniły polecenie.

Zuzanno, on śmierdzi - zauważyła Em, marszcząc nos. Zuzanna odkryła to już

godzinę temu, gdy próbowała wydostać się spod nieprzytomnego mężczyzny. Była jednak przyzwyczajona do opieki nad obłożnie chorymi. Od kiedy jako głowa domu pastora z ochotą przejęła obowiązki matki, należało to do jej zadań. Ale nawet ona zawahała się przez moment zanim objęła szorstką od włosów i brudną nogę skazańca. Nie mogła mieć pretensji do sióstr, które zawsze

chroniła przed wstydlivymi czynnościami, jakie łączyły się z pielęgnacją człowieka.

- Owszem, śmierdzi - oświadczyła Mandy, puszczając kostkę skazańca i odstępując o krok.

Tak jak i ty, gdybyś nie kąpała się przez parę miesięcy - stwierdziła Zuzanna. Zanim zdążyła rozwinąć ten temat, Mandy spojrzała ponad jej ramieniem i wykrzyknęła z wyrazem ulgi.

- Wrócił Ben, dzięki Bogu! Zuzanna puściła nogę i obejrzała się na ich drugiego parobka.

Przepraszam za dzisiejszy ranek, panno Zuzanno. - Ben z zawstydzieniem spuścił

głowę. Wysoki i chudy, z czupryną kasztanowych włosów i rojem piegów na twarzy, Ben był

całkiem miłym chłopcem. Zuzanna lubiła go, gdyż na ogół był bardzo grzeczny. Ale odkąd niedawno zadurzył się w Marii O'Brien, najmłodszej z licznych córek biednego farmera, stał

się właściwie bezużyteczny. Zaciśnęła zęby, by powstrzymać wymówki. Wiedziała, że lepiej będzie, gdy skarci chłopca na osobności. Skinęła ręką w stronę skazańca.

- Porozmawiamy później. Na razie pomóż Craddockowi wnieść tego człowieka do domu.

Dziewczęta z wyraźną ulgą odstąpiły od wozu. Ben szeroko otworzył oczy, gdy odsłoniły mu nieprzytomnego mężczyznę.

- Kto to jest? - spytał.

To nasz nowy parobek, skazaniec - wyjaśniła Emilia. Ona i Ben byli niemal w tym samym wieku. Zuzanna przypuszczała, że Em uważała Bena za całkiem atrakcyjnego, lecz chłopak traktował ją z takim samym szacunkiem, jak wszystkich członków rodziny Redmon.

Zuzanna nie miała więc zamiaru wywoływać kłopotów, ostrzegając czy to Em czy Bena, by się trzymali od siebie z daleka. W ten sposób mogłaby posiać ziarno, być może na zbyt szynym gruncie.

- Skazaniec? - Ben gwizdnął i spojrzał zaskoczony na Zuzannę. Wyraz jej twarzy musiał być niewzruszony, gdyż chłopiec zaciśnął wargi i bez słowa stanął przy nogach mężczyzny.

- Podnoś, kiedy powiem. - Craddock przejął kierowanie operacją) gdy tylko zauważył, że pomocnikiem ma być Ben. Zuzanna wiedziała, że dokuczał mu, gdy tylko sądził, że nikt tego nie widzi.

Obaj unieśli nieprzytomnego.

- O kurcze blade, ale on cięski!

Przez ostatni rok służył, gdy surowo zakazano mu przekleństw, Ben zastąpił wulgarne słowa całą gamą barwnych wyrażen.

- A przecież z wyglądu to sama skóra i kości - zdumiał się Craddock, gdy próbował

tyłem wejść na dwa szare kamienie, słuŝące za schody ganku, nie upuszczając równocześnie cięŝaru.

Głowa skazańca opierała się o chudą pierś Craddocka. Zuzanna stwierdziła, ŝe swój dziki wygląd zawdzięczał głównie zmierzwionej, czarnej brodzie i rozczochranym, długim włosom. Poczwała lekki przyptyw otuchy. Ukośny promień słońca dotknął kosmyka brudnych włosów, który opadł na czoło nieprzytomnego. Spozrzęła, ŝe pod zlepiającym je brudem nie są po prostu ciemne, lecz wręcz kruczoczarne. Nie miała juŝ okazji do dalszych obserwacji, gdyŝ wyprzedzając całą trójkę pobięła otworzyć drzwi.

- Gdzie go połoŝyć, panno Zuzanno?

W salonie. Ruszyła pierwsza, po drodze rozwiązując wstąŝkę kapelusza. U dołu schodów, w ścianie, tkwił cały rząd kołków. Mijając je powiesiła na jednym z nich kapelusz, a potem przyglądała dłońmi włosy gestem tak dla niej odruchowym jak oddychanie.

Szerokie łóŝko stało przy ścianie naprzeciwko kominka, nad którym wisiały portrety babci i dziadka. Były duŝe i ciemne; sprawiałyby ponure wrażenie, gdyby Zuzanna nie wspominała obojga tak ciepło. Umarli krótko przed jej matką a swą córką, która powiesiła portrety na honorowym miejscu w pokoju zarezerwowanym dla waŝnych gości. Dwa fotele na biegunach obok kominka, drewniana kozetka i dwie eleganckie, orzechowe biblioteczki pełne ksiąŝek, dopełniały umeblowania pokoju.

Zuzanna podbiegła do ŝelaznego łóŝka i odrzuciła na bok wzorzystą narzutę, którą dwa lata temu uszyła sama, poświęcając na to wiele zimowych wieczorów. Zgodnie z jej wskazówkami Craddock i Ben ułoŝyli skazańca.

Na tle śnieŝnobiałej pościeli wydawał się jeszcze brudniejszy.

- Trzeba go umyć i ubrać w jakieś czyste rzeczy - uznała. - Pomoŝesz mi Ben.

Craddock, ty przenieś zakupy, a wy dziewczęta poukładajcie wszystko i zaczniście szykować kolację. Papa pewnie niedługo wróci.

- Kiedy tu przyszedłem, wychodził właśnie z Johnem Naisbittem - oznajmił Ben. -

Kazał powiedzieć, ŝe pani Cooper wzięła i umarła.

- Ojej! Zuzanna spędziła większą część poprzedniej nocy u łóŝa pani Cooper.

Wiedziała, ŝe staruszce nie zostało wiele ŝycia, ale nie przypuszczała, ŝe umrze tak szybko. Jak tylko załatwi domowe sprawy, pójdzie pocieszyć rodzinę, pomóc w ubraniu i ułoŝeniu ciała. Trzeba Leŝ pomyśleć o pogrzebie - Zuzanna grała na kościelnym klawikordzie, który wielkim kosztem sprowadzono z Anglii - i o przygotowaniu najlepszego surdutu, który ojciec włoŝy na naboŝeństwo.

Musi go wyczyścić i wyprasować.

Ale najpierw należało się zająć skazańcem.

- Rozbierz go Ben - poleciła, wypychając z salonu patrzące na wszystko rozszerzonymi oczami siostry. - Sara Jane, przygotuj mi trochę chleba i melasy. Wezmę je, kiedy pojedę wieczorem do Cooperów. Z pewnością są zbyt przygnębieni, by myśleć o jedzeniu. Mandy, ty i Em szykujcie kolację. Kurczak jest już wypatroszony i gotowy do garnka. Przygotujcie kluski i jarzyny; teś trochę zabiorę. I zostawcie wywar z kurczaka, zrobimy bulion. Przyda się dla niego. -Skinęła głową w stronę salonu, nie pozostawiając siostronom cienia wątpliwości o kim mówi.

Wydawało mi się, że mieliśmy kupić skazańca, żeby mieć mniej pracy, a nie więcej -

mruknęła Mandy, kiedy dziewczęta zniknęły w kuchni. Craddock wszedł przez frontowe drzwi z rękami pełnymi paczek. Zuzanna, roztropnie ignorując Mandy, która miała trochę racji, przeszła wąskimi schodami prowadzącymi z bawialni - dużego pokoju, gdzie cała rodzina spędzała większość czasu - na piętro. Na górze znajdowały się cztery sypialnie. Wielebny Redmon zajmował największą, położoną bezpośrednio nad salonem. Druga co do wielkości należała do Amandy i Emilii. Sara Jane i Zuzanna miały swoje małe pokoiki na tyłach domu.

Pokój Zuzanny znajdował się nad werandą, a okna wychodziły na rodzinny cmentarz, gdzie pochowano matkę i dziadków, pomiędzy czterema grobami małych braci, którzy zmarli w wieku niemowlęcym.

Zuzanna odmawiała wieczorną modlitwę, klęcząc przed długim, wąskim oknem zamiast obok łóżka, jak ją uczono. Czasem twarze matki i dziadków mieszały się jej z obrazem Boga i zupełnie zapomniała z kim rozmawia. To dodawało jej sił.

W pokoju ojca jak zwykle panował bałagan. Wszędzie leżały jakieś papiery i książki oraz ubranie, które zmienił przed wyjściem do Cooperów. Gdyby sama nie sprzątała, nie uwierzyłaby, że jeszcze rano panował tu idealny porządek. Gdy szła w stronę wysokiej komody, świerbiły ją palce, by przywrócić przynajmniej pozory ładu. Oparła się temu.

Czekało ją zbyt wiele bardziej pilnych obowiązków.

Wspominając słowa Mandy, Zuzanna stłumiła westchnienie. Omdlenie skazańca sprawiło, że stał się jeszcze jednym ciężarem. Kolejnym kłopotem raczej niż rozwiązaniem problemów, co było powodem zakupu.

Zeszłej nocy dotarła do łóżka tuż przed świtem. Dzisiaj będzie miała szczęście, jeśli w ogóle się położy.

Padła ze zmęczenia, ale nic nie mogła na to poradzić. Jakoś wytrzyma. Zrobi wszystko, co powinna. Jak zwykle.

Pan nigdy nie zsyła większego ciężaru niż może unieść człowiek. Ten ustęp z Pisma Świętego od lat dodawał jej otuchy.

Na samo przypomnienie tych słów od razu poczuła się lepiej. Wyjęta z komody lnianą nocną koszulę,

odwróciła się i ruszyła schodami w dół.

Apetyczny zapach gotującej się kolacji drażnił jej nozdrza. Z kuchni słyszała niegroźne przekomarzania sióstr. Kłóciły się o wszystko: począwszy od ilości jarzyn do kurczaka, a potem po kolor włosów kawalera, z którym Mandy flirtowała w mieście. Zuzanna wzniosła oczy do nieba i ruszyła w wir bitwy, by wynieść dzban ciepłej wody, misę, mydło i ręcznik. Trudną sztuką było nie dać się wciągnąć w te rodzinne dyskusje, a kluczem do niej selektywna głuchota. Stanowczo odrzuciła ofertę pomocy złożoną przez Mandy. Wiedziała doskonale, że opiekę nad skazańcem siostra uważa za mniej męczącą od prac kuchennych. W

końcu udało jej się dotrzeć do salonu.

Ben uniósł głowę. - Proszę popatrzeć, panno Zuzanno.

Skazaniec - Connelly, skoro ma być domownikiem, musi pamiętać, by myśleć o nim

„Connelly” - leżał na brzuchu. Był nagi, a przynajmniej uznała, że jest nagi, bo Ben podciągnął kōłdrę aż do piersi. Pierwszą jej myślą było, że ma plecy ciemniejsze niż

sugerowałyby to jego cera. Podeszła bliżej i zobaczyła, że odcień ten był efektem ostrych szram i zaschniętej krwi. Wstrzymała oddech.

- Chyba go bili. I to mocno.

Nie odpowiadając, Zuzanna odłożyła rzeczy na mały stolik obok łóżka.

Zapaliła dwie świece, by wieczny półmrok salonu nie utrudniał diagnozy.

Wreszcie, gdy ciepły, słoty blask rozjaśnił pokój, raz jeszcze spojrzała na plecy Connelly'ego.

Jak zauważył Ben, ten człowiek był często i mocno chłostany.

Dziesiątki ran krzyżowały się na jego skórze. Jedne częściowo zagojone, z innych sączyła się ropa, jeszcze inne były najwyraźniej świeże. Zapach obrzmiałej skóry przypominał Zuzannie nadpsute mięso. Pielęgnowała wielu rannych i chorych, ale nic nigdy nie poruszyło jej tak bardzo, jak widok pleców nowo nabytego sługi.

- Przynies moją torbę z lekami - rzuciła szybko.

Już idę, psze pani. Ben tylko raz spojrzał na jej twarz i wybiegł tak ochoczo, jakby popędzała go batem.

Zuzanna uśmiechnęła się kwaśno. Jeszcze nigdy nie widziała, by ten chłopak poruszał się równie szybko.

Stała przy stoliku, umyła ręce i zwilżyła ręcznik. Z mydłem w dłoni usiadła na brzegu łóżka.

Pierwsza rzecz to szybko go umyć.

ROZDZIAŁ 6

Ostatnią osobą, którą myła w łóŜku, była pani Cooper. Jednak toaleta Connelly'ego okazała się czymś zupełnie innym.

Nie w tym rzecz, Ŝe nigdy nie myła męŜczyzny. W ramach pielęgnarskich obowiązków zdarzyło jej się to juŜ kilkakrotnie. Ale gdy starannie namydliła lewą rękę Connelly'ego, opłukała i wytarła, przyszło jej do głowy, Ŝe kaŜdy męŜczyzna, którym się do tej pory zajmowała, był starcem i jeśli nie leŜał juŜ na łóŜu śmierci, to niewiele mu brakowało. Nigdy nie dokonywała ablucji męŜczyzny najwyŜej o dziesięć lat od niej starszego. PrzeŜycie okazało się prawie niepokojące.

Ale nie mogła pozwolić sobie na takie uczucia. To po prostu śmieszne. Potrzebował opieki, a ona powinna mu ją zapewnić. MoŜe to brak snu powodował u niej wzmoŜoną pobudliwość.

Miał piękne dłonie, zauwaŜyła, namydlając długie silne palce. Paznokcie były połamane i brudne, ale palce proste z elegancko zaokrąglonymi czubkami. Grzbiety szerokich dłoni pokrywał delikatny ślad czarnych włosów.

Gdy umyła mu ręce, ponownie namoczyła i namydliła ręcznik. Jakoś nie mogła się zmusić, by dotknąć jego ciała gołymi dłońmi, choć przecieŜ był to tylko obowiązek dobrej samarytanki. Jakaś niewielka część umysłu, którą uparcie ignorowała, mówiła jej aŜ nadto wyraźnie, Ŝe to ciało naleŜy do męŜczyzny. Maleńki płomyk kobiecej świadomości był

czymś, czego nigdy dotąd nie doświadczyła. Zastanowiła się nad sobą. JuŜ dawno przekroczyła wiek odpowiedni dla takich głupstw. Zresztą i tak nigdy nie były jej w głowie.

Ręce miał długie, o twardych mięśniach, a przedramiona porośnięte ciemnymi włosami. Ramiona o gładkiej skórze były tak szerokie, Ŝe zajmowały połowę łóŜka. Wszystko to docierało do niej, nic nie mogła na to poradzić. Skazaniec intrygował ją; to było denerwujące uczucie, lecz w Ŝaden sposób nie umiała powstrzymać się od patrzenia.

Obmywając plecy, niemal wbrew woli zachwyciła się potężnym torsem, od szerokich ramion aŜ do interesującego wgłębienia, gdzie kołdra szczęśliwie przesłaniała dalszy widok. Choć wychudzony, był wspaniale zbudowany. Kiedy wydobrzeje, będzie bardzo silny, pomyślała.

Dlatego właśnie go kupiła. Dla jego siły. Na farmie trzeba było orać, siać, zbierać, naprawiać ogrodzenia, reperować dach stodoły, wykopać nową sadzawkę i wykonać jeszcze dziesiątki innych prac, których w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć. Connelly musi podołać tym i innym obowiązkom. Jeśli myślała o jego sile, to tylko z takich powodów. Na pewno z Ŝadnych innych.

- Pani torba, panno Zuzanno.

Zupełnie zapomniała o Benie. Obejrzała się zaskoczona i zirytowana poczuła, Ŝe jej policzki stają

się gorętsze. To śmieszne, powiedziała sobie surowo. Nic nie zrobiła ani nie pomyślała o niczym, co by mogłoby wzbudzić najmniejsze poczucie winy.

A mimo to czuła się winna.

- Postaw tutaj, na podłodze.

Jeśli powiedziała to szorstko, to tylko z powodu zmęczenia. Ben wykonał polecenie.

Uśmiechnęła się, by złagodzić surowość tonu. Co się z nią dzisiaj dzieje?

- Czy mogę zrobić coś jeszcze dla pani, panno Zuzanno?

Nieśmiałość Bena nie pomagała. Mówił tak, jakby jej się bał. Czy naprawdę jest takim potworem? MoŜe i tak. Prawie kaŜdy wydawał się od czasu do czasu wystraszony w jej obecności. Ale ktoś przecieŜ musi utrzymywać wszystko w ryzach i choć się o to nie prosiła, to zadanie spadło na nią. Nie Ŝałowała minionych lat, ale przyjemnie jest być młodą i tak pełną nadziei jak jej siostry. Zuzanna miała czasami wraŜenie, Ŝe nigdy nie była młoda.

- Będzie mi potrzebne duŜe wiadro ciepłej wody, parę ręczników, kawałek mydła i noŜyczki. Przynieś mi to, dobrze? - Uśmiechnęła się znowu i tym razem Ben odpowiedział jej uśmiechem.

Zuzanna poczuła się trochę raźniej. MoŜe jednak nie była aŜ tak okropna.

MoŜe ta wyjątkowo ponura wizja Ŝwiata jest tylko efektem przemęczenia.

- Tak, psze pani.

Ben wyszedł, a Zuzanna wróciła do pracy. Zanim opatrzy i zabandaŜuje rany Connelly'ego, musi je przemyć, najlepiej jak potrafi w takich warunkach. Zuzanna przekonała się juŜ niejednokrotnie, Ŝe czystość jest niezwykle istotna dla odzyskania zdrowia.

Ręce, nie poranione części pleców, ramiona i szyja były juŜ czyste. Zuzanna przeszła do stóp łóŜka i podwinęła kołdrę, odsłaniając nogi aŜ do kolan. Zaczęła myć stopy.

Podobnie jak dłonie, były długie, silne i ładnie zbudowane. U podstawy wielkiego palca dostrzegła duŜy, twardy, zrogowaciały odcisk. Przypomniła sobie dziurę w bucie. Nie moŜe juŜ nosić tych trzewików. Zanotowała w pamięci, by Ben odniósł je do szewca w miasteczku. PosłuŜą za wzór dla uszycia solidnych, roboczych butów, naturalnie o dwa numery większych.

- Pomóc ci, Zuzanno?

W drzwiach stała Mandy. Zaciekawiona spoglądała na najstarszą siostrę, przesuwaną namydlonym ręcznikiem po łydkach skazańca. Jej oczy rozszerzyły się na widok męskiej nagości. Zuzanna zmarszczyła brwi i odruchowo stała między Mandy a łóŜkiem. Zanim zdąŜyła odesłać siostrę, wrócił Ben. W jednej ręce taszczył parujące wiadro, w drugiej ścisnął pozostałe rzeczy. Mandy musiała wejść do salonu, by go przepuścić.

Chłopiec odwrócił uwagę Zuzanny i siostra wolno podeszła do łóżka. Zuzanna dostrzegła to dopiero wtedy, gdy stanęła obok, wpatrzona w leżącego mężczyznę.

- Ben pomoże mi tutaj we wszystkim, dziękuję ci bardzo. A skoro masz tak dużo energii, możesz iść na górę i posprzątać w pokoju papy.

- Ale Zuzanno...

- Idź, Mandy. Kiedy skończysz, wracaj do kuchni pomóc Sarze Jane i Em. Nic tu po tobie.

- Ale co się stało z jego plecami?

Nie twoje zmartwienie. Zuzanna instynktownie czuła, że Connelly nie byłby zachwycony, gdyby cały świat dowiedział się o jego cierpieniach. Zauważyła już, że jest dumnym człowiekiem, który nie godzi się z publicznym poniżeniem. Nie wiedziała tylko, dlaczego poczuła się w obowiązku oszczędzić mu zakłopotania. Ale zupełnie odruchowo broniła każdej sponiewieranej przez los stworzenie.

- Wyglądają potwornie!

Amando, wyjdź stąd. Już! Dziewczyna wyduła wargi, obrzucając siostrę i Bena niechętnym spojrzeniem.

- No dobrze - powiedziała opuszczając pokój.

Zuzanna odetchnęła. Mandy zachowywała się czasem jak rozpieszczona mała dziewczynka i nadal potrafiła wpaść w złość, by wymóc spełnienie jakiejś zachcianki. Tym razem tylko obecność Bena skłoniła ją do powściągliwości. Może jednak skłonność, by robić wrażenie na mężczyznach, miała swoje zalety. Z tą myślą Zuzanna chwyciła nożyczki i zaczęła przycinać paznokcie Connelly'ego.

- Ben, przeciągniemy go teraz tak, żeby głowa zwisała z łóżka. Nie mogę mu zostawić brudnych włosów.

Tak, pszepani. We dwójkę zdołali ułożyć Connelly'ego we właściwej pozycji.

Poruszył się lekko i jęknął, ale zaraz zapadł z powrotem w coś, co -Zuzanna miała przynajmniej taką nadzieję - było tylko głębokim snem. Rozpalona skóra świadczyła o gorączce, nie na tyle jednak wysokiej, by się zbytnio nią przejmować. Nowy parobek z pewnością wkrótce wróci do zdrowia i znacznie pomogą na farmie, a ona może przestanie się obawiać, że kupując go popełniła straszliwy błąd.

- Przytrzymam mu głowę, a ty polej go połową wody z wiadra.

Reszta przyda się do płukania.

Zuzanna przysunęła krzesło i usiadła, oburącz trzymając głowę Connelly'ego.

Była zaskakująco cięska. Próbowwała stłumić odrazę wywołaną dotknięciem tłustych, lepkich włosów.

- Tak, pszepani. Ben zrobił co mu kazała.

Co do diabła?! Zapewne spływająca na włosy woda gwałtownie rozbudziła męszczyznę. Zuzanna siedziała jak zdrętwiała na krześle, gdy on oparłszy dłonie o materac wyrwał głowę z jej rąk. Opanowała się szybko, ale ten nagły powrót męszczyzny do życia wywołał przyspieszone bicie serca. Patrzyła z obawą jak odwraca się i siada. Strumyki wody ściekały mu po twarzy i szyi na pierś. Oślepiiony mokrą zasłoną przylepionych do twarzy włosów, potrząsnął głową, chlapiąc niczym mokry pies. Rzucił przy tym przekleństwo tak wulgarnie, że nawet Ben z wiadrem w dłoniach przełknął ślinę i spojrzał nerwowo na Zuzannę. Connelly odrzucił do tyłu włosy. W Zuzannę uderzyło spojrzenie płonących, szarych oczu.

- Nic się nie stało. Chcieliśmy tylko umyć ci głowę - powiedziała.

Serce nadal biło jej mocno, lecz starała się mówić uspokajającym tonem.

Kolor jego oczu, na który wcześniej nie zwróciła uwagi, był dla niej niespodzianką.

Przy czarnych włosach i smagłej cerze spodziewała się, że będą brązowe. Ale okazały się szare jak sztormowe morze: zachmurzone, wzburzone i zmienne. Teraz spoglądały, jakby ich właściciel zamierzał rzucić się na nią i rozerwać na strzępy.

- Do diabła z tym - burknął chrapliwie.

Zuzanna pomyślała, że może nie zdaje sobie sprawy kim ona jest, ani w jakich okolicznościach tu trafił. Z pewnością nie ma pojęcia jak znalazł się w tym pokoju i w tym łóżku. Ta myśl dodała jej odwagi. Musi tylko uświadomić mu co zaszło i ten groźny wyraz zniknie z jego twarzy. Najważniejsza jest łagodność, żeby go nie przestraszyć. Potraktuje go jak każde ranne, warczące zwierzę.

- Pamiętasz mnie i aukcję dziś rano? Jestem Zuzanna Redmon i ja...

śadna cholerna baba nie będzie myć mi włosów. - Głos miał zgrzytliwy, przepelniony nienawiścią i mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem. Spojrzał na nią groźnie, a policzki zabarwił mu rumieniec gniewu. Ramiona miał przytłaczająco szerokie, a mięśnie napięte, jakby szykował się do walki. Zaciśnął pięści i siedział sztywno, choć domyślała się, że kosztuje go to wiele wysiłku. Na szczęście kołdra oplatała go, kryjąc intymne części ciała.

Powyżej i poniżej tej osłony był nagi jak nowo narodzone dziecko.

Zuzanna starała się nie patrzeć, ale naga, męska pierś przyciągała jej wzrok: szeroka, z klinem gęstych, czarnych włosów, zwężającym się do wąskiej linii, mijającej pępek, by zniknąć pod kołdrą. Świadoma czerwieniejących policzków i modląc się, by ich nie zauważył, Zuzanna uniosła wzrok.

I niemal natychmiast tego poślaowała.

Z mokrymi czarnymi włosami, które odrzucił do tyłu i czarną brodą, zasłaniającą dolną część twarzy, wyglądał na dzikusa. A przecież próbowała uwierzyć, że nim nie był.

Gdyby sobie na to pozwoliła, teraz poczułaby lekkie drżenie lęku. W końcu co o nim wiedziała? Tak jak mówiła Sara Jane, był skazany za usiłowanie morderstwa, a potem z jakichś nieznanych powodów bezlitośnie chłostany. Śąden z tych faktów nie dodawał jej odwagi. Ale jak sobie posłała, tak się wyśpi.

- Więc sam umyj sobie głowę - powiedziała, podając mu kostkę mydła.

Mimo miotających ją uczuć, głos miała chłodny i spokojny. Przy spotkaniu z potencjalnie niebezpiecznym stworzeniem najważniejsze jest, by nie okazywać nawet cienia lęku. A coś jej mówiło, że nowo nabyty parobek jest stworzeniem bardzo niebezpiecznym.

ROZDZIAŁ 7

Connelly spoglądał czujnie to na mydło, to na Zuzannę. Potem, ku jej zdumieniu, namydlił ręce i wtarł pianę we włosy. Powtarzał tę czynność, aż białe bąbelki niemal całkowicie pokryły czarne kosmyki. Umył także twarz. Przypatrywał się Zuzannie, rzucając od czasu do czasu spojrzenie w stronę Bena. Oczy miał zimne, zmrużone i pociemniałe od podejrzliwości. Zuzannie wydał się znowu zapędzonym w ślepy zaułek zwierzęciem.

- Masz wodę w tym wiadrze? - Szorstkie pytanie skierowane było do Bena.

Chłopiec zamrugał.

- T...tak, psze pana. Dawaj ją tutaj.

Ben spojrzał szybko na Zuzannę, by upewnić się co do jej zgody - niema i niedostrzegalnie skinęła głową - i stanął z wiadrem obok łóżka. Postaw na podłodze. Hen wykonał polecenie i cofnął się. Connelly spojrzał groźnie na niego i na Zuzannę. Zanim zdała sobie sprawę z tego co zamierza, chwycił brzeg materaca i wysunął tors poza łóżko. Wsunął

głowę do wiadra i nie wynurzał się przez prawie minutę. Potem podniósł głowę i znów się otrząsnął, chlapiąc wodą dookoła. Ponownie spojrzał na nich, a upewniwszy się, że nie planują śadnych niebezpiecznych pominięć, pochylił się i wycisnął włosy nad wiadrem.

- Może chciałbyś ręcznik? - Zuzanna wyciągnęła rękę.

Ta uprzejmość wydała jej się niemal śmieszna, ale usiłowała wydać się wcieleniem spokoju. Spojrzał na nią nieufnie, wziął ręcznik i energicznie wytarł głowę i twarz.

- Ben, przynieś suchą kołdrę. I jeszcze talerz bulionu oraz kubek wody z kuchni -

poleciała spokojnie.

- Tak, pszepani.

- I jeszcze coś, Ben... nie mów moim siostram, że on się obudził. Gdyby pytały, powiedz, że bulion jest dla ciebie.

Tak, pszepani. Ben wybiegł z pokoju. Pozostała sama ze skazańcem i poczuła się bardziej niż trochę zdenerwowana. Aby to ukryć, pochyliła się nad torbą z lekarstwami i wyjęła z niej pękaty słoik, buteleczkę i zwój bandaża.

- Co to jest? - Zerknął na nią z wyraźną podejrzliwością, rzucając mokry ręcznik na podłogę.

Zauważyła, że starał się nie opierać pleców o śnieżne pręty łóżka. Widocznie rany sprawiały ból.

- Przede wszystkim maść na twoje plecy.

Co do diabła możesz wiedzieć o moich plecach? Zuzanna westchnęła. Traktowanie go uprzejmie i łagodnie to jedna sprawa, ale pozwalanie, by demonstrował, że potrafi odzywać się wulgarnie, to coś zupełnie innego. Nadeszła pora, żeby delikatnie dać mu do zrozumienia, kto tu rządzi.

- Dla kogoś, kto spojrzy na twoje plecy, jest oczywiste, że byłeś wielokrotnie chłostany. Rany są zaropiałe i miałeś duże szczęście, że nie doszło do zakażenia krwi. Ta maść usunie infekcję, złagodzi ból i przyspieszy gojenie. Połóż się na brzuchu, to ją rozsmaruję. I proszę cię uprzejmie, żebyś panował nad językiem. W tym domu się nie przeklina.

- Doprawdy?

Doprawdy. Czy mógłbyś się położyć? Mam dziś wieczór coś więcej do roboty niż

zajmowanie się tobą. Przyjrzał się uważnie medykamentom w jej dłoni, przez chwilę zdawał

się rozważać całą sprawę, po czym spełnił polecenie. Zuzanna zauważyła, że kładąc się na brzuchu, pilnował, by wilgotna kołdra nie zsunęła się z bioder. Przynajmniej nie należał do tych, których podnieca obnażanie przy kobietach intymnych części ciała.

Otworzyła słoik, nabrała białej maści i pochylona nad łóżkiem zaczęła obficie smarować poranione plecy Connelly'ego.

- Co to za paskudztwo, do diabła? Pali jak cholera! - Zesztywniał pod jej dłonią, gdy lekarstwo zaczęło działać.

Zuzanna na wszelki wypadek dołożyła jeszcze lekarstwa na wyjątkowo poranione miejsca.

- Może to cię nauczy, że mówię poważnie: w tym domu język, którego używasz, jest zakazany.

Kim ty jesteś, zakonnicą, czy co? - Sądząc po intonacji, wyrzucił te słowa przez zaciśnięte zęby. Zuzanna milczała przez chwilę. Zamknęła słoik i odłożyła do torby. Wzięła do ręki zwój bandaża.

- Czy mógłbyś usiąść?

Obejrzał się przez ramię, wciąż krzywiąc się - maść najwyraźniej działała - ale nie protestował.

- Możesz podnieść ręce?

Usłuchał bez słowa. Zuzanna zaczęła owijać jego plecy i pierś. Przyglądał jej się bez przerwy, więc nie było to łatwe zadanie. Zbyt mocno uświadamiała sobie odmienność ich płci. Miał twarde, męskie sutki, tak niepodobne do jej własnych. Włosy na piersi były gęste, czarne, kędzierzawe i wydawały się miękkie w dotyku. Gdy zdała sobie z tego sprawę, niemal upuściła bandaś. Podtrzymała go niezgrabnym ruchem, który sprawił, że poczuła się niezdarą.

Nie mogąc się powstrzymać spojrzała na Connelly'ego. Policzki miała czerwone i bała się, że on odgadnie powód rumieńca. Z niepokojem zauważyła, że patrzy na nią drwiąco.

- No, no. Widzę, że jednak nie jesteś zakonnica - stwierdził kpiąco.

Krew zawrzała w niej ze wstydu, a zaraz za wstydem pojawił się gniew.

Zuzanna zacisnęła zęby.

- Pora, byśmy sobie coś wreszcie wyjaśnili. Ja tu jestem panią, a ty moim sługą.

Możesz liczyć na dobre traktowanie, ale masz odzywać się do mnie i do mojej rodziny z szacunkiem i przestrzegać reguł obowiązujących w tym domu. Mam nadzieję, że wyrażam się dość jasno? Skończyła opatrunek i zawiązała końce bandaśa w węzeł na boku.

- A co takiego zrobisz, jeśli nie zechcę okazywać szacunku, ani przestrzegać waszych zasad? To była jednocześnie kpina i wyzwanie.

- Wprawdzie porzucenie obowiązku, który na siebie przyjąłem sprawi mi przykrość, ale będę zmuszona sprzedać cię komuś innemu. Jestem pewna, że na przykład pan Greer chętnie cię weźmie.

Grozisz mi? Jeśli w jego głosie na nowo pojawił się gniew, to nie miał kiedy rozpaść się na dobre. Bowiem w tej właśnie chwili wszedł Ben, niosąc ostrożnie tacę, na której ustawił parujący talerz i blaszany kubek. Przez ramię przewiesił przyniesioną z piętra kołdrę.

- Gdzie mam to postawić, panno Zuzanno?

Zuzanna wskazała ręką, a Ben położył tacę na stoliku za nią. Odwrócona do Connelly'ego plecami, by nie widział co robi, szybko odkręciła butelkę i kapnęła do bulionu nieco brunatnego płynu.

- Jeśli to jedzenie, daj je tutaj - powiedział Connelly.

Ben zerknął na Zuzannę. Wzięła leżącą przy talerzu łyżkę, szybko zamieszała bulion i skinęła głową. Ben położył tacę na kolanach mężczyzny.

Dobre maniery, jeśli Connelly kiedykolwiek je posiadał, przegrały bitwę z głodem.

Łyżkę rzucił na tacę i podniósł talerz do ust. Zuzanna i Ben przyglądali się zdumieni, jak wlewa bulion do gardła tak łąpczywie, że w ciągu minuty talerz był pusty.

- Jest tego więcej? - spytał szorstko i oblizał wargi, by nie zmarnować ani kropli.

- Ile tylko zechcesz - odparła, czując, że na nowo budzi się w niej współczucie.

Pojęła, że ten człowiek dosłownie umierał z głodu. - Choć z czymś bardziej konkretnym musisz poczekać do jutra. Z początku nie możesz jeść za dużo. Przez moment sądziła, że będzie się spierał, ale nie.

Więc przynieś mi jeszcze bulionu. Zuzanna skinęła na Bena, choć nie przypuszczała, by Connelly pozostał przytomny tak długo, aby zjeść drugą porcję. Wypoczynek był mu potrzebny do zdrowia niemal tak bardzo jak jedzenie. A ponieważ musiała zostawić siostry w domu same z tym człowiekiem, właściwie bez ochrony, postanowiła nie ryzykować. By zapewnić wszystkim spokojną noc i na wypadek, gdyby Connelly zdradzał skłonności do przemocy, dodała do bulionu kilka kropel laudanum.

Connelly przełknął nieco wody i odstawił kubek na tacę.

- Widzę, że wody nie brakowało ci tak jak jedzenia - zauważyła spokojnie Zuzanna.

Przez chwilę spoglądał niepewny, jak, i czy w ogóle, odpowiadać. Potem ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Woda jest niezbędna do życia. Pożywienie dopiero wtedy, gdy brakuje go przez dłuższy czas.

Tak jak oczekiwała, po kilku minutach powieki zaczęły mu opadać. Zakołysał się i jedną ręką oparł o materac. Zuzanna zabrała tacę.

- Na twoim miejscu położyłabym się czekając na Bena - zaproponowała uspokajająco, wprawnymi dłońmi strzepując mu poduszkę.

Connelly zdołał przez chwilę zogniskować spojrzenie na jej twarzy, ale Zuzanna widziała, że przychodzi mu to z trudem. Potem powieki mu opadły i westchnął.

- Czuję się dziwnie - wymruczał.

Pozwolił jej, by ułożyła go na brzuchu, z głową na poduszce.

- Rano na pewno poczujesz się lepiej - odpowiedziała, choć nie przypuszczała, by ją usłyszał.

- Przyniosłem bulion, panno Zuzanno - odezwał się Ben od drzwi. Zuzanna wstała.

- Nie będzie już potrzebny. Zasnął.

ROZDZIAŁ 8

Było już dobrze po drugiej w nocy, kiedy Zuzanna uznała, że może opuścić farmę Cooperów. Stara pani Cooper została umyta, ubrana w najlepszą suknię i położona w salonie.

Ojciec Zuzanny modlił się z zapłakany wdowcem, podczas gdy ona i obie córki pani Cooper zajmowały się przygotowaniem ciała do pogrzebu. Rodzina rozpaczała po stracie, lecz pani Cooper była już starą, schorowaną kobietą i od dawna spodziewano się jej śmierci.

Stąd panował tu nastrój spokojnego smutku i pogodzenia się z losem.

Wspinając się za ojcem do powozu, zadowolona, że choć raz nie musi sama powozić, Zuzanna przeciągnęła się i skrzywiła lekko. Wciąż odczuwała ból w ramieniu. Siniec był już

ciemnofioletowy i przypominał o sobie przy każdym ruchu. A tak że o problemie, o którym na kilka godzin udało jej się zapomnieć. O Connellym. Musiała wyznać ojcu, co zrobiła.

Spojrzała w jego stronę. Szczupły, w ciemnym ubraniu, z siwymi włosami, siedział

wyprostowany, mimo że był równie zmęczony jak ona. Czują, że zbliża się chwila prawdy.

Ale ojciec uprzedził ją.

- Walter Cooper prosił, żebyś jutro na nabożeństwie zagrała „Hymn do Stwórcy”.

Zuzanna skinęła głową.

- Pani Cooper uwielbiała tę pieśń. Zeszłej nocy prosiła, bym ją zaśpiewała.

- To była wspaniała kobieta. Niebo wzbogaciło się na naszej stracie.

Tak. Rozmowa ucichła. Stłumiony stukot kopyt Darcy'ego na polnej drodze odbijał się jak echo ciężkich kroków biegnącego za powozem, podkutego konia ojca. Poza szelestem wiatru wśród liści i ostrego krzyku nocnego ptaka panowała cisza. Byłaby nawet przyjemna, gdyby nie zdenerwowanie Zuzanny z powodu wyznania, które musiała uczynić. Nie miała powodów, by to odwlekać. Spowiedź nie stanie się łatwiejsza przez to, że odłoży ją na później.

Zuzanna nabrała tchu. Jeśli masz coś zrobić, lepiej zrób to szybko, jak często mawiała jej matka. Wciąż jednak się wahała. Nie chciała psuć tych kilku chwil, jakie mogła spędzić sama z ojcem. Na chwilę, tylko na chwilę, powstrzyma swój język i będzie się rozkoszować spokojem nocy. Było już chłodno, od południa temperatura spadła chyba o dziesięć stopni.

Zapach roślinności, zwierząt i słonej wody łączył się, nadając powietrzu ostrego aromatu. W

górze, wysoko ponad lasem strzelistych sosen, migotały dziesiątki gwiazd, tkwiących w ciemnogrzanatowym niebie. Srebrzysta połowka księżyca rozświetlała mrok, więc Darcy nie miał kłopotów z odnalezieniem drogi do domu.

Co było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdy ojciec luźno trzymał lejce i tak jak ona spoglądał

w niebo. Zuzanna czyniła to z całkiem przyziemnych powodów, podczas gdy ojca bez wątpienia pochłaniały bogobojne myśli o przyszłości świata. Z długą białą brodą i falującą grzywą włosów, połyskujących srebrem w tym niesamowitym blasku, przypominał

ożywionego proroka z Biblii. Serce Zuzanny wezbrało do niego uczuciem. Odwrócił głowę, jakby wyczuwając jej wzrok, uśmiechnął się łagodnie i wrócił do obserwacji nieboskłonu.

Wiedza o występku ciążyła jej na duszy jak kamień.

- Papo, kupiłam dzisiaj skazańca. Człowieka - oświadczyła nagle.

Przez moment nie była pewna czy usłyszał lub zrozumiał. Ale po chwili zaprzestał

kontemplacji cudów boskich i spojrzał jej w oczy.

- Co zrobiłaś, córko?

- Kupiłam skazańca.

Skazańca? - Wielebny Redmon wymówił to takim tonem, jakby nigdy nie słyszał o takich ludziach. Zuzanna zniosła to jakoś, choć poczuła jak żołądek zaciska jej się na samą myśl, że musi mu sprawić przykrość.

- Tak, skazańca. Craddock pije, a Ben to jeszcze chłopiec. Sara lane we wrześniu wyjdzie za mąż i zbyt wiele pracy spadnie na nasze barki. Zresztą większość z niej, to ciężka, męska robota. Więc kupiłam skazańca, żeby ją wykonywał.

Zapadła chwila zupełnej ciszy. Potem wielebny Redmon ze smutkiem potrząsnął głową.

- Czy wszystkie moje nauki o tragedii niewolnictwa kierowałem do głuchych uszu?

Mójśeszu był niewolnikiem i...

Wiem o Mojśeszu, papo, i na temat niewolnictwa mam takie samo zdanie jak ty. Ale ten człowiek nie jest niewolnikiem. Jest przymusowym robotnikiem, który przez siedem lat musi dla nas pracować, by odpokutować swoje grzechy. Został prawomocnie skazany przez sąd. Zuzanna owinęła lodowate dłonie w fałdy spódnicy. Nienawidziła spierać się z ojcem, nie z obawy o burę, czy karę - nie był człowiekiem, który by nimi szafował - ale dlatego, że smucił się, gdy któreś z dzieci sprawiło mu zawód. Czuli się winni, gdy zrobiła coś, o czym od początku wiedziała, że mu się nie spodoba. I była też zła na siebie, że poczuwa się do winy. Przecież po starannym rozważeniu sprawy uznała, że skazaniec jest niezbędny do prowadzenia farmy. Ktoś musiał zająć się wyżywieniem i ubieraniem rodziny, utrzymaniem dachu nad głową. Ojciec był ślepy jak kret na przyziemne strony Śycia. Ale śadne usprawiedliwienia nie poprawiały jej nastroju. Pełen wyrzutu wzrok ojca sprawiał, że miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Ojciec milczał, a Zuzanna nerwowo szukała argumentu, który zdołałby go przekonać.

- Przecież nawet pismo mówi, że karanie niegodziwych jest słusznym dziełem.

Wielebny Redmon pochwycił to zdanie jak linę ratunkową. Zastanawiał się, kiwając głową i marszcząc czoło. Wiedziała, że nie lubi kłócić się ani z nią ani z siostrami. To go niepokoiło, zakłócało spokojny tryb życia. Już dawno przekonała się, że jeśli naprawdę czegoś chce, musi tylko upierać się dostatecznie długo. Była bardziej od niego stanowcza, miała silniejszą wolę. Czasem wstydziła się, widząc jak łatwo potrafi przekonać go do własnego sposobu myślenia. A jednak, mimo jej uporu, ojciec - z pewnością najbardziej świętobliwy z ludzi - uważał ją za najlepszą córkę. Tylko Zuzanna wiedziała, jak bardzo różni się od swego obrazu w jego oczach. Wielebny Redmon rozpromienił się.

- No, tak - powiedział. - Chyba masz rację.

- Był chłostany i okrutnie traktowany. Nie tylko oczyści u nas swą duszę, ale i odzyska zdrowie.

- Istotnie - uśmiechnął się wyraźnie zadowolony, że ta delikatna sprawa została tak elegancko rozwiązana i to akurat tuż przed domem. - Nie wątpię, że postąpiłaś słuszenie.

Całkiem możliwe, że to z bożej inspiracji udzieliłaś pomocy tej nieszczęsnej istocie.

Boża inspiracja... Od początku wiedziała, że tak pomyśli. Zuzanna uśmiechnęła się kwaśno, zmierzając w stronę salonu, by zwolnić Bena, który pilnował Connelly'ego. Było tam ciemno. Tylko jedna świeca, tonąc we własnym wosku, paliła się przy łóżku. Connelly leżał

na brzuchu w koszuli nocnej ojca, w którą, na jej polecenie, ubrał go Ben. Koszula ciasno opinała ramiona śpiącego. Gdyby nie był tak wychudzony, a koszula skrojona mniej luźno, na pewno nie zdołałby jej założyć. A tak, choć trochę ciasna i zbyt krótka, pozwalała Connelly'emu wyglądać przyzwoicie.

- Czy to już rano, panno Zuzanno? - jęknął Ben, budząc się z drzemki. Siedział

skulony w fotelu na biegunach obok łóżka.

- Nie. Środek nocy. Obudził się? Ben potrząsnął głową.

- Nawet nie kichnął odkąd tu siedzę. Nie drgnął też, kiedy wciągałem mu tę koszulę, a muszę powiedzieć, że była to ciężka robota.

- Wyobrażam sobie. Dzielnie się spisałeś Ben. A teraz idź do stajni i pomóż mojemu ojcu przy koniu. Potem marsz do łóżka.

- Tak, pszepani. - Ben wstał i przeciągnął się. Zerknął na nieruchomą postać w łóżku. - A co z nim?

- Posiedzę tu jeszcze przez chwilę. Idź już. I jeszcze coś, Ben...

- Tak, pszepani?

- Rano, zanim pójdziesz zobaczyć się z Marią, zrób, co do ciebie naleŜy. Dobrze?

Ben przybrał skruszony wyraz twarzy.

- Tak, pszepani. Przepraszam za dziś rano.

- Zapomnijmy o tym. Œeby tylko to się nie powtórzyło.

Na pewno, panno Zuzanno. Obiecuję. Mówił szczerze, ale Zuzanna z doŒwiadczenia wiedziała, Œe nie miną dwa dni, a obietnica zostanie zapomniana. Pochyliła się nad łóŜkiem i odruchowo połoŜyła rękę na czole pacjenta.

Było tylko nieco za ciepłe. Na szczęście, pomyślała. Gdyby miał gorączkować, juŜ by się to stało. Musiał być odporny jak bawół, skoro zwalczył wszystkie trucizny powstałe w tej otwartej ranie, na jaką przerobiono mu plecy.

- Czy to ten męŜczyzna? - zapytał ojciec przyciszonym głosem, wchodząc i spoglądając spod zmarszczonych brwi na Connelly'ego.

- Tak.

- Biedny, nieszczęśliwy człowiek. Tak jak mówiłaś, uzdrowimy jego ciało i duszę.

Dobry Bóg był przy nim i pokierował bezpiecznie do naszych drzwi.

Tak. JeŜeli w czymkolwiek istniała jaśniejsza strona, to moŜna być pewnym, Œe ojciec ją odnajdzie. Zuzanna uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Powinieneś iść juŜ do łóŜka. Jutro czeka nas duŜo pracy.

- Masz rację, oczywiście. - Poklepał ją po ramieniu. - Muszę przyznać, Œe jestem zmęczony. Chyba teŜ się zaraz połoŜysz?

- Załatwię jeszcze parę spraw. Ale to juŜ długo nie potrwa.

Co my byśmy bez ciebie zrobili, Zuzanno - westchnął i wyszedł. Słyszała jego kroki na schodach. Kroczył lekko, nawet lŒej niŜ Mandy, która waŜyła tyle co puszek ostu. Ta myśl ścisnęła jej serce. Przez ostatni rok ojciec tracił na wadze. Obawiała się, Œe juŜ niedługo stanie się zbiorem okrytych skórą kości. Musi dopilnować, Œeby więcej jadł i mniej pracował. Nic innego nie było mu potrzebne, pocieszała się. Z pewnością nic mu nie dolega. WyobraŒać sobie coś takiego to, jak wywoływać wilka z lasu, a i bez tego miała doŒć problemów. Gdy ojciec wyszedł, ciszę zakłócał tylko Œwiszczący oddech Connelly'ego. Zuzanna dotknęła jego policzka, tuŜ ponad szorstką brodą, i przekonała się, Œe nie jest cieplejszy od czoła. Dzięki laudanum pozostała część nocy minie mu pewnie w głębokim śnie. Poczwała, Œe marzy o tym samym. Była tak zmęczona, Œe z trudem unosiła powieki, a niedługo zacznie się nowy dzień, wypełniony po brzegi pracą i obowiązkami. Gdyby

zamknęła drzwi do salonu, nie mógłby wyjść nawet gdyby się obudził. Jego Śyciu nic nie zagraŚalo, więc nie było powodu, by siedzieć przy nim całą noc. Potrzebowała choćby kilku godzin snu.

I tak wstanie o świcie, więc nie zostawi go samego na długo. Po raz ostatni dotknęła czoła, by upewnić się, Śe nie ma podwyŚszonej temperatury. Wreszcie poddała się i ziewnęła tak szeroko, Śe zabolęły ją szczęki.

Zdmuchnęła świecę przy łóŚku, a potem zamknęła na klucz drzwi. Poszła na górę, do swojej sypialni, gdzie umyła twarz i zęby. Przebrała się w nocną koszulę, rozpuściła i wyszczotkowała włosy, aŚ opadły na ramiona niczym brązowa peleryna. Nagle cichy dźwięk z dołu sprawił, Śe znieruchomięła ze szczotką w ręku i nasłuchiwała, pochylając głowę na bok. Co to było? Znów usłyszała ciche drapanie, jakby ktoś usiłował się wydostać.

Skąd? Jedyne zamknięte drzwi w domu były te prowadzące do salonu.

CzyŚby Connelly się obudził? Z pewnością nie, ale co to mógł być za dźwięk?

OdłoŚyła szczotkę na umywalkę. Chwyciła pikowany, róŚowy szlafrok, narzuciła go na ramiona. Ruszyła w dół, wysoko wznosząc świecę, gdyŚ włosy, które na noc zwykle zaplatała w warkocz, teraz powiewały wokół głowy.

Na dole, poza niewielką plamką światła jej świecy, dom stał ciemny i głuchy. Drzwi salonu były zamknięte, tak jak je zostawiła, a klucz sterczał z dziurki. CzyŚby wyobraziła sobie dziwny odgłos? Na pewno nie.

Kiedy się zastanawiała, dźwięk nadszedł tak nieoczekiwanie, Śe aŚ podskoczyła, a płomyk świecy zamigotał. Spojrzała na drzwi, widziała jak poruszyły się lekko. Klucz zadzwonił w zamku, a potem ciche miauczenie z salonu przyniosło rozwiązanie tajemnicy. -

Klara! - wykrzyknęła gniewnie Zuzanna, otwierając drzwi. Kot wyskoczył na korytarz. - Jak się tu dostałaś? Powinnaś być na dworze.

Klara mruczała głośno, ocierając się o kostki Zuzanny. Kobieta odstawiła świecę i podniosła kotkę. Trzymając ją pod pachą i drapiąc za uchem, ruszyła do drzwi.

Pomarańczowe i czarne plamy walczyły o miejsce na białym futrze Klary. Była duŚym kotem, waŚyła prawie dziesięć kilogramów i byłaby piękna, gdyby w nieszczęśliwym wypadku nie straciła oka i kawałka ucha. Wykrwawiona niemal na śmierć trafiła do stodoły Redmonów. Tam znalazła ją Zuzanna, a Klara odpłaciła za opiekę bezmiernym oddaniem.

Ucho wciąż wisiało w strzępach, ale oko jakoś się wygoiło. Nie wyglądało tak źle, gdyŚ

bliznę otaczało półkole czarnego futra, sprawiające wrażenie pirackiej opaski. - Idź łapać myszy - mruknęła Zuzanna, otwierając drzwi i stawiając Klarę na ganku.

Kotka jakby zrozumiała, miauknęła cicho, machnęła ogonem, a potem zbiegła po schodach i zniknęła w ciemności. Zuzanna zamknęła drzwi i skierowała się do salonu.

Zajrzała do środka, zastanawiając się, czy Klara zaniepokoiła pacjenta. Nie usłyszała nawet najcichszego szelestu pościeli. Mimo stojącej w holu świecy, kąt salonu, gdzie stało łóżko pogrążony był w głębokiej ciemności. Wejdzie tylko na chwilę i sprawdzi co z Connellym, a potem zaraz wróci do siebie.

Poświata za jej plecami dawała dość światła, by Zuzanna dostrzegła, że pacjent zmienił pozycję. Oddychał ciszej i chyba nie spał tak głęboko. Może jednak Klara zakłóciła mu spokój. Zuzanna pochyliła się nad łóżkiem. Odszukała czoło, przyłożyła dłoń. A potem, tak nagle, że szok niemal ją sparaliżował, stalowe palce uwięziły jej nadgarstek. Mocne szarpnięcie spowodowało, że szlafrok zsunął się z ramion. Kolana uderzyły o materac i z bezgłośnym jękiem dziewczyna runęła na łóżko.

ROZDZIAŁ 9

Zuzanna zdążyła tylko poczuć pod sobą miękkość materaca, gdy Connelly znalazł się na niej. Upadek uraził obolałe ramię i krzyknęłaby, gdyby miała taką możliwości. Ale nie mogła nawet odetchnąć. Ciężar jego ciała nie pozwalał nabrać tchu. Connelly mruczał jej coś chrapliwie i gorąco w samo ucho, ale nie rozumiała słów. Nie widziała jego twarzy. Nos i usta miała przyciśnięte do owłosionej skóry w rozcięciu koszuli nocnej. Zapach mydła, które sama zrobiła i którym myła go kilka godzin temu, wypełniał nozdrza; czuła na wargach jego smak.

Connelly przesunął się nieco, więc zdołała odwrócić głowę i wciągnąć powietrze -

wspaniałe powietrze, które wypełniło płuca i przywróciło normalną pracę mózgu. Szok po tak brutalnym szarpnięciu mijał. Jego miejsce zajął pączkujący strach. Czyby chciał ją zabić?

Musnął ustami szyję, potwierdzając jej drugą obawę. Zesztywniała, bała się ruszyć, a jego szorstka broda drapała skórę podbródka i gardła. Wargi miał ciepłe, wilgotne i otwarte.

Wiedziała, gdyś czuła, jak zębami drapie lekko delikatne miejsce za uchem. Zamarła, lękając się, by nie pobudzić go do czegoś jeszcze bardziej podłego.

Odnalazł i przygryzł lekko zębami delikatną małżowinę. Ku swemu przerażeniu Zuzanna uświadomiła sobie, że gdyby nie okoliczności, odczucie byłoby zupełnie znośne.

Bała się jednak, co Connelly może jeszcze zrobić. Wprawdzie nigdy osobiście nie doświadczyła tego rodzaju cielesnej miłości, której mężczyźni oczekują od swych żon, ale wiedziała na czym to polega. I było jasne, że właśnie taka śądza opanowała Connelly'ego.

Zmierzał do celu szybciej niż świnia po śliskim zboczu.

Musiała go powstrzymać. Ale jak? Ciężarem swego ciała przygniatał jej prawą rękę, a lewą pochwycił dłoń. Była bezradna, nie mogła nawet kopnąć. Na nogach czuła jego udo, przyciskające ją do materaca. Została obezwładniona. Musnął wargami delikatną skórę pod brodą. Zuzanna czuła, że drży, reagując na ciężar jego ust. Nieznane uczucie przeraziło ją.

Odwróciła głowę i rozpaczliwie zaczęła się wyrywać. Nie zważając na te wysiłki, wycisnął na jej

krtani szereg krótkich palących pocałunków.

- Przestań! - wysyczała w jego ramię polecenie. - Słyszysz? Przestań natychmiast, a zapomnimy o tym. Nie będziesz ukarany. Obiecuję.

Nawet jeśli usłyszał, to połączenie groźby i obietnicy nie wzruszyło go wcale. Całował

jej policzek, kącik oka i skroń. Wciąż przyciskał ją ciałem do materaca, choć przeniósł się tak, że mogła swobodnie oddychać. Koszula ojca była zdecydowanie za krótka, bowiem odsłoniętym udem przesunął tam i z powrotem po jej nogach. Zuzanna z przerażeniem pojęła, że doskonale wyczuwa ciepło jego skóry, gdy jej uda są tak obnażone. Albo ruch jego nóg, albo upadek i próby uwolnienia się spowodowały, że nocna koszula była podwinięta niemal do pasa.

Myśl o krzyku, która jeszcze przed chwilą była dla niej czymś strasznym -jaki wstyd, gdyby rodzina znalazła ją w takiej sytuacji -znów przysłała jej do głowy. Jednak Zuzanna wołała tego nie robić. Pomijając już zakłopotanie, groziłoby to bardzo poważnym niebezpieczeństwem siostrze i ojcu, gdyby stanęli naprzeciw Connelly'ego. Bliska omdlenia pojęła, że cała piątka Redmonów razem wzięta nie dorównywała siłą temu mężczyźnie, którego sama sprowadziła pod ich dach. Chyba że ojciec nim przybiegnie chwyci dubeltówkę, czego oczywiście by nie zrobił. Ojciec nigdy nie miał tak rozsądnych pomysłów. Jeśli szybko nie znajdzie jakiegoś sposobu, by powstrzymać Connelly'ego, to wkrótce dowie się o cielesnej miłości więcej niż sądziła, że będzie jej kiedykolwiek dane. Zostanie zgwałcona i zgubiona. I tylko ze swojej własnej winy.

- Connelly, puść mnie! Powieszają cię za to!

Groźba zupełnie do niego nie dotarła. W odpowiedzi niczym najczulszy kochanek ucałował kącik jej ust. Zuzanna doszła do wniosku, że pozostawał wciąż pod działaniem laudanum. Może wcale nie odzyskał pełnej przytomności tylko przeżywał właśnie jakiś erotyczny sen i realizował go na niej!

- Connelly! Obudź się!

Jedyną odpowiedzią były usta, zsuwające się wzdłuż policzka, by przygryźć lekko koniec podbródka. Zrozpaczona, próbowała go zrzucić, lecz miała takie szanse jak owca, która próbuje pozbyć się wilka, trzymającego ją za gardło. Jednak przesunął się lekko i Zuzanna miała przez moment nadzieję, że w końcu zrozumiał, że partnerka nie jest mu przychylna. I wtedy właśnie poczuła, jak wsuwa kolano między jej uda.

Przez sekundę odczuwała szorstkość włosów ocierających delikatne ciało, ciepło skóry i ukłucie podniecenia, szokujące jak wszystko, co Connelly z nią robił. Strach, gniew i silne zasady moralne, jakie wpajano jej od dzieciństwa, niemal natychmiast stłumiły ten płomyk. Ale nie mogły ochronić ją przed tym kolanem. Wbiło się klinem między nogi, a za nim całe potężne udo. Przez jedną chwilę, gdy rozpaczliwie zacisnęła nogi wokół jego uda, odczuła twardość mięśni przyciskających najbardziej tajemne miejsce u zbiegu jej nóg.

Wrażenie było tak zdumiewające i fizyczne jak upadek z konia.

Udo nacisnęło mocniej i Zuzannie zaschło w ustach.

Czy będzie zawstydzona, gdy odkryją ją w tej sytuacji, czy narazi rodzinę na niebezpieczeństwo czy nie, to musi się skończyć. Zuzanna otworzyła usta do krzyku. Ale zanim choćby pisnęła, Connelly zakrył jej wargi swoimi. Zakrztusiła się niemal, gdy głęboko wcisnął język. Smakował bulionem z kurczaka. Wargi miał gorące, wilgotne i chciwe.

Przysysał się i przygryzał zębami to, co zdołał pochwycić. Poruszał udem w górę i w dół, pocierając owo miejsce, które, choć broniła się przed tym z całych sił, z wolna stawało się ośrodkiem jej świadomości. Wiła się, by uniknąć tych bezwstydných ruchów, ale to tylko pogarszało sprawę. Zdyszana zrezygnowała z oporu, gdy nagi e fala białego Śaru zaczęła promieniować wzdłuŜ nóg w stronę kręgosłupa.

Czy w ten sposób mężczyźni skłaniali kobiety do cielesnej miłości? Zastanawiała się oczywiście jakie to uczucie, lecz nigdy nie miała nawet adoratora, a Sara Jane nie omawiała by czegoś tak niestosownego ze starszą siostrą, którą uwaŜała niemal za matkę.

Lecz Zuzanna podstuchiwała kiedyś jak wyznaje Mandy swój lęk przed małŜeńskim łoŜem i tym, co ją w nim czeka. Jeśli tak wyglądała miłość fizyczna, to nie było się czego bać, a raczej oczekiwać jej, oczywiście jeśli poprzedzi ją święty sakrament małŜeński.

Ale to nie było małŜeńskie łoŜe, a Connelly nie był jej poślubiony. Ogarniająca ciało rozkosz była grzeszna, więc nie pozwoli sobie na to, by ją odczuwać. Na pewno nie!

Zsunął wargi z jej ust po policzku aŜ do szyi. Nagłe uwolnił jej ręce, i przesunął się, unosząc biodra. Przesunął rękami po ciele, jakby ucząc się jej kształtów. Palce odnalazły i zamknęły się na piersiach, ujęły miękkie wypukłości i przez cienką, bawełnianą koszulę draŝniły sutki. Zuzanna zacisnęła zęby, by nie poddać się straszliwej, nagłej chęci kapitulacji, która odbierała siły.

Od zaręczyn Sary Jane powoli godziła się z myślą, Őe najprawdopodobniej odejdzie z tego świata jako panna. Nie powinno jej to martwić, ale martwiło. Przyszłość, którą siostry uwaŜały za coś oczywistego - małŜeństwo, dzieci, mąŜ - była nie dla niej. Ona miała obowiązki wobec ojca i rodziny. Kiedy przestanie być potrzebna, okaŜe się za stara na budowanie własnego Őycia. Ładna czy nie, chciała poznać miłość, tak jak kaŜda kobieta. Oto miała szansę; musiała tylko leŜeć nieruchomo i pozwolić mu...

Wtedy jego drugie kolano dołączyło do pierwszego. Zanim Zuzanna zdała sobie sprawę co się dzieje, leŜała w szerokim rozkroku.

- Nie!

Instynktowna panika przebiła się przez wszystkie inne myśli. Zuzanna uderzyła jak mogła najsilniej, trafiając go pięścią w skroń.

- Co u diabła!

Ku jej uldze i zaskoczeniu, odsunął się z jękiem. Nagle poczuła, Őe jest wolna.

Przesunęła się na krawędź łóżka, lecz zaraz powstrzymała ją ręka, która zacisnęła się na luźnych końcach jej włosów.

- Puść mnie! Puść, słyszysz?

- Do diabła, kobieto, czemu mnie uderzyłaś?

Naprawdę był urażony. Ze zdumieniem odkryła, że cała dygocze. Ona, która nigdy przed niczym nie zadrżała. - Czemu cię uderzyłam!?

Może naprawdę nie wiedział? Jeśli jej teoria była słuszną, pewnie dopiero teraz się obudził i nie miał pojęcia o bezwstydnym naturze tego, co zaszło między nimi. Modliła się, by tak było. To poniżające, gdyby pamiętał jak ją maltretował. Dotykał w miejscach, których nawet ona nie dotykała, obnażył ją do pasa i... i... Gdyby pamiętał, nigdy nie mogłaby spojrzeć mu w twarz. Milczał teraz, więc nie miała pojęcia o czym myśli. Mocniej chwycił jej włosy. Zuzanna poczuła mdlący lęk. Może zamierza wciągnąć ją raz jeszcze i skończyć to, co zaczął. A może był przytomny przez cały czas i od początku planował gwałt. Strach i wściekłość sprawiły, że szczykała zębami, gdyby ich mocno nie zacisnęła.

Wyczuła raczej, niż zobaczyła, że Connelly siada, gdy pociągnął ją za włosy. Potem szarpnął jeszcze mocniej, a musiała położyć się na boku, gdy nie wypuszczając jej, sięgał po coś po przeciwnej stronie łóżka. Usłyszała brzęk metalu o metal, poczuła ostry zapach krzesanej iskry, a wreszcie zapłonęła świeca. Zrozumiała, że musiał wcześniej ją zauważyć i zapamiętać, gdzie leży krzesiwo. Płomyk z trudem budził się do niepewnego sycia. Connelly zwolnił nieco uchwyt i Zuzanna znów mogła usiąść. Odsunęła się od niego tak daleko, jak tylko zdołała. Ponieważ nic więcej nie mogła już zrobić, obejrzała się i spojrzała mu w oczy.

Badał ją wzrokiem, obserwując wszystko od buntowniczego kłębu kasztanowych włosów spływających mu z dłoni, aż do skrzywanej do granic nieprzyzwoitości nocnej koszuli.

Przez chwilę zatrzymał wzrok na wypukłości piersi, napierających na cienką bawełnę.

Obiema rękami przesłoniła mu widok. Nie zniechęcony zsunął spojrzenie w dół. Nogi miała nagie do połowy ud i Connelly dokładnie przestudiował każdy centymetr smukłych kształtów, aż po drobne palce stóp. Zuzanna szybko podciągnęła nogi pod siebie i naciągnęła koszulę, by je zakryć. Czerwieniła się wściekle. Miała wrażliwość, że skóra jej płonie i wiedziała, że musiał

to dostrzec.

Gdy odważyła się podnieść wzrok, Connelly patrzył na nią spode łba tak dziko, jakby go w jakiś sposób skrzywdziła. Na skroni widniał czerwony ślad po uderzeniu. Koszula ojca przekrzywiła się na piersi, czarne włosy były rozwichrzone, a wyraz twarzy i ta barbarzyńska broda nadawały mu wygląd dzikusa.

Na myśl o tym, w jaki sposób jej ciało reagowało na dotyk tego brutala, czuła wstyd.

Czy była naprawdę w tak rozpaczliwej potrzebie, że każdy mężczyzna mógł ją zadowolić?

- Co do diabła robisz w moim łóżku? To brzmiało jak oskarżenie. Spojrzała mu w twarz.

Co ja robię...? Głos ją zawiódł. Jak miała na to odpowiedzieć? Jeśli naprawdę nie pamiętał co się wydarzyło, to ona nie miała ochoty przypominać mu kłopotliwych szczegółów. Wstydlive wspomnienie będzie dręczyło tylko ją, a zatem nie czuje się aż tak poniżona. Choć nawet gdyby był całkiem przytomny, co w zasadzie wydawało się prawdopodobne, nie mógł przecież wiedzieć, jak jej ciało reagowało na jego dotyk. Nie mógł, prawda? Oczywiście, że nie mógł! Nie był przecież telepatą! Tylko ona wiedziała jak gwałtowna była ta reakcja, a ten grzeszny sekret zabierze ze sobą do grobu.

- Droga pani, jeśli kupiła mnie pani, żeby używać jak ogiera, to się pani przeliczy.

Chodzę do łóżka z kim mi się podoba. Nie robię tego na rozkaz.

Co? - Zuzannie opadła szczęką. Zaciśnęła pięści, gdy dotarła do niej ta straszliwa obraza. Klębowisko emocji, które jeszcze przed chwilą wprawiało ją w drżenie, teraz zamknęło się w jednym oślepiającym błysku gniewu.

- Ty niewdzięczny i niedouczone dzikusie! - syknęła. - I pomyśleć, że uratowałam cię przed Hiramem Greerem! Ocaliłam cię przez Georgem Renardem! Byłam dla ciebie uprzejma! Zaslugujesz na chłostę! Zaslugujesz na stryczek! Zaslugujesz na to, żeby cię tępym nożem pokroili na kawałki! Jak śmiesz tak mówić do mnie! Ty - ty nieokrzesany gburze!

Przerwała dla zaczerpnięcia tchu. Przyjrzał się jej znowu i tym razem na dnie szarych oczu zamigotał szczególny ognik, którego nie potrafiła zrozumieć.

- Z wdzięczności również nie biorę kobiet do łóżka.

Zuzanna błysnęła oczami, a na końcu języka znalazły się słowa tak okropne, że nawet nie wiedziała skąd je zna. Przełknęła je, chwyciła pasmo włosów, które ścisnął w rękę i szarpnęła, by się uwolnić. Wysilek poszedł na marne.

- Puść mnie! Natychmiast, słyszysz!

- Bo... - zakpił, mocniej zaciskając palce na włosach.

- Bo sprzedam cię Hiramowi Greerowi jeszcze przed zachodem słońca! Kiedy mu powiem co ty... jak mnie obraziłeś, będziesz miał szczęście, jeśli przeżyjesz po chłostce!

- A kiedy ja powiem jemu i każdemu kto zechce słuchać, jak wskoczyłaś mi do łóżka i jak chciałaś być ujędana, z twojej reputacji nie zostanie nawet cień. A możesz być pewna, że wykrzyczę całemu światu każdy szczegół. - Wykrzywił wargi w złośliwym uśmiechu. Zuzanna patrzyła na niego przerażona. Przecież nie wskoczyła mu do łóżka.

To było kłamstwo, nieważne czy on w nie wierzył czy nie. Ale pozostała część oskarżenia zawierała

w sobie dość prawdy, by Zuzanna wewnątrz zadygotała. Nie mógł

znać pragnień, które obudził w jej ciele.

- Niezbyt dobrze reaguję na groźby - dodał, jakby się tłumacząc.

- Ja teŜ nie - rzuciła przez zęby i znów szarpnęła włosy. Czy tym razem rozluźnił

uchwyt, czy teŜ z powodu siły szarpnięcia, zdołała się uwolnić. Zeskoczyła z łóŜka, dla bezpieczeństwa odstępując na kilka kroków. Chwyliła leŜący przy łóŜku szlafrok, narzuciła na ramiona i poczuła się odrobinę pewniej. Odwróciła się do Connelly'ego.

W dłoni wciąż trzymał kilka długich włosów, a gdy patrzyła, owinał je wokół palców.

- Na pamiątkę - powiedział, jakby go prosiła o wyjaśnienie i uśmiechnął się lubieŜnie.

Zuzannie wydało się, Ŝe za chwilę wybuchnie. Ale i tym razem jakoś się opanowała.

- Na wypadek, gdybyś naprawdę nie wiedział, jak zaczęła się ta... farsa, pozwól, Ŝe ci coś wyjaśnię. Zbudził mnie jakiś hałas, więc przyszedłem sprawdzić, co się z tobą dzieje. Kiedy cię dotknęłam, Ŝeby się przekonać, czy nie masz gorączki, schwyciłeś mnie i wciągnąłeś do łóŜka. Potem... potem...

Walczyłam, Ŝeby się uwolnić i w końcu uderzeniem przywróciłam ci rozsądek.

Nastąpiła krótka cisza. ZmruŜył oczy, jakby rozmyślał nad tym, co usłyszał.

- Ja pamiętam to całkiem inaczej, skarbie - powiedział cicho i uśmiechnął się.

Zuzanna jeszcze nigdy nie widziała tak paskudnego uśmiechu.

- Jesteś pomiotem szatana! - Była tak wściekła, Ŝe z trudem mogła mówić. - A ja nie jestem twoim skarbem. Tak długo, jak zdołam się powstrzymać przed sprzedaniem ciebie, będziesz zwracał się do mnie „panno Zuzanno”.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i owinięta ciasno zarówno szlafrokiem, jak i resztkami swej godności, wymaszerowała z pokoju z podniesioną głową.

ROZDZIAŁ 10

Zuzanna miała wrażenie, Ŝe najlepsze lata swojego Ŝycia spędziła na wypiekaniu chleba. Mieszała, wyrabiała i piekła dwa razy dziennie, i nawet jedna noc nie minęła bez rosnącego w kuchni ciasta. Kogut zapał swoje dzień dobry ledwie kwadrans wcześniej, a ona juŜ stała w kuchni, przygotowując chleb na kolację. Poranne bochenki tkwiły na razie w niewielkiej duchówce w bocznej części wielkiego pieca, zajmującego ponad połowę kuchennej ściany. Wkrótce będą gotowe. Cudowny, ciepły zapach unosił się w całym pomieszczeniu.

Za godzinę wstanie reszta domowników i będą głodni. Tak zawsze zaczynał się dzień i tak będzie się

zaczynał, dopóki Zuzanna trwała na posterunku. Tyle że Zuzanna z jakichś powodów, których nie potrafiła zgłębić, nagle nie była z tego zadowolona. Wiodła pracowite życie i wiedziała, że to jest słuszne, ale... ale co? Powinna być wdzięczna, a nie narzekać. Co się z nią stało, że w sekrecie zapragnęła czegoś więcej niż ten dostatek, który posiadała?

Owsianka zabulgotała na ogniu. Jedli ją co rano posypaną melasą, ze świeżym chlebem i masłem. Jeśli dziewczęta pomogą, szybko uprzątnie kuchnię i wtedy uda jej się wyjść, by popracować chwilę w ogródku. Pielenie było zajęciem, które chyba naprawdę lubiła.

- Potrzebuje mnie pani jeszcze, panno Zuzanno?

Ben wszedł przez tylne drzwi z pełnym naręczem drewna. Nie zapomniał o obowiązkach i obsypała go już za to pochwałami.

- Może nakarmić kury.

Tak, psze pani. Rzucił drwa do kosza obok paleniska i wyszedł. Craddock powinien wstać i wydoić krowę, ale nie spodziewała się zobaczyć go na nogach, dopóki na jej polecenie Ben go nie zbudzi. Spanie lubił niemal tak bardzo jak mocne trunki, co było kolejnym powodem, że nie mógł znaleźć pracy.

On i Ben raczej zwiększali niż umniejszali ciężar, który spoczywał na jej barkach.

Ciężar, który w ciągu ostatnich kilku miesięcy stał się niemal nie do zniesienia. Więc co zrobiła? Kupiła parobka, żeby jej pomógł. Z czystego egoizmu, a jak zawsze mawiał ojciec, egoizm ma wysoką cenę. I teraz musiała za to zapłacić.

Connelly. Nie mogła o nim myśleć bez drżenia. Jak to się stało, że ona, która nigdy w życiu nie rzuciła mężczyźnie zalotnego spojrzenia, znalazła się ubiegłej nocy półnaga w łóżku z własnym sługą. Kiedy wspominała jego dłonie na swych piersiach i kolano między nogami -

nie mówiąc już o zachłannych pocałunkach! - czuła się fizycznie chora. A gdy przypominała sobie reakcję własnego ciała, choroba ogarniała także duszę.

Po tym, co zaszło między nią a Connellym, czuła takie wyrzuty sumienia, gniew i wstyd, że z trudem mogła sobie spojrzeć w oczy przed lustrem. Jak córka takiego ojca, która powinna być wzorem cnót, mogła kryć w sobie równie mroczne tęsknoty? Gdyby ojciec wiedział, co zrobiła (oby Bóg sprawił, by nigdy nie odkrył prawdy) winiłby szatana za to, że ją skusił. Zuzanna była innego zdania: miała pretensje tylko do siebie.

Ale gorszą rzeczą niż te wspomnienia była perspektywa spotkań z Connellym. Kiedy pomyślała, że znowu musi na niego spojrzeć, nie wiedziała czy rumienić się ze wstydu, czy raczej kipieć ze złości.

Nie mogła go jednak sprzedać. Na samą myśl, że powtórzyłyby swoją wersję zdarzeń choćby jednej osobie, krew stygła jej w żyłach.

Jak mogła znaleźć się w takiej sytuacji? Przez ośli upór, właśnie tak. Każdego, poczynając od Sary

Jane po Hiramie Greera, usiłował ją przekonać, że kupując tego człowieka popełnia błąd. Była jednak zbyt uparta, by słuchać.

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, Zuzanna powiedziałaaby, że to, co zaszło, było w pełni zasłużone. Czyniąc to wyznanie, gniotła i ubijała gęstą masę, jakby to była złośliwie uśmiechnięta twarz skazańca.

Dochodzący z salonu dźwięk sprawił, że na moment całkiem zamarła. Nie tyle sam dźwięk, a raczej fakt, że ucichł. Nie zdawała sobie sprawy, że jest tak wyczulona na szorstki oddech Connelly'ego. Czyżby obudził się tak wcześnie? śluzówka skurczyła się na tę myśl.

Ostatni raz uklepała ciasto i przykryła ściereczką, żeby wyrosło. Miarowym krokiem przeszła po deskach kuchennej podłogi do korytarza. Zatrzymała się w otwartych drzwiach salonu, wytarła ręce o fartuch i spojrzała na łóżko.

Connelly uniósł się na łokciu i patrzył wprost na nią. Wąskie, wysokie okno umieszczone zostało tak, by chwytać światło porannego słońca. Jasne promienie rozświetlały każdy kąt pokoju. W powodzi dziennego światła Connelly wyglądał bardziej zwierzęco niż

kiedykolwiek. Pasowałby do pirackiego statku lub zadymionej karczmy, w której z pełnym kuflem w garści wykrzykiwałby sprośne śpiewki. Czy postradała zmysły, że jej serce przyspieszało od dotyku takiego człowieka?

- Wody - powiedział chrapliwym szeptem.

Zuzanna uprzejmie skinęła głową, z trudem tłumiąc ścigające ją obrazy poprzedniej nocy. Wróciła do kuchni, by z wiadra przy drzwiach nabrać wodę. Ostrożnie niosąc kubek, wróciła do salonu. Tylko przez sekundę wahała się w drzwiach czy podejść bliżej. Potem wyprostowała ramiona i ruszyła naprzód. Doświadczenie mówiło jej, że pies gryzie tylko wtedy, gdy czuje, że człowiek się go boi. Zbliżyła się do Connelly'ego z tą samą czujną stanowczością, którą okazałaby szalejącemu psu.

By podać mu kubek, musiała się znaleźć w zasięgu jego rąk. Niech tak będzie, pomyślała unosząc głowę i stanęła tuż przy łóżku. Jeśli on ma być w tym domu - a ma, dzięki jej głupocie - nie może go unikać. Niech wie, że jest spokojna i opanowana.

- Dziękuję.

Wziął od niej kubek, przymknął oczy i wypił. Nie mogła się powstrzymać i odstąpiła o krok od łóżka.

Kiedy skończył, otworzył oczy i przyjrzał się jej od czubka gładko zaczesanych włosów po nękany za krawędzią łóżka fartuch.

- Jesteś ładniejsza, gdy rozpuścisz włosy - oświadczył. Zuzanna niemal się zakrztusiła.

- Mój wygląd nie powinien cię obchodzić!

To fakt. - Oddał jej kubek. Zuzanna wzięła go, pilnując, by nie zetknęły się ich palce.

Connelly spojrzał jej w oczy. Zuzannie nie podobał się błysk w tych szarych głębiach - był niemal zachłanny. Przygotowała się na to, co mógłby zrobić lub powiedzieć.

- Czy jest coś do jedzenia? Chwilę trwało zanim zrozumiała o co mu chodzi.

- Muszę przyznać, że śmiały z ciebie opryszek - powiedziała przez zęby. -

Zachowałeś się tak, jak zachowałeś, a teraz spokojnie prosisz o jedzenie! A co zrobisz, jeśli postanowię przestać cię karmić? Wzruszył ramionami, wciąż spoglądając w jej oczy.

Głodowałem już wcześniej. Co mogła na to powiedzieć? Nie potrafiłaby skazać na głód nawet takiego stworza, który wyraźnie się o to prosił. Bez słowa wyszła z pokoju. Gdy wróciła, niosła tacę z misą parującej owsianki osłodzonej melasą, dwie grube kromki chleba z masłem i kubek słodkiej herbaty.

- Proszę - rzuciła szorstko, stawiając to wszystko na materacu i rozlewając przy tym nieco herbaty.

Nie zjesz ze mną? - spojrzał na nią i po raz pierwszy odniosła wrażenie, że dostrzega w szarych oczach błysk humoru. Czy on się z nią droczył? Jeśli tak, to popełnił błąd, bo jej zdaniem śmiech ten szczególnie tego, co zaszło, nie nadawał się do śmiechu.

- Nie.

Po tej krótkiej odpowiedzi Zuzanna ruszyła do kuchni, gdzie czekało na nią tysiąc i jeden obowiązków. Musiała przed południem wykonać prace z całego dnia, by popołudnie spędzić w kościele, pomagając w przygotowaniach do pogrzebu pani Cooper. Miał się odbyć o czwartej, kiedy tylko minie najgorszy upał.

- Zuzanno!

Zesztywniała. Z pewnością Connelly nie byłby tak bezczelny, by wołać ją po imieniu.

- Zuzanno! Byłby. Odetchnęła głęboko, opanowała się i wkroczyła do salonu.

- Chcę jeszcze.

- Masz się zwracać do mnie „panno Zuzanno” i dobrze o tym wiesz - oznajmiła sztywno.

Po naszych pocałunkach? - Błysnął zębami w uśmiechu. Drażnił się z nią, łajdak!

Krew uderzyła jej do głowy. Cisnęła łyżką na długiej ręczce celując w jego głowę, jakby łyżka była siekierą a głowa kłosem drewna, które miała zamiar rozciąć na dwie części.

Uchylił się, padł na plecy i jęknął z bólu. łyżka niegroźnie uderzyła o ścianę i ze stukiem upadła na

podłogę. Taca, poruszona gwałtownym ruchem Connelly'ego, zsunęła się z łóżka i z trzaskiem wylądowała obok łóżka.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz do końca - oświadczyła Zuzanna, niewzruszona leżącą tacą i wyraźnym cierpieniem Connelly'ego, który ostrośnie przewrócił się na bok. - Jeśli przeciągniesz strunę, sprzedam cię, nie bacząc na to, jakie obrzydliwe kłamstwa będziesz potem rozpowiadał.

Z tymi słowami opuściła pokój. Dłoń jej drżała, gdy dolewała wody do kociołka na ogniu. Owsianka była gotowa, chleb wyjęty z piekarnika. Trzeba obudzić rodzinę, ale najpierw musi się opanować. Lepiej, żeby ojciec i siostry nie widzieli jej tak poirytowanej. Na pewno pytaliby o powód.

Odwróciła się i aż podskoczyła ze zdumienia. Connelly stał w drzwiach kuchni, trzymał w rękach tacę z miską, kubkiem i łóżkiem. Wsparł się ramieniem o framugę i obserwował ją z tajemniczym wyrazem twarzy. Był wysoki, szczupły i poza jednym drobnym szczegółem wyglądał równie groźnie jak wczoraj po południu na aukcji. Tym szczegółem był

strój. Nocna koszula ojca nie sięgała mu nawet kolan i była tak wąska, że Zuzanna widziała zarys bandażu na piersi. Obrzuciła go przerażonym wzrokiem, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie możesz tak chodzić po domu!

- Odniosłem tacę - powiedział niemal przeprosającym tonem.

Nie powinnaś wstawać z łóżka. Niechętnie odstawiła wiadro, z którego czerpała wodę i podeszła odebrać od niego tacę. Misa wyglądała jakby została wylizana do czysta. Ten dowód głodu wzruszyłby ją, gdyby nie była ponad takie odruchy. Connelly wciąż stał w drzwiach.

- Dalej jesteś głodny? - spytała niechętnie.

Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała. Przecież nie obchodziło ją czy jest głodny!

Nawet spodobał jej się pomysł przegłodzenia go - chociaż nie, to nie była całkiem prawda.

Tylko niska, przyziemna część umysłu może myśleć o głodzie jako rodzaju zemsty za poniżenie. Ale ta część, która wciąż zostawała córką swego ojca, musiała zaproponować jedzenie.

- Mogłbym jeszcze coś zjeść.

Zuzanna bez słowa nalala drugą porcję owsianki, dodała melasy, a potem z trzaskiem postawiła na stole.

- Więc siadaj i jedz - rzuciła krótko, nalewając herbaty do kubka i równie gwałtownie stawiając na stole.

- Jesteś dobrą kobietą, Zu... panno Zuzanno - powiedział i ku jej wściekłości delikatny cień uśmiechu przyciął się za zasłoną brody.

Nie - odparła bardzo wyraźnie, przerywając pracę i stając przed nim ze skrzyśowanymi na piersi rękami. - Nie jestem. Musisz bowiem wiedzieć, że nawet w tej chwili walczę z gwałtownym pragnieniem, by waćnięć cię w głowę patelnią. Przerwał na chwilę ładowanie owsianki do ust, a w oczach błysnęło zaciekanie.

- Naprawdę?

- Tak.

- O - stwierdził. - A więc i kobietą obdarzoną temperamentem. Lubię takie. -

Powrócił do jedzenia. Zuzanna zawrzała. Nie zdążyła wybuchnąć, gdy do kuchni wrócił

Ben.

- Nakarmiłem kury - oznajmił i znieruchomiał, zauważywszy Connelly'ego. -Więc wstałeś - rzucił w jego stronę.

- Jak widzisz.

- Pomagałem cię wnosić.

- Aha - odparł Connelly, spoglądając na Zuzannę. - Dziwiłem się, jak tego dokonaliście.

- Connelly, to jest Ben Trevers. Będzie ci pomagał na farmie. -Zuzanna dokonała prezentacji lodowatym tonem i odwróciła się, by odstawić garnek z owsianką.

Dzień dobry wszystkim. Drgnęła, słysząc głos ojca i gorąca owsianka prysnęła jej na rękę. Skrzywiła się, odstawiła garnek na trójnog i wytarła dłoń ręcznikiem. Skóra tylko się zaczerwieniła, nic wielkiego, ale nie zdarzyłoby się, gdyby nie podskoczyła. A nie podskoczyłaby, gdyby nie czuła się tak winna tego, co zaszło w nocy i tego, że ojciec przyłapał ją teraz z Connellym. Miała tylko nadzieję, że rumieniec na policzku uzna za efekt rozgrzanego pieca.

- Dzień dobry, papo - powiedziała ponuro.

Ojciec zajął swoje miejsce u szczytu stołu. Był już ubrany w czerń, jak wypadało w dniu pogrzebu. Uśmiechnął się łagodnie do Connelly'ego całkiem niezrażony najeżoną dzikością osoby za stołem.

- Pan musi być, hmm... - Wielebny Redmon umilkł, wyraźnie usiłując przypomnieć sobie nazwisko.

- Ian Connelly.

- Witam, panie Connelly. Jestem John Redmon. Mam nadzieję, że będzie się pan czuł

tutaj jak w domu.

Connelly skrzywił się na chwilę, jakby podejrzewał ojca Zuzanny o kpinę.

Lecz coś, być może jasne, orzechowe oczy starca spoglądające na świat z niezachwianą wiarą, że istnieje dobroć, przekonało go, że wielbny Redmon mówi zupełnie poważnie.

- Dziękuję panu - odparł grzecznie i z powagą.

Zuzanna nie uwierzyłaby, że jest zdolny do takiego tonu. Z trudem powstrzymała się od otwarcia ust ze zdumienia. Ale ojciec był wyraźnie zadowolony z odpowiedzi i nagle zrozumiała, że ten opryszek jest sprytniejszy, niż jej się wydawało. Zmieniał swe zachowanie, by zadowolić publiczność.

- Czy dziewczęta wstały? - nerwowo spytała ojca.

- Chodziły już po pokoju, kiedy schodziłem na dół.

Pójdę je pogonić - stwierdziła i wymknęła się z kuchni. Kiedy wróciła uzyskawszy od sióstr obietnicę, że zjawią się w kuchni najdalej za dwie minutki, poczuła zaskoczenie i ulgę, stwierdzane, że ojciec siedzi przy stole sam. Szybkie spojrzenie musiało aż zbyt dobrze wyrazić pytanie, które nie całkiem potrafiła ubrać w słowa.

- Ben poszedł po Craddocka, a naszego nowego pracownika posłałem do łódzka, choć zapewniał mnie, że może już pracować. Powinniśmy dać mu kilka dni, by wrócił do sił i to mu powiedziałem. Wydaje mi się dobrym człowiekiem, Zuzanno. Podjęłaś słuszną decyzję, jak zawsze zresztą.

- Cieszę się, że tak myślisz - odparła Zuzanna, nie wiedząc czy się cieszyć czy martwić, że tak łatwo dał się oszukać. Ale potem wszedł Ben z Craddockiem, a Sara Jane i Em zbiegły na dół.

Mandy jeszcze nie dokończyła fryzury, wyjaśniła Em, ale zaraz przyjdzie. I nagle Zuzanna była tak zajęta codziennymi obowiązkami, że nie miała czasu martwić się o swój nowy nabytek.

ROZDZIAŁ 11

Odniesi kosz do Likensów, a wracając wstąpił do kościoła i przypomniał papieżowi, że Eichornom urodziło się wczoraj dziecko. Chcą je szybko ochrzcić, bo jest trochę słabowite, więc lepiej niech sobie to zaplanuje na dzisiejsze popołudnie - powiedziała Zuzanna.

Stała w kuchni nad pojemnikiem z mąką: podwójną skrzynką, która mieściła z jednej strony mąkę zwykłą, a z drugiej kukurydzianą. Emilia i Sara Jane, ta druga z pełnym koszem pod pachą, szły właśnie w stronę kuchennych drzwi. Działo się to przed południem drugiego dnia od zakupu niewolnika i Zuzanna nie była w najlepszym humorze, chociaż starała się to ukryć.

- Biedna Eleonora. Tak bardzo pragnęła tego dziecka. Po stracie dwojga poprzednich myślę, że Bóg mógłby zachować trzecie.

- Nie masz prawa kwestionować boskich wyroków, Em.

- Przestań być taka świętoszkowata. Stałaś się zasadnicza niczym sędzia.

- Wystarczy, Em! - przerwała Zuzanna bardziej surowo niż zamierzała. Emilia i Sara Jane spojrzęły

na nią wyraźnie zaskoczone. Taki gniew był czymś niezwykłym. - W drodze powrotnej przynieście do domu maślanekę - dodała już łagodnie.

- A gdzie jest dziś Mandy, skoro my musimy to wszystko załatwić? - spytała Emilia z niechęcią.

- Wyjechała na przejażdżkę z Toddem Haskinsem. Zjawił się wraz z siostrą i zaprosił ją niecały kwadrans temu.

Zuzanna znowu wyrabiała chleb. Z większą siłą, niż było to konieczne, ścisnęła rękami twarde ciasto. Haskinsowie byli bogatą rodziną plantatorów, członkami dobrze prosperującego kościoła episkopalnego, którego wysoka iglica od dawna była najwyższym punktem w Beaufort, przedstawiciele tej arystokratycznej kongregacji zwykle spoglądali z wyższością na rozwijających się dopiero baptystów. Lecz Mandy tak oczarowała Todda Haskinsa, że nie zważał na drobne bariery towarzyskie. Mimo to, zdaniem Zuzanny, znajomość nie miała przyszłości. Mało było prawdopodobne, by młody pan Haskins myślał o małżeństwie. Gdyby jednak taki problem zaistniał, różnica wyznań stałaby się drażliwą kwestią tak dla ojca, jak i dla Haskinsów.

- Sądzisz, że powinnaś na to pozwalać? - spytała Sara Jane, marszcząc czoło.

Doskonale rozumiała problemy siostry.

- A wytłumacz mi, dlaczego miałyby odmówić? Pan Haskins jest przystojny jak marzenie i do tego bogaty. Chciałabym, żeby ktoś taki mną się zainteresował i założył się, że ty też - oświadczyła Em.

- Zapominasz, że jestem zaręczona.

- Nie, nie zapominam, ale chciałabym, żebyś ty zapomniała. Szczerze mówiąc, jesteś najbardziej...

Jeśli się nie pośpieszycie, nastanie wieczór, zanim zdążycie przekroczyć próg! -

warknęła Zuzanna. Miała wrażenie, że ani chwili dłużej nie zniesie tej sprzeczki. Urażona Em natychmiast zamknęła usta, a Sara Jane ponownie obrzuciła siostrę zdumionym spojrzeniem.

Zuzanna tłukła ciasto, jakby walczyła ze swoim złym humorem. Kątem oka widziała, że siostry wzruszają ramionami i bez słowa wychodzą z domu.

Oddechnęła z ulgą. W końcu została sama. Kochała dziewczęta, ale ostatnio bywały nie do zniesienia. Em przeżywała zwykłe problemy wieku dojrzewania, Mandy przyciągała tuzinami adoratorów, a Sara Jane z każdym dniem stawała się bardziej zasadnicza. Wszystkie trzy wymagały taktownego postępowania, lecz dziś dyplomacja przekraczała jej możliwości.

- Dzień dobry.

Zatopiona w posępnych myślach Zuzanna drgnęła i obejrzała się nerwowo.

W drzwiach kuchni stał Connelly. Nie widzieli się od wczorajszego śniadania.

Unikała go; szukała dla siebie i siostr pracy poza domem: najpierw na podwórzu, a potem przy przygotowaniach do pogrzebu pani Cooper. I tak uczestniczyłyby w nabożeństwie jako córki pastora, lecz Zuzanna nakazała im wyszorować kościół od podłogi aż po dach, udekorować kwiatami, a potem ćwiczyć „Hymn do Stwórcy”, by mogły zaśpiewać w kwartecie. W rezultacie staruszka miała niezwykle piękny pogrzeb, a rodzina rozpląwała się w podziękowaniach. Tylko Zuzanna wiedziała, że większa ich część należała się słudze. Nie zrobiłaby tego wszystkiego, gdyby nie starała się trzymać siostr z dala od skazańca.

Dlatego właśnie dręczyło ją teraz poczucie winy.

- Czy Ben nie przyniósł ci śniadania? - Znowu zajęła się ciastem.

Nie musiała się oglądać, by widzieć Connelly'ego. Piracki wizerunek był trwale wyryty w jej myślach, o czym przekonała się z przerażeniem podczas dwóch ostatnich nocy.

Nawet w kościele obraz jego szczupłego, mocnego ciała i wilczych oczu nie chciał zniknąć.

W rezultacie miała za sobą trzecią bezsenność.

- Przyniósł, tak jak i wszystkie posiłki oprócz wczorajszego śniadania. Chyba powinienem być wdzięczny, że nie porzucono mnie, bym zmarł z głodu.

Tak, chyba powinieneś. Dlaczego wstałeś z łóżka? Naprawdę chcesz wiedzieć?

Przeszedł przez kuchnię i zniknął za tylnymi drzwiami. Zaskoczona Zuzanna zostawiła ciasto do wyrośnięcia i pobięła za nim. Co to on planował? Nie ufała mu ani za grosz! Chociaż, gdzie mógł iść bosy, ubrany w koszulę ojca? Stała w drzwiach, gdy właśnie schodził z ganku.

- Radzę, byś wróciła do środka, bo możesz zobaczyć coś nieprzystojnego - rzucił przez ramię. - Szukam klozetu. Klozetu?

Czybym zbyt wiele zakładał przypuszczając, że macie taki? Zrozumienie sensu pytania uderzyło ją z siłą spadającej cegły. Zuzanna zaczerwieniła się po uszy.

- Jest... tam na górce, za kurnikiem.

Wbiegła z powrotem do domu. Znowu wprowadził ją w zakłopotanie. I była przekonana, że wiedział o tym i to go bawiło. Gdyby była w lepszym nastroju, mogłaby uznać, że w tym szczególnym przypadku ona będzie się śmiać ostatnia. W Anglii pewnie używają fikuśnych klozetów, ale w Karolinie ludzie uważali się za szczęściarzy, gdy mieli drewnianą deskę nad dziurą w ziemi.

Wrócił dziwnie szybko, budząc tym podejrzenia Zuzanny, że jednak zrezygnował z wejścia na górkę.

- Czy zawsze jest tu tak piekielnie gorąco? Stał koło drzwi i wycierał pot z wilgotnego czoła.

- W tym domu nie przeklinamy. Wyrzuciła resztki ze śniadania do cebrzyka dla świń.

- Ale jest gorąco?

- Teraz jest trochę cieplej niż normalnie.

- Dzięki Bogu za to! Inaczej roztopiłbym się w ciągu tygodnia.

- Nie używamy tego imienia Pana nadaremno. I chciałam powiedzieć, że jest gorąco jak na maj. Chociaż w sierpniu będzie dużo cieplej.

- Chryste!

Connelly! - Spojrzała na niego groźnie. - Mój ojciec jest sługą bożym! W tym domu nie będziesz używał imienia Pana nadaremno! I nie będziesz przeklinał! Czy to jasne? Oparł

się o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi. Byłby żywym obrazem męskiej arogancji, gdyby nie śmieszne wrażenie, jakie wywierał tak potężny mężczyzna w przykrótkiej nocnej koszuli.

- Całkowicie, panno Zuzanno.

Jeśli nawet w tym zwrocie pojawił się cień drwiny, postanowiła to zignorować.

- To dobrze.

- Co to jest? - Skinął w stronę cebrzyka, stojącego na wyszorowanym drewnianym stole.

- Karma dla świń. - Wróciła do swego zajęcia.

- Świń! - powiedział to takim tonem, jakby nigdy nie słyszał o takich stworzeniach.

- Tak, dla świń. - Zuzanna z pewną satysfakcją dodała: - To jeden z powodów, dla których cię kupiłam: żebyś się nimi zajął.

- Chcesz, żeby się zajmował świniami?

Tak, chcę. Stała przed nim, trzymając cebrzyk w obu rękach. Raz tylko spojrzał na mieszaninę resztek jedzenia pływającą w pozostałościach po wczorajszym mleku i szybko odwrócił wzrok.

Zuzanna spojrzała na niego czujnie. Było jasne, że świńską karmę uznał za coś obrzydliwego.

- Czym się wcześniej zajmowałeś? - spytała powodowana prostą ciekawością.

Wprawdzie nigdy nie widziała Anglii, lecz była pewna, że muszą tam hodować świnie. Jeśli nigdy się nimi nie zajmował, to nie mógł być farmerem, Shay twierdził, że to człowiek wykształcony, co potwierdzała jego wymowa. Może pracował jako urzędnik? Choć to pewnie zawód wymagający zbyt wiele uczciwości. Kolejny raz uświadomiła sobie, że popełniła straszliwy błąd. Zastanowiła się, na jaką pomoc z jego strony może liczyć. A jeśli to jeden z tych, co boją się ciężkiej pracy?

- Och, to i owo. Nic ciekawego, zapewniam - oświadczył, potwierdzając jej najgorsze obawy.

- No więc tu będziesz pracował i to ciężko - obiecała posępnie, wyminęła go i wyszła z domu.

ROZDZIAŁ 12

Zuzanna nakarmiła świnie i wróciła do domu przez frontowe drzwi. Musiała nadłuszczyć drogi, by ratować przed Klarą nieostrożnego drozda. Chyłkiem przeszła na tyły domu, bojąc się w każdej chwili natknąć na Connelly'ego. Ze zdumieniem stwierdziła, że nigdzie go nie ma. Ani w salonie, ani w bawialni i kuchni. Ten człowiek w ciągu jednego dnia zdenerwował

ją bardziej niż najkłopotliwsi parafianie przez całe życie.

Gdzie on się podział?

Może wyszedł, by znowu odwiedzić przybytek na górze. Zuzanna postawiła wodę na ogniu, gdy zbliżała się pora południowego posiłku i postanowiła poszukać Connelly'ego na piętrze. Z pewnością nie był tak bezczelny, by zaglądać do ich sypialni, choć sądziła, że nie przekraczało to zbyt jego możliwości. Ale tam też go nie było.

Marszcząc brwi, Zuzanna wzięła leżące na podeście naręczce ubrań do prania i zeszła do kuchni. Gdzie on mógł być? Z brudnymi rzeczami podeszła do tylnych drzwi. Pranie zaplanowała na dzisiejsze popołudnie i chciała dołuszczyć tę porcję do stosu czekającego już na ganku.

Był tak blisko, że aż dziw, iż go nie usłyszała. Stał na ganku, pod ścianą kuchni, która wystawała za dom jak krótka laseczka litery L. Na ścianie wisiały balie i tary, a pod nimi wznosił się rosnący stos prania. Dla gości ustawiono tu umywalkę z mydłem, brzytwą, paskiem do jej ostrzenia, grzebieniem i małym lusterkiem. Connelly stał odwrócony plecami, pokrywając pianą górną część brody. Pochylał się lekko, zerkając w lustro. Włuszczył swoje brudne spodnie, które zostawił na ganku do prania. Stopy, łydki i tors miał zupełnie obnażone, jeśli nie liczyć bandaży na piersi. Zwinięta w kłębek nocna koszula ojca leżała u jego stóp. - Co ty tu robisz? - spytała.

Paradując po domu w za małej koszuli udowodnił już, że jest zupełnie pozbawiony wstydu. Teraz też wcale się nie przejmował, że jest na wpół nagi.

- Gole się. Chcesz popatrzeć? - obejrzał się przez ramię i było jasne, że dostrzegł jej zmieszanie.

Oczywiście widział ją w lustrze. Z pewnością dobrze się przyjrzał rumieńcom.

Zuzanna zaczerwieniła się jeszcze bardziej i znów miała ochotę cisnąć czymś w niego. Ale wystarczająco się już wygłupiała. Ona tu była panią, a on sługą, więc postanowiła zachowywać się z godnością.

- To dobrze, Źe czujesz się lepiej. MoŹe jutro będziesz gotów do przejęcia niektórych obowiązków. Tych lŹszych, naturalnie. - Nic nie mogła poradzić na rumieniec, płonący wciąż na policzkach, ale przynajmniej głos miała spokojny.

- Takich jak karmienie świń? - Przesunął brzytwą po pasku, a potem przytknął ostrze do policzka.

- I karmienie kur, noszenie wody, dogładanie koni, sadzenie...

- Chwileczke! Powiedziałaś: niektore obowiązki.

- To sa niektore obowiązki. Mam nadzieję, Źe nie jesteś leniwy.

Ja teŹ. Przekonamy się jutro, prawda? Odwrócił głowe i zmierzył ją niemal drwiącym spojrzeniem. Prawie ćwierć twarzy oczyścił juŹ z zarostu i zaczynał wyglądać inaczej, nie tak dziko.

- W tym domu kto nie pracuje, ten nie je - oświadczyła i ruszyła do kuchennych drzwi.

Po kilku minutach wróciła, niosąc parę szarych pończoch, którą właśnie skończyła robić i kolejną koszulę ojca. Oczywiście będzie beznadziejnie mała, ale nie miała nic innego.

Lepsze to, niŹ Źeby chodził z odkrytą piersią. To, co zostało z jego własnej, po wypraniu nadawało się tylko na szmaty.

- Kiedy skończysz, moŹesz załoŹyć te rzeczy. Nie wiem, jak to wygląda w Anglii, ale tutaj dbamy o skromność. Spodziewam się, Źe w przyszłości będziesz pilnował, Źeby ubierać się przyzwoicie.

- JuŹ skończyłem. - Connelly odwrócił się od umywalki i recznikiem ścierał resztki mydła. - A jeŹeli chodzi o skromność, to widziałas mnie całego, bo przecieŹ to ty mnie myłaś, prawda? Wiec nie rozumiem w czym rzecz.

- Opieka nad chorym człowiekiem to coś innego niŹ nieustanne spotkanie nieubranego zdrowego. Zwłaszcza gdy w domu sa młode damy. Muszę myśleć o siostrach.

Ach, te trzy ćwierkające ptaszki z aukcji. Pamiętam je. Cisnął recznik w kierunku nocnej koszuli. Zuzanna miała go właśnie poinformować, Źe stos bielizny do prania leŹy w przeciwnym kierunku, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa. Nie potrafiła oderwać wzroku od jego twarzy. Przez chwilę stała wpatrzona w niego zupełnie oglupiała.

Był oszałamiająco przystojny. Nawet w najbardziej szalonych snach nie domyśliłaby się, ile męskiej

urody moŝe ukrywać gęsta broda. Miał wysokie kości policzkowe, szczękę jakby wyciosaną w marmurze, kwadratowy podbródek z niewielkim zagłębieniem pośrodku i idealnie wyrzeźbione usta. I był młody. Za młody. Niemal w tym samym wieku co ona.

Zdumienie we wzroku Zuzanny zastąpiła groza, gdy pojęła, co właściwie zrobiła.

Tym razem naprawdę wpuściła lisa do kurnika. Siostry, a przynajmniej Mandy i Em, oszaleją, gdy go zobaczą.

Podskoczyła jak oparzony kot, słysząc zajeŝdŝający przed dom powóz.

- Co ci jest? - spytał marszcząc brwi.

Włóŝ tę koszulę - syknęła. Odwróciła się szybko, aŝ spódnica zawirowała, i pobiegła, by zatrzymać Mandy przy drzwiach. Nie mogła wprawdzie zabronić siostrze patrzenia na ich sługę, ale mogła przynajmniej nie dopuścić, by zobaczyła go półnagiego. Ale to twarz stanowiła prawdziwy problem. Jak długo rośnie męska broda?

Mandy machała ręką Toddowi Haskinsowi i jego siostrze. Powozik właśnie odjeŝdŝał

i Zuzanna teŝ zdołała skinąć niepewnie ręką w odpowiedzi na ich pozdrowienia. I pomyśleć: jeszcze tego ranka martwiła się, ŝe Todd Haskins zawróci Mandy w głowie. Dwudziestoletni chłopak z ładnymi blond włosami i brodą był jakoŝ tam przystojny na swój nieopierzony sposób. Ale nawet w połączeniu z majątkiem i pozycją rodziny nie stanowił ŝadnej konkurencji dla tego szarookiego diabła, którego osobiŝcie sprowadziła do domu. Zuzanna niemal jęknęła. Mandy będzie wstrząŝnięta.

- Pomyśl tylko, Zuzanno, pan Haskins powiedział, ŝe jego matka wydaje wielkie przyjęcie! Będzie muzyka i tańce, a panna Haskins powiedziała, ŝe na pewno mnie zaproszą!

Mandy była juŝ prawie na werandzie. Z zaróŝowionymi podnieceniem policzkami wyglądała piękniej niŝ kiedykolwiek. Sukienka z prostego, białego perkalu w róŝane pączki idealnie podkreślała jej figurę. Słomkowy kapelusz, który Zuzanna osobiŝcie przybrała wstąŝkami, doskonale pasował do stroju. Z lękiem uŝwiadomiła sobie urodę siostry i poczuła, jak zamiera jej serce.

Na własnej skórze doŝwiadczyła, jakim opryskiem jest Connelly. Jeŝeli nie powstrzymał swych odruchów przy niej, to z pewnością nie utrzyma rąk z dala od takiej ślicznotki jak Mandy, ani z powodu dŝentelmeŝkiej przyzwoitoŝci, ani z szacunku dla jej młodoŝci i niewinnoŝci. Co do Mandy, Zuzanna zadrŝała na myŝl, jak trudno będzie utrzymać siostrę z dala od Connelly'ego, gdy juŝ raz go zobaczy.

- Baptyŝci nie tańczą, skarbie - mruknęła z roztargnieniem, gdy Mandy uniosła suknię i weszła na werandę.

Ale ten jeden raz... - Mandy ucichła i rozszerzonymi oczami spojrzała ponad ramieniem siostry. Zuzanna nie musiała się nawet oglądać, by wiedzieć, co wywołało ten wyraz na twarzy dziewczyny. Drzwi były tuŝ za nią i z pewnością stanął w nich Connelly.

Wiedziała o tym tak dobrze, jakby widziała to na własne oczy.

- To nie może być ten skazaniec - szepnęła Mandy.

Wtedy Zuzanna odwróciła się. Connelly przyglądał się Mandy z wyraźnym zachwytem. Co za łobuz! Jeśli dotknie choćby palcem lub urazi jednym słowem jej małą siostrzyczkę, którąkolwiek z jej małych siostrzyczek, podziurawi mu skórę śrutem! Miała zamiar go o tym uprzedzić. Natychmiast!

- Pani musi być siostrą panny Zuzanny. - Głos urzekał niemal tak samo jak wygląd tego mężczyzny. Głęboki i szemrzący był zdumiewająco atrakcyjny, zwłaszcza teraz, gdy wydobywał się z gardła takiego zdobywcy niewieścich serc, a nie gbura. Powinien wyglądać śmiesznie, stojąc w pończochach, okropnych spodniach i w koszuli ojca, naciągniętej na ramionach do granic wytrzymałości. Ale nie. Wyglądał znakomicie, o wiele lepiej niż

jakikolwiek mężczyzna, którego Mandy, zresztą także i Zuzanna, kiedykolwiek widziała.

Koszula nie dopinała się, choć wcisnął jej brzegi do spodni, jak należy. Głęboki trójkąt piersi był odsłonięty, ukazując wszystko: poczynając od pulsu w dołku pod szyją, poprzez spory klin czarnych włosów, aż do zwojów białego bandaża, które na szczęście zakrywały to, co jeszcze znalazłoby się na wystawie.

- Jestem Mandy.

- Panna Amanda - poprawiła Zuzanna, spoglądając groźnie na Connelly'ego.

Przeniósł wzrok z Mandy na Zuzannę i nagle oczy rozbliły mu wesołością.

- Biegnij na górę i przebierz się, skarbie. Jesteś mi potrzebna, żeby przynieść parę rzeczy z ogrodu. - Zuzanna starała się mówić spokojnie.

Och... no dobrze. - Mandy obejrzała się przez ramię na siostrę, jakby właśnie przypomniawszy sobie, że ta tam stoi. Musi być oczarowana Connellym, pomyślała posępnie Zuzanna, jeśli tak bez słowa zgodziła się zbierać warzywa. Mandy nienawidziła wszelkich robót ziemnych.

- A ty jesteś mi potrzebny w kuchni - rzuciła w stronę Connelly'ego, gdy odstąpił, przepuszczając Mandy przez drzwi.

Uśmiechnął się do jej siostry, bardzo lekko, lecz rezultat był niesamowicie zmysłowy.

Zuzanna, czując, jak mocno sama reaguje na ten lekki ruch warg, miała ochotę kopnąć i siebie, i Connelly'ego.

- Tak, proszę pani - powiedział.

Zdała sobie sprawę, że on z niej kpi. Choć twarz miał poważną, w lśniących, szarych oczach czaiło się rozbawienie. Ignorując ironiczne spojrzenie, Zuzanna wyminęła go i weszła do domu.

- Jak się nazywasz? - Mandy stanęła przy schodach, oglądając się na Connelly'ego, który kroczył za Zuzanną. Rzuciła mu zalotne spojrzenie, ale w końcu flirtowałyby nawet ze słupem od bramy, przypomniawszy sobie Zuzannę, broniąc się przed całkowitą rozpaczą. -

Campbell, Crane, tak jakoś?

- Connelly - odparł szubrawiec. - Ian Connelly.

- Connelly - Mandy uśmiechnęła się zniewalająco. - Jak to miło, że będziesz u nas mieszkał. Jestem pewna, że poczujesz się tutaj szczęśliwy.

- Z pewnością, panno Mandy.

- Jarzyny, Amando - przypomniała Zuzanna groźnym tonem.

Już idę, kochana Zuzanno. Słodka jak melasa odpowiedź - kochana Zuzanno - widział

to kto! A potem nastąpiła prawdziwie natchniona demonstracja tego, jak można uwodzicielsko iść po schodach. Spódnica uniesiona z przodu tak, by ukazać łuk zgrabnego, małego siedzenia i dyskretny kawałek pończoszki u kostki, rozkołysane biodra, plecy wyprostowane. Co za łasica! Gdzie ona się nauczyła tak poruszać?

Zuzanna obiecała sobie, że w najbliższej przyszłości musi bardzo poważnie porozmawiać z Mandy.

- Potrzebowałaś mnie w kuchni? - zabrzmiał uprzejmy głos Connelly'ego.

Zuzanna dałaby się zwieść, gdyby nie zdradziły go oczy. Błyszczały rozbawieniem bardziej niż kiedykolwiek.

- Jeśli się ośmielisz... - zaczęła rozgorączkowanym szeptem, lecz przerwał jej śmiech Em i kroki na werandzie.

Do domu weszły Emilia, a za nią Sara Jane. Przez jedną chwilę, nim przyzwyczajone do blasku słońca oczy przystosowały się do półmroku korytarza, nie zdawały sobie sprawy z obecności Zuzanny i Connelly'ego.

- Myślisz, że pani Likens naprawdę uderzyła okiem o drzwi? - spytała niepewnie Emilia. Sara Jane skrzywiła się.

- Przypuszczam, że to możliwe, ale wydaje mi się, że te drzwi to była pięść Jeda Likensa.

- Ale przecież on... Emilia dostrzegła nagle dwie postacie, stojące w milczeniu obok schodów.

Urwała w pół słowa i zamrugła zaskoczona. Gdy dotarła do niej pełna gloria odmienionego wyglądu Connelly'ego, otworzyła usta, a potem zarumieniła się zmieszana.

- Wielkie nieba! - zawołała, unosząc dłoń do ust.

Sara Jane zachowała więcej przytomności umysłu i ograniczyła swoją reakcję do jednego omięcenia wzrokiem twarzy mężczyzny.

- To panna Sara Jane i panna Emilia - powiedziała zwięźle Zuzanna, wskazując ruchem głowy dziewczęta. - Jak widzicie Connelly już prawie wrócił do zdrowia.

Pamiętałyście o maślance?

- Została na werandzie - odparła Sara Jane.

- Connelly, przenieś ją do kuchni, dobrze? A wy idźcie się przebrać. Jest jeszcze dużo pracy.

- Zawsze jest dużo pracy - jęknęła Emilia.

- Zawsze jest co jeść, w co się ubrać i gdzie się schronić, więc nie powinnaś narzekać.

- Tak, to rzeczywiście prawda - przyznała Sara Jane, popychając młodszą siostrę po schodach. - Zresztą sama wiesz, co mówi Pismo o beczynnych rękach.

- Och, czy mogłabyś choć raz zamilknąć? Mam już dość twoich wiecznych kazań!

Zniknęły za zakrętem. Connelly stanął w drzwiach z dzbanem w ręku. Zuzanna zacisnęła wargi i ruszyła w stronę kuchni. Wszedł za nią i postawił maślanek na stole.

Zuzanna podeszła do skrzyni na mąkę, wyrzuciła z misy ciasto i zaczęła formować bochenek chleba. Nie musiała o tym myśleć. Tyle razy szykowała chleb, że mogłaby to robić przez sen.

- Jeśli co się ośmielę? - zapytał, opierając biodro o stół i splatając ręce na piersi.

Zuzanna znieruchomiała. Palce wbiły się głęboko w ciasto, niszcząc kształt bochenka.

Skierowała na niego gniewny wzrok.

- Jeśli ośmielisz się choćby spojrzeć niewłaściwie na Mandy, Sarę Jane, czy nawet Em, wezmę dubeltówkę i podziurawię cię jak rzeszoto - syknęła.

ROZDZIAŁ 13

- Chcesz zachować mnie tylko dla siebie, co? - zapytał ten zuchwalec, najwyraźniej nie poruszony groźbą.

Z misy na stole wziął największe jabłko i z wyraźną rozkoszą wbił w nie zęby.

Zuzanna patrzyła na niego oniemiała. Pytanie w tak oczywisty sposób było prowokacją, że poczuła, jak opadają z niej emocje. Starannie formowała zniszczony przed chwilą bochenek, po czym położyła go na blasze.

- Nie Śartowałam i ostrzegam cię - powiedziała.

- Panna Mandy...

- Panna Amanda!

- Panna Amanda zatem, jest z pewnością śliczna, ale odrobinę za młoda jak dla mnie. A pozostałe dziewczęta nie są raczej w moim guście. Nie masz więc powodów do zazdrości.

Zazdrości! Przez chwilę Zuzanna nie potrafiła wykrztusić ani słowa więcej. I wtedy, gdy była gotowa zniszczyć go kaŃdą bronią, jaka wpadłaby jej pod rękę, powstrzymał ją kpiący błysk w szarych oczach. Świadomie ją draŃnił, a jedynym powodem, jaki przychodził

jej do głowy, było, Ńe lubił patrzeć jak wpadała w gniew. O, na pewno nie da mu tej satysfakcji. Schyliła się i podniosła kosz, który przyniosła z piwnicy.

- MoŃesz je obrać - powiedziała, nazbyt energicznie stawiając kosz na stole i kładąc obok nóż. - LŃejszej pracy nie potrafię ci wymyŃleć.

Co to jest, do diabła? Pokonany w grze drwin, która wyraźnie dawała mu duŃo radoŃci, Connelly odgryzł wielki kawałek jabłka i marszcząc brwi przyjrzał się zawartoŃci kosza.

- Przeklinasz - zauwaŃyła surowo.

- „Diabeł” to przekleŃstwo?

- Owszem - otworzyła drzwiczki kredensu i zaczęła przestawiać słoiczki w poszukiwaniu suszonych ziół.

- A ja myŃlałem, Ńe jestem bardzo delikatny. Sama widzisz, Ńe próbuję się dostosować do twoich wymagaŃ. Jestem nawet skłonny obierać te twoje dziwne jarzyny.

- To jest rzepa.

- Aha. SkoŃczył jabłko i połoŃył ogryzek na stole.

- MoŃesz go wrzucić do tego cebrzyka. Trzymam w nim resztki dla Ńwiń. - Wskazała wiadro.

Connelly, z wyrazem lekkiego obrzydzenia, podniósł ogryzek i rzucił w stronę wiadra.

Ogryzek wylądował z cichym stukiem dokładnie w celu. Zuzanna powróciła do kredensu.

Poszukiwany słoik stał na półce wprost przed jej nosem.

- Ta rzepa jest mi potrzebna szybko, Ńeby zdąŃyła się ugotować.

Po tej uwadze Connelly usiadł przy stole, wziął jedną ręką rzepę, a w drugą chwycił

nóŚ.

- Co mam z nimi zrobić? - Obrócił rzepę w dłoni, przyglądając się jej z wyraźną podejrzliwością.

- Obierz ją, przecieŚ mówiłam. Potem potnij na ćwiartki i wrzuć tutaj. - Z

rozmachem postawiła na stole Śeliwny garnek.

Tak, proszę pani. Nie chciała zostawiać go samego na wypadek, gdyby któraś z dziewcząt przebrała się szybciej niŚ zwykle i zjawiła w kuchni. Jednak musiała przynieść z wędzarni wieprzowe nóŚki, które zamierzała ugotować wraz z rzepą.

- Zaraz wracam - rzuciła groźnym tonem i wybiegła tak szybko, Śe gdy wróciła, z trudem chwyciła oddech.

Connelly nadal był sam. Siedział przy stole, pochylając głowę nad rzepą, przy której pracownicy operowali noŚem. Był tak skupiony, Śe ledwo na nią spojrział.

Zuzanna rozszerzonymi oczami spojrzała na kupkę pociętych rzep w garnku. Była maleńka, choć kosz został juŚ w trzech czwartych opróŚniony.

- Co zrobiłaś z rzepą? - spytała zdumiona.

- Powinnaś raczej spytać, co rzepa zrobiła ze mną - odparł kwaśnym tonem. -

Skaleczyłem się w palec.

Jakby na dowód, podniósł w górę zraniony kciuk. Maleńkie zadrapanie na czubku było ledwie zaczerwienione od krwi. Coś takiego nie zasługiwało na współczucie.

- Gdzie jest reszta? - Zuzanna połoŚyła nóŚki na rogu stołu i podeszła bliŚej, by zajrzeć do garnka.

- Reszta czego?

- Rzepy!

Cała jest tutaj. Co myślisz, Śe zerwałem się i wyniosłem gdzieś, kiedy ciebie nie było?

Zuzanna zmierzyła go niechętnym spojrzeniem. Czubaty kosz rzepy starczył na nie więcej niŚ

ćwierć garnka, który powinien być pełen po brzegi.

I wtedy zrozumiała. Przesunęła wzrok z niekształtnych białych brył w garnku na leŚące na stole obierki i zobaczyła, Śe to tam pozostała większa część mięŚsu.

- Patrz coś narobił!

- Co?

- Skroilię po pół rzepy! Connelly zmarszczył brwi i nie rozumiejąc wpatrywał

się w stos obierek.

- Wcale nie!

Tego, co zostało ledwie wystarczy po łysce dla każdego! Czy nigdy w syciu nie obierałeś warzyw? Zuzanna była bardziej wstrząśnięta niż zagniewana. Oparła rękę o oparcie krzesła, na którym siedział Connelly, i z niedowierzaniem kręciła głowę. Nagle uświadomiła sobie jak wysokim był mężczyzną. Siedząc, sięgał do jej ramienia. Odchylił głowę, by spojrzeć jej w twarz i musnął dłoń włosami. Umyte i uczesane gęsie palma były czarne jak skrzydło szpaka i odrobinę podkrecone na końcach. Zaniepokojona, że zauważyła takie drobiazgi, szybko cofnęła dłoń.

- Muszę wyznać, że obieranie jarzyn nie jest zajęciem, które miałem okazję wykonywać - powiedział Connelly.

To widać - Zuzanna wzięła nóż i zreżymowała się z kilkoma pozostałymi rzepami. - Widzisz jak to się robi? Usunęła tylko cieniutką warstwę skórki, pozostawiając dużą białą rzepę, którą wrzuciła na szczyt ich niekształtnych krewniaczek w garnku. Potem uratowała ile mogła z okaleczonych warzyw. W końcu wzięła wieprzowe nożyki, by wrzucić je do garnka.

- Co to jest? - Zmarszczył brwi, patrząc na różowe mięso.

- Nożyki. - Z garnkiem w ręku odeszła, by nalać wody.

- Nożyki? Ale wyglądają jak... jak świńskie nogi.

- Bo to są świńskie nogi. - Zuzanna spojrzała na niego przez ramię.

- Jecie tu rzepę i świńskie nogi? Mówił to tonem tak pełnym odrazy, że musiała się uśmiechnąć.

- Owszem. Są znakomite, możesz mi wierzyć na słowo. Ale dzisiaj zmarnowałeś tyle rzepy, że będziemy musieli dodać jeszcze jajka.

- Z jajkami sobie poradzę. Lubię ugotowane na miękko.

- Doprawdy? - Zuzanna zawiesiła garnek na stojaku nad ogniem. - Mam nadzieję, że lubisz nie tylko jeść, ale i zbierać. Kurnik jest na zbiegu. Widać go przez tylne drzwi.

- Chcesz, żebym zebrał jajka? - zapytał z powątpiewaniem. Lecz Zuzanna nawet tego nie zauważyła, zajęta innym problemem.

- Będziesz musiał włożyć chodaki papy. Stoją na ganku. Są naturalnie za małe, ale jakoś wcisniesz tam palce.

- Dziękuję bardzo, ale wolę własne buty.

- Twoje buty Ben zaniósł do miasta, żeby zamówić ci jakąś solidną parę. Na jajka weź ten kosz, w którym była rzepa. I pośpiesz się, proszę. Mam na głowie nie tylko gotowanie.

Odsunął krzesło i wstał.

- Mówisz, że jajka są w kurniku?

Pod górką. - Skinęła głową, odmierzając mąkę na kluski, niezbędne dla dopełnienia posiłku.

Zawahał się przez sekundę, po czym chwycił kosz i bez słowa wymaszerował z domu.

Przez kuchenne okno widziała jak podąża wydeptaną ścieżką. Szedł trochę niezgrabnie, próbując utrzymać na nogach za małe chodaki ojca. Kosz trzymał pod pachą, a Brownie biegła obok niego.

Mandy weszła do kuchni ubrana w błękitną sukienkę, która zupełnie nie nadawała się do prac w ogrodzie. Zalotny uśmiech kwitł na twarzy dziewczyny do chwili, gdy rozejrzawszy się po kuchni stwierdziła, że siostra została sama.

Zuzanna wrzuciła kluski do wrzątku i wycierając ręce zmarszczyła brwi.

- Jeśli chodzi ci o Connelly'ego, to poszedł zebrać jajka.

- Och. - Była wyraźnie rozczarowana, ale natychmiast rozpromieniła się znowu. - To nie powinno długo potrwać.

Zuzanna miała nadzieję, że nie będzie musiała niczego Mandy zakazywać.

Doświadczenie mówiło jej, że takie działania zwykle przynoszą przeciwny efekt. Lecz błysk w oczach siostry zwiastował kłopoty. Zawsze istniała możliwość, że kilka spokojnych słów skłoni Mandy do zastanowienia się, zanim zrobi coś nieprzemysłanego.

- Amando. Pamiętaj, że to nasz służy. Co więcej, jest skazańcem. Zupełnie się nie nadaje na adoratora. Możesz flirtować z Toddem Haskinsem, Hiramem Greerem, czy z kimkolwiek ci się spodoba, lecz zostaw Connelly'ego w spokoju. Słyszałaś?

- Ale on jest wspaniały, Zuzanno! Kto by pomyślał... kiedy przywiozłyśmy go do domu był przecież cały brudny i sparszywiały.

- Nie słuchasz mnie, Amando! Rzadko ci czegoś zakazuję, ale teraz to zrobię. Masz trzymać się z daleka od Connelly'ego! Ten człowiek jest niebezpieczny!

- Naprawdę tak myślisz? - Z tonu Mandy wynikało, że taką myśl uznała za bardzo emocjonującą.

Zuzanna aż zgrzytnęła zębami. Powinna się zastanowić, zanim powiedziała coś takiego. Czyby posiadała gdzieś swój zdrowy rozsądek?

- Zawrzyjmy umowę. Czy chcesz iść na przyjęcie do Haskinsów? Mandy szeroko otworzyła oczy.

- Bardziej niż czegokolwiek na świecie!

- Jeśli będziesz się odpowiednio zachowywać wobec Connelly C go, puszcę cię tam. Pamiętaj, że będę mieć oczy otwarte, więc nie licz na to, że zdołasz mnie oszukać.

- I pozwolisz mi tańczyć?

- Tak daleko bym się nie posunęła. Możesz oglądać tańce.

No dobrze. Tylko pozwól mi iść. Papa nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że puściła Mandy na przyjęcie, gdzie będą tańce. Nauki ich kościoła surowo traktowały takie kontakty między parami nie połączonymi węzłem małżeńskim. Z drugiej strony, alternatywa była o wiele gorsza. Connelly mógłby nie tylko zaszkodzić reputacji Mandy. Zuzanna nie miała zamiaru tłumaczyć tego ojcu. Jeśli przez ostatnie dziesięć lat czegoś się nauczyła, to tego, że wobec konieczności wychowania trzech pełnych życia dziewcząt trzeba czasem poświęcić wzniosłe zasady wyznawane przez ojca.

- W porządku. Pójdiesz, jeśli tutaj będziesz odpowiednio się zachowywać.

Umowa stoi?

Mandy zawahała się, po czym skinęła głową, a na twarz powrócił jej promienny uśmiech.

- Och, Zuzanno, naprawdę mogę tam iść? Nie myślałam... Jestem taka podniecona.

- Tak, to widać. Tylko nie rozpowiadaj o tym dookoła. Niektórzy parafianie mogą to uznać za skandaliczne. - Mimo wątpliwości musiała się uśmiechnąć, widząc ogromną radość siostry.

- Jesteś dla mnie taka dobra! Czy znajdziesz chwilę czasu, by uszyć mi sukienkę?

Ten zielony jedwab, który kupiłam przedwczoraj, jak raz się nada! - Wirując po kuchni, zatrzymała się tylko po to, by z entuzjazmem uściskać siostrę.

Jeśli masz pójść, to chyba musisz mieć nową sukienkę. - Zuzanna odpowiedziała serdecznym uściskiem, lecz gdy tylko ją wypuściła, Mandy znów zawirowała. Zuzanna obserwowała dziewczynę z pobłażliwym uśmiechem. Jakie to uczucie być tak młodą?

- Muszę powiedzieć o tym Em i Sarze Jane. Czy one też mogą iść?

Em jest za młoda, a Sara Jane raczej nie będzie chciała. Ale Mandy wybiegła już z kuchni, by wiadomością o swym szczęściu podzielić się z siostrami. Zuzanna spoglądała za nią z uśmiechem. Wychowanie Mandy wymagało więcej pracy niż przy dwóch pozostałych dziewczętach razem wziętych, i w najbliższej przyszłości trudno było oczekiwać jakiejś zmiany. Lecz gdyby nawet było to możliwe, nie chciałyby zmienić ani jednego włosa na głowie siostry. Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Jednak nie. Było kilka drobiazków, które dałoby się poprawić, ale naprawdę niedużo. A gorące serce Mandy z naddatkiem wyrównywało te wady.

Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że jarzyny wciąż czekały w ogrodzie. Otworzyła usta, by

zawołać siostrę, ale zamknęła je znowu. Będzie prościej i szybciej, gdy pójdzie po nie sama.

Chwyliła kosz, wyszła tylnymi drzwiami i zeszła z werandy. Ledwo zdążyła postawić stopę na trawie, gdy wybuch szaleńczego ujadania Brownie ściągnął jej spojrzenie w stronę górki.

Zobaczyła jak Connelly wybiega z kurnika osłaniając głowę, a rozwścieczona ruda kwoka skrzeczy i macha skrzydłami uczepiona pazurami jego koszuli.

ROZDZIAŁ 14

- Przeklęty potwór! Złaż ze mnie! - Connelly uchylał się i okręcał, próbując zrzucić rozgniewanego ptaka. Zuzanna pobięła mu na ratunek.

- Przestraszyłeś ją! Przestań machać rękami!

Ja ją przestraszyłem!? Co wy tu hodujecie, kurzych morderców? Wreszcie udało mu się zrzucić kwokę na ziemię. Brownie, ujadając histerycznie, skoczyła w jej stronę, a w tej samej chwili pół tuzina innych skrzeczących kur wyfrunęło przez otwarte drzwi kurnika i przeleciało niecałe pół metra nad głową Connelly'ego. Ten uchylił się, osłaniając ręką i przeklinając. Uwolniony ptak rzucił się do ucieczki, ścigany przez Brownie, która od lat nie miała takiej zabawy. Całe stado wylądowało niezgrabnie na pobliskim drzewie, a podniecony pies podskakiwał do połowy wysokości pnia. Zuzanna wybuchnęła śmiechem. Śmiała się długo i głośno, aŜ rozboleły ją Œebra. W Œyciu nie widziała nic bardziej śmiesznego.

- Zabawne, co? - Wyprostował się, splótl ręce na piersiach i popatrzył na nią niechętnie.

- Owszem. - Otarła załzawione oczy. - Na imię jej Eliza, ma dziesięć lat. To bardzo kochana kwoka.

- Diabelnie pogryzła mi dłonie.

- Przeklinasz.

- A tak, przeklinam.

- No dobrze - ustąpiła Zuzanna z chichotem, który lada moment mógł zmienić się na powrót w głośny śmiech. - MoŜe tym razem masz powody. Naprawdę cię pogryzła? Nie, oczywiście, Œe nie. Kury nie mają zębów, więc nie mogą gryźć. Tylko cię podziobała.

- I to wszystko? Bolało jak dia... jak lichy, mogę cię zapewnić.

- A co ty jej zrobiłeś?

- Nie mogłem znaleźć Œadnego jajka, a te ptaszyska siedziały dookoła patrzyły na mnie i gdakały. Pomyślałem, Œe moŜe ukrywają jajka, więc próbowałem zgonić je z gniazd. I wtedy tamta kura na mnie napadła.

Ojej - rzuciła drŜącym głosem Zuzanna i znów się roześmiała. Mogła sobie wyobrazić prawie

dwumetrowego, groźnego mężczyznę, przestraszonego jasnym spojrzeniem kwok.

Sądząc po wyrazie twarzy, nie podzielał jej rozbawienia, więc po krótkiej chwili bohatersko stłumiła chichot.

- Tylko mi nie mów, że nigdy wcześniej nie zbierałaś jajek.

- Nie, nie zbierałam.

- A czy kiedykolwiek byłaś na farmie?

- Oczywiście, że tak.

- Byłaś?

- żeby odebrać dzierżawę - wyznał nieco posępnie. Zuzanna uniosła brwi, a Connelly wzruszył ramionami.

- Tym się zajmowałam... kiedyś.

- Nie obierałaś jarzyn, nie zbierałaś jajek. Umiesz orać? Nie, oczywiście nie umiesz.

A co potrafisz, jeśli wolno spytać? Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek.

- Potrafię ścigać się konno, powozić z dokładnością do cala, tańczyć, upić do nieprzytomności każdego kogo wskażesz, grać w karty i wygrywać, zestrzelić knot świecy z pięćdziesięciu metrów, a także wiele innych rzeczy, których teraz jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

- Aha. - Zuzanna wysłuchiwała tej listy z dziwnie niewyraźną miną. Potem pewniejszym tonem dodała: - Shay, ten handlarz, mówił, że umiesz czytać i pisać.

- O tak. Umiem. Co za niedbalstwo, że o tym nie wspomniałem. Nie mów tylko, że ty nie potrafisz.

- Potrafię i moje siostry także, ponieważ nasz ojciec jest człowiekiem uczonym i dał nam wykształcenie.

- Bardzo przewidująco z jego strony.

- Powiedziałaś, że kiedyś zbierałaś podatki. Jak jeszcze zarabiałaś na życie?

Connelly zawahał się.

- Jakoś sobie radziłem - stwierdził wymijająco.

- Naprawdę? Sądząc po twojej obecnej sytuacji można uznać, że nie radziłeś sobie najlepiej.

- Nie masz pojęcia, z jakich powodów się tutaj znalazłem.

- Chętnie posłucham, jeśli masz ochotę opowiedzieć.

- Zapewniam cię, że nie potrzebuję spowiedniczki. - W jego głosie zabrzmiała nagle wrogość. Zuzanna zacisnęła wargi.

- Przekonałam się, że każdy ma czasem chęć, by porozmawiać o swoich kłopotach.

To sąden wstyd. Tak samo jak nieznamość pracy na farmie, choć kiedy cię kupowałam, miałam nadzieję... Ale za późno na to. Może będziesz mógł pomóc mi przy księgach i papie przy kazaniach. On nie widzi już zbyt dobrze i potrzebny mu jest ktoś, kto by je zapisał. A ja nauczę cię farmerstwa.

Mówisz serio? - W jego głosie zabrzmiała śmiała nuta. Zuzanna spojrzała na niego i dostrzegła, że się uśmiecha. Nie był to ten zmysłowy uśmiech, którym obdarzył Mandy, a jednak szczery. Rozbawienie błysnęło w jego oczach, rozjaśniając szare głębie. Zuzanna ponownie uświadomiła sobie, jak bardzo jest przystojny. Był fizycznym wcieleniem kobiecych marzeń.

- Oczywiście - odparła surowo. - Zaczniemy natychmiast. Chodź ze mną, pokażę ci jak zbiera się jajka.

- Wolałbym nie.

- Chyba nie jesteś tchórzem? Eliza i reszta wciąż siedzą na drzewie. W kurniku zostało ich nie więcej niż tuzin.

To pocieszające - mruknął, ale wszedł za nią do wnętrza, pochylając się w niskich drzwiach. Tuż za progiem Zuzanna potknęła się o jeden z chodaków ojca. Obejrzała się i stwierdziła, że Connelly jest w samych pończochach. Były zabłocone i prawdopodobnie mokre. Nagle poczuła się przy nim swobodniej.

- Masz jeden z twoich butów. - Wskazała ręką, a widząc następny na stosie siana, dodała: - A tam leży drugi.

- Dziękuję, ale wolę zostać boso. Na wypadek gdybyśmy musieli uciekać.

Nie opowiadaj bzdur. Obok drugiego buta leżał kosz ze zgniecionym dnem.

Najwyraźniej nadepnął na niego, próbując jak najszybciej wynieść się z kurnika. Kosz nie nadawał się do niczego.

- Jeśli poszukasz w pustych gniazdach na pewno znajdziesz kilka jajek.

Tak, ale czy nie zaatakują mnie te straszniczki? Z drżeniem obserwował dziesięć pozostałych kwok. Spoglądały na niego nieruchomo małymi lśniącymi oczkami. Zuzanna zbierała jajka od czasu, gdy potrafiła chodzić. To zadanie zlecano zwykle najmłodszym członkom rodziny. Dlatego jego ostrość uznała za równie zabawną jak rozczulającą.

Wsunęła rękę pod opierzoną pierś, pomacała dookoła i wyjęła jajko. Kwoka zagdakała, ale nie próbowała dziobać.

- Widzisz? - powiedziała tryumfująco, trzymając jajo na wyciągniętej dłoni. - A masz nade mną znaczną przewagę. Jesteś wysoki i sięgniesz do wszystkich gniazd, podczas gdy ja muszę podstawić sobie stółek.

Podwinęła brzeg fartucha, by tam wkładać jaja. Sięgnęła pod następną kwokę, ale nic nie znalazła. Connelly nie spuszczał oczu z najbliższych kur w gniazdach. Ostrośnie postąpił

o krok, potem drugi i stanął tuś przy niej. Znalazł się całkiem blisko, gdyś kurnik, podobny do szopy z równymi rzędami skrzynek wypełnionych sianem, zwęśał się przy końcu. Gdy musnął nogami suknię, kurnik wydał się nagle Zuzannie zbyt ciasny.

- Sprawdź górne gniazda. Ja tam nie sięgnę. - Tyle tylko zdołała powiedzieć bez drśenia w głosie.

Łatwo temu zaradzić - odparł. Zuzanna poczuła dłonie, ściskające ją w talii, a chwilę potem uniosła się w górę. Przeraśona, zapomniała o przytrzymaniu fartucha i jedyne znalezione jajo spadło na ziemię. Sięgnęła do pasa i instynktownie pochwyciła go za dłonie, by zachować równowagę.

- Teraz mośesz sama zobaczyć - stwierdził i choć nie widziała jego twarzy, było jasne, śe znowu się z nią draśni.

- Postaw mnie na ziemi! - rozkazała gniewnie, próbując się uwolnić.

- Najpierw sprawdź czy są jajka. - Ścisnął ją mocniej, wbijając palce w ciało.

Poczuła się nagle bezradna i to wraśenie było wprost nieznośne.

Powiedziałam, śebyś mnie postawił! - Pasja w jej głosie zupełnie nie przystawała do sytuacji, ale przeraziło ją ciepło tych dłoni i wspomnienia, jakie budziło. Zaciskając zęby, wbiła mu paznokcie w palce. Miała szczęście, trafiając albo w skaleczony kciuk, albo miejsce podziobane przez Elizę, gdyś krzyknął i puścił ją na ziemię.

Odsunęła się od niego, zdyszana i zaczerwieniona.

- Nie waś się dotykać mnie w ten sposób, słyszysz? Sam zbierzesz resztę jajek.

Mam robotę w domu.

Spojrzał na nią, mruśąc oczy, lecz Zuzanna nie chciała słuchać odpowiedzi. Odwróciła się na pięcie i wybiegła.

ROZDZIAŁ 15

Ian zmruśył oczy i spoglądał na nią z zadumą. Patrzył jak Zuzanna wycofuje się w nieładzie, świadom, co spowodowało jej wzburzenie. Pragnęła go. Znał w swym śyciu zbyt wiele kobiet, by

nie rozpoznać objawów.

Ta zanedbana odrobina kobiety, która kupiła go na aukcji, miała na niego ochotę. A równocześnie opierała się samej myśli o czymś takim. Sytuacja powinna być zabawna, ale jakoś nie była.

Choć mogło to wydać się z pozoru śmieszne, nie protestowałby przeciwko znalezieniu się w łóŜku z panną Zuzanną Redmon. Ta dama miała głęboko skrywane zalety.

Przede wszystkim nie była nawet w przybliŜeniu taką prostaczką, jakby się wydawało.

Tej nocy, kiedy obudził się i znalazł ją obok siebie, okazała się zaskakująco ponętna. W

swych snach kochał się z Sereną, a świadomość, Ŝe jedwabiste uda, które rozsuwał, i miękkie piersi, które pieścił z takim entuzjazmem naleŜały do Zuzanny, wstrząsnęła nim do głębi. A jeszcze bardziej fakt, jeśli pamięć nie płała mu figli, Ŝe ciało Zuzanny jest równie atrakcyjne, jak jej codzienny wygląd odpychający. Choć niezupełnie był sobą owej niezapomnianej nocy, dłonie wciąż czuły jej kształty. Z początku trudno mu było w to uwierzyć, ale ta zasadnicza córka pastora miała figurę, za którą kurtyzana oddałaby wszystko.

Pełne, pięknie ukształtowane piersi były miękkie, zaokrąglone i ukoronowane sutkami, które twardniały pod najłŜejszym dotykiem, a biodra równie bujnie kobiece jak piersi. Stąd właśnie wzięła się pomyłka. Nosila suknie skrojone niemal prosto od biustu aŜ do bioder.

Podejrzewał, Ŝe świadomie ukrywa cechę, która uczyniłaby jej figurę zniewalającą -

nieprawdopodobnie wąską talię. Dzisiaj, kiedy ją podniósł, podejrzenie potwierdziło się. Była tak szczupła, Ŝe mógł objąć ją w pasie dłońmi.

I pomyśleć, Ŝe martwiła się, by nie uwiódł jej śliczniutkiej siostry. Samo przypuszczenie było zabawne. Mała panna Mandy była ładna, ale znał wiele ładnych kobiet.

Jego Serena to diament czystej wody; przy niej uroda Mandy płonęła mniej więcej tak jasno, jak płomień świecy przy słońcu. Nie poŜadał Mandy.

Za to poŜadał Zuzanny.

Intrygował go kontrast między tym kim była a tym kim być się wydawała. Z włosami ciasno ściągniętymi w ten okropny węzeł, z bladą i wciąż zatroskaną twarzą, kryjąc figurę pod okropnymi sukniemi, wyglądała pospolicie aŜ do granicy brzydoty. Ale on zobaczył ją z włosami rozpuszczonymi tak, Ŝe opadały aŜ za pośladki w dzikim wirze skrzących się złotem loków. Widział jak pod wpływem gniewu rumieni się jej twarz, a w orzechowych oczach błyszczą zielonozłote ogniki. I odkrył to słodkie kobiece ciało, które kryła suknia.

Odkrył teŜ coś innego. Ta dama nie pogodziła się wcale ze staropanieństwem, choć próbowała sprawiać takie wrażenie. Nie pamiętał wszystkiego z tamtej nocy, ale zapamiętał

jak reagowała.

Pamiętał takśe cytrynowy zapach jej włosów, czysty smak i aksamit skóry.

I był zadowolony.

Przecież nie musiał się śpieszyć z powrotem do domu. Wrogowie i tak będą czekali, dufni w błędnym przekonaniu, że wreszcie się go pozbyli. Może poświęcić kilka tygodni, by zaspokoić swoją ciekawość. - Panno Redmon! Panno Redmon!

Z rozmyślań wyrwał go krzyk, z wyraźną nutą przerażenia, Ian ruszył do drzwi.

Jasnowłosy chłopiec wybiegł z lasu za kurnikiem, przemknął obok Iana i pognął na łeb na szyję w stronę domu. Chłopak wydał mu się znajomy, ale zanim zdołał wygrzebać z pamięci jego imię, Zuzanna zeszła z ganku i stanęła w słońcu.

- Jeremy! Co się stało? - Złapała ręką chude ramię Jeremy'ego Likensa.

Dzieciak dygotał, oczy lśniły mu od łez, a pierś unosiła się z emocji i zmęczenia.

- To ojciec! - wykrztusił z trudem. - Zabija mamę! Uderzył ją łopata i ona jest cała we krwi! Musi pani przyjść, panno Redmon! Musi pani przyjść!

Już idę, Jeremy. Zuzanna zawróciła na ganek, wbiegła do kuchni i po chwili wyszła, niosąc starą dubeltówkę ojca. Jed Likens był porywczym nicponiem, który często bił Sonę i swoich siedmioro dzieci. Annabeth, matka Jeremy'ego, była łagodną bezbarwną kobietą, która chodziła do kościoła, kiedy tylko mogła, holując za sobą stadko dzieci. Zuzanna traciła czasem cierpliwość, widząc jak spokojnie godzi się z traktowaniem, które okrywało mrokiem jej życie. Ale Annabeth nie umiała z tym skończyć. Zuzanna pocieszała ją i udzielała pomocy od wielu lat, więc cała rodzina, z wyjątkiem Jeda, uważała ją za przyjaciółkę.

- I Cloris też uderzył łopata. Ona chyba nie żyje. Niech się pani pośpieszy! - Jeremy łkał i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

Cloris była najstarszą z sióstr. Trzynastoletnia dziewczyna znana była w Beaufort z tego, jak traktowała mężczyzn. Zuzanna przypuszczała, że jest tylko kwestią czasu, gdy dziecko z nieprawego łoża zacznie wyrastać pod jej spódnicą. Ale mimo całej swojej krnąbrności była dobra dla matki i próbowała pomóc przy młodszym rodzeństwie.

- Ruszaj więc. Pójdę za tobą.

Jeremy wyrwał pod górę. Jedną ręką trzymając spódnicę, a w drugiej ściskając dubeltówkę, Zuzanna pobiegła za nim. Dyszała, gdy dotarła do lasu, ale nie zwolniła kroku nawet wtedy, gdy poczuła ostre klucie w boku. Jeśli Jeremy, dla którego przemoc w rodzinie była czymś naturalnym, zjawił się po ratunek, sytuacja musi być rozpacziwa.

Dom Likensów stał po drugiej stronie wzgórza za Srebrnym Potokiem, gdzie Zuzanna i dziewczęta brodziły latem. Ścieżka przecinała strugę w najwęższym miejscu i Jeremy przeskoczył ją bez trudu. Zuzanna, nie tak zwinna, przeszła przez wodę mocząc buty, pończochy i kraj sukni. Już wspinając się

na brzeg, słyszała krzyki dochodzące z domu Likensów. Ich zaniedbana farma leżała na błotnistym polu u stóp wzgórza.

Podążając za Jeremym, Zuzanna wkroczyła na teren obejścia. W jednej chwili objęła wzrokiem całą scenę. Cloris, w zabłoconej białej sukience, z zakrwawionymi jasnymi włosami na czole, krzycząc usiłowała wczołgać się po schodach do na wpół walącego się domu. Zuzanna odetchnęła z ulgą widząc, że ojciec jednak jej nie zabił. Annabeth leżała obok na wznak, a mąż siedział na niej okrakiem i trzymając oburącz za włosy uderzał jej głową o ziemię. Annabeth, tak samo jak i Cloris, darła się wniebogłosy. Dwoje młodszych dzieci płakało, przytulając się do siebie, a trzeci chłopiec, siedmioletni Timmy, szarpał koszulę ojca, próbując ściągnąć go z matki. Jed odrzucił Timmy'ego gwałtownym pchnięciem. Chłopiec uderzył głową o pień i przez chwilę leżał oszołomiony. Potem usiadł i też zaczął płakać.

Jeremy podbiegł, by zastąpić brata w obronie matki. Jed spojrzał z grymasem na syna i odepchnął go równie mocno. - Likens, dość tego! - wykrztusiła Zuzanna i wymierzyła w niego z dubeltówki.

Obejrzał się, zobaczył kobietę i broń, po czym wyrzucił z siebie taką wiązkę przekleństw, że nawet diabeł by się zarumienił. Puścił włosy Sony. Głowa Annabeth opadła i krzyk zamienił się we wstrząsający szloch. Łkając głośno, błagała dobrego Pana i pannę Redmon, by jej pomogli.

- To nie twój interes, wścibska babo! Wracaj do swojego cholernego kościoła i nie wtrącaj się do mojej rodziny!

- Niech pan puści Annabeth. Ja nie śartuję, panie Likens.

- Ta kłamliwa, oszukańcza dziwka zasługuje na każde lanie, które jej sprawię.

Jeremy poleciał na skargę? Zapłacisz za to szczeniaku! Poczekaj tylko!

- Jeśli tknie pan palcem Jeremy'ego lub kogokolwiek, będę pana aresztować.

Ostrzegam.

- Nikt mnie nie aresztuje. Jestem, do cholery, panem we własnym domu. Plujesz wokół tymi uczonymi słowami, a o niczym nie masz pojęcia. To jest moja rodzina i mogę ją ćwiczyć jak mi się zechce. Nie twoja sprawa, co się z nimi stanie i dopilnuję, żebyś sobie to zapamiętała. - Wstał, spojrzał groźnie na Zuzannę i uśmiechnął się złowieszczo.

- Spróbuj tylko zrobić krok w moją stronę, a wystrzelę cię do sąsiedniego stanu.

- Nie rób jej krzywdy, Jed! Zostaw natychmiast pannę Redmon! - błagała Annabeth, przewróciwszy się na bok próbując pochwycić kostkę mięsa. Likens, nie patrząc nawet, kopnął ją w brzuch. Kobieta krzyknęła i zwinęła się w kłębek.

- Nie strzelisz. - Likens postąpił o krok.

- Dlaczego tak sądzisz?

Zabraknie ci odwagi, kościelna babo. Mierzyła z dubeltówki w jego pierś, walcząc ze sobą, by się nie cofnąć. Miał rację i oboje o tym wiedzieli. Nie potrafiła z zimną krwią strzelić do człowieka. Zrobił jeszcze jeden krok, potem następny - coraz pewniej, gdy Zuzanna nie pociągała za spust.

- Spioreę ci tyłek, dziwko - oświadczył z rozkoszą.

- Na pewno nie - odezwał się szorstki głos zza pleców Zuzanny. Ktoś wyrwał jej z dłoni dubeltówkę. Obok stał Connelly, pewnie trzymając broń wymierzoną w Likensa. Ten zatrzymał się jak wryty.

- Lepiej znikaj mi z oczu, i to szybko. Jeśli panna Redmon nie potrafi posłać cię do piekła, to ja z pewnością tak.

- A kim ty jesteś, do diabła, i czemu pchasz nos w nie swoje sprawy?

- Powiedziałem znikaj, więc wynoś się. - Connelly poruszył dubeltówką jakby od niechcenia, lecz to wystarczyło Likensowi.

JuŜ idę, idę! Pełnym nienawiści wzrokiem obrzucił swoją rodzinę. Dostrzegł leŜący na ziemi kapelusz, podniósł go, otrzepał o udo, po czym wcisnął na głowę.

- Jeszcze się policzymy za dzisiejszy dzień - powiedział groźnie, patrząc na Zuzannę. Gdy Connelly uniosł dubeltówkę, Likens odwrócił się i odszedł.

- Mamo! Mamo, nic ci nie jest? - Jeremy i młodsze dzieci obstąpiły matkę. Zuzanna, czując ulgę, nagle opadła z sił. Silne ramię objęło ją i podtrzymało.

Podniosła głowę. Connelly przyglądał się jej, marszcząc brwi.

- Dobrze się czujesz?

Na chwilę, tylko na chwilę, pozwoliła sobie o niego się oprzeć. Przymknęła oczy.

Trzymał ją bez wysiłku. Nagle uświadomiła sobie niewłaściwość sytuacji i szybko się wyprostowała. Ramię Connelly'ego wciąż obejmowało ją w talii, dodając odwagi, ale oczywiście nie mogła pozwolić, by trzymał ją w ten sposób. Był jej sługą, a nie adoratorem.

- Nie powiesz chyba, Őe jeszcze chwila a przestrelilibyś go na wylot. - Szorstki głos sprawił, Őe znów uniosła głowę.

- Nie mogłam go tak po prostu zastrzelić - wyznała. Pociemniały mu oczy, a na wargach zawisło jakieś przekleństwo.

- Jeśli nie potrafisz go zastrzelić, to nie powinnaś mieszać się do czegoś takiego. Co by się stało, gdybym za tobą nie poszedł? Do diabła, przecieŜ ten drań o mało nie zabił

własnej Őony.

- Nie przeklinaj - rzuciła odruchowo.

Sytuacja tego typu wymaga przekleństw. Mogłaś mocno oberwać, mały głuptasie.

Takie wymówki były dla Zuzanny czymś nowym. Od lat rządziła domowym ogniskiem i nikt nie ośmielał się jej sprzeciwiać. Słowa Connelly'ego rozdrażniły ją nieco, ale i ogrzały. To było niezwykle uczucie: wiedzieć, że ktoś się o nią troszczy.

- Ale nie oberwałam - odparła cicho i odsunęła się.

Kiedy szła, by pomóc Annabeth i Cloris, czuła na plecach uważne spojrzenie Connelly'ego.

Zuzanna usiłowała doprowadzić wszystko do porządku. Annabeth miała rozciętą głowę i liczne sińce, ale mimo śladów krwi na sukni, nie była poważnie zraniona. Cloris otrzymała cios ostrym końcem łopaty, kiedy próbowała bronić matki. Teraz kręciło się jej w głowie i trzeba było przenieść ją do domu. Na polecenie Zuzanny, Connelly podniósł

dziewczynkę jakby ważyła tyle co piórko, zaniósł i położył na środku jedynej, dużej łóżka. Annabeth jęczała, zaniepokojona stanem córki, a Zuzanna uspokajała przestraszone dzieci.

- Jed wróci. Wiesz o tym - powiedziała do Annabeth.

Mimo sińców, które pokrywały jej twarz, Annabeth zachowywała się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Zajmowała się Cloris i jednocześnie przygotowywała kolację.

- Gdy wróci, będzie zupełnie inny. Jak zawsze. Jed nie jest złym człowiekiem, panno Redmon. On tylko wybucha, a potem jest mu przykro.

- Dla własnego dobra i dobra twoich dzieci, powinnaś zastanowić się, czy go nie opuścić. Wiesz, że mamy te stare domki dla niewolników za stodołą.

Mogłabyś wprowadzić się tam razem z dziećmi, dopóki jakoś nie załatwisz tej sprawy.

- Wiem i dziękuję za propozycję. Ale zostanę. Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani.

W końcu nie pozostało nic innego jak wyjść. Zuzanna miała tylko nadzieję, że Annabeth nie myliła się co do zmiany nastroju męża.

- Czy zawsze zajmujesz się kłopotami wszystkich w okolicy?

Wracali do domu. Od chwili, gdy nazwał ją małym głuptasem, Connelly prawie się nie odzywał, a Zuzannie to odpowiadało. Nie okazywał jej należnego szacunku. Nawet gdyby całkiem zapomnieć o ich niesławnym spotkaniu przedwczorajszej nocy (a bardzo tego pragnęła), w ciągu dwóch dni, od kiedy go знаła, dotykał jej częściej niż wszyscy inni mężczyźni przez całe życie. A jednak, w tak krótkim czasie, przekonała się, że go lubi. Czuła się lepiej, gdy był u jej boku. Gdyby nie stanął między nią a Jedem Likensem, Bóg jeden wie, co mogłoby się zdarzyć. Więc jak ma ustawić go na właściwym miejscu, kiedy następnym razem przekroczy granicę? A robi to z pewnością.

- Zuzanno. Wiedziała, że tak będzie.

- Panno Zuzanno - powiedziała.

Zbliżyli się do strumienia. Ona z przodu, Connelly za nią. Zatrzymała się, czując jego dłoń na ręce. Z powodu upału podwinęła do łokci rękaw szarej sukni. Jak wszystkie, i ta była luźna, a prosty biały fartuch przewiązany w pasie zakrywał większą część skrojonej w kształt dzwonu spódnicy. Nie miała rękawiczek, więc objął palcami jej nagie przedramię.

Dotyk wzbudził dreszcze. Przecież niecałą godzinę temu rozkazała, by nie próbował

jej nigdy dotykać. Odwróciła się. Spoglądał na nią, marszcząc czoło tak, że brwi niemal zbiegły się nad nosem.

- Czy zawsze bierzesz na siebie kłopoty sąsiadów?

- Próbuję pomagać ludziom.

W lesie panował cień i chłód. Wysokie drzewa przystrojone gęstymi, szarymi zasłonami hiszpańskiego mchu, skrywały słońce. Ścieżka była śliska od pnączy. Z tyłu szumiał strumień, a w górze śpiewały ptaki.

Zuzanna miała wrażenie, że cały świat rozpadł się nagle i zostali tylko we dwoje.

- Czy dlatego mnie kupiłeś? żeby mi pomóc?

- Kupiłam cię, żebyś pracował na farmie. - Mówiła z trudem. Connelly stał blisko. O wiele za blisko.

- Więc zrobiłeś bardzo marny interes.

- Może. A może nie. To zależy od ciebie, prawda? Starła się odsunąć, lecz ścisnął mocniej jej rękę, a potem pieszczotliwie przesunął palcem po dłoni.

Masz miękką skórę. Niemal tak miękką jak serce. Zuzanna wstrzymała oddech i przez chwilę nie potrafiła uwierzyć w to, co usłyszała. Otoczył palcami jej nadgarstek, a kciukiem zakreślił delikatny łuk na półprzezroczystej skórze, przez którą przebijał błękitny żyłek.

- Próbujesz ze mną flirtować, Connelly? - spytała najbardziej surowym tonem.

Zebrała w sobie wszystkie siły i posłała mu groźne spojrzenie. Szeroki uśmiech odsłonił równe, białe zęby i zatańczył w jego oczach.

- Tak, panno Zuzanno. Flirtuję - odparł i uniósł jej dłoń do ciepłego, gładko wygolonego policzka. - Twój sługa flirtuje z tobą. I co masz zamiar z tym zrobić?

Potem, wciąż uśmiechając się, obrócił głowę i wargami sparzył jej dłoń.

ROZDZIAŁ 16

Zuzanna wstrzymała oddech. Od dotyku miękkich, ciepłych warg na całe ciało promieniował rozkoszny dreszcz. Przez chwilę potrafiła tylko patrzeć, zahipnotyzowana wesołością przyczajoną w głębi szarych oczu i ścieniem, który budził się wewnątrz jej ciała.

Chwytając, nim zniknie zupełnie, umykający zdrowy rozsądek, wyrwała rękę.

- Jeśli masz nadzieję oczarować mnie dla własnych nikczemnych celów, to marnujesz czas - powiedziała gwałtownie.

Obróciła się i ruszyła ścieżką w stronę domu. Szttywno wyprostowana maszerowała równym krokiem i tylko ona wiedziała, ile ją to kosztuje. Mięśnie zwiotczały jak ciepła masa, a kolana zdradzały nieprzyjemną skłonność do drżenia.

- Zuzanno.

Wyprostowała się. W jego głosie wciąż czaił się śmiech. Powinna skarcić go za poufałość. Ale gdyby spojrzała w tę zbyt przystojną twarz, gdyby zobaczyła kpiący uśmiech, ryzykowała, że bez reszty znajdzie się pod jego urokiem. Nie chciała takich komplikacji. Nie miała pojęcia na co liczy ten opryszek, próbując ją oczarować. Była jednak pewna, że ma jakiś cel. Nie jest przecież głupia. Po co mężczyzna wyglądający jak Connelly marnowałby tyle wysiłku na zwyczajną starą pannę.

- Czy miałaś kiedyś adoratora?

Pytanie trafiło w czuły punkt, którego istnienia nawet nie podejrzewała. Co innego znać prawdę o samej sobie, a co innego wyznać Connelly'emu, że Saden mężczyzna nie uznał

jej za dostatecznie atrakcyjną.

Udając, że nie zwraca na niego uwagi, maszerowała dalej, wysoko unosząc głowę.

Przypomni mu gdzie jego miejsce, gdy opanuje już ciało i emocje. W tej chwili konfrontacja byłaby czystym szaleństwem.

- Do licha, Zuzanno! Poczekaj chwilę! - Chwyił ją za rękę i zatrzymał w miejscu.

Próbowała się wyrwać, ale on odwrócił ją twarzą do siebie. Trzymał za łokieć, a ten uchwyt nie sprawiał bólu, lecz był tak trudny do zerwania jak kajdany. Odłożył ostrośnie dubeltówkę, którą niósł pod pachą, i wolną ręką chwycił Zuzannę za drugi łokieć.

Connelly stał tak blisko, że brzeg jej spódnicy opadał na jego stopy. Zapomniała, że nie miał butów, tylko szare pończochy ojca, mokre i zabłocone prawie do kolan. Świadomość, że pobiegł za nią w samych pończochach, mogłaby ją ułagodzić, gdyby na to pozwoliła. Ale strzegła się pilnie sztuczek tego oszusta. Spojrzała na niego oczyma zimnymi jak ziemia pod nogami. Pochwycona w pułapkę nie

miała innej broni prócz słów.

- Masz zwracać się do mnie panno Zuzanno i masz mnie natychmiast puścić - poleciła stanowczo.

Uśmiechnął się. To kapryśne skrzywienie warg dodało mu tylko uroku.

Próbowała poskromić go najgroźniejszym spojrzeniem, jakie zdołała przywołać, lecz nie było to łatwe, gdy cel tego spojrzenia był o trzydzieści centymetrów wyższy od niej.

Roześmiał się lekceważąco. Zaciśnęła wargi, a w oczach błysnęły iskry gniewu.

- Czy wszyscy robią to, co im każeś?

Jeśli mają dość rozsądku - syknęła. Uśmiechnął się szerzej. Wciąż jej nie puszczał, a oczy lśniły mu rozbawieniem.

- Nigdy nie byłem zbyt rozsądny - oświadczył, jakby się tłumacząc.

- To widać.

- Lubię swarliwe kobiety. Tak przyjemnie jest zamykać im usta, zwłaszcza jeśli człowiek zabierze się do tego we właściwy sposób.

- Connelly... - To było ostrzeżenie.

- Ian - odparł. - Powiedz „Ian „, Zuzanno. Gdyby nie strzegła się jego pochlebstw, łatwo mogłaby się poddać namowom tego przymilnego, łotrowskiego języka. Jednak Zuzanna zeszywniała tylko i spojrzała groźnie.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - oznajmiła.

- Masz. - Był irytująco pewny siebie.

- Nie.

- Tak.

- Jesteś dziecinny i głupi. śądam, żebyś natychmiast mnie puścić. Próba uwolnienia się potwierdziła tylko to, co już wiedziała: była w pułapce, z której tylko on mógł ją wypuścić.

- Poskromienie cię będzie rozkoszą.

- Poskromienie? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Oswojenie raczej. Okiełznanie.

- Nie jestem koniem - Zuzanna starała się opanować. - A ty pakujesz się w poważne kłopoty, mój panie! Wiesz przecie, że mogę cię sprzedać.

- Ale nie sprzedasz. Pomyśl tylko, jak inni mogliby mnie potraktować. Nie chciałabyś przecieŜ, Œeby stała mi się krzywda.

- W tej chwili niczego bardziej nie pragnę. - Zgrzytnęła zębami. - Jeśli mnie natychmiast nie puścisz...

Powiedz do mnie „Ilan „ i poproś, a zastanowię się nad tym. Ten szatan znowu się śmiał. Rozgniewana uniosła stopę i mocno przygniotła mu palce obcasem.

- Auu! - krzyknął zaskoczony i odskoczył.

Uwolniona nagle, odwróciła się, uniosła spódnicę i nie myśląc o godności pognała do domu. Przechytrzyła tego lisa, ale tylko na chwilę. DrŜała na myśl, jakiej zapłaty mógłby zaŜądać za to zwycięstwo, gdyby ją teraz złapał.

Biegała szybko, lecz podejrzewała, Œe nie próbował jej gonić. Zarumieniona i zdyszana stanęła przy tylnym wejściu. Siostry siedziały w kuchni, a obrzydliwy fetor wypełniał cały dom.

- Gdzie byłaś? - Spojrzały na nią wszystkie trzy.

- U Likensów. Za chwilę wam wszystko dokładnie opowiem. Co tu tak śmierdzi?

- Rzepa się przypaliła. Kiedy zasmrodziła cały dom, domyśliłyśmy się, Œe gdzieś wyszłaś - oświadczyła oskarŜycielsko Em.

- Przygotowałam pudding kukurydziany, Zuzanno. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. - Sara Jane stała przy ogniu, ocierając grzbietem dłoni spocone czoło.

- Z nóŜkami to wystarczy. Mam nadzieję, Œe się nie spaliły?

Nie. W tym momencie na ganek wszedł Connelly. Zuzanna go nie widziała, ale wyczuła jego obecność tak wyraźnie, jak gdyby stał tuŜ obok. Po chwili był w drzwiach kuchni, boso, z dubeltówką w ręku. Trzy pary oczu zmierzyły go spojrzeniem.

- Poszedł z tobą? - Mandy wydawała się uraŜona. Zuzanna westchnęła.

- Postawmy obiad na stół, a wszystko wam opowiem - powiedziała z fałszywą nutą, którą ojciec nie byłby zachwycony. Miała bowiem na myśli jedynie wydarzenia u Likensów.

To co zaszło później, w lesie, wolała zatrzymać dla siebie.

Przez cały następny tydzień Zuzanna cięŜko pracowała i starała się trzymać siebie i siostry z dala od Connelly'ego. Uznała, Œe nie musi on nadal sypiać w domu. Nie potrzebował

juŜ opieki. We wtorek, w dwa tygodnie po zaaplikowaniu mu leczniczej maści, nałoŜy ją znowu i zmieni bandaŜe na świeŜe. Poza tym potrzebował tylko duŜo jedzenia.

Jadł przez cały czas - olbrzymie ilości, jakby na całym świecie nie było dość, by go nasycić. Choć nie chciała tego przyznać, sama myśl, że może być głodny budziła w Zuzannie niepokój. Zaczęła gotować ogromne porcje jedzenia, które jej zdaniem powinno mu smakować. Szczególnie upodobał sobie kurczęta i kluski. Pochłaniał też tyle chleba, że wypiekała teraz dodatkowo dwa bochenki. Jednym z jej najgłębszych sekretów była rozkosz, jaką czuła, kiedy zajadał przygotowane przez nią potrawy.

- Czy to tylko moja wyobraźnia, córko, czy podajesz nam o wiele więcej jedzenia niż

jesteśmy przyzwyczajeni? - spytał przy śniadaniu pewnego ranka wielebny Redmon.

Z lekkim zdumieniem spoglądał na obficie zastawiony stół. Zuzanna przygotowała parzony chleb kukurydziany i podała go ze świeżo ubitym masłem, miodem i cienkimi plastrami szynki. Dodatkowo była zwykła owsianka z melasą i jajka na miękko, by zadowolić gust sługi.

Gdy ojciec przemówił, Zuzanna dokładała właśnie wielki płat boczku i nie zdołała powstrzymać rumieńca, który wypłynął na policzki. Spojrzała na ojca zaskoczona. Zwykle nie zważała, co mu podawano, więc nie spodziewała się ataku z jego strony.

- Według mnie, Zuzanna chce nas wszystkich utuczyć, byśmy wyglądali jak Em -

oświadczyła Mandy, uśmiechając się łobuzersko do Connelly'ego, który siedział naprzeciwko.

- Mandy! - zaprotestowały chórem zaszokowane siostry. Na szczęście Emilia jeszcze nie zeszła.

- Uważam, że panna Zuzanna raczej mnie próbuje utuczyć - wtrącił Connelly, komicznie śmiałym gestem wskazując swój pełny talerz.

Te słowa ściągnęły uwagę na niego, co - jak sądziła Zuzanna - było jego zamiarem, a na pewno powstrzymało Mandy przed dalszymi złośliwościami. Podejrzewała też, że Mandy zabrała głos, by zwrócić uwagę sługi na własną piękną figurę. Ta niegodziwość wobec nieobecnej siostry wymagała reprimendy, lecz w tej chwili Zuzanna była zbyt zajęta wygłoszoną przez Connelly'ego i irytująco ścisłą oceną swych zamiarów.

- Czy to prawda, córko? - spytał zaciekawiony wielebny Redmon.

Zuzanna, nalewając do kubków świeżego mleka, poczuła, że jeszcze mocniej się rumieni. Doprawdy, tępota ojca bywała czasem w tym samym stopniu przekleństwem co błogosławieństwem.

- Connelly musi nabrać ciała, jeśli ma cięśko pracować - oświadczyła spokojnie, mając nadzieję, że nikt z obecnych nie doszuka się w jej działaniach niczego poza praktycznym zmysłem.

Odstawiła dzban z mlekiem i zajęła swoje miejsce. Poprosiła ojca, by podał chleb, sądząc, że zwróci to rozmowę w inną stronę. Niestety.

- Karmi mnie tak już od lat - zwrócił się konfidencyjnym tonem do Iana. - Nie wiem dlaczego, ale kobiety chyba rodzą się z potrzebą napychania swoich mężczyzn jedzeniem.

- To fakt - zgodził się Ian i obaj wymienili spojrzenia pełne typowo męskiego rozbawienia. Zuzanna pewna, że jest już zupełnie szkarłatna, niemal udławiła się chlebem.

Kimkolwiek jest Connelly, to z pewnością nie jej mężczyzną.

- Nie ma się co dziwić, że Zuzanna od dawna stara się pobudzić twój apetyt - zwróciła się do ojca Sara Jane, nieświadomie zyskując wdzięczność siostry. - Jesz jak mała myszka.

Powinieneś myśleć o swojej kongregacji i o tym, jak bardzo oni cię potrzebują. Musisz jeść, żeby zachować siły.

- Córki stale próbują zastąpić matkę. - Wielebny Redmon uśmiechnął się promiennie. -

Ale to dobre dziewczyny. Bez nich bym się nie uchował.

Zanim Ian zdążył odpowiedzieć, zjawiała się Em, ze skargą, że Mandy pożyła jej nową haftowaną chusteczkę, na co -jak wszystkich zapewniła - nie dała jej pozwolenia.

Nim sprzeczka dobiegła końca, ku uldze Zuzanny nikt już nie wspominał obfitości jedzenia, która zdobiła stół. Od tego dnia przygotowywała mniej wystawne posiłki. Co prawda nadal uwzględniała olbrzymi apetyt Connelly'ego, ale miała nadzieję, że nikt, nawet on, tego nie zauważy.

Poprzedni właściciel farmy zbudował za stodołą pół tuzina jednoizbowych chatek.

Przeznaczone dla niewolników, pozostawały na ogół puste przez te dwadzieścia lat, odkąd wielebny Redmon nabył posiadłość. Teraz jedną z nich zajmował Craddock, a do drugiej chatki Zuzanna przeniosła Connelly'ego. Wyszprzątana i wyszorowana, wyposażona w sznurowe łożko z grubym siennikiem, umywalkę, stół i krzesło, w dostatecznym stopniu zaspokajała jego potrzeby. Zuzanna spała spokojnie wiedząc, że skazańca nie ma w domu.

Aby nie nadwerężyć jego świeżo odzyskanych sił, a także ponieważ nie znał się na pracy farmera, skierowała go do zadań wymagających raczej wykształcenia niż prymitywnej siły. Przez całe lata notowała wszelkie darowizny i wydatki kościoła. Z pewnym powątpiewaniem powierzyła to zadanie Connelly'emu. Okazało się, że doskonale daje sobie radę z liczbami, a nawet odkrył błąd w obliczeniach, który sama zrobiła. Ponieważ księgi znajdowały się w kościele, pracując tam pozostawał z dala od domu. Ucieszona, że odpadł jej przynajmniej jeden czasochłonny obowiązek, postanowiła powierzyć mu go na stałe, mimo że doprowadziło to do ścisłych kontaktów z ojcem. Connelly potrafił jednak zmieniać maski zależnie od towarzystwa, więc Zuzanna była pewna, że nie powinno być problemów.

I rzeczywiście. Wielebny Redmon cieszył się z towarzystwa i podczas posiłków zarzucał go pytaniami na temat subtelnych problemów teologii kościoła anglikańskiego, którego Connelly był najwidoczniej członkiem.

Gdy Connelly zakończył szczególnie burzliwą dyskusję łacińskim cytatem zrozumiałym tylko dla nich, gdy dziewczęta nie odebrały aż tak gruntownego wykształcenia, Zuzanna widząc błyszczące oczy ojca musiała się uśmiechnąć. Wielebny Redmon wyraźnie lubił te rozmowy, nawet gdy zwyciężał w

nich Connelly. Pomyślała, że ich przymusowy sługa był dokładnie tym, czego potrzebował ojciec w czysto kobiecym domostwie: innym mężczyzną, wykształconym człowiekiem, partnerem do dyskusji.

Znow nadszedł niedzielny poranek, ze zwykłymi pośpieszonymi przygotowaniami do wyjazdu do kościoła. W nabożeństwie uczestniczyła cała rodzina, nie wyłączając Craddocka i Bena, a także - po raz pierwszy - Connelly'ego. Tydzień temu uznano, że jest zbyt słaby.

Zuzanna obawiała się, że zaprotestuje, kiedy usłyszy, czego od niego oczekują w kwestii obowiązków religijnych. Ale nie.

Wielebny Redmon pojechał już wcześniej konno. Zuzanna, Sara Jane, Mandy i Em zawsze zabierały się powozikiem. Chciały być wcześniej, by poćwiczyć pieśń i ponieważ

córkom pastora tak wypadało.

Zuzanna wyszła na ganek, oczekując, że jak zwykle w niedzielny poranek Craddock przyprowdzi powozik. Z zaskoczeniem spostrzegła Connelly'ego, który czekał już oparty o poręcz. Miała na sobie najlepszą suknię z czarnej popeliny, ze sztywną, białą, batystową chustą, okrywającą ramiona i spiętą na piersi srebrną broszką. Uznała tę suknię za najbardziej odpowiedni strój do kościoła dla panny w jej wieku. Pod brodą zawiązała przylegający do głowy, biały kapturek z małą sterczącą falbanką okalającą twarz. Jedynym ustępstwem wobec mody były czarne, koronkowe mitenki, okrywające ręce aż do łokci. W takim stroju zawsze chodziła do kościoła i jak dotąd była z niego zadowolona. Teraz, gdy wzrok Connelly'ego mierzył ją od stóp do głów, po raz pierwszy w życiu zapragnęła, by suknia była odrobinę bardziej wyszukana. Może w jaśniejszym kolorze...

Connelly wyprostował się. Wszelkie myśli o własnym stroju zniknęły, przyćmione wrażeniem, jakie wywarła elegancja sługi. Miał czarne spodnie - lecz nie swoje stare i podarte, własną kamizelkę ze złocistego brokatu, którą osobiście wyprała i załatała, białą lnianą koszulę i surdut z ciemnoniebieskiej, szorstkiej wełny. Chusta niezbyt sztywna, ale zupełnie dobra, zawiązana była w elegancki węzeł pod brodą. Łydki okrywały szare wełniane pończochy, a stopy miał obute w skórzane czarne trzewiki z niewielkimi srebrnymi kłamrami.

Włosy zaczesał do tyłu i związał na karku czarną wstążką. W ręce trzymał trójgraniasty czarny kapelusz.

Jeśli nie liczyć butów, które na szczególne okazje zostały mu uszyte przez miejskiego szewca, ubranie nie było nowe. Ani nawet jego własne. Ale kiedy włożył na głowę kapelusz i podszedł do niej, tak bardzo przypominał dżentelmena, że przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

- Wielkie nieba - udało jej się w końcu wykrzyknąć. - Skąd to wszystko wzięłeś?

- Twój ojciec bardzo uprzejmie pozwolił mi wybrać coś z darów dla biednych. Parę rzeczy mniej więcej pasowało.

- Wielkie nieba - powtórzyła raz jeszcze. Siostry wybiegły na ganek, więc opanowała rozbiegane myśli.

Wiesz Connelly, wyglądasz zniewalająco przystojnie! To była naturalnie Mandy, która minęła Zuzannę, by uwodzicielskim uśmiechem powitać słuŝącego. Siostra trzymały się litery, lecz nie ducha układu, więc flirtowała z Connellym ile razy na niego spojrzała. Teraz z kasztanowymi lokami, pięknie podkreślonymi rondem słomkowego kapelusza i w jedwabnej sukni w lawendowe i róŝowe pasy, skrojonej tak, by w najkorzystniejszy sposób ukazywać szczupłą figurę, Mandy wyglądała zjawiskowo. Przez jedną straszliwą chwilę, gdy patrzyła jak siostra uśmiecha się do słuŝącego, Zuzanna doznała pierwszego w swym Ŝyciu ukłucia zazdrości. To uczucie było dla niej tak niezwykle, Ŝe przez moment nie wiedziała, co właściwie ŝcisła jej Ŝołądek. Potem zrozumiała. Była zazdrosna. Gwałtownie, wściekle zazdrosna o swą ukochaną siostrzyczkę i słuŝącego!

- Dziękuję, panno Mandy. Panienka wygląda równie pięknie jak zawsze.

Proszę mi powiedzieć, czy nie męczą pani męŝczyźni, którzy wciąż to powtarzają?

We flirtowaniu był równie niepoprawny jak Mandy, o czym Zuzanna przekonała się na własnej skórze.

- Och, nie, nigdy! - odparła Mandy, ani odrobinę nie zawstydzona bezczelnym pochlebstwem tego łobuza.

Zuzanna przeszła Connelly'ego ostrzegawczym wzrokiem, chwyciła siostrę pod ramię i skierowała ją w stronę powozu.

- Musimy się spieszyć, bo nie zdąŝymy przeciwiczyć tej nowej pieśni. Saro Jane, Em, wsiadajcie. - Pogratulowała sobie spokojnego tonu.

Lecz Connelly, poruszając się z leniwym wdziękiem, zdołał stanąć przy powozie przed nimi.

- Panno Mandy?

Z lekkim uśmiechem, który dziwnie działał na serce Zuzanny, Connelly wyciągnął

rękę. W mgnieniu oka pojęła, Ŝe chciał tylko pomóc siostrze wsiąść. Lecz to mgnienie trwało bardzo długo i w tym czasie, ku jej konsternacji, odruchowo zacisnęła palce w pięść.

- Ach, dziękuję. - Mandy uśmiechnęła się i podała mu dłoń.

Postawiła zgrabną stopkę na schodku i chwyciła spódnicę. Wykorzystując tę samą flirciarską sztuczkę, której już raz uŝyła, podkreśliła kształt swego siedzenia i odsłoniła większą część okrytej białą pończoszką łydki, niŝ było to właściwe. Po czym pozwoliła Connelly'emu, by usadził ją z tyłu.

Patrząc, jak z wyraźnym podziwem obserwuje siedzenie siostry, Zuzanna poczuła płomień w sercu. Zauwaŝywszy, Ŝe nadal ma zacisnięte pięści, zmusiła się, by rozluźnić palce.

- Kto następny? Panna Emilia?

Connelly oderwał oczy od Mandy, odwrócił się i wyciągnął rękę do Em, która wpatrywała się w

niego szeroko otwartymi oczami. Kiedy się odezwał, policzki Em stały się prawie tak czerwone jak jej włosy. Wymamrotała coś, a potem wyraźnie załamana własnym zakłopotaniem, musnęła tylko jego dłoń i niemal wskoczyła do powoziku. Szeroka suknia z seledynowego batystu zaczepiła o koło. Przez sekundę Em groziło, że albo spadnie na ziemię, albo rozedrze sukienkę. Connelly szybko uwolnił spódnicę, zapobiegając katastrofie. Wśród podziękowań i rumieńców, Em usiadła obok Mandy.

- Panno Saro Jane? Czy chce pani usiąść z tyłu, czy na przednim siedzeniu? -

Uśmiechnął się do niej tylko tyle, ile nakazywała uprzejmość, z pewnością nie szczerzył się jak do Mandy. Mimo to policzki Sary Jane zaróżowiły się niczym jej suknia.

Ja... zwykle siedzę z przodu. - Była wyjątkowo skrępowana. Wprawdzie nigdy nie zachowywała się wobec mężczyzn tak jak Mandy, ale też nie była na tyle nieśmiała, by szeptem odpowiadać na całkiem proste pytanie. Connelly miał niezwykły wpływ na siostry i Zuzanna była tym trochę zaskoczona. Ona nigdy nie zachowała się tak głupio wobec szadnego mężczyzny, choćby nie wiem jak przystojnego. Miała zamiar pozostać myślącą istotą ludzką.

Sara Jane podała Connelly'emu palce i pozwoliła, by pomógł jej usiąść na przednim siedzeniu. Gdy puścił jej dłoń, odetchnęła z widoczną ulgą, i przesunęła się, by zrobić miejsce dla Zuzanny.

- Panno Zuzanno? - Connelly zwrócił na nią diabelskie, szare oczy.

Uprzedzona i uzbrojona, zadarła nos i chłodno podała mu rękę.

Nie będzie wdzięczyć się jak Mandy, rumienić jak Em czy jękać jak Sara Jane. Nie robi z siebie idiotki.

- Dziękuję.

Czuła ciepło skóry i długie, eleganckie, silne palce pod jej niewielką, sprawną, ale z pewnością nie piękną dłonią. Zauważyła smagłość jego cery w porównaniu ze swoją jasną i delikatny meszek czarnych włosów, ledwie widocznych pod rękawem koszuli. Przerazona własnymi myślami, z wysiłkiem odwróciła wzrok.

Pomógł jej wsiąść, a potem jak należy puścił dłoń. Odetchnąwszy głęboko, choć miała nadzieję niezauważalnie, wygładziła spódnicę i usiadła. Skinieniem głowy odesłała Connelly'ego. Oczekując, że zajmie miejsce z tyłu wraz z Craddockiem i Benem, zaczęła odwiązywać lejce.

- Proszę się przesunąć.

- Co? - Nie rozumiejąc, spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem.

- Proszę się przesunąć. Ja będę powoził.

- Zawsze ja to robię.

- Po tym, co przydarzyło się u Likensów i pamiętając, że Jed Likens może mieć do pani pretensje, ojciec pani zdecydował, że nie jest bezpieczne, by chodziły panie samotnie po okolicy. Zaproponowałem, że będę was woził tak długo jak będzie to konieczne. Pani ojciec zgodził się. Więc proszę się przesunąć.

- To ty podsunąłeś papie ten pomysł! Nigdy w Syciu sam by tego nie wymyślił!

Obawiam się, że nie docenia pani troski ojca o pani bezpieczeństwo. Siedząc na koźle, Zuzanna spoglądała na niego z góry. To było nowe uczucie. Uśmiechał się, ale skrzywienie ust świadczyło o zdecydowaniu. Pojęła, że nie ma wyboru. Tak czy tak, w końcu postawi na swoim.

Niech go lichy! Co za złośliwy chochlik szeptał jej do ucha tego dnia, kiedy go kupiła?

Przesunęła się blisko Sary Jane, próbując nie okazywać, że chce znaleźć się jak najdalej od niego.

Connelly wspiął się i usiadł obok na koźle. Sięgnął po lejce, odwiązał je i potrząsnął

lekko, uderzając o grzbiet Darcy'ego. Obserwując krytycznie, jak nawraca powozem w stronę drogi, Zuzanna nie mogła mu nic zarzucić. Przypomniała sobie, że wśród zajęć, które opanował, wymienił także powożenie z dokładnością co do cala, cokolwiek miałyby to znaczyć.

W jej nozdrza uderzył czysty, męski zapach i poczuła dotknięcie jego ramienia.

Zacisnęła zęby. Dzień był piękny, słońce świeciło jasno, a lekki, przyjemny wietrzyk pieścił

jej twarz. W taki niedzielny poranek powinna zajmować się pobożnymi myślami.

Zamiast tego potrafiła myśleć tylko o mężczyźnie, siedzącym tak blisko i o tym, jak bezbożnie budził w niej uczucia.

ROZDZIAŁ 17

Kościelny dzwon uderzył w chwili, gdy powóz wtoczył się na wzniesienie, skąd rozciągał się widok na Pierwszy Kościół Baptystów w Beaufort. Był to niewielki parterowy budynek z cegły, wyszorowany tak, że ściany lśniły perłowo w miejscach, których przez korony drzew dotykały promienie słońca. Dach dzwonnicy pokrywała błyszcząca miedź, a kołyszący się wewnątrz dzwon został przewieziony z samej Filadelfii. Budynek ocieniały ogromne sękaty dęby, a białe i różowe kwiaty czereśni i dzikich jabłoni zmieniały maleńki przykościelny cmentarz z siedziby smutku w oazę piękna. W powietrzu unosił się delikatny aromat drzew.

Półkolisty podjazd odbijał od głównej drogi pod kościół. Connelly zajechał przed niskie stopnie, prowadzące do szerokich podwójnych wrót i ściągnął lejce Darcy'ego. Dotarli później, niż planowała Zuzanna. Kilka innych powozów stało już na podjeździe. - Jesteśmy, drogie panie.

Connelly uwiązał lejce i zeskoczył na ziemię. Nie czując już obok siebie jego ciała, Zuzanna niemal westchnęła. Przez całą dwudziestominutową jazdę siedziała w napięciu.

Każda wypowiedziana przez niego sylaba, każdy ruch, każdy oddech zwiększał narastający wewnątrz Sár, który teraz spalał jej ciało. W Syciu nie wyobrażała sobie, że może w tak fizyczny sposób być świadoma obecności mężczyzny. Ta gwałtowna reakcja budziła w niej uczucie wstydu.

Stojąc na ziemi, Connelly odwrócił się, wyraźnie zamierzając pomóc im w wysiadaniu. Emilia i Sara Jane, nie przyzwyczajone do takich uprzejmości i przypuszczalnie nie chcąc powtarzać niezbyt zręcznego przedstawienia sprzed domu, zeskoczyły same.

Zuzanna zeskoczyłaby również, gdyby Connelly nie zastawił jej miejsca z jednej strony, a Sara Jane z drugiej. Mandy przesunęła się na brzeg siedzenia i wsparta ręką o koziół

przywołała Connelly'ego zalotnym uśmiechem. Gdzie ten dzieciak nauczył się takich sztuczek - zastanawiała się zirytowana Zuzanna. Nie chcąc patrzeć jak Connelly odgrywa wobec Mandy dŚentelmena, przesunęła się w drugą stronę. Nie miała zamiaru walczyć ze swoją siostrzyczką o względy słuŚącego. Poza tym wołała nie naraŚać się znowu na dotyk jego palców. - O nie. Nic z tego - powiedział Connelly.

Słyszała go, ale nie miała pojęcia o co chodzi, dopóki, ku jej konsternacji, nie chwycił

jej w pasie. Spojrzała z zakłopotaniem na Mandy. Siostra spoglądała zdumiona, jak Connelly unosi Zuzannę - bez wysiłku, jakby była małym dzieckiem. Zuzanna splonęła rumieńcem, świadoma mocy jego uścisku i błysku w oczach Mandy, kiedy postawił ją na ziemi.

Trzymał ją ciągle, a na jego twarzy malował się dziwny wyraz, który trudno byłoby nazwać uśmiechem. Na szczęście był tak odwrócony, że plecami zasłaniał Mandy widok, gdyŚ Zuzanna była z pewnością czerwona jak burak.

- Czy mógłbyś mnie puścić? - syknęła.

Ian - powiedział cicho., Czy mógłbyś mnie puścić, Ian? Sara Jane i Em szły już po schodach. Mandy wciąż siedziała w powozie, zaciekawiona i poirytowana. Chrzęst kół na podjeździe uprzedził Zuzannę, że nadjeŚdŚa kolejny pojazd. Musiał ją natychmiast puścić, przecieŚ nie mogła zrobić sceny. AleŚ byłby skandal!

- Czy mógłbyś mnie puścić, Ian? - wykrztusiła, choć dla ewentualnych gapiów pozostawiła na wargach lekki, uprzejmy uśmieszek.

Przywołanie tego uśmiechu było najtrudniejszą rzeczą, jakiej Zuzanna w Syciu dokonała. Gdy zadowolenie wykrzywiło Ianowi wargi i rozświetliło szare oczy, miała ochotę go uderzyć. Jednak poznała grzmiący głos nowo przybyłego i była szczerze zadowolona, że powściągnęła gniew.

- Dzień dobry panno Zuzanno, panno Saro Jane, panno Emilio! Czy to panna Amanda siedzi w tym powozie? Proszę chwilę poczekać, pomogę pani zejść.

Nie trzeba angaŚować tego dŚentelmena.

Zuzanna zeszywniała. Ręce Iana - nie, Connelly'ego, nie będzie się do niego zwracać po imieniu! -

uwolniły jej talię. Oboje odwrócili się równocześnie, widząc jak Hiram Greer pomaga wysiąść z powozu małej, pomarszczonej i od stóp do głów odzianej w czerń staruszce.

- Miło panią widzieć, pani Greer- zawołała Zuzanna z takim opanowaniem, jakie zdołała przywołać. Ze sztucznym uśmiechem podeszła, by przywitać matkę sąsiada. - Cieszy mnie, że mogła pani przyjść do kościoła. Brakowało nam pani.

Tymczasem Greer podszedł do powoziku i z wyszukany komplementem, którego treść umknęła Zuzannie, podał rękę Mandy. Nagle usłyszała coś, co ją zadziwiło:

- Jestem Hiram Greer - przedstawił się.

Zuzanna obejrzała się i zobaczyła jak wyciąga rękę do Iana - nie, do Connelly'ego.

Przez chwilę patrzyła zdumiona, nim pojęła, że Greer zwyczajnie nie rozpoznał skazańca.

- Przepraszam na moment, pani Greer - wymamrotała i niemal przebiegła tych parę kroków, jakie dzieliło ją od obu mężczyzn.

Stali naprzeciw siebie. Greer wciąż czekał z wyciągniętą ręką. W szytym na miarę ubraniu z najlepszego materiału wyglądał niemal niechlujnie obok Connelly'ego w stroju zestawionym z odzieżą oddanej biedakom. Różnica wynikała głównie z krępej budowy i rumianej cery Greera, co dawało wyraźną przewagę szczupłemu, wysokiemu i przystojnemu Ianowi.

- Ian - zaczęła nerwowo, gdy spoglądał na Greera z wyraźnym brakiem uprzejmości. Zdała sobie sprawę co powiedziała i kopnąwszy się w myślach za to przejęzyczenie, mówiła dalej: - Connelly. Ian Connelly. Pamiętasz Hiram Greera?

- Owszem. - Sztywno skinął głową. Greer poczerwieniał wyraźnie i opuścił dłoń.

- A pan, panie Greer na pewno pamięta naszego słuchającego - wtrąciła lekkomyślnie Mandy, wsuwając mu rękę pod ramię i ciągnąc go ku stopniom kościoła. - Odradzał pan mojej siostrze ten zakup, prawda? A muszę panu powiedzieć, że stał się niemal członkiem rodziny. Zuzanna świata poza nim nie widzi.

- Mandy! - Zuzanna ugryzła się w język. Nikt prócz stojącego obok mężczyzny nie słyszał jej protestu. Spojrzał na nią z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy.

- Twoja śliczna siostra nie jest przyzwyczajona, by grać drugie skrzypce. Wydaje się, że wybierając ciebie utarłem jej nosa. Sądząc z tonu głosu, niezadowolenie Mandy nie budziło w nim niepokoju.

Zuzanna uświadomiła sobie, co powiedział i otworzyła szeroko oczy. Czy mówił

poważnie? Ale uśmiechał się z taką drwiną, że nie mogła mieć wątpliwości: oczywiście, że nie! Tak jak Mandy, on też flirtowałby nawet ze słupem.

- Panno Redmon! - Władczy głos skłonił Zuzannę do odwrócenia głowy. Pani Greer dotarła do stóp

stopni i machała na nią niecierpliwie. -Proszę mi podać rękę! Moje nogi nie są już tak sprawne jak kiedyś.

- Już idę - odpowiedziała.

- Zuzanno. Obejrzała się z udręką. W oczach słuŝącego błyszczały niepokojące iskierki.

Podoba mi się brzmienie mojego imienia, gdy wymawiasz go twoim pięknym głosem.

Nikt jeszcze nie nazywał mnie Ianem w taki sposób. Ku zakłopotaniu Zuzanny oczy błysnęły mu mocniej, a uśmiech z drwiącego zmienił się w zupełnie zmysłowy. Czerwieniąc się po cebulki włosów, zawstydzona w równej mierze jego słowami i swoją grzeszną wyobraźnią, zostawiła tego kuszącego diabła, by zająć miejsce u boku pani Greer.

Poranne naboŝeństwo trwało do południa, a popołudniowe do szóstej. Nie wszyscy zostawali na obu, ale rodzina Redmonów nie miała wyboru. Zanim dotarli do domu, zapadł

juŝ zmrok. Zuzanna była zachrypnięta od śpiewu, a palce bolały ją od gry na klawikordzie.

Czuła się jednak oczyszczona, jak zawsze po dniu spędzonym w domu boŝym.

Ian siedział milcząco obok niej. Pomyślała, ŝe niezwykła dla niego ilość modlitw mogła go zmęczyć. Siostry teŝ były spokojne, kaŝda aa swój sposób. Sara Jane wydawała się podniesiona na duchu, Emilia znudzona, a Mandy nie mogła sobie znaleźć miejsca. Zuzanna odetchnęła, gdy powozik zahamował. Lecz gdy się obejrzała, zobaczyła nadawana buzię Mandy. Z jej strony na pewno groziły kłopoty.

Zmęczony, czy nie, Ian zeskoczył na ziemię szybciej niŝ dziewczęta. Najpierw podał

rękę Zuzannie. Postanowiła przyjąć tę grzeczność, by nie dać mu okazji do kolejnych kłopotliwych przedstawień. Następnie pomógł Sarze Jane, Mandy i Em. Tym razem Mandy nawet się nie uśmiechnęła, lecz szybko ruszyła do domu. Zuzanna, idąc za siostrami, szykowała się juŝ do kłótni lub spędzenia wieczoru w towarzystwie nadąsanej Mandy. Ona jednak wymówiła się bólem głowy i natychmiast poszła do siebie, zostawiając siostrom przygotowanie kolacji i wszelkie inne wieczorne obowiązki. Zuzanna chętnie wykonała dodatkowe prace. Woląa nie mieć do czynienia z obraŝoną pannicą.

Było juŝ późno, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Dziewczęta były na górze, a ojciec spał

zmęczony po długim dniu modlitw. Zuzanna wyrabiała ciasto na chleb. Zanim jeszcze otworzyła drzwi, wiedziała co zwiastuje wizyta o tej porze.

Tym razem był to Seamus O'Brien, ojciec ukochanej Bena. Wyglądał jak zbity pies, stojąc tak w progu z kapeluszem w rękę i przestępując z nogi na nogę. Zuzanna poczuła, ŝe mięknie jej serce.

- Co mogę dla pana zrobić, panie O'Brien? - spytała cicho.

To Mary. - Mary była jego Soną. - Okropnie boli ją brzuch. MoŜe pani przyjść? Mary O'Brien od ponad roku cierpiała na ostre skurcze Sóładka. Seamus posunął się nawet do tego, Ŝe wezwał lekarza. Ale ten nie wykrył Ŝadnej choroby i odjechał. Pieniędzy im nie zbywało, więc nie posłano po niego po raz drugi. Za to Zuzanna mniej więcej raz w miesiącu chodziła posiedzieć z Mary i jak potrafiła starała się jej ulŜyć.

Źródło tego bólu pozostawało tajemnicą i Zuzanna zaczęła podejrzewać, Ŝe Mary jest powaŜnie chora. Niewiele mogła pomóc, co najwyŜej pocieszać kobietę i rodzinę. Sprawy Ŝycia i śmierci spoczywały w rękach Pana.

- Wezmę moją torbę - powiedziała zadowolona, Ŝe nie zdąŜyła się jeszcze rozebrać.

Seamus czekał niecierpliwie, aŜ pojawiła się w zarzuconym na głowę szalu.

Razem zaprzęgli Darcy'ego i ruszyli drogą w stronę domu O'Briena.

Gdy dotarli na miejsce, Zuzanna wysłała do łóŜka dzieci. Seamus dokończył domowe prace, potem usiadł na krześle przy ogniu i głośnie czytał Biblię.

Zuzanna tymczasem starała się ukoić ból Mary ziołami i gorącymi kompresami.

Głaskała ją pocieszająco, aŜ wreszcie kobieta usnęła. Zuzanna z doświadczenia wiedziała, Ŝe najgorszy ból minął na kilka tygodni. Mogła teraz sama wrócić do domu i przespać nieduŜą, pozostałą jej część nocy.

Co w najlepszym przypadku oznaczało około czterech godzin, oceniła odmawiając przyjęcia gdaczącej kury, którą Seamus próbował jej wręczyć jako zapłatę. Wsiadła do powoziku. Darcy, przyzwyczajony do takich nocnych wycieczek, czekał cierpliwie, spędzając czas na przeŜuwaniu trawy, która znalazła się w jego zasięgu. Teraz, wiedząc, Ŝe wraca do stajni, potrząsnął łbem aŜ zabręczała uprząŜ, i ruszył dziarskim kłusem.

Była mniej więcej pierwsza w nocy. Cały świat zasnął pod płaszczem mroku. Tylko cykanie świerszczy i z rzadka chrapliwy skrzek samotnej Ŝaby przerywały ciszę. Zuzanna chciała znaleźć się w domu jak najspieszniej, więc machnęła na Darcy'ego, gdy zwolnił

trochę, strzygąc uszami na coś przy drodze, czego nie dostrzegła. Pewnie szop, a moŜe tylko zatrzeszczały krzaki, choć Darcy na ogół nie był płochliwy. Jednak ciemność wywoływała lęk zarówno u koni, jak u ludzi. Choć często wyjeŜdŜała samotnie nocą, nigdy się do tego nie przyzwyczaiała. Była dorosła i dumna z tego, Ŝe jest praktyczna i zrównowaŜona. Oczywiście nie wierzyła w złe duchy i upiory, krąŜące nocą po świecie. Lecz księŜyc płynął nad głową jak blade widmo, a czubki sosen pochylały się witając wiatr, który przesuwiał po niebie szare strzępki chmur. Nietrudno było wyobrazić sobie coś niesamowitego. Na przykład, Ŝe nie jest sama...

Ŝaba wyskoczyła z charakterystycznym wrzaskiem niemal spod kopyt Darcy'ego.

Koń, który zwykle zignorowałby tak zwyczajne wydarzenie, spłoszył się. Wystraszona Zuzanna szarpnęła uspokajająco za lejce. - Co to za hałas, do diabła?

Posępny głos, dobiegający na pozór znikąd, zaskoczył ją tak, że krzyknęła i niemal wypuściła lejce.

ROZDZIAŁ 18

Zaniepokojony Darcy parsknął i ruszył galopem. Na szczęście Zuzanna nie straciła przytomności umysłu i nie wypuściła lejca, więc zdołała go wyhamować zanim zupełnie wymknął się spod kontroli. Kiedy koń znowu ruszył truchtem, odetchnęła spokojniej i obejrzała się do tyłu, by wściekłym wzrokiem obrzucić Iana. Choć w pierwszej chwili przełękała się, rozpoznała jego głos od razu.

- Śmiertelnie mnie przestraszyłeś! Co ty sobie myślisz, chowając się w moim powozie w samym środku nocy? Skąd się tu w ogóle wzięłeś?

- Wcale się nie chowałem. Wyciągnąłem się na tylnym siedzeniu, czekając na ciebie, i musiałem zasnąć. A jak się tu dostałem? Słyszałem, że wyjeżdżasz i poszedłem za tobą. Pieszko, pragnę zauważyć. To był niezły spacer i wcale mi się nie spodobał.

Uprzedzałem cię rano, że cię odwiozę, jeśli będziesz musiała gdzieś jechać.

- To śmieszne!

- Nie powinnaś jeździć sama, zwłaszcza nocą. Trudno uwierzyć, że nic ci się dotąd nie stało.

Zuzanna parsknęła pogardliwie.

- A co niby mogłoby mi się tutaj stać? Najgorsze to, gdyby Darcy zgubił podkowę i musiałabym wracać do domu pieszo.

- Najgorsze to, gdyby jakiś śmieć, choćby Jed Likens, przyłapał cię samą i postanowił zemścić się. Zresztą każdy mężczyzna, który spotkałby w nocy samotną kobietę, mógłby wykorzystać sytuację. Narażasz się na gwałt, a może i morderstwo.

- Jed Likens jest mocny w gębie. Nic mi nie zrobi! Nie ośmieli się, to po pierwsze.

Nikt w tej okolicy by się nie ośmielił. Od lat jeżdżę samotnie i nigdy nie miałam problemów.

- Miałaś szczęście i tyle. Póki tu jestem, będę cię woził, zwłaszcza nocą. I nawet się nie kłóc, bo nie ustąpię.

Niewygodnie było powozić i prowadzić rozmowę przez ramię. Aby wyrazić swe oburzenie z większą pewnością siebie Zuzanna zatrzymała konia. Uwiązała lejce i obróciła się. Światło księżyca oświetlało ją tak wyraźnie, jakby to był dzień. Lecz skórzane oparcie powozu przesłaniało większą część tylnego siedzenia. Twarz Iana pogrążona była w cieniu.

- Zapominasz się, Connelly. - Nazwała go tak świadomie, z odrobiną zbędnej emfazy.

- Ja tu jestem panią. Ty masz robić, co ci każę, a nie odwrotnie.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza. Oparł ramiona o siedzenie i pochylił się ku niej.

Ta postawa była niemal groźna i Zuzanna z trudem powstrzymała chęć, by się odsunąć.

Uniosła brodę i spojrzała wyzywająco. W efekcie, gdy zaczął mówić, jego twarz tkwiła o kilkanaście centymetrów od jej głowy.

- Jestem zmęczony i zrobiło się bardzo późno. Bolą mnie stopy od biegania za tobą po tej paskudnej drodze w butach, których jeszcze nie zdążyłem rozchodzić. Kolana też mnie bolą od klęczenia przez cały dzień w kościele. Jestem głodny i w związku z tym w kiepskim nastroju. Jeśli więc chcesz się ze mną kłócić, uprzedzam, że robisz to na własne ryzyko.

- Nie kłóć się z tobą - odparła chłodno, odwracając się plecami i sięgając po lejce. -

Stwierdzam fakt. I lepiej, byś o tym pamiętał. A teraz, jeśli usiądziesz i przestaniesz gadać, dojedziemy do domu.

- Zuzanno, ja będę powoził.

Nie - uparła się. - Ja. I panno Zuzanno, o czym doskonale wiesz. Nie odpowiedział, lecz wysiadł z powozu. Najwyraźniej zamierzał zakończyć dyskusję, przemocą odbierając lejce. Stał na drodze, opierając jedną rękę na wygiętym przodzie powozu, gotów wskoczyć na jej miejsce. Czarny pilśniowy kapelusz zsunął na tył głowy, a surdut zostawił chyba w domu. Złota kamizelka lśniła w świetle księżyca, tak samo jak lodowato szare oczy.

Postawił stopę na schodku. Zuzanna potrząsnęła lejcami, uderzając w grzbiet konia.

Nie przyzwyczajony do takiego traktowania, Darcy ruszył ostro do przodu. Powozik szarpnął i Ian z głuchym odgłosem wylądował siedzeniem na drodze. Dobrze mu tak!

Obejrzała się z zadowoleniem i pomachała mu ręką. Potem, nie zwalniając, ruszyła ku domowi.

Gdy wjechała w obejście, obudziła śpiącego na stryżku Bena, by zajął się Darcym i wprowadził powóz. Co sił w nogach zmierzała do domu. Bała się tylko, że Ian wróci zanim ona bezpiecznie schroni się w środku. Będzie wściekły i choć nie bała się go, nie okazała się na tyle głupia, by stawiać mu czoło zanim się nie uspokoi.

Ale oczywiście miejsce, w którym się rozstali dzieliła od domu długa droga.

Uśmiechając się na myśl, jak człapie na tych swoich delikatnych stopach, dumna ze swego zwycięstwa i nawet już niezbyt senna, Zuzanna poszła do łóżka.

Pół godziny później, kiedy zaczynały jej opadać powieki, rozbudziło ją jakieś drapanie i cichy stuk. Zaskoczona usiadła. Seria cichych trzasków sprawiła, że serce zabiło jej szybciej.

Coś lub ktoś szedł po dachu nad gankiem w stronę okna.

Było otwarte, jak zawsze w czasie upałów. Proste, muślinowe zasłony wydymały się na wietrze. Atramentowe niebo za oknem było jasne od gwiazd. A potem - tak nagle, Œ zamruła, by się upewnić, czy to nie złudzenie - wysoki cień przesłonił widok.

Dach ganku znajdował się pod oknem. Ktoś wykorzystywał go, by dostać się do jej sypialni.

Ian! Zuzanna wiedziała, Œ to on, nim przerzucił nogi przez parapet i wsunął się do środka.

- Co ty tu robisz? Wyjdź z mojego pokoju! - szepnęła z furją, zasłaniając się kołdrą.

- O nie - odparł, głos wibrował wściekłością, choć był niebezpiecznie cichy.

- Jeszcze nie.

Wyciągnął rękę, szarpnął za pościel, odrzucając ją na bok. Wprawdzie w pokoju było ciemno, lecz nie tak, by skryć jej negliŒ. Białe księŒycowe światło padało na łóŒko, nadając białej koszuli przejrzystości, której z pewnością wcześniej nie posiadała. Ze zgrozą ujrzała jak ocenia ją wzrokiem od falbanki pod szyją aŒ po czubki nagich stóp. Czowała się tak odsłonięta, jakby była zupełnie naga. Z cichym okrzykiem gniewnego protestu podwinęła pod siebie nogi. Przykucnęła na środku materaca i zasłoniła rękami piersi. Z ramienia zwisał długi, zapleciony na noc warkocz, a ciemne, skręcone kosmyki tworzyły aureolę wokół twarzy.

Pełne usta zacisnęła gniewnie w prostą linię. W oczach płonęły zielono-złote iskry.

- Jeśli się ośmielisz... - zaczęła wściekle.

- AleŒ ośmielę się - odparł i pociągnął ją za łokcie, aŒ klęknęła na brzegu materaca. -

Wyjašnjmy to sobie od razu, Zuzanno. Ośmielę się.

- Nie dotykaj mnie! - szepnęła chrapliwie. - I panno Zuzanno! RozeŒmiał się cicho i nieprzyjemnie.

- Nie lubię lądować na tyłku w błocie, panno Zuzanno. Nie lubię, jak się mnie zmusza, bym nocą wędrował trzy mile po tej nędznej imitacji drogi. A juŒ szczególnie nie lubię, kiedy wyniosła córka pastora zadziera nosa, ile razy na mnie spojrzy. To mi się wcale nie podoba.

Jeśli nie wyjdiesz z mojego pokoju i to natychmiast, zacznę krzyczeć. Jego gniew powinien ją przestraszyć, ale sama była zagniewana. W takich sytuacjach, jak mawiała jej rodzina, Zuzanna nie obawiała się nawet diabła.

- To krzycz. Proszę bardzo.

Tu ją pokonał. Nie mogła tego zrobić i on o tym wiedział. Sama myśl, Œ rodzina odkryje go w jej sypialni, i wszystkie wyjaŒnienia, których będzie musiała udzielić, budziła dreszcze.

- Nie? - głos miał cichy i szyderczy. - Tak myślałem.

Chwycił ją mocniej i przyciągnął do siebie. Dotknęła piersiami jego ciała.

Zetknęły się uda. Ciało ogarnął Śar, czerwieniąc skórę i rozpalając krew. Szarpnęła się do tyłu, jakby był jadowitym węŚem.

- Puść mnie, Connelly! - szepnęła z furją.

Zdołała odsunąć się na jakieś piętnaście centymetrów, ale wciąż była aŚ nazbyt świadoma jego bliskości. Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Mam teŚ cholernie dość tego, jak swym hardym tonem mówisz do mnie Connelly.

Za długo grałaś tu pierwsze skrzypce. Czas na rewanŚ.

Twój? - spytała jadowicie. ZmruŚył oczy i uniósł kącik ust do góry w sposób, który Zuzannie zdecydowanie się nie spodobał.

- Mój.

Tak szybko, Śe nie zdąŚyła nawet się domyŚlić, co zamierza, przesunął dłonie i chwycił ją za szyję. Trzymał ją delikatnie, ale pewnie. Dłonie tworzyły ciepły, wysoki kołnierz, a kciuki unosiły brodę do góry.

- Na imię mi Ian, Zuzanno. Tym razem upewnię się, Śe o tym nie zapomnisz.

A kiedy Zuzanna chwyciła go za ręce, szarpiąc gorączkowo, by się uwolnić nim nastąpi to, czego pragnęła, a jednak obawiała się najbardziej na świecie, dotknął wargami jej ust.

ROZDZIAŁ 19

Pocałunek zmienił wszystko - dokładnie tak, jak się tego obawiała. Nie karał jej, był miękki, ciepły, lecz namiętny.

Zanim sprawy zaszły za daleko, próbowała się wyrwać.

- Ian - zaczęła drŚaćo, uwalniając usta.

- Właśnie tak, Ian - odparł z satysfakcją i pocałował ją znowu.

Po drugim dotknięciu warg, ciało Zuzanny stanęło w ogniu. Ręce, którymi bez przekonania odciągała jego dłonie, teraz znieruchomiały. Powieki opadły, a serce przyspieszyło, pompując krew w głośnym, pogańskim rytmie, obcym wszystkiemu, czego dotąd doświadczyła. Przesunął dłonie na kark, pod cięŚki warkocz, a ona oparła na nich głowę.

- Zuzanno - szepnął chrapliwie.

Czubkami palców gładził delikatną skórę szyi. Wargami nadal muskał lekko jej usta.

Zuzanna nigdy w Śyciu nie spodziewała się, że odkryje w sobie taka namiętność. Krew wrzała, a od najłżejszego dotknięcia jego warg skóra paliła ją po czubki palców. Niewyraźnie pamiętała jak gwałtownie całował ją pierwszej nocy. Lecz gdy teraz rozsunęła wargi, a jego język wśliznął się do wnętrza, w tym podboju nie było nic gwałtownego.

Musiała się ruszyć, czy jęknąć, gdy nagle dłonie Iana znieruchomiałymi pocałunek stał się ognisty i pośladki. Zanim zdążyła opaść bezwładnie pokonana pragnieniem, załkać z pośladania, czy zrobić którąkolwiek z dziesiątek rzeczy, na które miało ochotę rozpalone ciało, hm odsunął się. Uniosła powieki i zamrużyła oszołomiona. Oczy lśniły mu jakby odbiciem jej pośladania, a kciuki bezustannie gładziły skórę pod brodą.

- Wielkie nieba - szepnęła, spoglądając na piękne, zmysłowo wygięte usta.

Roześmiał się. Był to dziwny odgłos i kiedy spojrzała mu w oczy, zobaczyła, że nie ma w nich uśmiechu, lecz płomień.

- Uwielbiam twój głos.

I znów ją pocałował, jakby nie mógł się powstrzymać. Tym razem oparła się o niego całym ciężarem.

- Zuzanno.

Imię na jego wargach było ledwie tchnieniem dźwięku. Gładząc ramiona, zsunął na plecy dłonie. Czuli ją przez cienką bawełnę koszuli. Potem objął ją w pasie i mocno przyciągnął do siebie. Małeńka część umysłu Zuzanny, zdolna jeszcze do racjonalnego myślenia, zdawała sobie sprawę, że to, co chce zrobić, było strasliwym błędem, było grzechem, który będzie ją dręczył do końca Śycia. Mimo to uniosła ramiona, objęła go za szyję i oddała pocałunek.

Zesztywniał, a potem z pomrukiem wydobywającym się z głębi krtani przechylił ją do tyłu. Ścisnął jej pierś dłońią, czując pod palcami twardy jak kamień sutek.

Pragnęła go tak rozpaczliwie, jak głodny pragnie jedzenia, a spragniony wody. Ciało drżało w oczekiwaniu. A nagle gwałtowność delikatnego dotąd uścisku Iana dowodziła, że on również mocno jej pośladki.

Kiedy sięgnął w dół, szukając skraju nocnej koszuli, by podciągnąć ją do góry, nie protestowała, a nawet rozpięła jedyny guzik na szyi. Później, przez jedną chwilę, gdy klęczała przed nim naga, a lekki wiatr z otwartego okna pieścił jej skórę, przeżyła strasliwy moment zwątpienia. Lecz czy powinna położyć się teraz przy nim, naruszając wszystkie zasady moralne, w które dotąd wierzyła? Podjęła decyzję, że już wtedy w salonie, pierwszej nocy.

Wątpiła jedynie, czy on zechce spojrzeć na nią nagą. Gdyby teraz się od niej odwrócił, byłaby zdruzgotana na zawsze.

Ian nie spuszczał z niej wzroku. Zuzanna instynktownie przysiadła na piętach, krzyżując przed sobą ręce w klasycznej pozycji obnażonej kobiecości. Jedną ręką osłaniała piersi, drugą punkt u zbiegu ud. W jej wzroku lśniło zakłopotanie. Nie zwrócił na to uwagi, lecz delikatnie pochwycił i rozsunął na boki jej ręce.

Zuzanna nie opierała się - była na to zbyt dumna. W tej jednej chwili, gdy trwała zawieszona między niebem i piekłem, zdawało jej się, że w szarych oczach dostrzegła swoje odbicie: pospolita kwadratowa twarz, niesfornie skręcone kosmyki włosów, zebrane w warkocz grubo jak nadgarstek, uparty i wysunięty wyzywająco podbródek, kremowa, blada skóra, znośna szyja i ramiona z widocznymi spod skóry kośćmi obojczyka. Piersi, podobnie jak włosy były przekleństwem jej życia. Zbyt okrągłe, zbyt pełne, zakończone ciemnymi sutkami. Poniżej talia, tak śmiesznie wąska, że piersi przez kontrast wydawały się jeszcze większe. Obfite biodra, podobnie jak piersi podkreślone przez talię. Miękki łuk brzucha z małym pępkiem opadał ku trójkątowi runa, gdzie stykały się gładkie, mlecznobiałe uda.

Patrząc na niego, na tę niesamowicie przystojną twarz mrocznego anioła, którą zachwycały się już z pewnością legiony kobiet, Zuzanna pogodziła się z tym, kim była. Prostą kobietą, od dawna mającą za sobą pierwszy rozkwit młodości, i tak mało atrakcyjną, że nigdy nie miała nawet adoratora. Jej ciało było przytłaczająco dojrzałe, tak bardzo, że zanim nauczyła się je ukrywać, ściągało zdumione spojrzenia.

Czekała drżąc aś on odwróci się z niesmakiem albo co gorsze powie coś bardzo delikatnego, by nie urazić swoich i jej uczuć.

Oczy mu pociemniały, gdy zatrzymał wzrok na piersiach. Zanim przesunęły się po całym ciele, by wrócić do jej oczu, były już tak ciemne jak noc za oknem.

- Dobry Boże, jesteś piękna - powiedział szorstkim, chrapliwym głosem. - Ale przecież wiedziałem, że taka będziesz.

Piękna? Ja? Zdumiona spojrzała na niego podejrzliwie. Wciąż trzymał ją za ręce.

Ścisnął jej palce, potem puścił i uśmiechnął się lekko.

- Wspaniała - stwierdził, sięgając do chusty i rozwiązując ją kilkoma wprawnymi ruchami.

- Cudowna - dodał, odpinając guziki, które jeszcze niedawno przyszyła mu do kamizelki. Zapierająca dech. Zrzucił koszulę.

- Majestatyczna. Przeskakiwał z nogi na nogę, ściągając buty.

Majestatyczna? Och, Ian! Kpisz ze mnie! Zuzanna nie wiedząc czy się śmiać czy płakać, objęła się rękami i zakłosała na łóżku.

Zdejmował pończochy, nagi, jedynie w spodniach i w białym zwoju bandaży na piersi.

Patrzyła na umięśniony brzuch, wąskie biodra i talię. Potem, gdy przesunął dłonie do guzików spodni,

odwróciła wzrok. Reszta jego osoby musi pozostać bez oceny.

- Kpię z ciebie?

Usiadł przy niej i objął jej ramiona. Jednym krótkim spojrzeniem, zanim ogarnęło ją zawstydzenie, Zuzanna dostrzegła, że jest nagi. Wspaniale nagi...

- Nie, Zuzanno, wcale z ciebie nie kpię - szepnął wyciskając delikatny pocałunek tuż poniżej ucha.

Dłonią robił coś przy jej karku. Kiedy rozsypały się włosy, wspomagane przeczesującymi je palcami, rozumiała, że rozwiązał tasiemkę warkocza. Okrył ją płaszcz spływających kaskadą loków. Zobaczyła jak Ian odsuwa się lekko, by się jej przyjrzeć.

Poczerwieniała, chwyciła dłonią jego rękę, obejmującą ją w pasie. Błysk oczu mówił wyraźnie, że jej pragnie. Drwił z niej czy nie, ten błysk był wystarczającym dowodem.

Zważył dłonią jej pierś i przesunął kciukiem po sutku. Zuzanna wstrzymała oddech, gdy sutek stwardniał niepokojąco. - Piękna - powtórzył.

Objął ją mocniej w pasie, potem uniósł rękę, by podnieść jej brodę i znów pocałował.

Oszołomiona, odchyliła głowę do tyłu. Objęła go za szyję, napotykając wstążkę owiniętą wokół jego włosów. Czując nieprzepartą chęć, rozwiązała ją i wsunęła palce w twardą, czarną gęstwę. Zamknęła oczy, gdy wyciskał gorące pocałunki na powiekach, policzkach, skroniach. Drżała. Umysł zajęła tylko jedna, prymitywna myśl ciała.

Jakże pragnęła miłości i Iana! W wyobraźni jedno i drugie splatało się ze sobą nierozdzielnie. Cokolwiek zdarzy się tej nocy, nie będzie tego żałować. Może zgrzeszyć, ale jeszcze gorzej byłoby zejść do grobu, ani razu nie przeżywszy tego cudownego wybuchu namiętności.

Palce Iana przesunęły się po jej brzuchu, zbadały pępek i odnalazły gniazdo ciemnobrązowych loczków. Zuzanna znieruchomiała, gdy zatrzymały się między udami.

- A niech to! - rzucił.

Niepotrzebne było nawet kolano, wsuwające się między nogi. Kierowana instynktem starszym niż czas, otworzyła się przed nim niczym kwiat. Miała wrażliwość, że z trudem wymawia każde słowo, gdy szeptał:

- To może boleć. Chciałem, by trwało to dłużej...

Nie bolało. To była pierwsza, niezbyt wyraźna myśl. Wspaniale, cudowne uczucie, piękniejsze niż cokolwiek, co mogła sobie wyobrazić takie, że...

- Ian! Och! Ian!

ROZDZIAŁ 20

Wiedziała jak to jest, lecz nie doświadczyła tego wcześniej. A wyobrażenia nie mogła zastąpić rzeczywistości. Więc poznała fizyczną miłość.

Wszystko, co robił było bardziej intymne i szokujące niż mogła kiedykolwiek przypuszczać. Jak oświecona mroczna i wstydliva opowieść z małżeńskiej sypialni. A jednak rozkoszowała się tym. Jeśli miało to znaczyć, że jest niemoralna, to trudno.

Ian uniósł głowę z jej ramienia, ucałował i stoczył się na bok. Zuzanna powinna poczuć ulgę, uwolniona od gorącego ciała, ale czuła się bezbronna i bardziej naga niż

kiedykolwiek w Syciu.

Dostrzegła, że Ian leży na plecach z rękami pod głową, nie troszcząc się, co odsłania.

Jeśli kompletna nagość w jej obecności nie budziła w nim zakłopotania, to i ona nie powinna się przejmować. Szczególnie po tych niewiarygodnych rzeczach, które robili wspólnie. Ale przejmowała się. I nic nie mogła na to poradzić. Miał zamknięte oczy i dziękowała za to Panu. Wstała ukradkiem, znalazła na podłodze nocną koszulę i włożyła ją przez głowę. Skóra lepiła jej się od potu i Zuzanna marzyła o kąpeli. Z tym musi jednak poczekać, a będzie sama. Ważniejsze, że się czymś okryła; inaczej nie mogłaby spojrzeć mu w twarz.

Czuła coraz większy niepokój. Co mówi się do mężczyzny po takim przeżyciu? A ważniejsze, co ona, Zuzanna Redmon, zwyczajna stara panna i córka pastora, powinna powiedzieć Ianowi Connelly'emu, grzesznie przystojnemu skazańcowi, po tym jak przy jej pełnej akceptacji i w jej własnym łóżku pozbawił ją dziewictwa?

Nie będzie mogła nazywać go Connellym i powrócić do roli pani. Zresztą i tak nigdy by się to nie udało, Ian był na swój sposób równie uparty i zadziorny jak ona. Od samego początku nie okazywał nawet odrobiny słuchalności.

Ciche chrapanie odwróciło jej uwagę. Z niedowierzaniem pojęła, że zasnął.

Uspokojona, że zyska chwilę czasu na zebranie myśli, czuła się jednak dziwnie urażona. Jak mógł tak zwyczajnie usnąć? Miała ochotę zostawić go: ubrać się, wymknąć do kuchni i wcale z nim nie rozmawiać. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Niebo za oknem z wolna jaśniało. Wkrótce wstanie świt i zbudzą się domownicy.

Nie może dopuścić, by odkryli nagiego słuchającego, chrapiącego w jej łóżku.

- Ian - Zuzanna pochyliła się i trąciła go w ramię.

Zrobiła to ostrożnie, niemal wstydliwie i bez większych efektów. Ten nieczuły gbur chrapał dalej. Potrząsnęła mocniej, potem z całej siły szarpnęła za ramię. Chrapanie ustało.

- Ian, obudź się!

Otworzył nagle oczy i zamrugał, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest. Potem dostrzegł pochyloną nad nim Zuzannę.

- Warto było na ciebie czekać. Wiedziałem o tym - powiedział, a przynajmniej tak jej się wydawało, bo słowa nie miały chyba sensu. Uznała, że jeszcze się do końca nie obudził. - Chodź do łóżka. - Chwycił ją za rękę.

Nie, ja... Ku jej konsternacji, za oknem zapał kogut. Drugi poszedł za jego przykładem. To niewiarygodne, ale nadszedł świt. Ojciec i siostry na pewno zaraz się obudzą.

- Musisz iść - powiedziała nagłoco, odwróciła się, podniosła z podłogi i niemal rzuciła w niego ubraniami. - Spiesz się!

Usiadł, kręcąc głową i przeczesał palcami włosy, nie zwracając uwagi na rozrzucone dookoła rzeczy.

- Posłuchaj, Zuzanno, ja...

Cicho! Zmarszczyła brwi, przyłożyła palec do ust i stanęła przy drzwiach. Nie miały zamka, gdyś nigdy, a do teraz, go nie potrzebowała. Zwykle zrywała się pierwsza, ale było możliwe, że któraś z siostr, nic słysząc zwykłej krzątaniny, wstanie zbadać sprawę. Na samą myśl, że mogłaby zostać odkryta w takiej sytuacji przez siostrę czy nawet, Boże uchowaj, ojca, krew zastygła Zuzannie w żyłach.

Widząc jej poruszenie, Ian skrzywił się, ale wstał z łóżka i zaczął wkładać ubranie.

Zuzanna nie miała do tej pory okazji oglądać ubierającego się mężczyzny. Szło mu to szybko, gdyż miał o wiele mniej elementów stroju niż jakakolwiek kobieta. Po chwili stał już na jednej nodze, wciągając buty, potem zarzucił kamizelkę. Zawiązał na szyi kokardę, a tasiemkę do włosów wcisnął do kieszeni.

Teraz, wyglądając przyzwoicie, podszedł do niej szybko i stanowczo. Patrzyła na niego zawstydzona, wiedząc, że w jej oczach odbijają się wspomnienia ostatnich kilku godzin. Uniosła głowę, próbując uciszyć nagłe, zdradzieckie przyspieszenie tętna. Nie mogła uwierzyć, że niecałe pół godziny temu leżała przy nim naga.

Kiedy wreszcie spojrzała mu w oczy, była purpurowa. Popatrzył na nią zdziwiony, a w oczach błysnęło rozbawienie. Lecz był zbyt mądry, by ryzykować uśmiech.

Zesztywniała, słysząc jakiś głos z korytarza. Rozejrzała się przerażona. - Już idę - szepnął zrezygnowany.

Ujął jej twarz i pocałował. Pocałunek był szybki, mocny i nieoczekiwanie namiętny.

Zadrzała, chwyciła go za dłonie i zamknęła oczy. Wtedy puścił ją, odwrócił się i odszedł.

Kiedy Zuzanna otworzyła oczy, zniknął już w rozjaśniającej się szybko szarości świtu.

Dwadzieścia minut później zeszła do kuchni umyta i ubrana. Zaskoczona, zobaczyła tam już Sarę Jane, formującą bochenki z wyrosniętego przez noc ciasta.

Zuzanna zatrzymała się na moment, gdy siostra spojrzała na nią z niepokojem, potem zmusiła się, by wejść do środka, jakby nic się nie stało. Jeśli była zarumieniona, mogła mieć tylko nadzieję, że Sara Jane tego nie zauważy.

- Już wstałaś? - spytała możliwie obojętnym tonem. Na szczęście trzeba było rozpalić ogień. Uklękła przed paleniskiem i dzięki temu mogła odwrócić się plecami do siostry. Potem nalała wody i ustawiła garnek nad ogniem.

- Słyszałam, kiedy wróciłaś. Było bardzo późno i ponieważ nie wstałaś rano, pomyślałam, że musisz być bardzo zmęczona. A więc Sara Jane słyszała jak wróciła w nocy.

Co jeszcze usłyszała?

Podejrzanie przeniknęło ją dreszczem.

- Z Mary O'Brien było bardzo źle. Zrobiłam co mogłam, ale obawiam się, że to niezbyt wiele. Sądzę, że ona umiera.

Zuzanna nie miała już żadnego pretekstu. Odwróciła się od trzaskającego ognia i odebrała od siostry chleb. Postanowiła za wszelką cenę zachowywać się normalnie. Nawet gdyby miało ją to zabić, co - biorąc pod uwagę przytłaczający ciężar wyrzutów sumienia -

mogło się zdarzyć.

- Nie mów tak! To by była tragedia, gdyby dzieci straciły matkę! Najmłodsza ma dopiero dwa lata.

- Wiem. - Wsuwając chleb do pieca, Zuzanna poczuła się trochę lepiej. Gdyby siostra знаła jej straszną tajemnicę, za pewno już by się zdradziła. - Ale to wola boska.

Tak. Ktoś wszedł na ganek i Zuzanna zeszywniała. Na szczęście okazało się, że to tylko Ben z naręczem drew na opał.

- Wrzucić do kosza, proszę.

Ben posłuchał, potem wziął garnek, do którego Zuzanna odsypała ziarno dla kur.

- Poszedłem obudzić Craddocka, ale nie było go w chacie. Connelly mówił, że nie widział go od wczorajszej kolacji.

- Widziałeś Connelly'ego? - O mało się nie zakrztusiła tak nazywając Iana.

Serce biło jej mocno, gdy zastanawiała się, czy Ben zauważył go zeskakującego z daszku werandy, czy może nawet wychodzącego oknem z jej sypialni.

- Dziwię się, że już wstał.

- On zawsze wcześniej wstaje, panno Zuzanno. Odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej Ben nie dostrzegł niczego niestosownego.

Może Craddock poszedł już wydoić krowy? Ben pokręcił głową, ale zanim zdążył coś powiedzieć, na ganku rozległy się kroki. Zuzanna obejrzała się szybko. Do kuchni wszedł Ian.

Ubrany był w białą koszulę bez kołnierzyka i czarne spodnie, choć nie te same, które miał na sobie wychodząc od niej. Te były starsze, połatane, zapewne z tego samego źródła co jego niedzielne ubranie. Trzewiki ze srebrnymi klamrami zmienił na solidne robocze buty. Mokra włosy, jakby przed chwilą wyjęte z wiadra wody, odgarnął do tyłu i zawiązał na szyi. Ogolił

się i policzki pokryte jeszcze niedawno szorstkim zarostem, znów były gładkie. Gdyby nie wiedziała, mogłaby pomyśleć, że ma właśnie za sobą długą, spokojnie przespaną noc. Co prawda, wydawał się poruszony, a nawet nerwowy. Natychmiast odszukał ją wzrokiem.

Przez jedną chwilę, gdy spojrzeli na siebie, czas zatrzymał swój bieg i Zuzanna zapomniała o oddechu. Był taki wysoki, męski, tak niezwykle przystojny, że sam widok odbierał rozsądek. Jej kochanek. Na tę myśl poczuła dreszcz i musiała opuścić wzrok. By ukryć zakłopotanie przeszła do pojemnika i zaczęła do misy odmierzać mąkę.

- Dzień dobry, Connelly.

Spokojny głos Sary Jane uświadomił jej, że ani słowem nie odezwała się do nowo przybyłego. Musi się uspokoić i zachowywać jak zawsze. Jeśli nie, to równie dobrze może powiesić sobie na szyję sztyl zawiadamiający o tym, co zrobiła.

- Dzień dobry, panno Saro Jane - odparł Ian.

Zuzanna stała plecami do niego, więc nie miała pewności, lecz sądząc po mrowieniu na szyi, wciąż się jej przyglądał. Spojrzała przez ramię i przekonała się, że tak właśnie było.

Dobry Panie, tym spojrzeniem dolewa tylko oliwy do ognia!

- Zuzanno, nie widziałaś mojej „Historii plantacji w Plymouth”? Gdzieś ją zapodziałem, a chciałbym coś zacytować w niedzielnym kazaniu.

Ojciec wszedł do kuchni, marszcząc brwi. Był całkowicie ubrany, nie miał tylko surduta. Całe szczęście, że myślał jedynie o książce, gdyż dzięki temu nie zauważył

zawstydzona, malującego się na jej twarzy.

- Stoi w biblioteczce tuż przy drzwiach salonu, papo. - Z trudem zachowywała spokój.

- Dzień dobry, Saro Jane. Dzień dobry, Connelly- powiedział wielebny Redmon, dopiero teraz ich zauważając. Odpowiedzieli cicho. Potem znowu zwrócił się do Zuzanny:

- Zdawało mi się, że wyjeżdżałaś w nocy?

Mary O'Brien znów zachorowała. Zuzanna wiedziała, że odpowiedź jest zbyt zwięzła.

Jeśli Ian nadal obserwuje ją z tym dziwnym wyrazem twarzy, to czy ojciec zauważy i odgadnie, co zrobili? Poczła się chora na duszy.

- Mam nadzieję, że zabrałaś Connelly'ego?

To było tylko niewinne pytanie, lecz i tak rumieniec pokrył twarz i szyję Zuzanny.

- Pojechałem z pańską córką, wielebny - wtrącił Ian i wiedziała, że zrobił to, by ją chronić. On przynajmniej rozumiał, jakie męki przechodzi w obecności ojca.

- To bardzo szlachetnie, że wstałeś w nocy. Jestem ci wdzięczny za opiekę nad Zuzanną.

Wstyd i wyrzuty sumienia ścisnęły jej serce. Stojąc tyłem do mężczyzny, pochyliła się nad stolnicą.

- To dla mnie przyjemność, może mi pan wierzyć - odparł Ian. Miała nadzieję, że tylko ona słyszy ukrytą w tym stwierdzeniu dwuznaczność. Ani chwili dłuższej nie zdoła wytrzymać z nimi dwoma w jednym pomieszczeniu. Rzuciła do misy garść mąki i spojrzała na ojca. Patrzył na Iana z absolutnie niewinnym wyrazem twarzy. Oczywiście nie zdawał

sobie sprawy z panującego w kuchni napięcia. Nawet gdyby powiedziała mu wprost, co zrobiła, nigdy by w to nie uwierzył. Sumienie na nowo zaczęło ją dręczyć.

- Przyniosę ci książkę, papo.

- Nie, nie. Sam ją znajdę i pójdę na górę. Myślę, że mam jeszcze trochę czasu do śniadania?

- Jakies pół godziny.

Dobrze. Wielebny Redmon wyszedł. By się opanować, Zuzanna potrzebowała chwili samotności. Spróbowała więc pozbyć się także Iana.

- Jeszcze chwilę potrwa zanim przygotujemy posiłek. Może... może weźmiesz od Bena ziarno i nakarmisz kury, a on wydoi krowę. -Choć zwracała się do Iana, nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć.

- Tak, proszę pani. Jeśli w głosie zabrzmiała lekka ironia, Zuzanna starała się jej nie słyszeć.

Pochylona nad misą, każdym nerwem wyczuwała jego obecność, gdy brał od Bena ziarno i wychodził z domu.

Została z Sarą Jane. Rozluźniła mięśnie - dotąd nie zdawała sobie sprawy, że je napina. Gdy z misą w rękach odwróciła się, zobaczyła, że siostra obserwuje ją uważnie.

- Wydaje mi się, że Connelly ma na ciebie oko - powiedziała. - Z pewnością tobie wczoraj poświęcał najwięcej uwagi. A jak patrzył...! Sama dostałam dreszczy! Zuzanna zaczerwieniła się.

- Nie śartuj - rzuciła szorstko i podeszła do ognia. Musiała wrzucić do wody mąkę kukurydzianą, by przygotować kleik na śniadanie.

- Podoba ci się, prawda? Nic dziwnego. To najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w Syciu widziałam, nawet jeśli jest trochę straszny. Przynajmniej mnie przeraża. Mam wrażenie, że z tobą jest inaczej. Zawsze byłeś dzielny. Ale, Zuzanno...

Dość tego, Saro Jane. Zbyt popuszczasz wodze wyobraźni. Wrzuciła do wrzątku garść mąki, bardziej gwałtownie niż było to potrzebne.

- Może i tak. Ale nie zapominaj kim on jest, siostrze. To skazaniec i nasz słuśny.

Nie może zostać twoim mężem, a coś innego nie wchodzi w ogóle w grę.

- Mówisz jak ja, kiedy pouczam Mandy. - Zuzannie udało się roześmiać.

- On nie patrzy na Mandy tak, jak na ciebie, więc, moim zdaniem, ty jesteś w niebezpieczeństwie.

- Nie potrzebuję twoich rad! - Zuzanna spojrzała przez ramię zbolonym wzrokiem.

Na pewno? - spytała łagodnym tonem siostra. Podeszła bliżej i wyjęła miskę z jej rąk.

- Więc dlaczego używasz tego do zrobienia kleiku kukurydzianego? Zuzanna spojrzała do miski i słowa uwięzły jej w gardle. Wrzucana do wrzątku była zupełnie zwykłą, wcale nie kukurydzianą mąką.

ROZDZIAŁ 21

Późnym popołudniem Zuzanna czuła się tak zmęczona, że z trudem trzymała się na nogach. Dzień był wyjątkowo gorący, choć ochłodziło się nieco, gdy słońce opadło ku zachodowi. Craddock zniknął gdzieś, pewnie znowu upijał się, więc większość uciążliwych obowiązków spadła na nią i Bena. W tej chwili chłopak czyścił chlewik, a Zuzanna, przy skromnej pomocy muła, orała zachodnie pole. Emilia kroczyła za nią i układała bulwy w zagonach. Pewnego dnia, który wydawał się niesłychanie odległy, wyrosną z nich słodkie ziemniaki. Mandy w domu przygotowywała kolację, a Sara Jane wyruszyła, by roznieść jedzenie potrzebującym parafianom.

- Ruszaj, staruszkule! - powiedziała Zuzanna już chyba setny raz potrząsając lejcami.

Potem schyliła się, by złapać długi uchwyt trójkątnego, drewnianego pługa. Stary Cobb był głuchy jak pień i okrzyki nie robiły na nim wrażenia. Lecz przyzwyczała się mówić do zwierząt, a choć nie słyszał, Stary Cobb dobrze rozumiał dotyk lejc. Zastrygł uszami i powłócząc nogami zrobił może za

trzydzieści kroków, nim zatrzymał się znowu.

- Niech licho porwie tego muła!

Gdyby miała skłonności do przeklinania, teraz ulŚyłaby sobie. Stary Cobb odznaczał

się przykrym usposobieniem - niczym jakiś stetryczały staruszek, a ona nie była w nastroju, Śeby ustępować jego dziwactwom. Przerzucone przez szyję lejce ocierały jej skórę, a na dłoniach tworzyły się bąble. Bolały ją nogi i miała wraŚenie, Śe za chwilę pęknie jej grzbiet.

Gdyby nie groźba jutrzejszego deszczu, przerwałaby pracę, a Ben i Craddock -jeśli ten ostatni wróci w stanie umoŚliwiający pracę - dokończyliby następnego dnia. Ale wszystko, od dusznego powietrza, aŚ po zachowanie kosmatych brązowych i Śółtych gąsienic, przepowiadało burzę. Trzeba posadzić ziemniaki nim spadnie deszcz.

- Zuzanno, jestem taka zmęczona.

Odwróciła się, spoglądając przez ramię na Em. Siostra dogoniła ją właśnie, masując dłonią kark. Obie ubrane były w swe najstarsze sukienki, a na głowach miały kapelusze z szerokim rondem. Em podwinęła rękawy powyŚej łokci, a spódnicę podciągnęła w pasie, odsłaniając większą część ubłoconej po kolana halki. Wyglądała tak Śałośnie, Śe Zuzanna musiała się uśmiecnać.

- Wiem. Ja teŚ. Chodź, zaraz skończymy. Potem usiadzimy wygodnie, a Mandy i Sara Jane podadzą kolację.

Em zwykle nie pomagała wiele przy posiłkach, więc ta obietnica niezbyt do niej przemawiała. Gdy jednak Zuzanna znów potrząsnęła lejcami, popędzając starego upartego muła, siostra ruszyła za nią, pochylając się co kilkanaście centymetrów, by wetknać bulwę ziemniaka w wysuszoną glebę.

Dotarły niemal do końca pola, gdy Zuzanna uniosła głowę i spostrzegła Iana. Właśnie przechodził przez drewniany płot. Mimo zmęczenia, na jego widok poczuła dreszcz. Nie widziała go od śniadania, kiedy papa zlecił mu tłumaczenie jakiegoś zbioru francuskich kazań, które gdzieś wygrzebał i miał nadzieję wykorzystać podczas naboŚeństw. Teraz, widząc jak idzie w jej stronę, poczuła przypływ nieśmiałości tak silny, Śe niemal bolesny.

Było jasne, Śe on nie ma takich problemów. Inaczej nie zbliŚałby się równie stanowczym krokiem.

Z mocnym postanowieniem, Śe się nie zarumieni - choć była zaczerwieniona od upału tak, Śe pewnie by tego nie zauwaŚył - Zuzanna szarpnęła lejce, by zatrzymać Starego Cobba.

Obejrzała się i zaczęła, aŚ Ian stanie przy niej.

- Co...? Ach. - Em zdziwiła się, dopóki nie podąŚyła za wzrokiem siostry.

Zuzanna, zmęczona, oparła się o pług. Gdy tylko Ian podszedł bliŚej, zauwaŚyła, Śe jest zagniewany.

- Co pani do diabła wyprawia? - zapytał.

Nie oczekiwała takiego powitania, więc przez chwilę patrzyła na niego zaskoczona.

Stał w lekkim rozkroku, z rękami wspartymi o biodra. W czarnym, filcowym kapeluszu ocieniającym twarz i rozpiętej pod szyją białej koszuli wyglądał irytująco czysto i świeżo.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i poczuła się jeszcze bardziej brudna i spocona. A to wcale się jej nie spodobało.

- O ile wiem, tę czynność nazywamy orką - odpowiedziała zgryźliwie. Zakłopotanie zniknęło wyparte przez irytację.

- To praca dla mężczyzny. Nie powinna pani tego robić.

- Tak się składa, że chwilowo nie ma żadnego mężczyzny, który mógłby ją wykonać. Craddock gdzieś zniknął, a Ben robi co innego. Proszę mi wierzyć, nie pierwszy raz orzę pole.

- Niech mi pani da te lejce. Ja to zrobię. Może pani zastąpić pannę Emilię i sadzić korzenie.

- Bulwy - wtrąciła Em, wyraźnie zafascynowana. Rozmawiający zignorowali ją.

Ty? Chcesz orać? - Zuzanna roześmiała się pogardliwie. - Nie bądź śmieszny.

Wyprostowała się, skrzywiła lekko, czując ból w plecach, i uniosła lejce, by znów popędzić muła. Ian powstrzymał ją prostą metodą: chwycił skórzane pasy tuż powyżej miejsca, gdzie je trzymała.

- Do diabła, Zuzanno. Zobaczysz, że jestem coś wart. Oddaj mi lejce.

Żadne z nich nie dostrzegło rozszerzonych oczu Emilii, zdziwionej poufałością, z jaką sługa zwracał się do starszej siostry.

- Nie umiesz orać - oświadczyła spokojnie Zuzanna, stwierdzając oczywisty fakt.

- Nie umiem?

- Oboje wiemy; że nie umiesz. Przykro mi to mówić, ale jako farmer jesteś zupełnie bezużyteczny.

- Oddaj mi lejce.

- Dobrze. Dobrze! Jeśli chcesz spróbować, to proszę cię uprzejmie. Chcę cię tylko uprzedzić, że możesz się trochę zabrudzić.

Zmrużył oczy, potem rzuciwszy okiem na Emilię, która przyglądała się, jakby nagle wyrosła mu druga para uszu, sięgnął ręką po lejce.

Widząc zdziwienie siostry, Zuzanna nie protestowała dłużej. Odeszła na bok, skrzyżowała ręce na piersi i pochyliwszy pogardliwie głowę patrzyła, jak Ian zajmuje jej miejsce.

- No, dalej - powiedziała.

Oczywiście. - Spojrzał na muła. - Wio! Stary Cobb stał w miejscu, machając ogonem w tę i z powrotem. Ian zerknął z ukosa na Zuzannę, która mimo zmęczenia zaczynała się uśmiechać, i władczo klepnął lejcami szeroki grzbiet muła.

Niestety, Stary Cobb niezbyt dobrze znosił taką stanowczość. Wydał grzmiący ryk oznaczający najwyśszą obrazę, i rzucił się do ucieczki. Z lejcami owiniętymi wokół szyi, Ian nie miał żadnej szansy - w jednej chwili przeleciał nad pługiem i wylądował twarzą w ziemi.

Stary Cobb, rycząc i kopiąc, ruszył galopem w drugi koniec pola.

Zuzanna, przenosząc wzrok z rozwścieczonego muła na leżącego Iana, parsknęła śmiechem. Zanim wraz z Em dotarła do poszkodowanego, śmiała się tak, że łzy ciekły jej po policzkach.

- Ojej - powiedziała niepewnie, gdy Iana wciąż się nie ruszał. - Sądysz, że coś mu się stało?

Mam... mam nadzieję, że nie. - Emilia też zataczała się ze śmiechu. Zuzanna z trudem opanowała rozbawienie, pochylając się nad rozciągniętym na ziemi Connellym.

Gdy dotknęła jego ramienia, Ian przetoczył się i usiadł z wyrazem niesmaku na twarzy. Jak przepowiedziała, był teraz o wiele brudniejszy. Właściwie tak brudny, że ona i Em na nowo wybuchnęły śmiechem, widząc jak próbuje się otrzepać.

- Wiedziałaś, że tak się stanie. - Spojrzał na nią oskarżycielsko.

- Nie.

- Owszem, wiedziałaś. Zrobiłaś to umyślnie.

- Zachowujesz się jak dziecko. - Starła się mówić surowo, ale nie było to łatwe, gdyż wciąż tłumiała chichot. Otworzył usta, po czym zamknął je znowu, patrząc wymownie na Emilię.

Pojmując, że Ian jest gotów powiedzieć, co zamierza, obojętnie czy będą sami czy nie, Zuzanna zwróciła się do siostry:

- Możesz wracać do domu, Em. Nie sądzę, że byśmy dzisiaj jeszcze coś zrobiły.

- Naprawdę? Wielkie dzięki! Nogi tak mnie bołą, że chyba zaraz się przewrócę.

Pomóc ci złapać Starego Cobba?

- Nie, idź już. I tak lepiej sobie z nim poradzę od ciebie. Nie zapomnij schować bulw w jakimś suchym miejscu.

- Na pewno. - Em uśmiechnęła się szeroko do Iana, który wciąż siedział na ziemi. -

Dziękuję bardzo.

Nie ma za co - powiedział z przekąsem, lecz Emilia nie zwróciła na to uwagi.

Ściskając pod pachą kosz, pomaszerowała do domu. Zanim Zuzanna uświadomiła sobie, że zostali sami, Ian błyskawicznie chwycił ją za rękę. Spojrzała na niego zaskoczona. Uśmiechał się jadowniczo.

- Więc uważasz, że jestem śmieszny?

- Tylko trochę. Czasami. Spojrzał na nią, mruczając oczy.

- Mam już dość słuchania ci za błażna. Może czas przejść do czegoś, co ja uznaję za zabawne.

- Na przykład? - Natychmiast zrozumiała, że zadanie tego pytania było błędem.

Uśmiechnął się szerzej i złośliwie.

- Sama zobaczysz.

Szarpnął ją mocno, a ona upadła prosto w jego ramiona.

- Zobaczmy czy teraz będziesz się śmiać - droczył się, trzymając wyrywającą się Zuzannę na kolanach.

Ludzie mogą zobaczyć... Dziewczeta... Puść mnie natychmiast! Rozejrzała się gorączkowo. Byli w samym środku pola. Obok biegła droga, a w zasięgu głosu stał dom i stodoła. Ktoś mógł przechodzić i zobaczyć ich razem.

- Puść mnie!

Nie, dopóki nie będziesz równie brudna jak ja - powiedział ten opryszek i rzucił ją na świeżo przeorane pole. Przetoczył się kilkakrotnie, trzymając ją w ramionach, a włosy wysunęły się z koka, spódnica owinęła wokół łydek, a całą postać pokryła gruba warstwa ziemi.

- Ian! Powyrywałeś bulwy z połowy pola! - zaprotestowała, kiedy w końcu przewrócił ją zdyszana na plecy.

Pochylił się nad nią wsparty na łokciu. I wtedy, spoglądając na niego i siebie, musiała się roześmiać. Jeśli ten świat nosił kiedyś dwie brudniejsze osoby, to ona ich nie widziała.

- Jesteś piękna, kiedy się śmiejesz. - Uśmiechnął się, lecz spoważniał natychmiast, patrząc jej w oczy.

- Nie jestem.

- Jesteś.

- Nie.

- I kto teraz zachowuje się dziecinnie? - zapytał. - Jeśli mówię, że jesteś piękna, to jesteś piękna. Z czystym sumieniem możesz uznać mnie za znawcę. Zuzanna nie była pewna, czyjej to odpowiada.

- W to nie wątpię - odparła sucho. Wyczuł urazę, więc chwycił jej dłoń i przycisnął do ust.

- Mam trzydzieści jeden lat. Miewałem już kobiety. Nie będę tego ukrywał. Ale w moim życiu nie było nikogo takiego jak ty.

Zastanawiam się, ile razy już to mówiłeś? Ian przynajmniej miał dość przyzwoitości, by przybrać zawstydzony wyraz twarzy.

- No dobrze. Parę razy. Ale teraz jestem szczerzy.

Zuzanna spoglądała na niego. Nie czuła już rozbawienia, a jej twarz nagle sposepniała.

- Wiem, że chcesz czegoś ode mnie. O co chodzi? O twoją wolność? Myślisz, że zdołasz tak mnie oczarować, że podreżę twój wyrok? Ujął znowu jej rękę, gładząc kciukiem mały odcisk u nasady dużego palca.

- Czy mi uwierzysz, gdy powiem, że wszystko czego chcę od ciebie, to ty? Gdy uświadomiła sobie, co powiedział, Zuzannie na moment zamarło serce.

Pokryty brudem, nadal był oszałamiająco przystojny. Zgubił wstążkę, która podtrzymywała mu włosy

i gęste, czarne pasma zwisały teraz luźno wokół twarzy. A usta, te idealnie wykrojone i zmysłowe usta, wykrzywił kapryśny uśmiezek. Kiedy patrzył na nią, w szarych oczach nie było śladu wesołości.

Mogłaby mu niemal uwierzyć.

Zuzanna parsknęła zirytowana własną naiwnością.

- Czy sądzisz, że jestem aż taka głupia? - rzuciła szorstko i, zanim zdołał ją powstrzymać, zerwała się na nogi.

Potem, nie oglądając się ani razu, przeszła na koniec pola, gdzie Stary Cobb z zadowoleniem wygrzebywał i rozdeptywał dopiero co zasadzone bulwy. Udając, że wcale jej nie interesuje, czekała, aż coś odwróci jego uwagę, po czym chwyciła za uprzęś. Szarpnął

łbem i ryknął z niezadowoleniem, ale trzymała mocno. Łagodnie poklepała zwierzę po pysku i pociągnęła w stronę stajni, Ian, jeśli zechce, może przynieść pług. Jeśli nie, pośle Bena. Ale dopóki nie uporządkuje w myślach tego, co się zdarzyło, dopóki nie przeanalizuje własnych uczuć, musi Iana unikać.

Powiedziała mu przecieś, że nie jest taka głupia.

ROZDZIAŁ 22

Mimo zmęczenia, tej nocy Zuzanna nie spała dobrze. Zniosła okrzyki zdumionych jej wyglądem Em i Sary Jane, wytrzymała groźne milczenie Mandy. Najwyraźniej, ku rozbawieniu sióstr, Em opisała zajście na polu. Sara Jane dołożyła to, co zaobserwowała rano w kuchni. W efekcie panowała atmosfera podniecenia. Siostry zawsze przyjmowały obecność Zuzanny w ich życiu jako rzecz oczywistą. Uważały ją za tyle starszą od siebie, że należąca niemal do innego pokolenia. W szczególności przyjęły za pewnik, że nie interesują jej mężczyźni. Teraz ta wizja była zagrożona, więc ich wzajemne stosunki nagle się skomplikowały. Mandy ociekała zazdrością, Em spoglądała na najstarszą siostrę z nagłym lękiem, a Sara Jane zaczęła okazywać macierzyńskie uczucia, przez co Zuzanna czuła się niemal jak zagubione dziecko.

Po raz pierwszy za ich pamięci nie chciała jeść, tylko od razu poszła się wykąpać i do łóżka, pozostawiając im podanie kolacji i sprzątanie. Sara Jane i Em, zaniepokojone tą niespodziewaną abdykacją, z własnej inicjatywy przyniosły blaszaną balię i dwa garnki parującej wody. Mandy, choć ciągle nadąsana, przygotowała talerz grzanek. Gdy Zuzanna po raz dziesiąty zapewniła siostry, że nic jej nie jest, musi się tylko wyspać, zostawiły ją w końcu samą. Sara Jane i Mandy wyglądały na zmartwione, a Em prawie przerażoną. Zuzanna widziała ich konsternację, ale była zbyt zmęczona, by przejmować się cudzymi zmartwieniami. Przez tę jedną noc musi się zająć tylko sobą. Z głośnym westchnieniem zanurzyła się w balii. Zamierzała rozkoszować się kąpielą, na co nieczęsto znajdowała czas.

Ale pokonało ją zmęczenie, więc umyła się szybko i z mokrą jeszcze głową poszła do łóżka.

W nocy budziła się często. Problem w tym, że była przyzwyczajona do spania przy otwartym oknie. Dziś zamknęła je i zaryglowała skoblem.

Kiedy rankiem zapał kogut, jedynie siłą woli zmusiła się, by wstać i podjąć obowiązki. Wciąż ledwo się trzymała na nogach, lecz głównie z powodu emocjonalnego wstrząsu. Sara Jane, wyraźnie zatroskana, zjawiała się w kuchni tuż po niej. Zuzanna stanowczo objęła dawną pozycję i wkrótce siostra zachowywała się jak zwykle. Nie wspominała o Ianie i za to Zuzanna była jej wdzięczna.

W ciągu tej długiej, niespokojnej nocy, doszła do nieuniknionego wniosku. Musi zapomnieć o krótkim wybuchu płomiennej namiętności. Sługa stanie się dla niej tylko Connellym, ponieważ po prostu nie ma innego wyboru. Na razie to, co się stało między nimi, było pojedynczym wypadkiem, odchyleniem od normy, kapitulacją wobec słabości ciała. Takie wypadnięcie z łask może być wybaczone, przez Boga i przez nią samą, pod warunkiem, że się nie powtórzy. Ale nawet gdyby chciała, nie mogła zostać kochanką Iana. Nie nadawała się do takiej roli. Świadomy wybór ścieżki pełnej sekretów i grzechu negował wszelkie jej zasady moralne, jakie jeszcze zachowała. Zresztą to tylko kwestia czasu, nim zostaną przyłapani razem, a wtedy skandal splami tę siostrę i prawdopodobnie zabije ojca. A jeśli nawet nie zostaną przyłapani, prędzej lub później pojawi się najbardziej oczywista konsekwencja. Na samą myśl o poczęciu dziecka z nieprawego łoża Zuzanna poczuła się bliska omdlenia. Wtedy właśnie podjęła nieodwołalną decyzję. Cena miłości do Iana była po prostu zbyt wysoka.

Tylko w jednym przypadku ten związek mógł mieć przyszłość, to znaczy, gdyby zostali małżeństwem. Ale, jak zauważała Sara Jane, ślub ze skazańcem to wywołałby skandal. Chociaż gdyby kochała Iana i gdyby on naprawdę ją kochał, chętnie stawiałaby czoło burzy. Ale on nie darzył jej uczuciem, czego była tak pewna, jak tego, że jutro rano zapieje kogut. Gdyby wypłynęła sprawa małżeństwa, Zuzanna musiałaby zakwestionować jego motyw. Siedem lat to długi okres dla mężczyzny, który wedle prawa jest niewolnikiem.

Całkiem możliwe, że w zamian za wolność zechciałby ją poślubić. Ale Zuzanna nie zostałaby żoną mężczyzny, nawet Iana, który wybrałby ją z takich powodów. Miała zbyt wiele dumy i zbytnio lękała się cierpienia, na które by się w końcu skazała. Miłość do niego była zgubnie prosta, ale nie odwzajemnione uczucie zmieniłoby jej świat w piekło.

Jedna cudowna lekcja miłości musi wystarczyć na resztę życia. Miała tylko nadzieję, że już teraz nie rośnie w niej dziecko, które do końca musiałoby nosić ciężar wstydu.

Bóg nie jest tak okrutny.

Ale na wszelki wypadek zaproponowała mu układ: jeśli pozwoli jej uniknąć ciąży, ona raz na zawsze zerwie wszelkie kontakty z tym mężczyzną.

Pozostało tylko zawiadomić o decyzji Iana. Przy śniadaniu cały czas czuła na sobie jego wzrok, co źle wpływało na jej stanowczość. Nie spuszczał z niej oczu nawet gdy omawiał z ojcem sprawiedliwe sposoby podziału funduszy kościelnych między potrzebujących, a ona, rozmawiając z siostrami, napełniała miski i kubki. Sytuację pogarszała Mandy, wpatrująca się w Iana niczym kot w mysia dziurę. I Em, która bez przerwy przenosiła wzrok z Zuzanny na Iana, a potem na Sarę Jane. Nie pomagała świadomość, że ani razu nie udało jej się nazwać Iana Connellym, choć kiedy wszedł do

kuchni, zdołała powitać go ze spokojem.

Potrzebowała czasu, by skleić swe pęknięte serce. Uczyni to jednak, choćby dlatego, że nie ma wyboru. Jeśli cierpi na myśl, że musi zrezygnować z radości, śmiechu i - tak - z cielesnej miłości, którą wniosła w jej życie znajomość z Ianem, to ból jest ceną za grzech.

Bierz co chcesz, ale płąć.

Pierwszym krokiem, którego bała się najbardziej, było powiadomienie Iana - nie, Connelly'ego - o swojej decyzji. Nie będzie zachwycony, ale zamierzała zachować stanowczość. Zeszła ze ścieżki cnoty, ale chciała na nią wrócić i nie grzeszyć więcej.

Lecz powiadomienie Iana będzie jedną z dwóch najtrudniejszych rzeczy w jej życiu.

Ta pierwsza to zrezygnowanie z niego.

Hiram Greer zjawił się niespodziewanie, gdy wstawali od stołu. Uważał się za bliskiego przyjaciela rodziny, więc wszedł tylnymi drzwiami, pukając tylko grzecznościowo.

Wchodząc zdjął kapelusz i uprzejmie powitał panie. Wielebny Redmon otrzymał uścisk dłoni i klepienie w ramię. Nawet Ben doczekał się skinienia głową, i tylko Ian został całkowicie zignorowany. Mandy, zwykle grzeczna dla Greera tyle tylko, ile musiała, teraz wręcz rozpromieniła się, gdy oznajmił, że porywają na cały ranek. Musiał jechać do miasta i pomyślał, że może zechce mu towarzyszyć. Mandy klasnęła w dłonie udając szczerą radość, choć wszystkie trzy siostry przyglądały się jej zdumione. To niesłychane, by Mandy z własnej woli zgodziła się spędzić choćby piętnaście minut w towarzystwie Greera.

- Bardzo dziękuję, panie Greer. Będę zachwycona, jeśli papa się zgodzi, oczywiście.

- Mandy posłała zaskoczonemu ojcu rozbijający uśmiech.

Nie mam nic przeciwko temu, choć powinnaś spytać Zuzannę - odparł pośpiesznie. -

Lepiej ode mnie zna się na takich sprawach. Przez całe życie Mandy przyzwyczała się zwracać do siostry o zgodę na wszystko: od brodzenia w strumyku, po uczesanie włosów.

Dlatego Zuzanna miała wrażenie, że skierowanie prośby do ojca ma bezpośredni związek z zazdrością o słuchającego. Pewnie w ten sposób Mandy chciała zademonstrować, że nie uważa już Zuzanny za opiekunkę, a raczej za rywalkę w walce o względy mężczyzny. Przyjęcie zaproszenia od Greera miało z kolei przekonać Iana, że inni uważają ją za bardzo atrakcyjną.

Zuzanna kochała Mandy, lecz nie miała złudzeń co do jej charakteru. Jeśli chodziło o płć odmienną, oczekiwała absolutnego poddania. Gdy którykolwiek z nich choćby z pozoru zdawał się przedkładać inną nad jej śliczną osobkę, Mandy wypowiadała wojnę. Nawet gdy tą inną była siostra, która przez ostatnie dwanaście lat zastępowała jej matkę.

I pomyśleć, że Zuzanna kupiła skazańca w nadziei, że życie stanie się prostsze!

- MoŜesz jechać, jeśli pojedzie z tobą Sara Jane albo Em - oświadczyła, choć Mandy nie spytała. - Przy okazji mogłabyś i dla mnie kupić w mieście parę drobiazgów. To bardzo ładnie z pana strony, panie Greer, Ő zaprosił pan Mandy. Nie muszę wysyłać Bena.

Z pomocą Sary Jane Zuzanna zaczęła sprzątać ze stołu; nie przeoczyła jednak niechętnego spojrzenia siostry.

- To panna Mandy jest nadzwyczaj uprzejma, Ő zgodziła się mi towarzyszyć.

- Wezmę tylko kapelusz - oznajmiła Mandy. - Em, Sara Jane, która ze mną pojedzie?

Ja! - zawołała natychmiast najmłodsza z sióstr. Zuzanna uśmiechnęła się. Em wyraźnie bała się, iŜ będzie musiała dokończyć sadzenia ziemniaków. Deszcz nie spadł, choć słońce grzało jeszcze mocniej niŜ poprzedniego dnia. MoŜe zdąŜą z orką zanim rozpęta się burza.

Sara Jane nie sprzeciwiała się, więc Emilia teŜ pobiegła po kapelusz. Zuzanna przerwała sprzątanie, by sporządzić listę zakupów. Greer stanął obok ojca opierając mu rękę na ramieniu. Wielebny Redmon, wyraźnie zajęty dalekimi od przyziemnych myślami, z roztargnieniem zwrócił na gościa orzechowe oczy.

- Nie mieliście z nim kłopotu? - zapytał konfidencyjnym tonem Greer i skinieniem głowy wskazał Iana.

Ian niósł na ramieniu wielkie pudło ksiąŜek, które pastor postanowił zabrać do kościoła. Wielebny Redmon odwrócił srebrzystosiwą głowę i zmarszczywszy brwi spojrzał na słuŜącego.

- Z kim? Z Connellym? - spytał wyraźnie zaskoczony. - AleŜ skąd. Szczerze mówiąc, bardzo mi pomaga. UwaŜam, Ő sprowadzając go do domu Zuzanna podjęła mądrą decyzję. To wykształcony człowiek. Greer zacisnął usta i zsunął dłoń z ramienia pastora.

To bardzo gwałtowny człowiek. Jestem zaskoczony, Ő nie boicie się o swoje córki.

Trudno przewidzieć, do czego moŜe być zdolny. Ian wrócił właśnie i słyszał wszystko wyraźnie. Zatrzymał się na moment i spojrzał groźnie na Greera. Przez chwilę, gdy ściągnął

wargi, przypomniał Zuzannie to dzikie stworzenie, które zobaczyła po raz pierwszy na aukcji.

Bardzo się zmienił w krótkim czasie, jaki minął od dnia, gdy jakaś mieszanina litości i gniewu skłoniła ją do zakupu. I wtedy Zuzanna pojęła coś, z czego dotąd nie zdawała sobie sprawy: ostatnie kilka dni warte było wszystkich cierpień. Gdyby nie poszła na aukcję, jej Őycie byłoby nieskończenie bardziej ubogie.

Greer chyba nie rozpoznał albo nie ocenił właściwie groźby zawartej w wyrazie twarzy Iana. Zuzanna wiedziała, Ő mogą być kłopoty, chyba Ő wtrąci się i rozładuje sytuację. Rozejrzała się pośpiesznie, szukając natchnienia, i ułapiła się pierwszego lepszego pomysłu, jaki przyszedł jej do głowy.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś przed wyjściem nakarmił świnię - powiedziała niezbyt głośno w nadziei, że odwróci to uwagę Iana od obraźliwych słów i da pretekst do opuszczenia pomieszczenia, w którym przebywał Greer. Ian rzucił jej mroczne spojrzenie, przyjął

cuchnące wiadro i ruszył do drzwi.

Karmienie świń to w sam raz praca dla niego! - zarechotał Greer. Zuzanna straciła cierpliwość i ruszyła ku niemu, nim Ian, który odwrócił się gwałtownie, czy zaskoczony ojciec, zdążyli wykrztusić choć słowo.

- Karmienie świń to pożyteczna, uczciwa praca i nikt, żaden porządny mężczyzna ani kobieta, nie powinien się jej wstydzić! Dziwię się, panie Greer, że drwi pan z czegoś, co ja i moje siostry robimy codziennie!

Greer był zaszokowany. Miał nadzieję poślubić kiedyś Mandy, więc starał się zdobyć aprobatę rodziny, zwłaszcza Zuzanny i jej ojca. Oblizwał wargi, a policzki pokrył mu ciemny rumieniec.

- Panno Zuzanno, zapewniam, że nie miałem zamiaru...

- Jesteśmy gotowe! - Mandy wsunęła głowę przez drzwi i skinęła na Greera, kończąc przykry incydent.

- Nie zapomnij o sprawunkach - rzuciła Zuzanna, minęła Greera jakby był

powietrzem i wręczyła siostrze spis. Greer podążył za nią aż do drzwi i jeszcze raz próbował się usprawiedliwić.

- Panno Zuzanno, nie chciałem pani urazić, a jeśli zrobiłem to nieświadomie, bardzo przepraszam.

Wszystko w porządku, panie Greer. Rozumiem, że nic pan na to nie może poradzić -

odparła chłodno Zuzanna, odwracając się plecami. Wyprostowała dumnie ramiona, a on patrzył na nią przez chwilę bezradnie, nim Mandy wyciągnęła go z kuchni.

- Pan Greer nie ma zbyt wrażliwej duszy - westchnął ojciec, wciskając na głowę kapelusz i kierując się do wyjścia.

- Nie, nie ma - przyznała Zuzanna, zadzierając w górę nos.

Zuzanno. - Dobiegł ją szept. Ian, wciąż z wiadrem w ręku, stał i spoglądał na nią. Sara Jane wyszła na korytarz, by odprowadzić siostry, więc na chwilę zostali sami. Ta poufałość musi się skończyć, lecz ani czas ani miejsce nie były odpowiednie, by to wyjaśnić. Uniosła tylko pytająco brwi.

- Jesteś pewna, że nie urodziłaś się księżniczką, którą później jakoś podmieniono?

Co? Pytanie nie miało dla niej żadnego sensu. Zmarszczyła brwi, a on uśmiechnął się tylko i wyszedł

za ojcem.

Spoglądając za nim, Zuzanna czuła, że ten uśmiech jak sztylet godzi w jej serce.

ROZDZIAŁ 23

Promienie słońca przebijały pokrywające horyzont mroczne chmury. Zuzanna maszerowała w stronę zachodniego pola. Sprzątnęła po śniadaniu i miała nadzieję, że zdąży zaprząć Starego Cobba, by z pomocą Bena zakończyć sadzenie ziemniaków. Ale muła nie było w stajni; potem odkryła, że zniknęła też uprzęź i pług. Czyżby Ben postanowił zająć się orką? Taka inicjatywa zupełnie do niego nie pasowała.

Weszła na niewielkie wzniesienie, oddzielające pole od stajni i zatrzymała się zaskoczona. Trzy czwarte syznej, czarnej gleby zostało świeżo przeorane. Bez trudu rozpoznała wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który kroczył za mułem. Twarz miał

ściągniętą skupieniem, a napięte mięśnie głęboko wbijały pług w niewielki skrawek wysuszonej ziemi. To nie do uwierzenia, ale Ian orał. Za nim szedł Ben, wtykając bulwy w świeże bruzdy.

Zuzanna zsunęła kapelusz i obserwowała ich, stojąc ze wspartymi na biodrach rękami.

Zagony zaorane przez Iana nie były tak proste jak jej, ale zupełnie do przyjęcia.

Podniósł głowę i dostrzegł ją. Zuzanna uniosła rękę w geście pozdrowienia, po czym odwróciła się wolno i ruszyła w stronę domu. Najwyraźniej nie była tu potrzebna.

Ian Connelly nie przestawał jej zdumiewać. Zaoranie pola było dla niej o wiele wspanialszym prezentem niż kwiaty lub czekoladki. Grzbiet wciąż ją bolał po wczorajszym wysiłku, a dziś znów musiałaby zmagać się z pługiem. Stary Cobb jakoś nie lubił Bena, a jeśli kogoś nie lubił, odmawiał poruszenia się choćby o centymetr.

W kuchni siedziała Sara Jane, pochylona nad jakimś szyciem. Ostry zapach zupy z piśmianu, bulgocącej nad ogniem, unosił się w powietrzu.

- Myślałam, że chcesz dokończyć sadzenie ziemniaków. - Siostra spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Ian i Ben się tym zajmują. Sara Jane przyjrzała się jej zagadkowo.

Ian? Uświadomiwszy sobie, co właściwie powiedziała, Zuzanna spłonęła rumieńcem.

Westchnęła. Nigdy nie umiała zachować sekretu. Kłamstwo i obłuda nie przychodziły jej łatwo.

- Miałaś rację. On mi się podoba.

Ulga po wyznaniu choćby tak niewielkiej części prawdy była jak przebicie pęcherza.

- Och, Zuzanno! Wiedziałam o tym. To jest tak widoczne na twojej twarzy jak nos.

Dłonie siostry, pracowicie przeciągające nitkę przez dziurę w halce, spoczęły na kolanach.

- On nie jest takim typowym skazańcem. - Zuzanna nie wiedziała co ma ze sobą zrobić, więc podeszła do paleniska i zamieszała zupę.

- Nie, nie jest.

- To głupie, wiem. I mam zamiar z tym skończyć. To musi śmiesznie wyglądać: panna w moim wieku wzdychająca do jakiejś przystojnej twarzy. Siostra spojrzała z zadumą.

- Wcale nie. Ty nigdy nie będziesz śmieszna. Wiesz, zanim nie pojawił się Connelly, nie przyszło mi nawet do głowy, że możesz pragnąć własnego sycia z mężem i dziećmi. To musiało być straszliwe poświęcenie.

- Poświęcenie? Opiekować się tobą, Mandy, Em i papą? Nie śartuj. Kocham was wszystkich bardziej niż potrafię to wyrazić. - Podeszła do skrzyni i odsunawszy wieko zaczęła odmierzać mąkę na sucharki. Zamknęła wieko i dodała lekkim tonem. - Zresztą, jak niedawno zauważyła Em, że saden męszczyzna nie zaproponował, że uwolni mnie od tego wszystkiego. Gdybym otrzymała taką propozycję może bym ją przyjęła.

Sara Jane uśmiechnęła się, ale pokręciła głową. Chwyciła igłę i wróciła do szycia.

- Myślę, że bez nas na karku, otrzymałabyś taką propozycję. Nawet kilka. Odkąd zjawił się Connelly, jesteś, sama nie wiem, inna, jakby młodsza i ładniejsza. Gdybyś sobie na to pozwoliła, mogłabyś być bardzo ładna.

- Ja? - Zuzanna była zadowolona, że potrafi się lekko roześmiać. - Bardzo miło, że mi to mówisz, ale nie pragnę urody. Nie bardziej niż chciałabym rozwinąć skrzydła i odlecieć.

- W naszej kongregacji jest kilku kawalerów. Wargi Zuzanny wygięły się w wymuszonym uśmiechu.

- Rzeczywiście. Nie chciałabym żadnego, choćby mi go podawano na tacy z jabłkiem w zębach. Nie baw się w swatkę, Sara Jane. Stan obecny całkiem mnie zadowala.

Daję słowo.

Naprawdę? - Sara Jane przyjrzała się uważnie. - Naprawdę, Zuzanno? Zuzanna spojrzała siostrze w oczy. Nim jednak zdołała ułożyć jakąś zadowalającą odpowiedź, która choć po części nie byłaby kłamstwem, rozległ się turkot zajeżdżającego powozu, głosy dziewcząt i kroki na werandzie. Zresztą Zuzanna nie mówiła, że rozmowa urwała się w tym miejscu. Sara Jane знаła ją lepiej niż ktokolwiek inny i Zuzanna obawiała się, że jeśli powie coś więcej, siostra domyśli się reszty.

Pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły o szyby zaraz po odjeździe Hiram Greera, który przed wyjściem obsypał Zuzannę komplementami. Zahuczał grom, zajaśniały błyskawice i po chwili przez tylne drzwi wbiegł przemoczony do suchej nitki Ben.

- Ale ulewa! - krzyknął potrząsając rękami tak, że kropelki wody padały na podłogę niczym deszcz.

- Masz Ben, weź to. - Uśmiechnięta skromnie Em podała mu zdjęty z kołka ręcznik.

Dziękuję, panno Em. Ben wziął ręcznik, najwyraźniej nie dostrzegając blasku uczucia w oczach dziewczyny.

Obserwując to, Zuzanna poczuła nagły przypływ sympatii. Dokładnie wiedziała, co teraz czuje siostra. Mandy, która teŜ musiała się przyglądać, parsknęła. Nie uznawała takich dziecięcych porywów serca.

- Gdzie Connelly? - Sara Jane wypowiedziała głoŝno pytanie, którego Zuzanna wołała nie zadawać.

- Poszedł do siebie. Miał, no, ten, wypadek.

Wypadek? - Zuzanna odezwała się głoŝniej niŜ zamierzała. Miała ochotę ugryźć się w język, ale w Ŝaden sposób nie mogła cofnąć tego słowa, ani tonu, jakim zostało wypowiedziane.

- Och, nie jest ranny. On, noo... kazał nic nie mówić. - Ben wytarł' się, a teraz schylony ścierał z podłogi kałuŜę. Uniósł głowę, spojrzał na Zuzannę i wzruszył ramionami. -

Ale nie dla niego przecieŜ pracuję, prawda? Stary Cobb go kopnął.

- Kopnął go?

- Wie pani, Ŝe ten paskudny stary... ee, muł nie cierpi piorunów. Connelly wyciągał

mu kamień z kopyta, kiedy zagrzmiało. Następną rzeczą, jaką widziałem to jak ląduje na polu. Nie sędzę, by mocno oberwał. W kaŜdym razie sam się podniósł. AleŜ puścił wiązanke, mówię pani. Padało juŜ parę minut i ziemia rozmiękła. Był cały zabłocony i śmiesznie wyglądał.

Oczywiście się nie śmiałem. Connelly nie jest człowiekiem, któremu moŜna się zaśmiać w twarz.

Em zachichotała, a Ben wyszczerzył do niej zęby. Sara Jane uśmiechnęła się takŜe, lecz z zadumą spoglądała na Zuzannę.

- MoŜe powinnam sprawdzić, jak się czuje - zaproponowała wesoło Mandy.

Zuzanna rzuciła jej surowe spojrzenie.

- Nie. Ja pójdę. MoŜe naprawde jest ranny. Zresztą i tak trzeba mu zmienić opatrunek. Em, moŜesz przynieść moją torbę z lekami? Siostra skinęła głową i wyszła.

Mandy spochmurniała nagle.

Wydaje ci się, Ŝe moŜesz go mieć tylko dla siebie! To nieuczciwe! - Z tym okrzykiem, odwróciła się i uciekła. Wszyscy obecni spojrzeli za nią. Potem Sara Jane i Ben niemal równocześnie przenieśli wzrok na Zuzannę.

Powrót Em z torbą ocalił zarumienioną Zuzannę przed jakimkolwiek tłumaczeniem.

- Wielkie nieba, co się dzieje z Mandy? - spytała zdziwiona Em. - Wbiegała po schodach tak szybko, że prawie mnie przewróciła.

Mandy jest trochę zdenerwowana - odparła ponuro Sara Jane. Potem spojrzała na Zuzannę, odłożyła szycie i wstała. - Idź. Ja podam obiad. W oczach siostry czytała milczące poparcie. Ta jedna wymiana spojrzeń wystarczyła, by Zuzanna zrozumiała, że cokolwiek postanowi w sprawie Iana może liczyć na bezwarunkowe oddanie Sary Jane.

Ta świadomość dodała jej otuchy. Wzięła od Em torbę, narzuciła na głowę szal i wyszła na deszcz.

Nim dotarła do krótkiego szeregu chat za stodołą, szal przemókł zupełnie, a batystowa suknia w jasno- i ciemnobrązowe pasy była zmoczona po kolana. Panna Izolda, jej rasowa maciora, parsknęła z chlewika. Zuzanna cmoknęła na nią i na prosięta, które wyszły spod dachu i z zadowoleniem ryły w błocie. Darcy rżał w stajni. Nie widziała i nie słyszała Starego Cobba. Przyszło jej do głowy, że po tym co się stało, Ian mógł go pozostawić na polu, by sam o siebie zadbał.

Dlatego też, gdy otworzył jej drzwi przede wszystkim zapytała o muła.

- Gdyby to ode mnie zależało, to cholerne zwierzę spływałoby teraz strumykiem kopytami w górę. Ale Ben chyba przyprowadził je do stajni.

Ian otworzył drzwi szerzej i zaprosił Zuzannę do środka. Wyminęła go świadoma, że jest ubrany tylko w spodnie i pończochy, jedno i drugie mocno zabłocone. Bandaże, choć też

przybrudzony, wciąż trzymał się na miejscu, Ian właśnie się mył, co wywnioskowała widząc brudną wodę w misce i na wpół opróżniony dzbanek. Na kamiennym kominku trzaskał ogień, wyraźnie dopiero co rozpalony.

Stała pośrodku niewielkiej izby i odwróciła się do Iana, niczym tarczę ściskając przed sobą torbę z lekarstwami. Oto zdarzyła się idealna okazja, by powiedzieć mu o swojej decyzji. Jednak na samą myśl o tym czuła niepokój - jak kot w pokoju pełnym bujanych foteli.

- Gdzie cię kopnął? - zapytała odruchowo. Uznała, że zanim wypowie swoją kwestię, powinna zadbać o jego rany.

- Nie wierzyłem, by chłopak dotrzymał tajemnicy. - Ian zamknął drzwi, a potem zerknął na nią i podszedł do umywalki. Wydawał się raczej zrezygnowany niż gniewny. -

Przypuszczam, że setnie ubawiliście się moim kosztem.

Ja nie. Natychmiast zauważył lekki akcent na słowie „ja”. Przestał splukiwać ręce i znowu na nią spojrzał.

- Ty nie. Więc kto? Panna Mandy? Panna Sara Jane? Panna Em? Wszyscy domownicy?

Coś w tym rodzaju. Uśmiechnęła się, widząc jego niezadowolenie. Odprężyła się, rozluźniła ściskające torbę palce i położyła ją na stoliku.

- Więc gdzie cię kopnął? - powtórzyła cierpliwie. Ian dotknął pokrytej wciągniętym klatki piersiowej.

- O tutaj. Bolało jak... Mocno zabolało, ale nie sądzę, żeby mi coś złamał.

- Usiądź, to sprawdzę. I tak muszę obejrzeć twoje plecy.

- Moim plecocom nic nie dolega.

- Więc muszę zdjąć bandaż. Usiądziesz?

Najpierw zmienię spodnie. Przez ostatnie dwa dni spadło na mnie więcej błota niż

przez całe życie. Mówiąc to wycierał ręcznikiem ramiona i pierś. Potem sięgnął w dół, by rozpiąć spodnie. Zuzanna w jednej chwili zrozumiała, że ma zamiar rozebrać się przy niej.

Zaschło jej w gardle. Szybko odwróciła wzrok.

Ogarnęło ją straszliwe przeczucie, że popełniła błąd odwiedzając go. Ale jak inaczej miała mu powiedzieć to, co powiedzieć musiała? Z pewnością nie potrzebowała słuchaczy, którzy dowiedzieliby się, że już nigdy nie pójdzie z nim do Łódzka.

- Co cię napadło, że próbowałeś zaorać pole? - spytała, wpatrując się w jedyne okno.

Próbowałem? Musisz wiedzieć, że je zaorałem, każdy centymetr! Właśnie skończyliśmy, kiedy ta przekłeta bestia wbiła sobie kamień w kopyto. Był z siebie tak absurdalnie dumny, jak mały chłopiec. Zuzanna usłyszała szelest materiału i domyśliła się, że właśnie zdjął spodnie.

- To ładnie z twojej strony.

Wyraźnie oczekiwał czegoś więcej, gdy burknął coś pod nosem. Po kilku sekundach stał tuż za nią. Podszedł tak szybko i cicho, że nie zdawała sobie z tego sprawy, póki nie objął

jej w talii ramionami i nie przyciągnął do siebie.

- Ian...

Instynktownie zamknęła oczy, czując dotyk jego silnych rąk. Natychmiast jednak otworzyła je i spróbowała się wyrwać.

- A dlaczego to zrobiłem? - szeptał w jej ucho, szczypiąc wargami małżowinę w podniecającej pieszczocie. - Odpowiedź jest jasna: mężczyzna, który jest cokolwiek wart, nawet taki bezużyteczny lekkoduch za jakiego mnie uważasz, nie będzie patrzył, jak jego kobieta zgina kark przy pracy, którą

sam powinien wykonać.

Pochylił się, by wycisnąć pocałunek w tym czułym miejscu, gdzie ramię łączy się z szyją. Równocześnie ciepła dłoń opuściła talię, by spocząć na jej piersi.

Zuzanna jęknęła, czując jak nagle miękną pod nią kolana. Przywołując ostatnie rezerwy determinacji, wyrwała się z jego ramion i przebiegła na drugi koniec izby. Tam dopiero odwróciła się do niego twarzą.

Oczywiście odwracając się nie zdawała sobie sprawy, że Ian będzie zupełnie nagi.

ROZDZIAŁ 24

- Ty jesteś... jesteś nie ubrany!

Pełen zaskoczenia okrzyk zabrzmiał nedorzecznie i kiedy go wydała, sama poczuła się głupio. Zuzanna patrzyła, nie potrafiąc się powstrzymać. Dopiero po chwili z wysiłkiem odwróciła głowę.

- Tak, jestem - zgodził się grzecznie Ian, ruszając w tej samej chwili w jej stronę.

Lekki uśmiech wygiął mu wargi i domyśliła się, że doskonale pojmuje, jakie wrażenie wywiera na niej jego nagość.

Nie ufając temu uśmiechowi i kociej gracji, z jaką się zbliżał, cofnęła się i natychmiast trafiła siedzeniem w stół. Sięgnęła rękami za siebie w poszukiwaniu torby z lekami.

- Muszę... muszę obejrzeć twoje plecy.

- Do diabła z plecami.

Zanim znalazła torbę, był już przy niej i chwycił ją w ramiona. Zuzanna wstrzymała oddech, gdy jej dłonie natrafiły na gładką skórę ramion. Odsunęła się.

- Usiądź - poleciła surowo, a on, ku jej zdziwieniu, posłuchał.

Zakłopotana nagością Iana, starała się patrzeć tylko na szerokie plecy, które jej zademonstrował. Niezbyt pewnymi dłońmi wyjęła z torby niewielkie nożyczki i rozcięła bandaż.

- I co? - zapytał, usiłując odwrócić głowę tak, by zobaczyć rany.

Lepiej. Dużo lepiej - stwierdziła zgodnie z prawdą. Opuchlizna i infekcje zniknęły -

dzięki maści. Pozostały jednak cienkie, czerwone linie krzyżujące się na skórze. Obawiała się, że pozostaną na zawsze. Lekko wypukłe, jaśniejsze niż reszta skóry, będą piętnem do końca życia.

Sięgnęła do torby i wyjęła słoiczek. Może, jeśli zastosuje maść jeszcze raz, zdoła usunąć najgorsze blizny.

- Czy to jest to twoje piekielne lekarstwo? - Przyglądał się, gdy odkręcała pokrywkę.

Zmarszczyła brwi wiedząc, że tylko częściowo sartauje.

- Tak. Skoczył na równe nogi.

O nie. Nic z tego. Dość tych tortur. Wysunął ręce przed siebie, jak mały chłopiec odpychający matkę z gorzkim lekarstwem, i pokręcił głową.

- Ale, Ian, to pomoże.

Moje plecy są dostatecznie wyleczone, dziękuję ci bardzo. Wciąż pamiętam dzień, w którym twoja maść pomagała w leczeniu po raz pierwszy. Nagłym ruchem wyrwał jej z dłoni słoik. Mimo protestów, zakręcił go starannie i włożył do torby. Potem odwrócił się, pochwycił ją w ramiona i mocno przycisnął. Zaskoczona i zbита z tropu jego czułym uśmiechem, przez krótką chwilę nie miała dość siły, by się opierać. Rozkoszny dreszcz przeszył jej ciało. Przed nią wznosiły się szerokie, nagie ramiona, a klin czarnych włosów łaskotał w nos. Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

Uśmiechał się do niej, ale za tym rozbawieniem dostrzegła niepokojący ślad sady.

Niemal bolesny uchwyt rąk potwierdzał jej podejrzenia.

Cokolwiek nim powodowało, chciał iść z nią do łóżka. Teraz, w tej chwili.

Pochylił głowę, wyraźnie zamierzając ją pocałować. Zuzanna nabrała tchu i przydepnęła jego bosą stopę - po raz drugi odkąd go poznała.

Wypuścił ją z krzykiem.

- A niech to cholera!

Zuzanna odbiegła na drugi koniec izby. Patrzył na nią, rozcierając obolałe palce stopy o łydkę drugiej nogi. Oczywiście wciąż był nagi jak niemowlę, lecz Zuzanna postanowiła nie zwracać uwagi na brak skromności. Z szelazną stanowczością zakazała sobie spoglądać poniżej jego brody.

- A dlaczego, jeśli mogę wiedzieć, to zrobiłaś? - Wydawał się rozszalony.

Przełknęła ślinę. Wszystkie dyplomatyczne sformułowania, które układała sobie przez ostatnie kilka godzin, zniknęły z pamięci.

- Nie chcę, byś mnie znowu dotykał - odparła twardo.

Co? Tym jednym słowem wyraził swoje zdumienie i ruszył ku niej. Zuzanna uniosła rękę, by go powstrzymać i cofnęła się jeszcze o krok. Cofnęłaby się dalej, lecz ku swemu rozczarowaniu trafiła plecami na ścianę chaty.

- Proszę. Wysłuchaj mnie. Z ulgą zauważyła, że się zatrzymał i skrzyżował ręce na piersiach.

- Przyznaję, że to, co zdarzyło się między nami, było w równym stopniu twoją, jak moją winą. Ale nie powinno się zdarzyć i nie może się powtórzyć. Nie wiem do jakich kobiet jesteś przyzwyczajony, ale ja nie mogę... nie mogę... -Umilkła, widząc jego posępny wzrok.

- Czego nie możesz? - zapytał z lodowatą uprzejmością.

- Nie mogę... och, wiesz przecie! - Niemal cisnęła w niego tymi słowami.

Odwróciłaby się, by ukryć rumieniec, ale bała się, że podejdzie wtedy i weźmie ją w ramiona. Tego by nie zniosła. To, co robiła, było wystarczająco trudne.

- Nie możesz się ze mną kochać? Dlaczego nie, Zuzanno? Moim zdaniem robiłaś to bardzo dobrze. Jak na początkującą.

Chciał sprawić, by ta rozmowa stała się jeszcze trudniejsza. Poznała to po drwiącym tonie i błysku w oku. No cóż, tego się spodziewała. Pozostało jej tylko powiedzieć to, co postanowiła, i wyjść. Czy mu się to spodoba czy nie.

- Jestem skłonna podrzeć twój wyrok, a jeśli to konieczne, załatwić sprawę oficjalnie.

Ojciec na pewno się zgodzi. I tak chciał cię tylko uleczyć i z pewnością uważa, że dokonaliśmy tego. Odzyskasz wolność i możesz wracać do Anglii lub gdziekolwiek indziej, byle daleko stąd.

Decyzję, by zwrócić mu wolność podjęła w ciągu ostatnich paru minut. Ale gdy tylko ta myśl zaświtała jej w głowie, zrozumiała, że jest doskonałym i sensownym rozwiązaniem.

Jeśli nie pozwoli mu odejść, nigdy się od niego nie uwolni. Póki on zostanie tutaj, gdzie mogła go widzieć, słyszeć, gdzie był na wyciągnięcie ręki, groziło jej niebezpieczeństwo, że lada chwila padnie mu w ramiona. Zbyt potężny rzucił na nią urok. Jeśli ma dotrzymać umowy ze sobą i Bogiem, Ian musi zniknąć z jej życia. Serce pękało jej z bólu na tę myśl, lecz każde inne wyjście było nieskończenie gorsze.

- Chcesz powiedzieć, że mam stąd odejść? Dopiero teraz zrozumiała, że nie doceniła jego gniewu.

- Mówię, że jestem skłonna zwrócić ci wolność - odparła spokojnie. - O to ci przecie chodziło, prawda? Więc masz ją. Wygrałeś. Możesz mi nawet nie zwracać pieniędzy, które za ciebie zapłaciłam. To spora suma, przyznaję, ale biorąc pod uwagę okoliczności uważam, że warto było ją poświęcić.

- Tak uważasz? Naprawdę? - spytał jedwabistym tonem, który jak Zuzanna już się orientowała, oznaczał kłopoty.

Słuchał, przybierając coraz groźniejszy wyraz twarzy, a teraz przypominał wprost burzową chmurę, która w tej właśnie chwili posłała w stronę pól zygzak błyskawicy.

- Więc sądzisz, że uwiodłem cię, aby wyłudzić wolność, czy tak? A wiesz co ja myślę? Wykorzystałaś mnie jak ogiera, a teraz chcesz mnie spłacić i usunąć stąd, by nikt nie odkrył twojego

grzesznego sekretu. Taka jest prawda, bez żadnych upiększeń! Zgadza się?

Zuzanna poczuła jak rumieniec zalewa jej twarz. Zanim jednak mogła odrzucić te obraźliwe oskarżenia, zaczął mówić dalej niskim, głuchym głosem, bardziej przerażającym niż krzyk. A mówiąc, zbliżał się do niej wolno i groźnie. Szare oczy przyspilały ją do ściany niczym motyla.

- Coś ci powiem, panno Zuzanno: gdybym tylko zechciał, mógłbym odzyskać wolność w każdej chwili. Czy naprawdę wierzysz, że powstrzymałby mnie kawałek papieru mianujący cię moją właścicielką? Zostałem, ponieważ tak postanowiłem, ponieważ bawiło mnie odkrywanie, jak gorąca pod tymi paskudnymi spódnicami jest pobożna córka pastora. I wiesz co? Nadal mnie to bawi, więc nie odejdę.

Stał teraz tuż przy niej. Zuzanna wstrząśnięta jego słowami, przy tłoczona gniewem, jaki dostrzegła w szarych oczach, zachowała dość rozsądku, by wiedzieć, co powinna zrobić: uciekać. Jeśli tak rozwścieczony chwyci ją w ręce, bała się nawet myśleć, co mogło z tego wyniknąć. W fizycznym starciu nie miała żadnych szans. I właściwie, co naprawdę o nim wiedziała? Instynkt krzyczał, że nie uderzy kobiety. Co innego bardziej ją przerażało: że wykorzysta tę potężną, zmysłową władzę, którą nad nią posiadał.

Znalezienie się w jego ramionach po dumnej przemowie i po tych strasznych, obrzydliwych rzeczach, które jej powiedział, zawstydziłoby ją bardziej niż wszystko, co dotąd uczynił.

Sięgnął po nią, gdy odwracała się, próbując otworzyć drzwi. Odskoczyły na zawiasach, ale za późno. Chwycił ją za ramię i odwrócił. Obiema rękami ścisnął w talii, przyciągnął mocno do nagiego ciała i spojrzał w pobladłą twarz.

- Nie martw się, skarbie. Jeśli ty mnie nie chcesz, nie sądzę bym długo został bez towarzystwa. - Wyszczерzył zęby w sarkastycznej parodii uśmiechu. - Porównanie sióstr jest zawsze bardzo interesujące, nie sądzisz? Choć ty oczywiście nie masz o tym pojęcia. Podłość tej sugestii odebrała Zuzannie oddech.

- Jeśli dotkniesz którąś z moich sióstr...

- Tak? Co wtedy zrobisz? Zaciśniesz zęby?

Zastrzelę cię, ty obrzydliwa świni! Parsknął. Na twarzy malowała mu się taka wściekłość, jakby był kuzynem samego diabła.

- Nie umiałaś zastrzelić nawet Jeda Likensa, więc wątpię czy zastrzelisz mnie.

Zresztą, gotów jestem zaryzykować.

- Puść mnie!

Z przyjemnością, panno Zuzanno. I tak dowiedziałem się o tobie wszystkiego, co mnie interesowało. Pod tą powłoką pobożności jesteś gorąca, jak każda dziwka, którą miałem. I równie przewrotna. Rozluźnił nagle uścisk i Zuzanna niemal upadła, potykając się o próg.

Deszcz lunął na odsłoniętą głowę. Odzyskała równowagę, wyprostowała się, a gdy spojrzała na niego, w jej oczach płonęła furia. Przez tę jedną chwilę blask ognia w kominku obrysowywał krwawym lśnieniem nagie ciało, czyniąc go jeszcze wyższym i potężniejszym niż był naprawdę. Szare oczy gorzały wściekłością.

- Zobaczymy się na kolacji - powiedział całkiem spokojnie i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Zuzanna prawie godzinę spędziła w stajni ze zwierzętami, zanim uznała, że jest dostatecznie spokojna, by wrócić do domu i spojrzeć w twarz siostrze.

Pozostałaby jeszcze dłużej, gdyby nie Ben, który szukając czegoś wszedł przez główne wrota. Zanim zauważył ją, zrozpaczoną i ukrytą w cieniu, wymknęła się tylnym wyjściem, okrążyła chlewik i ruszyła do domu. Panna Izolda i jej prosięta skryły się przed deszczem i nie usłyszała znajomego chrząknięcia, które zapewne poprawiłoby śaloszny stan jej ducha.

Na szczęście pod jej nieobecność doręczono dawno oczekiwane zaproszenie na przyjęcie u Haskinsów, więc Mandy z Em były u siebie, w podnieceniu przerzucając wykroje sukien i dyskutując co Mandy powinna włożyć. W kuchni pozostała tylko Sara Jane i jedynie ona widziała powrót Zuzanny.

Spojrzała uważnie i podbiegła, by czule objąć siostrę.

- Co on ci zrobił? - zapytała gwałtownie. - I nie mów, że nic, bo wszystko masz wypisane na twarzy!

Od śmierci matki nikt nie próbował opiekować się Zuzanną. Było to zaskakująco przyjemne: na jedną chwilę oprzeć głowę na szczupłym ramieniu siostry. Ale poddanie się złości i cierpieniu, które w węzeł skręcało jej wnętrzności, oznaczałoby zwykłą słabość. A słaba Zuzanna na pewno nie była.

Dlatego po tej krótkiej, rozkosznej chwili wyprostowała się, uniosła brodę i odstaąpiła od Sary Jane. Siostra stanęła z rękami wspartymi na biodrach i przyglądała się jej marszcząc brwi.

- Jeśli cię skrzywdził, to przysięgam, że obedrę go ze skóry! - oświadczyła.

Nie było wątpliwości, o kim mówi. Słyszając te słowa od łagodnej Sary Jane, i widząc ją gotową do walki w obronie starszej siostry, Zuzanna uśmiechnęła się niepewnie.

- Załóż się, że pan Bridgewater nie ma pojęcia, jaka możesz być groźna - powiedziała i westchnęła.

To krótkie westchnienie zabrzmiało niemal jak łkanie. Sara Jane zacisnęła zęby, lecz kiedy przemówiła, jej głos brzmiał łagodnie. Co się stało, skarbie? Możesz powiedzieć?

Zuzanna pokręciła głową.

- Nic. - Potem, widząc irytację na twarzy siostry, dodała szybko: - Nic, naprawdę.

Co... Connelly i ja... właśnie się pokłóciliśmy.

- Connelly? - Sara Jane przechyliła głowę. Było jasne, że zauważyła tę znamiennej zmianę w nazywaniu słuŝącego.

- Tak, Connelly. Od teraz - powiedziała Zuzanna, jakby składała przysięgę - Aha.

To oznaczało zrozumienie. Zuzanna, z kaŝdą chwilą odzyskujac panowanie nad soba, uŝmiechnęła się słabo do siostry.

- Właŝnie tak. Aha.

- Postępujesz słusznie.

- Wiem, ale to trudne.

- Och, Zuzanno. - Sara Jane objęła ją i na moment dotknęła czołem jej czoła. - ŝycie przynosi cierpienie, prawda? Strasznie będę za tobą tęŝnić, kiedy poślubię Petera.

Zuzanna czuła łzy, kłujące pod powiekami. Szybko pocałowała Sarę Jane w policzek, odsunęła się i przejechała palcami po rzęsach, usuwajac podejrzaną wilgoć.

- Jeszcze chwila, a obie się popłaczemy. I co wtedy pomyślą Mandy i Em, kiedy tu zejda? Siostra rozeŝmiała się niepewnie.

- Pomyślą, że obie zwariowałyśmy. Naprawdę chcesz puŝcić Mandy na to przyjecie?

- Powiedziałam, że puszcze, więc pewnie nie cofnę słowa. Podejrzewam jednak, że popełniam bład.

- No cóŝ, uwaŝam...

Tu Sara Jane wygłosiła mowę, w której streŝciła swoją opinię o przyjeciach, gdzie przewiduje się tańce. Zanim skończyła, Zuzanna juŝ niemal panowała nad swymi emocjami, a kolacja bulgotała w garnku.

ROZDZIAŁ 25

Tak jak zagroził, Ian zjawił się na kolacji, odnoszac jej torbę z lekami. Bez słowa postawił ją na podłodze. Podczas posiłku nie odezwał się do Zuzanny ani razu, nawet na nią nie spojrzal, choć był czarujacy dla Mandy i Em. Wypróbował nawet jeden ze swych beczelnych uŝmieszków na Sarze Jane, która jednak zmroziła go spojrzeniem tak lodowatym, że dał jej spokój. Za to Mandy dostała się lwia część jego uwagi i z tego powodu Zuzanna wrzała wewnętrznie.

Nie zmienil zachowania przy śniadaniu, ani przy obiedzie, i znów przy kolacji.

Ignorował Zuzannę niemal zupełnie, lecz nie aż tak demonstracyjnie, by zwrócić uwagę wielebnego Redmona. Jednak Zuzanna doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, a siostry takŝe dostrzegły zmianę zainteresowań. Ich reakcje bardzo się różniły.

Sarę Jane tylko krok dzielił od otwartej wrogości. Kiedy tylko Ian znalazł się w zasięgu jej wzroku, przebijała go niechętnym spojrzeniem. Jeśli nawet dostrzegał te wyraźne oznaki utraty sympatii, to udawał, że ich nie zauważa. Mandy wykorzystywała sytuację i siadała obok niego przy każdym posiłku, reagując na najzwyklejsze uwagi urzekającym uśmiechem i masą czaru. Zafascynowana rozgrywką Em przyglądała się z lekkim rozbawieniem, obserwując to jednego to drugiego z graczy, jakby była widzem na wyścigach.

W innych okolicznościach sytuacja wydałaby się Zuzannie zabawna. Gdyby sama nie była w nią zaangażowana. Ale była. Czuła się jak tonący, który wyczerpał wszystkie siły, by utrzymać głowę nad wodą.

Wrogość Iana sprawiała jej ból. Nie zdawała sobie sprawy jak bardzo przyzwyczała się do jego uśmiechów, kpin, muśnięć ręki, spojrzeń, dzięki którym czuła się atrakcyjna. Nie rozumiała, ile radości wniósł w jej dotychczas nieciekawe życie. Teraz radość odeszła, zniknęła niczym przesłonięte chmurą słońce. Czuła się jak więzień we własnym domu, skazana na życie obok czegoś, czego pragnęła najbardziej w świecie, a nie mogła zdobyć.

Związek z Ianem i tak nie byłby taki jak dawniej. Po prostu musiała cierpieć, gdy

jego kochanką nie mogła zostać. Ale patrzeć, jak obdarza Mandy tymi samymi olśniewającymi uśmiechami i pełnymi podziwu spojrzeniami, które kiedyś przeznaczal tylko dla niej, było straszniejsze niż jakakolwiek tortura.

Minął tydzień i Zuzanna czuła się wprost wykończona. Craddock nie wrócił.

Przejęłaby się tym, gdyby była zdolna do martwienia się o kogokolwiek prócz siebie. Zresztą to przecież śmieszne martwić się o człowieka, który tak często znikal na trzy - czterodniowe pijaństwa. Choć tym razem trwało to pewnie dłużej. Jednak nieobecność Craddocka dała się odczuć również w inny sposób, Ian spędzał na farmie więcej czasu, wykonując prace należące dawniej do parobka, ale często spotykały go niepowodzenia. Ben opowiedział Zuzannie kilka zabawnych historyjek. Słuchała nie po to, by się śmiać: z opowieści wynikało, że jednak poduczył się farmerstwa. Ale nie potrafiła osobiście ocenić jego postępów. Gdziekolwiek był, starała się go unikać. Mandy wprost przeciwnie: nagle odkryła u siebie ukrytą dotąd ciekawość wszystkiego, co działo się w obejściu. Kiedy Ian próbował wydoić krowę, Mandy trzymała skopek. Kiedy karmił zwierzęta, Mandy je przywoływała. Kiedy czerpał wodę ze studni, Mandy była tam, by się napić.

Zuzanna nie chciała robić jej wymówek - bała się oskarżenia o zazdrość (tym bardziej nieprzyjemnego, że byłoby częściowo prawdą). Próbowała zmniejszyć zagrożenie, nakazując Em, by przez cały czas towarzyszyła siostrze. Emilia posłuchała, choć niezupełnie pojmowała bardziej subtelne elementy sytuacji, którym miała zapobiec samą swą obecnością. Niczym cień wszędzie snuła się za siostrą. Gdziekolwiek trafił Ian, tam zjawiała się Mandy, a gdziekolwiek szła Mandy, Em podążała za nią.

Naturalnie irytowało to Mandy. Lecz gdy protestowała, Sara Jane popierała Zuzannę, jako że najstarsza siostra obecnie nie cieszyła się u Mandy zbyt dużym autorytetem. Sara Jane wyjaśniała, że to nieodpowiednie, by dziewczyna w jej wieku przebywała sama w towarzystwie młodego,

przystojnego sługi. Sytuacja Zuzanny była całkiem inna, tłumaczyła Mandy Sara Jane w kuchni, sądząc, że sprzątajaca salon siostra nie słyszy. Zuzanna, jako dojrzała, dwudziestosześcioletnia kobieta i stara panna, niczym nie ryzykuje. Nikt nie mógł

niczego podejrzewać w ich związku, gdy jakkolwiek niewłaściwość była zupełnie nieprawdopodobna. Wszyscy wiedzieli, że moralność panny Zuzanny Redmon jest ponad wszelkie zarzuty. Myśleć źle o Zuzannie to myśleć źle o wielebnym Redmonie - innymi słowy, rzecz po prostu niemożliwa.

Słyszając to, Zuzanna czuła się jak największa hipokrytka na świecie. Gdyby ktokolwiek wiedział... Ale nikt nie wiedział, oprócz Iana, a ten, choć był łotrem, nikomu chyba nie mówił.

Przypuszczała, że powinna podziękować za to Bogu, ale nie miała już ochoty na modlitwę.

Przy nielicznych okazjach, gdy musiała znosić towarzystwo Iana, przy posiłkach czy w drodze do kościoła, odzywała się do niego jak najrzadziej i z wyszukaną uprzejmością.

Odpowiadał, gdy nie miał innego wyjścia, lecz jego słowa były zimne niby wykute z lodu.

Kiedy musiał na nią spojrzeć, wzrok miał twardy jak granit.

Serce w niej zamierało. Pocieszała się, że z czasem mija nawet najgorszy ból. Dla ukojenia, jak zwykle w ciężkich chwilach, zajęła się kuchnią. Kiedy Zuzanna była wytrącona z równowagi, gotowała. Stół niemal ugiął się od frykasów.

Parujące garnki ryżu i fasoli, polane tłuszczem warzywa, ciasteczka, pikantne kiełbasy, kandyzowane słodkie ziemniaki, raki, kraby, flądry i inne ryby stały obok takich delikatesów jak pieczone kurczęta z kluseczkami, szynka, chleb kukurydziany, duszone pomidory, groszek, małe i placek ze słodkich ziemniaków. Rodzina z trudem podnosiła się od stołu. Cała, z wyjątkiem samej Zuzanny, która na siłę zjadała kilka kęsów. Zapadnięte policzki i sterczące kości obojczyka mogłyby ją nawet ucieszyć, gdyby zdołała je zauważyć.

Przyjęcie u Haskinsów zapowiedziano na najbliższy piątkowy wieczór. Mandy miała się tam zjawić z Zuzanną w roli przyzwoitki. Choć ich stosunki nie były najlepsze, Zuzanna spędziła dwa dni, przygotowując suknię dla siostry. Od lat sama szyla ich najlepsze rzeczy, ponieważ krawiectwo - jak i gotowanie - było sztuką, w której osiągnęła dużą biegłość. Suknia miała być z kupionego przez Mandy w mieście zielonego jedwabiu, skrojona według wzoru, który sama wybrała: z przedłużonym stanem, z modnymi teraz rękawami w kształcie pagody, wąskimi do łokci, a potem rozkloszowanymi w koronkowych falbanach aż do dłoni. Pełna, powiewna spódnica miała opierać się na krynolinie i mimo że Zuzanna była mocno na siostrę zagniewana, przygotowała tę najwspanialszą sukienkę z niezwykłą starannością. Nie zgadzała się z Mandy, ale nadal pragnęła, by siostra była najpiękniejszą z młodych dam.

Musiała jeszcze dokonać kilku małych poprawek przy rękawach i w talii, dodać zielone aksamitne kokardy, które przyozdabiały skraj spódnicy, wyprasować wszystko - i suknia będzie gotowa. Kiedy Mandy w towarzystwie wiernej Em wróciła z wyprawy po jajka, Zuzanna odesłała ją do pokoju, by

przymierzyła nową kreację i wróciła do kuchni w celu dokonania końcowych poprawek. Mandy nie miała nic przeciw temu, by w tym jednym przypadku bez sprzeciwu wykonać polecenie siostry.

Kiedy tylnymi drzwiami wszedł Ian, siedziały w kuchni wszystkie cztery.

Znieruchomiał na chwilę i zmruszył oczy, mierząc wzrokiem młode kobiety. Zuzanna sądziła, że razem tworzą interesujący widok. Mandy w nowej sukni stała pośrodku na małym stołeczku. Wyglądała wspaniale z rozrzuconymi kasztanowymi lokami i zarumienioną twarzą.

Zuzanna, z ustami pełnymi szpilek, klęczała u jej stóp, starannie zaznaczając brzeg. Em, w skupieniu marszcząc czoło, przytrzymywała przy lokach Mandy wstążkę z tego samego co suknia jedwabiu. Zuzanna uważała, że kokarda w kolorze sukni będzie najlepiej pasowała, choć Mandy i Em wołały misterną koronkę. Sara Jane stała obok Mandy i spinała materiał w talii.

Mandy rozpromieniła się widząc Iana i rozłożyła ręce, by zwrócić jego uwagę na suknię.

- Czy nie jest piękna? - spytała z zachwytem.

- Piękna - odparł. - Ale nie bardziej niż jej właścicielka.

Straszny z ciebie pochlebca - powiedziała Mandy i rzuciła mu spojrzenie pełne bezbrzesnego uwielbienia. Zuzanna niemal połknęła szpilki. Sara Jane zachowała się lepiej: spojrzała groźnie na intruza. Em świadoma napięcia, choć niezupełnie pewna jego przyczyny, zachichotała.

- Chcesz czegoś, Connelly? - spytała szorstko Sara Jane, wbijając szpilkę w materiał

tak nieuważnie, że Mandy krzyknęła i podskoczyła.

- Owszem, panno Sara Jane. - Podszedł do dziewcząt i spojrzał krytycznie na Mandy. - Jeśli panią chciałaby nadać za modą, sugerowałbym trochę szerszą krynolinę. Kiedy ostatnio byłem w Londynie, były tak szerokie, że damy mogły oprzeć ręce na spódnicy.

- A że było to jakiś czas temu, sądzę, że nasze surnale są równie aktualne. - Zuzanna skończyła przypinać brzeg spódnicy, wypluła szpilki i odezwała się, nie patrząc nawet na Iana. Napięcie w głosie sprawiło, że Sara Jane zmarszczyła brwi. - Jeśli Sara Jane skończyła, możesz już zejść, Mandy.

Sara Jane skinęła głową i popatrzyła znów na Iana.

- Powiesz nam czego chciałeś? Niemal w tej samej chwili Mandy krzyknęła cicho.

- Nie mogę się ruszyć. Cała jestem w szpilkach!

Panią pozwoli, że pomogę - zaoferował się Ian. Podszedł, chwycił Mandy pod pachy i zestawił na podłogę. Mandy sięgnęła dłońmi do jego ramion i zaśmiała się. Stali blisko siebie, tak blisko, że nowa zielona suknia dotykała nóg Iana. Dziewczyna posłała mu olśniewający uśmiech. On tak się uśmiechał się leniwie. Przez chwilę stali nieruchomo, a pozostałe trzy siostry przyglądały się

dobranej parze. Delikatna uroda Mandy doskonale pasowała do przystojnego, smagłego Iana.

Zuzanna czuła ucisk w Śołądku i gniew rozgrzewający krew w Śyłach.

- Mandy! - rzuciła ostro.

A równocześnie Sara Jane powiedziała:

- Connelly! Obejrzelisi się oboje. Mandy uśmiechnęła się przebiegle, a Ian uniósł

brwi.

- Czego chciałeś? - Pierwsza odezwała się szorstko Sara Jane. Kpiący uśmiech Iana uświadomił Zuzannie, Śe doskonale pojmuje powody nagłej wrogości Sary Jane. Puścił

Mandy, odwrócił się i spojrzał na Zuzannę.

Ta wielka maciora panienki wyłamała płot. Biega teraz po polu, a za nią prosiaki.

Złośliwy ton dowodził, Śe przekazanie okropnych wieści sprawiało mu przyjemność.

Świadomie z tym zwlekał.

- Co! Panna Izolda? - Z oczami rozszerzonymi niepokojem i gniewem Zuzanna poderwała się na nogi.

- Czemu od razu nie mówiłeś? Teraz jest pewnie w połowie drogi do miasta!

Nie czekała na odpowiedź, która przypuszczalnie i tak mijałaby się z prawdą.

Podciągnęła spódnice, dość starą na szczęście, i zapominając o kapeluszu pobiegła w stronę stajni sprawdzić czy widać jeszcze uciekinierów.

Dysząc cięŚko zatrzymała się na wzgórk. Na szczęście Panna Izolda i prosięta nie odeszły daleko. Niestety zatrzymał je zapach słodkich ziemniaków zasadzonych niedawno na zachodnim polu. Sześć prosiąt i ogromna maciora rozbiegły się po polu, pracowicie ryjąc ziemię i poŚerając to, co uznawały za wyjątkowy smakołyk.

- Och, nie. Hej, hej!

Ale tak jak się obawiała, w tym przypadku wołanie na nic się zdało.

Panna Izolda rozejrzała się. Tłusty róŚowy ryj zadrgał, zastrzygła oklapłymi czarnymi uszami i błysnęła paciorkami oczu, w których lśniła inteligencja. Chrząknęła i wróciła do rycia.

Nie było innego wyjścia. Trzeba znaleźć powróż, złapać Pannę Izoldę i zaciągnąć do chlewika. Prosięta pójdą za nią. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Wstawiłem deskę, Śeby reszta się nie wydostała - odezwał się za nią Ian. - To ona wyłamała płot.

- A co ty robiłaś? Stałaś i patrzyłaś? - spytała wrogo Zuzanna. Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do stajni i wróciła ze sznurem. Sara Jane, Mandy i Em przyłączyły się do Iana na wzniesieniu.

Dobrze. Będę potrzebowała pomocy - powitała je posępnie Zuzanna. Sara Jane, która zawsze trochę bała się świń, stanowczo choć z odrobiną lęku skinęła głową. Em uśmiechnęła się, ale Mandy była wstrząśnięta.

- Ja nie mogę! Naprawdę! Spójrz, to moja nowa kreacja!

To była prawda. Mandy wciąż miała na sobie zieloną, jedwabną suknię.

Zuzanna skrzywiła się na ten widok.

- Zostań tutaj.

Ruszyła w dół, a za nią obie siostry, Ian, oczywiście, został przy Mandy.

Skrzyżował ramiona na piersi, a jego spokojny uśmiech świadczył wyraźnie, że spodziewa się dobrej zabawy. Przyszło jej do głowy, że był ich sługą i mogła nakazać mu pomoc lub nawet złapanie świni, ale odpędziła tę myśl. Od chwili, gdy go kupiła, Ian Connelly robił tylko to, na co miał ochotę i nic więcej. Jeżeli rozkaże mu, by pomógł, roześmieje się jej w twarz.

Przynajmniej wściekłość była dobrym antidotum na ból.

- Chodź tu! Hej, hej!

Trójka dziewcząt wołała na świnię, która zachowywała się tak jakby nie widziała zmierzających ku niej ludzi. Przynajmniej dopóki któraś z sióstr nie podeszła za blisko.

Wtedy ścigana maciora odbiegała kawałek i znowu zaczynała ryc.

- Panno Izoldo! - zawołała przymilnie Zuzanna, zbliżając się do niej z powrozem w ręce.

Grzbiet maciory sięgał do ud Zuzanny. Waga koła trzystu kilogramów, ale była łagodnym stworzeniem i lubiła, gdy ktoś drapał ją za uchem lub po grzbiecie. Była biała z wielkimi czarnymi łatami i zadziwiająco czysta, biorąc pod uwagę, że za ulubioną formę kąpieli traktowała tarzanie się w błocie.

Zuzanna zawiązała już pętlę na końcu powrozu i teraz musiała ją tylko zarzucić na szyję świni. Oczywiście łatwiej powiedzieć niż zrobić. Na jej korzyść przemawiał fakt, że wychowała zwierzę od prosięcia mniejszego niż teraz własne maleństwa Panny Izoldy.

Przeciwno działała inteligencja maciory i jej łakomstwo.

Gdy Panna Izolda po raz trzeci odbiegła, Zuzanna z trudem opanowała chęć zatupania nogami. Panował straszliwy upał, od słońca bolała ją głowa. Obie siostry miotaly się dookoła i potykały jak ona, a trzecia stała na wzgórkach w towarzystwie słuchającego. Flirtowali zawzięcie, jednocześnie

obserwując sytuację na polu. Zuzannę uspokoiła właśnie myśl o tym, jak bardzo tupiąc nogami ubawiłaby Iana. Schwyła Pannę Izoldę i pozostanie przynajmniej z pozoru spokojna. Wolała umrzeć niż przyznać się do szarpiącej ją furii.

Zuzanna postanowiła wykorzystać łakomstwo zwierzęcia. Pochyliła się, wsunęła palce w rozgrzaną ziemię i znalazła bulwę. Wyciągnęła rękę i podeszła do świni.

- Masz, tu, tu.

Panna Izolda nie okazała zainteresowania, dopóki nie dostrzegła bulwy.

Okrągłe małe oczka rozjaśniły się, gdy pociągnęła nosem. Zadrżał różowy ryj.

- No masz - powtarzała Zuzanna zachęcająco. Trzymając w lewej ręce bulwę, prawą szykowała pętlę.

Panna Izolda rzuciła się na smakołyk. Zuzanna pisnęła zaskoczona jej szybkością i rzuciła obiekt świńskiego pośladania. Maciora pochyliła głowę, a Zuzanna uniosła pętlę w górę i łowy zostały zakończone.

- Hura!

Ten okrzyk wydała Em. Zuzanna uśmiechnęła się i tryumfalnie spojrzała na nią i Sarę Jane, która wyraźnie odetchnęła z ulgą.

- Chodźcie, pomóżcie mi ją poprowadzić - zawołała Zuzanna.

Siostry podeszły, potykając się na nierównych brzdach, a Zuzanna obejrzała się przez ramię, by zobaczyć, jak jej zwycięstwo przyjęła Mandy i ta świnia w ludzkiej skórze.

Mandy i Ian stali twarzami do siebie. Siostra położyła dłonie na jego ramionach, a on trzymał ją w talii. Potem Mandy stanęła na palcach i wycisnęła pocałunek na uśmiechniętych wargach Iana. Nawet z tej odległości Zuzanna wyczuwała śmiech, od którego drżało powietrze wokół tej nazbyt pięknej pary. Z początku nie wierzyła własnym oczom. Potem uwierzyła.

ROZDZIAŁ 26

Minęło niemal pół godziny, nim zaciągnęły Pannę Izoldę do chlewika. Prosięta pobiegły za nią. Dziurę, którą maciora wyłamała w ogrodzeniu, Ian zabił starą deską. Częścią umysłu, zdolną jeszcze do normalnego rozumowania, Zuzanna zauważyła, że nie stracił

głowy i działał szybko, by nie uciekły pozostałe świni. Jednak większa część mózgu wciąż

odtwarzała scenę, która rozegrała się niedawno na wzgórzu. Za każdym razem, gdy wspominała Mandy, stojącą na palcach i przyciskającą wargi do ust Iana, budziły się w niej mordercze instynkty.

Kiedy maciora i prosięta były już bezpiecznie zamknięte, Zuzanna odszukała wzrokiem siostrę. Stał

przy niej Ian i uśmiechał się lekko, spoglądając na spoconą i brudną Zuzannę.

- Zawsze tak elegancka - mruknął, na pozór nie zwracając się do nikogo konkretnego.

W Zuzannie krew zawrzała na nowo. Nienawidziła go dziko i gwałtownie.

Nienawidziła go tak bardzo, że zaśmiałyby się głośno, gdyby Pan z niebios zesłał na niego błyskawicę. Kontrolowała jednak tę wściekłość, obawiając się, że odgadnie jej przyczyny.

- Amando - powiedziała niebezpiecznie spokojnym głosem, patrząc na uśmiechniętą siostrzyczkę. - Wracaj do domu.

Mandy uniosła brwi. Uśmiech znikł. Otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale najwyraźniej przemyślała to i zrezygnowała. Spojrzała z ukosa na Iana i wykonała polecenie.

Świadomie kokietując go każdym ruchem, uniosła ponad trawę brzeg sukni i kołysząc biodrami ruszyła do domu.

Jej wysiłki poszły jednak na marne, bowiem Ian nie spuszczał oczu z Zuzanny.

Gdy tylko Mandy znalazła się poza zasięgiem głosu, Zuzanna przeniosła spojrzenie na Iana. Już się nie uśmiechał, nie marszczył czoła, po prostu patrzył na nią z wysyn swego wzrostu z wyrazem twarzy, którego nie potrafiła rozszyfrować. Jasne popołudniowe słońce budziło rdzawe błyski w jego czarnych włosach i rozjaśniało szare oczy tak, że były niemal srebrzyste.

Samo spojrzenie na jego zmysłowe usta sprawiło, że Zuzanna miała ochotę go zabić.

Raz jeszcze pohamowała gniew, starając się zachować lodowatą godność.

- Jesteś wyjątkowym łotrem - powiedziała chłodnym i stanowczym tonem. - Jesteś chamem, łajdakiem i kanalią. Byle kundel ma więcej poczucia moralności niż ty. Kot w okresie rui okaże więcej wstydu. Sokół na łowach jest bardziej litościwy. Widziałam jak całujesz Mandy i wiem, że robisz to dlatego, by mnie zranić. Ale Mandy ma dopiero siedemnaście lat i jest zupełnie niewinna! Gdybyś miał choć odrobinę sumienia, dałbyś jej spokój. Ale nie zrobisz tego, prawda? Więc powiem ci coś, Ianie Connelly i mam nadzieję, że dobrze to zapamiętasz. Jeśli będę miała choć najmniejszy powód, by podejrzewać, że Mandy, Em lub Sarze Jane grozi coś z twojej strony, pójdę wprost do ojca i powiem o wszystkim, co między nami zaszło. Cała sprawa wyjdzie na jaw. Potem sprzedam cię George'owi Renardowi, który jest najbardziej niegodziwym potępińcem w tej okolicy i nie powiem ci, że to zrobiłam. A gdy Renard przyjdzie, by zabrać cię w łańcuchach, będę się śmiała. I nie żartuję. Nie pozwolę, by moja niewinna siostra popełniła ten sam błąd.

Twoja „niewinna siostra” mogłaby cię wiele nauczyć, skarbie - odparł z uśmiechem Ian. Był to leniwy, prostacki uśmiech, który sprawił, że Zuzanna poczuła w głębi duszy grozę i jeszcze coś o wiele bardziej pierwotnego i niskiego.

- Chcesz powiedzieć, że ty... ty i Mandy... - głos jej zamarł, Ian uśmiechnął się szerzej, a jego oczy błysnęły drwiąco.

- DŹentelmen nie mówi o takich rzeczach - oznajmił. - A ty najlepiej powinnaś wiedzieć, Źe nade wszystko jestem dŹentelmenem.

- Jesteś Źwinią o czarnym sercu! - syknęła, tracąc nad sobą panowanie.

Ale przecieŹ oboje wiemy, Źe masz słabość do Źwiń, prawda? Wyciągnął rękę, pogładził ją pod brodą i odszedł, zanim Zuzanna opanowała się na tyle, by odpowiedzieć.

Spoglądała za nim zaciskając pięści. Nie pojmowała, jak moŹe tak mocno nienawidzić męŹczyznę, dzięki któremu kilka dni temu Źwiat wydawał się siódmym niebem. Ale nienawidziła go tak bardzo, Źe smak tego uczucia odbijał się goryczą w gardle. Jednak iść za nim, by okładać go pięściami, poręcznym kamieniem, czy deską wyrwaną ze Źciany stajni, byłoby poniŹej jej godności. Poza tym, to by się i tak nie udało. Był większy od niej i pewnie z radością powitałby szansę wykorzystania swej siły. Zamiast atakować Iana, musi raczej porozmawiać z Mandy. JeŹli jego napomknienie miało jakiegokolwiek podstawy, to dylemat, który teraz przeŹywała był niczym w porównaniu z problemami, jakie ją czekały.

JeŹeli Ian Connelly kochał się z jej siostrą, coŹ trzeba będzie zrobić. MałŹeństwo? Na myśl o tym Zuzannie robiło się słabo i to z kilku powodów. Po pierwsze, Mandy była zbyt porządna dla kogoŹ takiego jak on. Po drugie, skandal byłby większy gdyby to młoda, Źliczna, zalotna dziewczyna była panną młodą niŹ gdyby tę rolę pełniła ona, niezbyt wielkiej urody stara panna. Po trzecie, Zuzanna mdlałaby chyba za kaŹdym razem, gdyby widziała lub wyobraŹała sobie ich razem jako męŹa i Źonę.

Choć bardzo kochała swoją siostrzyczkę i choć nienawidziła tego bandyty, który sugerował, Źe uwiódł je obie, nie mogła zaprzeczyć, Źe Ian Connelly, chociaŹ łobuz, był teŹ

jedynym męŹczyzną, którego chciałyby mieć dla siebie.

Mandy nie moŹe go dostać! Lecz, jak przypominał słaby głos rozsądku, Zuzanna teŹ nie.

Przede wszystkim musi odszukać Mandy i wydobyć z niej prawdę. Dla Iana Connelly'ego kłamstwo było czynnością równie naturalną co oddychanie.

Mimo to Zuzanna bała się Źmiertelnie. Kiedy ruszyła do domu, miała wraŹenie, Źe jej stopy zmieniły się w ołów.

Sara Jane i Em myły się na ganku. Tak jak Zuzanna, były brudne i spocone, a ich jasne bawełniane sukienki pomięte i poplamione. W normalnej sytuacji Zuzanna byłaby rozbawiona, widząc grymas Sary Jane. Lecz w tej chwili nie miała nastroju do Źartów.

- Gdzie jest Mandy? - spytała przez zaciŹnięte zęby.

Poszła się przebrać. - Sara Jane zmarszczyła czoło, dostrzegając, Źe coŹ jest nie w porządku. - Czy coŹ się stało? Zuzanna mruknęła niewyraźnie i pobiegła na górę. Nie Źyczyła sobie Źwiadków rozmowy, którą musiała przeprowadzić ze zbłąkana siostrą.

Znalazła Mandy w pokoju, który dzieliła z Em. Próbowała zdjąć z siebie zieloną suknię tak, by nie wypadły szpilki. Głowa zginęła gdzieś w fałdach stanika i było jasne, że nie widziała wchodzącej Zuzanny.

Ta bez słowa podeszła, by jej pomóc. Chwyliła talię i zręcznie uniosła szeroką spódnicę, nie zaczepiając szpilkami o włosy, skórę, czy bieliznę siostry. Rozmawiając z Ianem była wściekła, ale teraz, kiedy stała obok ukochanej siostrzyczki, lęk stłumił złość.

Miała wrażenie, że przygląda się całej sytuacji gdzieś z boku, że jest raczej obserwatorem niż zaangażowanym uczestnikiem.

- Mandy, mam zamiar spytać cię o coś i mam nadzieję, że powiesz mi prawdę.

Jak daleko posunęło się to... te rzeczy... między tobą a Connelym?

Mandy miała minę winowajcy. Dla kogoś, kto znał ją tak dobrze jak Zuzanna, oznaki były wyraźnie widoczne. Powieki zatrzepotały, prawie niedostrzegalnie przełknęła ślinę, a rumieniec na policzkach odrobinę pociemniał. Subtelne oznaki, lecz Zuzanna zmartwiała.

W oczywisty sposób grając na zwłokę, Mandy sięgnęła po leżącą na łóżku sukienkę z wzorzystego batystu. Wciągnęła ją przez głowę. Odruchowo odwróciła się plecami do siostry i równie odruchowo Zuzanna zaczęła zapinać suknię. W końcu Mandy obejrzała się przez ramię.

- Co masz na myśli, pytając jak daleko to zaszło? A co sobie wyobrażasz?

- Czy doszło między wami do czegoś... intymnego? Muszę to wiedzieć dla twego dobra.

Zuzanno! - Mandy była prawdziwie zaszokowana. Zuzanna dostatecznie знаła siostrę, by być tego pewną. Poczula tak wielką ulgę, że zrobiło jej się słabo. Odnalazła ostatni haczyk i połączyła go z odpowiednią haftką. Suknia była zapięta i Mandy nie miała już pretekstu, by stać tyłem do siostry.

- Skąd coś takiego przyszło ci do głowy? - zapytała Mandy.

Nie popełniła z pewnością najcięższego grzechu, lecz nie była zupełnie bez winy.

Zuzanna nie wiedziała dlaczego, lecz oznaki nieczystego sumienia nie zniknęły. Nie patrząc na siostrę, Mandy poprawiała fałdy sukni.

Zuzanna spoglądała na nią bez uśmiechu. Wychowała Mandy od pięcioletniego dziecka. Macierzyńska miłość, którą do niej czuła, nie wygasła, pojawiła się jednak świadomość, że mała siostrzyczka jest już dorosłą kobietą i rywalką. Mandy była piękna i czarująca w tym: 1. frakcyjnym, niewinnym stylu, który powalał mężczyzn jak kręgle. Ryta tak kusząca, że mogła dowolnie wybierać ze wszystkich mężczyzn w okolicy.

Ale nie mogła dostać mężczyzny, którego pragnęła Zuzanna.

Zazdrość była grzechem, a ta obrzydliwa gryzącażawiść wobec własni j siostry to grzech jeszcze większy. Lecz Zuzanna nie potrafiła opanować własnych uczuć. Z rozpaczą zdała sobie sprawę, że Ian Connelly, ten kundel, ten nikczemny łobuz wkradł się jakoś do jej serca i nie pozwalał się usunąć. Niczym opętana przez diabła ofiara, musiała toczyć ciężką walkę, by zapanować nad swoim sercem i duszą.

Najgorszy z tego wszystkiego był fakt, że mężczyzna będący powodem całej tej męczarni nie kochał ani jej, ani Mandy. Wykorzystał i manipulował nimi dla swoich mętnych celów.

Obie zostały wystrychnięte na dudka przez służbę. Lecz w przeciwieństwie do niej, na usprawiedliwienie Mandy przemawiał fakt, że miała dopiero siedemnaście lat.

- Widziałam jak go całujesz na wzgórku.

Nawet powiedzenie tego było trudne. Zuzanna z wysiłkiem wypchnęła z umysłu nazbyt wyraźny obraz. Zachowanie dystansu to jedyna ochrona przed cierpieniem.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że twoje zachowanie daleko przekracza granice tego, co właściwe wobec jakiegokolwiek mężczyzny, a zwłaszcza wobec niego. Zawarliśmy umowę. Miałaś zachowywać się odpowiednio przy Connelym, a ja pozwoliłabym ci iść na przyjęcie do Haskinsów. Złamałaś tę umowę.

- Chcesz powiedzieć, że mnie nie puścisz? - spytała Mandy piskliwym nagle głosem, szeroko otwierając oczy. Zuzanna ze smutkiem kiwnęła głową.

- Zalem odmawiam ci tej radości, ale takie zabawy z Connelym są ryzykowne i...

Wyzwanie błysnęło w oczach Mandy.

- Pójdę na to przyjęcie, a ty nie zdołasz mnie powstrzymać! Jesteś tylko moją siostrą, nie matką, więc przestań się zachowywać jak byś była tym, kim nie jesteś! Pójdę! A jeśli sądzisz, że powiesz papie o Connelym i o mnie, to lepiej się dobrze zastanów. Jeśli naskarżysz na mnie, to ja naskarżę na ciebie, a mogę się założyć, że masz więcej do ukrycia!

- Mandy! - Zuzanna była wstrząśnięta. Jasnobrązowe oczy siostry błysnęły gniewnie, a potem wypełniły się łzami.

- Nie śartuję - upierała się.

Chwyciła zieloną jedwabną suknię, wyminęła Zuzannę i ruszyła do drzwi.

- I nie myśl, że jesteś mi potrzebna, by skończyć tę sukienkę! Nie jesteś! Sama to zrobię!

Zuzanna została z otwartymi ustami i uniesioną ręką, jakby próbowała zatrzymać Mandy, która zbiegała już po schodach.

- Panno Redmon! Panno Redmon!

- Zamknij gębę mały bękarcie albo, na Boga, ja ci ją zamknę!

Panie Likens! Nie! Co pan wyprawia! Zuzanno! Zuzanno, chodź szybko! Zuzanna była w połowie schodów, gdy zaczęło się to zamieszanie. Ostatni głos należał od Sary Jane i brzmiał nagłaco.

Podciągnęła spódnicę i zbiegła po schodach pędem, jakby halka stanęła jej w ogniu.

Skamieniała na moment, widząc rozgrywającą się scenę. Jeremy Likens wyraźnie biegł do niej po pomoc. Ojciec gonił go, złapał tuż za kurnikiem i teraz, trzymając za jasne włosy, ciągnął chłopca pod górę. Sara Jane z Mandy i Em miały się po ścieżce u stóp wzgórza i krzyczały, by puścił chłopca. Ale były zbyt przestraszone, by interweniować osobiście.

Zuzanna wreszcie znalazła ujście dla pasji, która narastała w niej od kilku dni.

- Niech cię piekło pochłonie! - rzuciła wściekle. Pamiętając co zaszło ostatnim razem, gdy chciała wystraszyć Likensa dubeltówką, pochwyciła inną broń: solidną miotłę, stojącą w kącie na ganku. Potem ruszyła do ataku.

- Zuzanno, bądź ostrożna! - krzyknęła Sara Jane.

- Sprowadzę Iana! - oznajmiła Mandy, ruszając pędem w stronę chatki.

- Spiesz się Zuzanno! On zrobi krzywdę Jeremy'emu! wrzeszczała Em, podążając za siostrą. Zuzanna była tak rozzłoszczona, że niemal tego nie zauważyła Panno Redmon! Panno Redmon! Ratunku! - płakał Jeremy. Ojciec szarpał chłopca za włosy jak pies, który chwycił

szczura.

- Zamknij się! - Likens ciągnął syna, praktycznie unosząc go nad ziemią.

- Puść go, Jedzie Likens! - Zuzanna zbliżyła się szybko.

- Do diabła z tobą, kościelna babo! Nie mieszaj się do tego! - Likens spojrzał

groźnie przez ramię i znów potrząsnął Jeremym.

- Puść go! Natychmiast, słyszysz?

- To mój chłopak! I robię z nim co mi się podoba! A ty nie wpychaj do tego swojego nosa!

- Panno Redmon, on tym razem zabił mamę!

- Zamknij gębę! Zamknij gębę, powiedziałem!

- Proszę go puścić, panie Likens!

- Niech mnie diabli, jeśli to zrobię!

Nie wątpię, że i tak będzie pan potępiony - rzekła pośpnie Zuzanna, wreszcie ich doganiając. Zaciśnęła zęby, obracając miotłę miękką słomą do siebie, a rączką, solidnym dębowym kijem, mocno walnęła Jeda Likensa w plecy.

- Zabiję cię za to, ty wściekła, dwunoga suko! - wrzasnął, puścił Jeremy'ego i odwrócił się. Zuzanna uderzyła go znowu. Sara Jane i Em krzyknęły: Uciekaj, Jeremy! Chłopiec rzucił się... na ojca, gdy Jered Likens skoczył ku Zuzannie, która okładała go wściekle miotłą. Wreszcie Likens zdołał chwycić kij i wyrwać miotłę z jej ręki. Sara Jane i Em krzyczały wniebogłosy. Likens uśmiechnął się złowrogo. Jeremy skoczył

na plecy ojca, gdy ten wymierzył cios w głowę Zuzanny.

Uchyliła się i wystawiła rękę. Twardy kij trafił ją tuż poniżej łokcia. Zobaczyła wszystkie gwiazdy. Krzyknęła z bólu, potknęła się i upadła.

- Przestań, tato! Przestań!

Likens sięgnął za siebie, chwycił Jeremy'ego za kołnierz koszuli i wściekle cisnął na ziemię. Znowu uniósł miotłę, by wymierzyć Zuzannie coup de grace.

- Zuzanno! - wrzasnęły siostry chórem i skoczyły do przodu, by chwycić Likensa za rękę.

Odepchnął je obie. Sara Jane przewróciła się na plecy, a Em upadła na kolana.

Zuzanna próbowała wstać...

- Nauczę cię wtrącać się w cudze sprawy! - warknął Likens i zamachnął się, mierząc kijem w Zuzannę. Zasłoniła się ręką, pochyliła i krzyknęła. Ale cios nie spadł.

Popełniłeś błąd, Likens. Poważny błąd - odezwał się nagle ponury głos. Zuzanna uniosła głowę. Pomiędzy nią a Likensem stał Ian. Jedną ręką trzymał pochwyconą w locie miotłę. Zuzanna osłabła tak, że musiała oprzeć się obiema rękami o ziemię. Nigdy w Syciu nie ucieszyła się z czyjegoś widoku tak, jak teraz widząc Iana.

- To nie twoja rzecz - rzucił Likens.

Twarz mu jednak zszarzała, a oczy uciekały nerwowo na boki. Zastanawiał się gdzie dać nura.

- Uderzył cię, Zuzanno? - zapytał Ian nawet na nią nie patrząc.

- Uderzył ją miotłą. Myślałam, że chce ją zabić - odparła drżącym głosem Sara Jane, zanim Zuzanna zdążyła się odezwać.

- Trzeba odwagi, żeby bić kobiety i dzieci. - W głosie Iana zabrzmiał ton, którego Zuzanna jeszcze nigdy nie słyszała. - Wielkiej odwagi. Przekonamy się, jaki odważny będziesz ze mną.

To co nastąpiło potem było jednym z najbardziej obrzydliwych, a jednak pięknych widoków w Syciu Zuzanny, Ian zrobił z Jeda Likensa miazgę. Bena, który przybiegł bez tchu, by zobaczyć koniec akcji, wysłał duchem do miasta, Œeby sprowadził władzê.

- A teraz pójdziesz do wiêzienia - poinformowaÅ Ian ledwie przytomnego Likensa, który leÅaÅ na boku i jêczaÅ.

Konstabl nie wsadzi taty do wiêzienia - oÅwiadczyÅ ŒaÅoÅnie Jeremy. Nie uroniÅ nad ojcem nawet jednej Åzy. PatrzyÅ na niego, jak na chwilowo niegroÅznego, jadowitego wêÅa.

- Tym razem wsadzi - stwierdziÅ z przekonaniem Ian, kÅadac dÅoÅ na ramieniu chÅopca. -UderzyÅ pannê Redmon. Byc moÅe wolno mu bezkarnie biç twojÅ matkê, ale teraz posunÅ siê za daleko.

Lepiej pÅjdê i sprawdzê co z Annabeth. MoÅe byc ranna - powiedziaÅ Zuzanna, odzyskujac przytomnoÅ umysÅu. WstaÅa jeszcze podczas caÅkiem jednostronnej walki i obserwowaa z odrazÅ, acz z pewnym podziwem, jak Ian wbijaÅ piêÅci w Jeda Likensa.

Zwykle protestowaÅaby przeciw takiej przemocy. Lecz jeÅli kiedykolwiek ktoÅ zasÅugiwaÅ, by zostaç pobitym do nieprzytomnoÅci, byÅ nim wÅaÅnie Jed. Œonê i dzieci potraktowaÅ w taki sposÅb wiêcej razy, niÅ mogÅa zliczyç.

- Sama jesteÅ ranna - rzuciÅ szorstko Ian, patrzac jej w oczy. -Tym razem niech pÅjdzie ktoÅ inny.

- Ale... - odruchowo zaprotestowaÅ, choç ramiê bolaÅo jak uÅamany zÅb. Sara Jane, podtrzymujac Zuzannê w talii, skinêÅa gÅowÅ.

Masz racjê - powiedziaÅ do Iana. - Ja pÅjdê. Em, moÅesz iÅc ze mnÅ. Mandy, zostaÅ przy Zuzannie. Nie wyglÅda najlepiej. Ian uÅmiechnÅ siê do niej z aprobatÅ. Ku zdumieniu Zuzanny, Sara Jane odpowiedziaÅ mu nieÅmiaÅym uÅmiechem. WyglÅdaÅo, Åe nawet ona nie byÅa odporna na hultajski urok.

- ChodÅ Em, i ty teÅ Jeremy - komenderowaÅ Sara Jane. Ruszajac w gÅorê, zatrzymaÅ siê jeszcze i odwrÅciÅ, by spojrzeç na Iana.

Prawdopodobnie ocalaÅ Zuzannie Œycie - odezwaÅ siê cicho. - Dziêkujê ci, Ian. ByÅo to przeÅomowe wyznanie, Ian przyglÅdaÅ siê kobiecie spod zmrusÅonych powiek, jakby rozwaÅajac tê subtelnÅ ofertê przyjaÅni. Potem skinÅ gÅowÅ i stanÅ obok Zuzanny.

- Nie ma za co, Sara Jane. Wierz mi, to byÅa czysta przyjemnoÅç.

Zuzanna z otwartymi ustami spoglÅdaÅ to na siostrê, uÅmiechajac siê ciepÅo do sÅuÅcego, to na Iana, tego diabÅa wcielonego, który szturmem zdobyÅ ostatniÅ z czterech cytadel RedmonÅw. PoniewaÅ Mandy oczywiÅcie byÅaby jego, gdyby tylko zechciaÅ. Em zachwyciÅ siê nim od samego poczÅtku, gotowa uwaÅac nie tylko za rÅwnÅ sobie, ale wrêcz wyÅszÅ istotê. Co do niej, no cÅÅ, nie byÅo sensu zagÅêbiaç siê teraz w dokÅadnÅ analizê jej uczuÅ do tego mêÅczyzny. Wystarczy powiedzieç, Åe odkÅd pojawiÅ siê w jej Œyciu, wypeÅniÅ

je po brzegi.

Sara Jane i Em ruszyły ścieśką za Jeremym. Likens stracił przytomność i leśał

rozciągnięty na ścieśce. Mandy stała przy Zuzannie i delikatnie podwijała rękaw, by obejrzeć zranione ramię.

- Pozwól, śe spojrzę - powiedział spokojnie Ian i Mandy posłusznie cofnęła się.

Gdy objął jej rękę długimi, silnymi palcami, Zuzanna mimowolnie uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. To co w nich zobaczyła zaparło jej dech. Potem Ian niemal czule przesunął dłoń wzdłuś przedramienia, odwracając je, by obejrzeć ciemniejący siniec.

Zabolało tak bardzo, śe Zuzanna krzyknęła.

- Powinienem go zabić - syknął przez zaciśnięte zęby, spoglądając z pogardą na Likensa.

Potem przyjrzał się pobladłej Zuzannie i zaklął pod nosem. Nagle pochylił się, chwycił ją pod kolana i ramiona, i podniósł. Tuląc do piersi ruszył w stronę domu.

- Ja mogę iść! - zaprotestowała Zuzanna, przeraśona gorszącym widowiskiem, w którym uczestniczyła.

Wyrywała się lekko, aś nadto świadoma obecności Mandy, która w milczeniu podąśała za nimi.

- Nic nie mów - polecił stanowczo Ian. - Ten jeden raz, dobrze?

Zuzanna nie wiedziała jak zareagować, Ian przeniósł ją przez ganek, kuchnię i wszedł

na schody. Ku jej zakłopotaniu, wkroczył do sypialni i połośył ją na łóśku.

- Potrzebny będzie zimny kompres - odezwał się do Mandy, gdy weszła za nim. -

Muszę wrócić i przypilnować Likensa, póki go nie zabiorą do więzienia. Zostań z Zuzanną.

Ruszył do drzwi, lecz zatrzymał się jeszcze i obejrzał.

- A, Mandy - powiedział cicho - nawet jeśli będziesz musiała na niej usiąść, dopilnuj, by się nie ruszyła przynajmniej tak długo, dopóki nie będzie miała opatrzonej ręki.

ROZDZIAŁ 28

Rozbrzmiewała piękna muzyka. Do natarczywego altu skrzypiec dołączyły się słodkie nuty klawesynu, cudownymi dźwiękami wypełniając długą, wąską salę. Zuzanna kochała muzykę i z trudem powstrzymywała się, by nie poruszać stopami do rytmu. Siedziała oczywiście z wdowami, i nie przeszkadzało jej nawet, gdy stara pani Greer wybrała sobie sąsiednie miejsce, by podzielić się długą litanią swych śalów. Podtrzymywanie takiej rozmowy nie wymagało wysiłku: od czasu do

czasu uśmiech i skiniecie głową. Zuzanna mogła całą uwagę poświęcić muzyce i rozgrywającemu się przed nią spektaklowi.

W sali znajdowało się ponad pięćdziesiąt osób. Wysokie szklane drzwi zostały otwarte, by umożliwić cyrkulację powietrza. Przejrzyste, jedwabne, bladokremowe zasłony trzepotały w rzadkich podmuchach. Ściany obwieszono szarym brokatem, a półokrągłe sklepienie ozdabiała nie mniej niż pół tuzina jasnych kandelabrow. Dwa marmurowe kominki wypełniono różowymi i białymi kameliami. Kamelie stały też przy szklanych drzwiach i rozkwitały w rogach sali. Wypolerowana do połysku drewniana podłoga lśniła odbitym światłem. Na niej tańczyli ubrani w najlepsze stroje znajomi i sąsiedzi Zuzanny.

Tylko Greerowie, Hiram i jego matka, oraz małżeństwo Lewisów byli członkami kongregacji ojca. Reszta, bogaci plantatorzy i ich rodziny, należała do parafii św. Heleny kościoła episkopalnego. Gdyby nie zachwycająca muzyka, Zuzanna czułaby się tu trochę nieswojo. Nieczęsto obracała się w takim towarzystwie i nieczęsto przejmowała się własnym wyglądem. Założyła najlepszą, niedzielną, czarną suknię z białą chustą na ramionach, spiętą srebrną szpilką na piersi.

Odkryte włosy jak zwykle spięła w gruby kok z tyłu głowy. Obserwując tańczących, Zuzanna była coraz bardziej świadoma niedostatków swego stroju. Mężczyźni nosili peruki albo naturalne, lecz upudrowane i związane z tyłu włosy. Mieli eleganckie fraki, pończochy z ozdobnym szlaczkiem po boku i kamizelki z haftowanej satyny lub brokatu. Lecz damy przyćmiewały ich wyglądem. W olśniewająco kwiecistych jedwabkach, pasiastych satynach, czy błyszczących brokatakach, z upudrowanymi włosami ułożonymi misternie w skomplikowane sploty nawet najbardziej pospolite z pań wyglądały wspaniale. Nawet stara pani Greer, podobnie jak i Zuzanna w czarnej sukni, lecz z lśniącej satyny i w koronkowej mantylce, robiła doskonałe wrażenie. Zuzanna czuła się zaniedbana, zresztą nie pierwszy raz w Syciu. Lecz dzisiaj z jakichś powodów to uczucie przepełniało ją goryczą. Może powinna uszyć sobie parę sukien, w jaśniejszych kolorach...

Ale to oczywiście głupota. Potrzebowała praktycznych, nie pięknych strojów. W

końcu nie była młodą, frywolną dziewczyną, jak Mandy, i najpewniej czułaby się śmiesznie, gdyby na tym etapie swego życia spróbowała ubrać się zgodnie z wskazaniem najnowszej mody. Była już owcą, nie jagnięciem i lepiej, by o tym pamiętała.

Odszukała wzrokiem Mandy, stojącą pod przeciwną ścianą sali. Z jednej strony Todd Haskins częstował ją lemoniadą, z drugiej inny młody człowiek, Charles Ripley, podawał tacę ciastek. Nawet zielona, jedwabna suknia, z której Mandy była taka dumna, nie wyglądała elegancko przy kreacjach pochodzących od krawców z Charles Town lub nawet z Richmond.

Jednak Mandy z pewnością była najpiękniejszą z obecnych dziewcząt. Zuzanna promieniała dumą, gdy po uważnym przyjrzeniu upewniła się, że tak jest naprawdę.

Muzycy grali menueta. Zuzanna z podziwem obserwowała dziwne figury i piruety.

Taniec był wdzięczny, stateczny i piękny. Gdyby było to możliwe, chętnie stanęłaby też na parkiecie. Ciało niemal zakotłosało się na samą myśl. Ale to niemożliwe, a gdyby nawet, wystarczyło

wyobrazić sobie, jak głupio by wyglądała kręcąc się w taki sposób. Jak zaniedbana, podstarzała wrona na niebie pełnym jasnych, młodych motyli. Niemal prychnęła na myśl o zrobieniu z siebie takiego widowiska.

Oczywiście wyraźnie zakazała Mandy tańców, a siostra, która w głębi serca była dobrą dziewczyną, nie wykazywała ochoty do nieposłuszeństwa. Piękna czy nie, córka pastora baptysty nie powinna zachowywać się w ten sposób. - Panno Redmon, jak się pani miewa? Minęły wieki, odkąd ostatni raz widzieliśmy panią.

Lenora Haskins, matka Todda i pani tego domu, z uśmiechem stanęła obok Zuzanny.

W tym uśmiechu był cień wyśszości, gdy Haskinsowie żyli w bardziej elitarniej warstwie społecznej niż Redmonowie. Ale w zasadzie był to uprzejmy uśmiech.

Zuzanna wymieniła z panią Haskins kilka grzeczności, po czym ponownie potakiwała pani Greer nie słuchając wcale jej tylko muzyki.

Mniej więcej godzinę później zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu nie widzi Mandy. Marszcząc brwi, przebiegła wzrokiem po balowej sali. Na parkiecie wirowały suknie śnieżne jak masło, różowe jak goździki i białe jak kwiaty magnolii. Lecz nigdzie nie dostrzegła nawet śladu jabłkowiezielonego jedwabiu. Sala balowa mieściła się na parterze skąd wysokie przeszklone drzwi otwierały się w noc. Mandy, znudzona staniem pod ścianą, a nie mogąc tańczyć, wyszła pewnie na taras. Problem w tym, z kim tam poszła. Od tamtego popołudnia, gdy Ian pobił Jeda Likensa, a potem zaniósł Zuzannę do sypialni, dziewczyna stała się niezwykle milcząca. Dąsy były u niej czymś całkiem zwyczajnym, ale taki napad melancholii, jeśli o nią chodziło, wydawał się czymś całkiem nowym. Zuzanna nie wiedziała jak reagować i czy poprawiać nastrój siostry. Wiedziała tylko tyle, że nagle poczuła lęk.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała, w pół zdania przerywając litanię pani Greer.

Staruszka była chyba wstrząśnięta, lecz Zuzanna przesuwała się już wzdłuż ściany w stronę otwartych drzwi. Na tarasie dostrzegła dwie pary, stojące tak daleko jedna od drugiej jak to tylko możliwe i ukryte głęboko w cieniu. Zauważyła jednak od razu, że żadna z dziewcząt nie była Mandy.

Przed Zuzanną rozciągał się trawnik, ciemny, żywy, pełen rechoczących śab i grających cykad. Na prawo były stajnie, na lewo bagniste pola, na których Haskinsowie uprawiali ryż. Z pewnością Mandy tam by nie poszła.

- Mogę pani w czymś pomóc?

Gdy stanęła w otwartych drzwiach, rozglądając się po gościach pojawił się przed nią pomarszczony staruszek, jeden z niewolników Haskinsów, który na srebrnej tacy podawał przekąski.

- Szukam mojej siostry - zwróciła się do niego Zuzanna. - Panny Amandy Redmon.

Była ubrana w zieloną suknię. MoŜe ją gdzieś widziałeś? Staruszek zmarszczył brwi i pokręcił głową.

Nie, proszę pani, nie widziałem. Ale zapytam Henry'ego, jeśli zechce pani poczekać.

Zuzanna przyglądała się jak przeszedł przez salę do miejsca, skąd Henry, majordomus Haskinsów, nadzorował słuŜbę. Gdy spoglądała na gości, zauwaŜyła trzy rzeczy: zabawa stawała się coraz weselsza, Todd Haskins był na sali i tańczył z jakąś wyjątkowo atrakcyjną blondynką, nie było za to Hirama Greera.

CzyŜby Mandy wyszła gdzieś z Greerem? Jeśli tak, to Zuzanna nie wiedziała czy cieszyć się czy martwić. Greer był ich dobrym znajomym i nie skrzywdzi Mandy, ale dziwne, Őe akurat jego wybrała do towarzystwa. Zuzanna nie orientowała się w liście gości tak dobrze, by stwierdzić kogo jeszcze brakuje, ale wszyscy młodzi męŜczyźni, którym się wcześniej przyglądała, byli chyba na sali.

- Henry mówi, Őe panna Redmon poszła do róŜanego ogrodu. Ee, i powiedział, Őe była w towarzystwie.

Zuzanna nie chciała pytać o owo towarzystwo, by nie podać w wątpliwość obyczajności Mandy. Staruszek był wyraźnie zmartwiony, choć moŜe po prostu miał taki wyraz twarzy.

- Rozumiem - powiedziała z najwyższą obojętnością, na jaką tylko mogła się zdobyć. - A gdzie są te róŜane ogrody, jeśli wolno spytać? Słyszałam, Őe warto je obejrzeć.

Najprostsza droga to wyjść na tyły domu i przejść obok kuchni. - Wskazał kierunek ręką. Zuzanna ruszyła za nim w nadziei, Őe nie zwróci na siebie uwagi Przemkneła obok kuchni, osobnego, murowanego budynku, skąd przez otwarte okna i drzwi wydobywały się apetyczne zapachy i śmiechy. Niewolnicy urządzili tu własne przyjęcie. Z kuchni wyszła właśnie ciemnoskóra kobieta w fartuchu i turbanie, niosąc parujący półmisek pasztetu z krabów. Ruszyła zadaszonym przejściem do głównego budynku. ZbliŜał się czas posiłku dla gości.

Jakiś samotny męŜczyzna siedział w ciemności na schodach przy bocznej ścianie kuchni. Ukrytego w cieniu nie zauwaŜyłaby wcale, gdyby nie jarzący się czerwienią koniec cygara. Obrzuciła go wzrokiem i nie zwracając uwagi przeszła obok. - Zuzanno.

To był Ian. Wszędzie poznałaby ten powaŜny głos. Stała w oczekiwaniu, a on podniósł się ze stopni i ruszył ku niej przez trawę.

Tak jak przewidywał Ian, Jed Likens trafił do więzienia, jednak juŜ następnego dnia został zwolniony po ostrzeŜeniu, by na przyszłość zachowywał się przyzwoicie. Gdy Ian to usłyszał, wściekł się i uparł, Őe Zuzanna sama nie moŜe oddalić się od domu poza zasięg głosu. Ojciec, rozłoszczony jak rzadko wielkim, fioletowym sińcem na jej ramieniu, wznosił

się ponad swe zwykłe abstrakcyjne rozwaŜania i stanowczo poparł Iana. Zuzanna nie sprzeciwiła się. Po części dlatego, Őe obawiała się, iŜ Jed Likens moŜe okazać się tak głupi i podły, by

próbować zemsty. Na szczęście nikt jej nie wzywał, by siedziała w nocy przy chorym. W takiej sytuacji zdecyduje, czy pozwolić na eskortę Iana owi, który wyraźnie tego oczekiwał.

Pytanie co jest gorsze: ryzykować samotne spotkanie z Jedem Likensem, czy z Ianem, męczyło ją prawie bez przerwy. Na razie nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Wprawdzie zachowanie Iana sprzed kilku dni zmniejszyło jej wściekłość, wciąż jednak była ostrośna.

Pragnęła go i to uczucie potęgowało się z każdym dniem. Tęskniła za jego śmiechem, towarzystwem, kpinami i - tak - za tym paraliżującym efektem, jaki wywierał na jej zmysły.

Tęskniła za nim każdą cząsteczką serca, duszy i ciała, ale nie poddawała się tej śądzy. Na powrót stanie się sobą, jeśli tylko pozostanie poza zasięgiem jego ramion tak długo, aś minie pośądanie. A musi minąć prędzej czy później.

Tak jak odporność na chorobę, odporność na tego męśczyznę wymagała czasu.

Najlepszym wyjściem było unikanie go i to właśnie robiła przez ostatnie cztery dni. Dzisiaj, kiedy odwiózł je na przyjęcie, milcząca Mandy jechała między nimi niczym bufor... i będzie z nimi, kiedy ruszą z powrotem. Oczywiście, jako skazaniec i sługa, niegodny towarzystwa Haskinsów i ich gości, Ian nie został nawet wpuszczony do domu. W kuchni przygotowano mu talerz jedzenia, po czym miał czekać na dworze, aś jego właściciele postanowią wracać.

Zdziwiona Zuzanna stwierdziła, śe ze spokojem przyjął te ograniczenia, delikatnie przekazane mu przez Henry'ego. Uśmiecnał się tylko ironicznie. Miała ochotę zaprotestować w jego imieniu, lecz Mandy przemknęła tuś obok i Zuzanna obawiała się, śe taki protest wyglądałby zbyt podejrzanie.

Ale oto stał obok niej w świetle księśyca. Owiewał ich zapach lilii, a w powietrzu płynęły wzruszające dźwięki skrzypiec.

- Skąd wzięłeś cygaro? - zapytała, gdy znów się zaciągnął. Wyjął je z ust i gdy spojrzał na nią w jego oczach pojawił się wyraz szczerego zadowolenia.

- Dał mi je jeden z niewolników. Powiedział, śe to z biurka pana Owena. Pan Owen był ojcem Todda Haskinsa i gospodarzem.

Nie wiedziałam, śe lubisz tytoń - wyznała trochę zakłopotana. Przyszło jej bowiem do głowy, śe przecieś nie miał pieniędzy, by kupować cygara.

- Wiele jest rzeczy, których o mnie nie wiesz, drogie dziewczę. Cygara są z nich najmniej waśne. Co tu robisz sama w ciemności? -zapytał surowo.

Zuzanna była w równej mierze wzruszona jego troską i zirytowana, śe ośmielił się ją wypytywać.

- Szukam Mandy. I chciałabym ci przypomnieć, śe nim cię spotkałam prześyłam dwadzieścia sześć lat bez twojej opieki. Znów z wyraźną rozkoszą zaciągnął się cygarem.

- Tyle masz lat? Dwadzieścia sześć?

- Tak. Choć przypuszczam, że nie powinnam się przyznawać.
- Wyglądasz na młodszą. Zuzanna spojrzała na niego ostro, potem roześmiała się.
- Nie marnuj na mnie swojego daru wymowy. Wiem, że to nieprawda.
- Sądziłem, że jesteś najwyżej dwa lata starsza od Sary Jane, a założyłem, że ona ma dwadzieścia jeden.
- Ma dwadzieścia. Jestem starsza o sześć lat.
- Skąd wzięła się taka duża różnica wieku między wami? Zuzanna spochmurniała.
- Po mnie mama urodziła trzech chłopców, którzy zmarli jako niemowlęta. Już nigdy nie była taka sama, choć oczywiście kochała Sarę Jane, Mandy i Em. A jednak kiedy ostatni z chłopców, ten po Emilii, zmarł kilka godzin po urodzeniu, była chyba szczęśliwa, że może odejść razem z nim. Wydaje mi się, że strata tyłu dzieci odebrała jej chęć do życia.
- Czy matka była podobna do ciebie? Zuzanna uśmiechnęła się na wspomnienie i pokręciła głową.
- Raczej do Mandy, bardzo wesola i piękna. Wygląd odziedziczyłam po ojcu, a Bóg jeden wie po kim charakter. Na pewno nie po nim.
- Twój ojciec to święty człowiek.
- Tak - zgodziła się Zuzanna, zadowolona, że to zauważył.
- Ale samodzielnie nigdy nie utrzymałby kościoła, farmy i rodziny.
- Nie jest szczególnie praktyczny.
- Więc ty wzięłaś na siebie odpowiedzialność za wszystko, nie wyłączając wychowania sióstr. To musiało być trudne dla młodej dziewczyny, zwłaszcza na początku.
- Jakoś sobie poradziłam. A mówiąc o siostrach, naprawdę muszę odszukać Mandy. Podobno wyszła do rodzinnego ogrodu w towarzystwie jakiegoś nieznanego dentelmana.
- Aha.
- Ruszył obok niej. Zuzannie szybciej zabiło serce, Ian nie dotknął jej, nawet nie musnął ramieniem, ale wszystkimi porami skóry wyczuwała jego obecność.
- Więc teraz musisz zagrać rolę mamusi i ściągnąć ją z powrotem na przyjęcie.
- Coś w tym rodzaju. Przynajmniej nie przejmował się tym, że Mandy wyszła z innym mężczyzną.

Księżyc, pełna srebrnobiała kula mniej więcej w jednej czwartej swej drogi przez gwiaździste niebo, oświetlał im drogę. Cień Iana był bardzo długi obok jej cienia, który wydawał się krępy. To spostrzeżenie wydało jej się trochę poniżające.

- A więc zrezygnowałaś z własnej młodości, by zająć się siostrami. W jakim wieku?

- Mama umarła, gdy miałam czternaście lat.

- I w ciągu jednej nocy stałaś się kobietą.

- Ktoś musiał zająć jej miejsce. Swą śmiercią spowodowała wielką pustkę w naszym Śyciu. Ojciec był zrozpaczony, dziewczęta zaledwie dziećmi, a trzeba było przygotowywać posiłki, sprzątać w domu, dopilnować kongregacji. Nikt nie mógł tego zrobić oprócz mnie, więc po prostu to zrobiłam.

- Musiało być ci ciężko. Ale przyznaję, że udało się wspaniale. Cała społeczność darzy cię wielkim szacunkiem, a twoje siostry przynoszą ci zaszczyt. Chociaż nie sądzę, by rozumiały, jaki klejnot mają obok siebie. Podobnie jak twój ojciec.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że rodzina mnie nie docenia, możesz mieć rację - odparła Zuzanna. - Ale za to mnie kochają, co jest o wiele lepsze. I ja ich kocham.

Czuła jego wzrok, lecz uparcie nie chciała spojrzeć mu w twarz. Wprawdzie obserwowanie jego cienia było tylko trochę lepsze, ale przynajmniej nie budziło dreszczy.

Kątem oka dostrzegła, że cygaro znowu się rozjarzyło.

- Wiesz - powiedział wolno - jesteś bardzo miłą kobietą. Roześmiała się, choć nieco szorstko.

- Dziękuję ci uprzejmie.

- To jest prawdziwy komplement - nie chciał ustąpić. - Większość znanych mi kobiet wcale nie jest miła. Wszystko, co robią, zawsze ma jakiś ukryty motyw. Chwytają chciwie każdą rzecz, którą tylko mogą zdobyć.

Jeśli to, co mówisz jest prawdą, to może powinieneś poszerzyć swój krąg znajomych.

Ale jestem pewna, że przesadzasz. Weźmy na przykład twoją matkę. Z całą pewnością wyłączyłbyś ją z tego osądu. Była to delikatna próba zdobycia informacji. Nagle zapragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej, Ian roześmiał się, lecz dość ponuro.

- Moja matka zupełnie by cię zaskoczyła. Jest tak niepodobni do ciebie i twojej rodziny, jak to tylko możliwe.

Naprawdę? W jaki sposób? Spojrzał na nią z góry i znów zaciągnął się cygarem.

Wahał się przez chwilę i Zuzanna myślała, że odpowie wymijająco. Ale nie.

- Moja matka nie była zbyt... matczyzna - wyjaśnił z wolna. - Szczerze mówiąc, nieraz wspominała, że gdyby nie zmusiły ją do tego okoliczności, nigdy nie urodziłaby dzieci. A ja byłem w jej Syciu wyjątkowo bolesnym cierniem.

Ton głosu świadczył wyraźnie, że stosunki z matką nie układały mu się najlepiej.

Oczywiście posiadanie syna-przestępcy może być dla najlepszej matki nieco trudne. Zuzanna nie miała jednak zamiaru tego mówić, ponieważ ten temat musiał być dla niego bolesny.

- Opowiedz mi o swoim Syciu, zanim... ee... zanim trafiłeś do nas.

- Zanim zostałem skazany, chciałaś powiedzieć? - Uśmiechał się teraz i Zuzanna stwierdziła z ulgą, że wrócił mu humor. - Co byś powiedziała, gdybym ci wyznał, że byłem bogaty jak Krezus i miałem do dyspozycji pół tuzina pięknych posiadłości? A najcięższą pracą, jaką wykonywałem, była gra w karty przez całą noc, patrzenie jak inni ludzie ścigają się na moich koniach i składanie podpisu na czekach?

Zuzanna przyglądała mu się przez chwilę poruszona, ale zdradził go błysk oka.

- Powiedziałabym, że jesteś wielkim kłamcą, o czym zresztą wiedziałam od początku.

Wzruszył ramionami i zaciągnął się niedopałkiem cygara.

- Powiem ci prawdę przy innej okazji. W tej chwili wyruszyliśmy z misją ratowania twojej zbłąkanej siostry.

Raz jeszcze wciągnął dym i odrzucił cygaro. Jarzący się niedopałek zatoczył w mroku krótki łuk, nim został zgnieciony przez but Iana.

Przeszłość wyraźnie nie była najlepszym tematem do rozmowy. Zuzanna wyobrażała sobie otoczenie, w jakim dorastał. Jeśli potrafił w ten sposób mówić o matce, to miał z pewnością ciężkie dzieciństwo. Nagle poczuła współczucie tak silne, że z trudem powstrzymała się, by nie poklepać go pocieszająco po ramieniu. Uśmiechnęła się, myśląc o jego reakcji na taki gest. Byłby z pewnością przerażony. Kimkolwiek był Ian Connelly, na pewno był człowiekiem dumnym.

- To chyba tędy.

Ze słodkiego aromatu, duszniejszego nawet niż parne powietrze, Zuzanna wywnioskowała, że różany ogród musi być blisko. Rozejrzawszy się zobaczyła mroczny gąszcz krzewów, otaczający niewielką altanę z białym dachem. Raczej odruchowo niż

świadomie wsunęła Ianowi rękę pod ramię i skierowała go we właściwą stronę. Gdy zauważyła, co właśnie zrobiła i chciała cofnąć dłoń, pochwycił ją, ułożył na zgięciu łokcia i przytrzymał.

ROZDZIAŁ 29

- Zuzanno - powiedział Ian. - Pytałem cię już raz, ale mi nie odpowiedziałaś.

Czy miałaś kiedyś adoratora?

Spojrzała mu w twarz. Patrzył na nią z lekkim uśmiechem, lecz lśniące srebrem w blasku księżyca oczy były poważne.

- Nie sądzę, by powinno cię to obchodzić - odparła zduszonym głosem, spuszczać głowę.

Stanęli przed wejściem do różanego ogrodu. Z konieczności przysunęła się bliżej, gdy weszli na ścieżkę wysypaną tysiącem rozbitych muszli, które błyszczały w świetle księżyca i chrzęściły pod stopami.

- Wolalabym, żebyś przestał ze mną flirtować. Zaproponowałam ci wolność i nic więcej nie mogę ofiarować.

- Przyjemnie się z tobą flirtuje, a jak powiedziałem, w tej chwili nie zależy mi na wolności. I nadal nie odpowiedziałaś na pytanie.

Wyraźnie nie zamierzał odstąpić od tematu. Zuzanna wahała się przez chwilę. W

końcu uznała, że jej upór może sugerować zakłopotanie. Co było prawdą, częściowo, lecz nigdy by się do tego nie przyznała.

- No dobrze, skoro musisz wiedzieć. Nigdy nie miałam adoratora. Litość dla jego trudnego dzieciństwa zniknęła bez śladu. W jej głosie brzmiała wrogość.

- Więc teraz masz.

- Co? - ściągnęła brwi i odwróciła ku niemu głowę. Uśmiechał się.

- Uznaj mnie za twego adoratora. Rozmawiaj ze mną. Uśmiechaj się. Flirtuj. Pozwól mi zalecać się do ciebie. Zaloty są doświadczeniem, które szkoda tracić.

- Jesteś śmieszny.

Wiedziała, że się z nią droczy, a mimo to przedstawiony przez niego obraz poruszył ją.

Ian Connelly, gdyby mu zależało, potrafiłby swym czarem wywabić z ula pszczoły. I teraz próbował oczarować ją, choć walczyła zawzięcie, aby nie ulec urokowi przystojnej twarzy i diabelsko gładkiego języka.

W centrum ogrodu stała niewielka, okrągła altana, Zuzanna chciała ją wyminąć i wyjść po przeciwnej stronie, gdyś najwyraźniej Mandy tu nie było.

- Z tego, co widziałem, straciłaś większość przyjemności, które sprawiają, że warto być. Czy nigdy nie zrobiłaś czegoś choć odrobinę szalonego? - Mówiąc to ciągnął ją w stronę altany. Zuzanna opierała się.

- Owszem - odparła tak kwaśnym tonem, Œe musiał zrozumieć o co jej chodzi.

- Roześmiał się.

- A poza tym?

- Naprawdę muszę znaleźć Mandy. MoŜe mnie szukać. Ona...

- Do diabła z Mandy - oświadczył stanowczo. - Niech Mandy i ca-ta reszta przez chwilę sama o siebie zadba. Chodź, pobaw się ze mną, Zuzanno. Potrzebujesz zabawy.

- Zajrzyj do mego salonu, powiedział pająk do muchy? - Zuzanna przekręciła cytat.

Roześmiał się znowu.

Coś w tym rodzaju - przyznał ani odrobinę nie zmieszany. Niemal siłą wciągnął ją do wnętrza małej, otwartej budowli. - Szybko się uczysz, prawda, skarbie? Zuzanna wstrzymała oddech. Miała nadzieję, Œe nie słyszał jak głęboko wciąga powietrze.

- Owszem, szybko. I nie jestem twoim skarbem, więc lepiej zachowaj te pochlebstwa dla kogoś bardziej naiwnego.

- Nastroszona kocica?

Stanął przed nią, pochwycił jej dłonie i jedną po drugiej uniósł do ust. Opuścił powieki całując kostki dłoni, i zobaczyła, Œe rzęsy ma długie i czarne jak atrament, jeszcze bardziej czarne niŜ włosy.

- Przestań - powiedziała niepewnie.

WciąŜ stali od siebie o jakieś pół metra. Podobnie jak ona miał na sobie niedzielne ubranie i bardziej wyglądał na dŜentelmena niŜ wszyscy męŜczyźni w balowej sali.

Szpiczasty dach altany zasłaniał ich przed światłem księŜyca, lecz przytłumione lśnienie tak odbijało się od trawy ogrodu, Œe wyraźnie widziała twarz Iana. Uśmiechał się lekko i miała wrażenie, Œe spogląda na nią niemal czule. Serce zabiło jej szybciej i wiedziała, Œe wszystkie z trudem podjęte decyzje za chwilę rozsypią się w pył.

- Posłuchaj. - Ian przechylił głowę, gdy słodkie dźwięki muzyki szeptały im w uszy.

- ...Da-da-da-da-dum...

JakŜe mnie krzywdzisz, miłości moja, tak odpychając surowo... -włączyła się Zuzanna, nie mogąc się powstrzymać przed dodaniem znanych słów do melodii: - ...któŜ

prócz mej pani w sukni zielonej? Cichym lecz melodyjnym głosem śpiewała wzruszającą pieśń. Po chwili dołączył do niej Ian. Dopiero wtedy, gdy spojrzał na nią bez błysku rozbawienia w oczach, zrozumiała jak bardzo na miejscu były te słowa. Przerwała i z zakłopotaniem przygryzła wargę.

Potrząsnął głową, a zaczesane do tyłu i związane kokardą czarne włosy załśniły jak skrzydło szpaka.

- Śpiewasz jak anioł - powiedział. - Mógłbym cię słuchać bez przerwy.

Śpiewaj dalej. Proszę.

Zachęcona, nabrała tchu i podchwyciła melodię. Zanim zdała sobie sprawę jak do tego doszło, przycisnął ją do piersi, jedną ręką chwycił dłoń, a drugą zakręcił we wdzięcznym piruecie. Potem znów przyciągnął ją bliżej i wykonał kilka tanecznych kroków, które powtórzyła z rozmarzeniem. Wreszcie skłonił się dwornie. Odpowiedziała instynktownym dygnięciem. Dopiero wtedy, gdy pieśń się skończyła i czar prysł, Zuzanna zdała sobie sprawę, co robią i wyrwała się.

- Tańczyliśmy - powiedziała groźnie, jakby oskarżając go o najbardziej występne czyny.

I to bardzo elegancko. - Uśmiechnął się, a widząc wyraz jej twarzy, dodał: -Dlaczego nie możemy tańczyć? Kiedy tylko zauważyłem, jak bardzo kochasz muzykę, wiedziałem, że mogłabyś być znakomitą tancerką. Śpiewasz, grasz i zatracasz się w tym. Widzę to nawet spod samych drzwi kościoła. Taniec jest po prostu innym sposobem wyrażania zachwytu nad muzyką. Słowa brzmiały tak logicznie, że Zuzanna niemal dała się przekonać. Groźnie zmarszczyła brwi.

- Tym swoim językiem, Ianie Connelly, mógłbyś wyprosić rogi od samego diabła!

Roześmiał się i chwycił ją za rękę w chwili, gdy chciała się odwrócić i odejść.

- Chciałbym, by to była prawda. Jeśli tak, przekonałbym cię, byś choćby na chwilę zapomniała o swoich wyobrażeniach, co jest właściwe, a co nie.

Gdybyś mi pozwoliła, nauczyłbym cię, jak dalece możesz stać się częścią muzyki.

Słyszysz tę melodię?

Niemal mimowolnie Zuzanna nadstawiła ucha. Melodia była delikatna i jakby rozmarzona. Zuzanna przymknęła oczy.

- To walc. - Ian zaczął nucić.

Głęboki i nieco szorstki głos budził w niej jakieś ukryte drżenia. Kiedy zaczął się kołysać w rytm kadencji skrzypiec, pozwoliła, by przyciągnął ją do siebie. I nagle tuląc do piersi, jedną ręką objął ją w pasie, drugą trzymał jej dłoń w mocnym, ciepłym uścisku.

- Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy-cztery - liczył, a Zuzanna niepewnie próbowała naśladować kroki.

Nie było to łatwe, gdy rozpraszała bliskość jego ciała. Pierś miał twardą niczym deska, a uda mocne jak stalowe sprężyny. Czowała zapach jakby piśma, bijące od niego ciepło, widziała ciemną szczecinę, która wyrosła od porannego golenia. Pragnęła dotknąć jej, wyczuć szorstkość pod palcami...

Ta myśl wstrząsnęła nią tak głęboko, że potknęła się i nadepnęła mu na palce.

Przeraziła się, lecz Ian parsknął śmiechem i nie pozwolił, by się zatrzymała. Chwycił ją tylko mocniej i przyspieszył kroku, a ona wirowała po altanie w takim tempie, że wkrótce nie mogła złapać tchu.

Gdy muzyka ucichła, ze śmiechem oparła się o Iana. Włosy rozsypały jej się na plecach. On tak się śmiał, oczy błyszczały mu radością. Wtedy, kiedy patrzyła na jego twarz, zapominając jak jest diabelnie przystojny, a tylko z czystej radości przebywania z nim, jasno i wyraźnie zrozumiała, że go kocha.

Nie, że jest zakochana, choć to tak. Lecz kocha mężczyznę, którym był, niezależnie od jego wyglądu pośrodku niewieścich serc.

Uświadomiła to sobie i jej serce o mało nie rozpadło się na miliony małych kawałków.

Wiedziała, że ta miłość, tak nieoczekiwana i nieproszona, zrani ją mocno, może śmiertelnie.

Ale teraz nic już nie mogła zrobić, by tego uniknąć. Uczucie wsysało ją coraz głębiej, niczym ruchome piaski, i Zuzanna straciła nadzieję, że zdoła wyrwać się na wolność.

Jak może odsunąć się od mężczyzny, który znaczył dla niej więcej niż powietrze, którym oddychała?

Część tych emocji musiała odbić się na jej twarzy, ponieważ przestał się śmiać i spojrzał z uwagą.

- Co się stało?

Puść mnie - powiedziała, próbując się wyrwać. Musiała się odsunąć od niego choćby na chwilę, by przemyśleć wstrząsającą prawdę. W tej chwili pozostało jej tak niewiele rozsądku, że gdyby Ian odkrył co czuje, znalazłaby się na jego łasce.

Ale Ian nie chciał jej puścić. Chwycił ją mocno za ręce i przytulił do piersi.

- Jak mnie krzywdzisz, miłości moja... - zaczął cicho, trzymając ją w niewoli swym wzrokiem.

Przestań! Słowa pieśni raniły ją. Znow spróbowała się wyrwać. Lecz objął ją w pasie i nie wypuszczał. Ręce miała wolne, choć przyciśnięte do jego piersi. Mogłaby go uderzyć i uciec, ale na samą myśl o tym robiło jej się słabo. Tak naprawdę chciała tylko objąć go za szyję...

Zacisnęła palce. Spojrzał na te wymownie zacisnięte pięści i znieruchomiał na moment. Przycisnął ją mocniej, a między ich ciałami nie dałoby się przeciągnąć nawet nitki.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Szare głębie były teraz czarne jak najciemniejsza otchłań.

- Pocałuj mnie, Zuzanno.

To był uwodzicielski pomruk, gorący i głęboki, pełen pośladania. Pochylił głowę, kusząco blisko

przysuwając wargi. Na jego twarzy odbijało się piekło i niebo. Oszołomiona bliskością, nie potrafiła odgadnąć, czy jest demonem, czy zbawcą.

- Nie... nie mogę - powiedziała z udręką.

- AleŜ tak, moŜesz. Całe Ŝycie minęło ci bezpiecznie. Zaryzykuj. Zaryzykuj ze mną.

- Ian...

- Pocałuj mnie.

- Nie mogę tego zrobić. Ja...

- Pocałuj mnie.

- ... wiem, Ŝe to grzech i...

Pocałuj. Oczy błysnęły mu nagle. Z gorąca zaschło jej w ustach. Pragnęła, tęskniła, by stanąć na palce i przycisnąć wargi do jego ust... Nie mogąc dłuŜej się powstrzymać, zrobiła to.

Z początku trzymał usta zamknięte, a ona przyciskała wargi w błagalnej gorączce.

Teraz, gdy nadgryzła zakazany owoc, czuła się jak kobieta opętana. Pragnęła go. PoŜadała.

DrŜącymi rękami przesuwała po jego szerokich ramionach, pokrytych szorstkim wełnianym frakiem. Serce biło jej mocno, wargi drŜały, a wrząca ciecz zaczęła krąŜyć w Ŝyłach.

- Och, Ian. - To był urywany, cichy okrzyk.

- O BoŜe. Uwielbiam, kiedy tak mówisz - szepnął w jej usta.

Mocniej zacisnął ramiona, aŜ z trudem mogła pochwycić oddech, wygiął ją w tył i pocałował z palącą Ŝądzą, która zmieniła mózg w miazgę, ciało w galaretę, a moralność w pył.

Zuzanna przylgnęła do niego i całowała równie gorączkowo. Nie opierała się, gdy połoŜył ją na drewnianej podłodze i podciągnął spódnice.

Ulotne dźwięki, brzęczenie moskita, zapach róŜ i gęste, gorące powietrze przywróciły jej zmysły nie później niŜ po kilku minutach, choć zdawało się, Ŝe minęła cała wieczność.

Otworzyła oczy i spojrzała na szpiczasty dach altany Haskinsów. Po lewej stronie, przez aŜurowe ściany budowli, widziała gwiazdziste nocne niebo. Słyszała natarczywe nuty skrzypiec.

Rzeczywistość uderzyła ją niczym strumień zimnej wody. LeŜała na twardej, drewnianej podłodze, a spódnica najlepszej niedzielnej sukni owijała jej talię.

Lada chwila ktoś mógł tu wejść.

- Ian! - Trąciła go w ramię.

Odwrocił głowę i pocałował ją w okolice lewego ucha.

- Ian, pozwól mi wstać! - Pchnęła go mocniej.

- Wyraźnie nie jesteś kobietą, która lubi rozkoszować się chwilą słabości -burknął, ale posłusznie stoczył się na bok.

Zuzanna powstała, nie dziwiąc się, że drżała jej kolana. Obciągnęła spódnicę i poprawiła chustę na ramionach, Ian leżał na wznak z rękami pod głową i obserwował ją. Wyglądał tak nieprzyzwoicie, że aż się zarumieniła.

- Wstawaj! Ktoś może przyjść! - szepnęła nerwowo.

Beznadziejnie splątane włosy spływały na plecy, a suknia była pognieciona. Miała wrazenie, że szorstki zarost obtarł jej skórę na twarzy. Przyłgął do niej zapach podobny do piśma, aromat, który zapamiętała z pierwszych doświadczeń z Ianem.

Teraz jednak wiedziała co to jest: zapach cielesnej miłości.

ROZDZIAŁ 30

- Przestań, Zuzanno. Wszystko psujesz. Pozwól - westchnął z rezygnacją Ian, obserwując jej wysiłki, zmierzające do przywrócenia włosom choćby pozorów ładu.

Bez szczotki i grzebienia ujarzmienie falującej masy było prawie niemożliwe. Zwinęła włosy dwukrotnie, lecz choć głęboko wbijała szpilki w środek grubego węzła, te wyskakiwały zaraz, a sploty rozsypywały się na nowo.

- Więc pośpiesz się!

Na samą myśl, że ktoś mógłby ich tu odkryć, Zuzanna czuła skurcz w żołądku. Mandy może jej szukać. Zresztą każdemu wolno odwiedzić różany ogród. A wtedy jeszcze przed świtem całe Beaufort dowie się o skandalu.

- Nie ma powodu do paniki. - Ian ujął dłońmi jej twarz. Czuła ciepło jego rąk, szorstkie czubki palców muskały policzki.

Musiała walczyć z pragnieniem zamknięcia oczu. Zgrzeszyła czy nie, nie sądziła tego, co zrobili. Kochała go.

- Gdyby ktoś tu przyszedł...

Gdyby ktoś wszedł w tej chwili, zobaczyłby tylko kobietę, której rozsypały się włosy.

Ja jestem ubrany, ty jesteś ubrana i ślad szkarłatna litera nie płonie ci na piersi. Twój grzeszny

sekret jest bezpieczny. Takie określenie brzmiało jeszcze gorzej niż wcześniej mogła sądzić. Czy tym właśnie był? Jej grzesznym sekretem? Zuzanna jęknęła ze wstydu i przerażenia.

- A co teraz? - Lekko załamany, Ian pocałował ją szybko i mocno w usta i odwrócił.

Zuzanna stała nieruchomo, gdy jak grzebieniem przesunął palcami i przeczesał dziką gęstwą kasztanowych włosów.

- To, co zrobiliśmy było grzechem i wiedziałam, że to grzech...

- Zuzanno... Ale mówiła dalej, nie zwracając na niego uwagi.

...a... a jednak to zrobiłam! Palce przestały się poruszać i przez chwilę stał za nią nieruchomo. Puścił jej włosy, chwycił za ramiona i delikatnie odwrócił.

- Grzech, tak jak piękno, tkwi w oku patrzącego - powiedział. Zuzanna pokręciła głową.

- Grzech... to grzech - oświadczyła zduszonym głosem, Ianowi pociemniały oczy.

- Kochając się z tobą, po raz pierwszy od długiego czasu znalazłem się bardzo blisko nieba. Nie chcę więcej słuchać o grzechu.

- Czy o tym mówimy czy nie, nie zmieni to prawdy.

- Jesteś bardzo upartą kobietą, wiesz o tym? I bardzo piękną.

- Och, Ian! - Roześmiała się drżąc na samej granicy łez. - Choć raz bądź uczciwy i przyznaj, że jestem zupełnie zwyczajna. A właściwie raczej pospolita.

- Jesteś piękna, a ja zawsze jestem szczerzy. Po prostu nie umiesz rozpoznać prawdy, nawet gdy ją usłyszysz.

- Kłamiesz z taką łatwością jak oddychasz. - Oskarżenie zabrzmiało równie zabawnie co rozpaczliwie.

- Oddycham z większą łatwością, możesz mi wierzyć. Twe włosy przywodzą mi na myśl dziką klacz arabską, którą widziałem kiedyś galopującą swobodnie w hiszpańskich górach. Miała sierść barwy ciemnego, lśniącego złota, dokładnie taką jak twoje włosy.

Moje włosy są brązowe. Trudno było zachować poczucie rzeczywistości, gdy tak ją mamił, ale Zuzanna starała się jak mogła. Nic jej nie przyjdzie z wiary w te nedorzeczości.

- A twoje oczy przypominają mi błyszczące słońcem jezioro głęboko ukryte w zagajniku.

- Są po prostu orzechowe.

- A usta, miękkie i łaskawe jak twoje serce, są barwy zgniecionych malin.

Zgniecionych malin? Zabrzmiało to tak mało romantycznie w porównaniu z poprzednimi poetyckimi obrazami, Œe nie mogła powstrzymać się, by nie okazać zaskoczenia.

Uniósł kącik ust, a w oczach płonął ogień rozbawienia. Był tak kochany, z tym swoim zwykłym, kpiącym uśmieszkiem, Œe musiała odpowiedzieć niemal rozmarzonym spojrzeniem.

- Więc zgniecione płatki róŒ. Coś bardzo soczystego i róŒowego.

- Rozumiem.

- A twoja figura mogłaby zawstydzić Wenus z Milo. Jak moŒesz twierdzić, Œe nie jesteś piękna.

- Co? - Zuzanna zmarszczyła brwi i dokończyła po krótkiej chwili - Kto to jest Wenus z Milo?

Przez chwilę patrzył na nią zdumiony. Potem roześmiał się i przytulił mocno. Zuzanna oparła głowę o jego pierś, lekko uraŒona, Œe jest przyczyną rozbawienia.

- Wenus z Milo, mój skarbie - szepnął jej w ucho - to jeden z najszynniejszych klasycznych posągów na świecie. Ale rozumiem czemu twój ojciec, gdy cię kształcił, ukrył

wiedzę na ten temat.

- Dlaczego? Jest w tym coś złego? - Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie ma w tym nic złego. Jest bardzo piękna. Jest takŒe bardzo, h mm, zmysłowa i niemal całkiem naga. W staroŒytnym Rzymie uznawano ją za boginię piękna i miłości.

- Och. - Pojmując wszelkie implikacje, Zuzanna poczuła, Œe na policzki wypływa jej rumieniec.

- Więc kiedy ci mówię, Œe jesteś piękna, powinnaś mi wierzyć. Czy to jasne?

- Ale...

- Powiedz: tak, Ianie - rozkazał. Poddała się.

- Tak, Ianie - wymruczała posłusznie. W nagrodę pocałował ją. Kiedy uniósł głowę, splotła ramiona na jego szyi.

- Smakujesz teŒ cudownie. - Całował ją lekko po twarzy, a ona zamknęła oczy i przytuliła się mocniej. - I pięknie pachniesz, tak świeŒo i czy to, zawsze z delikatnym aromatem cytryny. Dlaczego cytryny? Otworzyła oczy.

Płuczę włosy sokiem z cytryny. Polewała je sokiem prawie przy kaŒdym myciu, w głupiej, skrywanej nadziei, Œe moŒe to doda im odrobinę koloru. Jednak chyba nie mogły być takie bezbarwne jak sądziła, skoro opisał je jako ciemnozłote. Ale oczywiście posiadał język z rodzaju tych, co doprowadził do wygnania z raju Adama i Ewy.

- Panna Zuzanna skrywa drobną próśność! Trudno w to uwierzyć! Więc jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

Kolejny pocałunek w usta trwał dłużej. Czowała jak opuszczają rozsądek. Niczego więcej nie chciała od Sycia, byle tylko na zawsze mogła pozostać tu, gdzie była teraz. W jego ramionach. To oznaczało, że musiała oszaleć.

- Zuzanno! Zuzanno, jesteś tam? Odskokczyła od Iana jak oparzona.

- Mandy! - szepnęła gorączkowo, sięgając dłońmi do włosów.

- Zuzanno! Chrząst muszelek dowodził, że Mandy wchodzi do różanego ogrodu.

Zuzanna, zadowolona, że stoi w ocienionej altanie, nie śmiała się nawet obejrzeć, by siostra nie spostrzegła ruchu i nie znalazła jej w takim stanie. Na szczęście z trzech stron przesłaniały altanę drewniane, aksamitne i pokryte różami ściany.

- Nie ruszaj się. Ja to zrobię.

Stał za nią, oburącz złapał włosy i zgrabnie skrzył. Potem ułożył w elegancką ósemkę i zabezpieczył dokładnie czterema szpilkami. Zwykle potrzebowała ich trzy razy więcej.

- Jak to zrobiłeś?

- Praktyka. - Wręczył jej pozostałe szpilki.

- Nie wątpię! Wsunęła je do kieszeni.

Mandy... Panno Mandy, proszę pozwolić mi wyjaśnić! Kocham panią... Głos należał do Hiram Greera, a odgłos kroków świadczył, że podąża za Mandy.

- Proszę odejść! Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób! Zuzanno!

- Co do licha... - Zuzanna spojrzała na siebie. - Mogę się pokazać? Muszę wyjść do Mandy.

- Panno Mandy, to nie przez brak szacunku. Proszę mi wierzyć...

- Jeśli nie przestanie pan za mną chodzić, zacznę krzyczeć! Zuzanno! - Mandy wołała coraz bardziej piskliwie.

- Wyglądasz znakomicie. Od stóp do głów jak pedantyczna i zasadnicza córka pastora. Coś w głosie Iana sprawiło, że zmarszczyła brwi. Spojrzała mu w oczy.

- Ian...

Zuzanno! - To już był krzyk. - Och! Jak pan śmie! Proszę mnie nie dotykać! Rozległ

się odgłos szamotaniny, ostry trzask, który mógł wywołać pękający materiał, a potem uderzenie. Zuzanna i Ian wymienili zdziwione spojrzenia.

- Mandy! - krzyknęła Zuzanna, wybiegając w światło księżyca. Mandy, jestem tutaj!

Stojąc u szczytu schodów prowadzących do altany, dostrzegła Mandy o kilka metrów dalej na roziskrzanej ścieżce. Dziewczyna wyrywała się z ramion Hiram Greera.

- Mandy! Panie Greer, proszę ją natychmiast puścić!

- Zuzanna! O, dzięki Bogu! - Mandy rozejrzała się i umknęła z uchwytu Greera.

- Panno Zuzanno! Och... - Greer zaciął się, gdy Zuzanna podeszła do siostry. - To nie jest tak, jak można by sądzić. Och...

Powiedzieli, że wyszłaś do ogrodu, a kiedy poszłam cię szukać, uparł się, że będzie mi towarzyszył. Chodzi za mną przez całą noc, chociaż wcale go nie prosiłam. I... i powiedział, że jestem trzpiotką i... chwycił mnie! - zaszlochała i przytuliła się do Zuzanny. Ku jej zdumieniu po policzkach Mandy płynęły prawdziwe łzy. Góra zielonej sukni była rozerwana tak, że ukazywał się biały batyst koszuli.

- Panie Greer - powiedziała straszonym głosem, obejmując łkającą siostrę. - Co pan zrobił?

Greer był zawstydzony. Trzeba przyznać, że nie próbował uciekać, a nawet zbliżył się niepewnie.

- Zachowywała się zbyt swobodnie z jednym z tych chłopców. Chciałem jej to powiedzieć, ale odeszła. Nie mogłem pozwolić, żeby wychodziła sama na zewnątrz, prawda?

Mogły jej się przytrafić różne rzeczy.

- Nie pozwól, żeby się do mnie zbliżył! - szlochała Mandy.

To nie brak szacunku - powiedział, a Zuzanna uświadomiła sobie, że lekko sepleni.

Gdy podszedł bliżej, jego wygląd i zapach alkoholu zdradziły, że nie odmawiał sobie napitków. Nagle Zuzanna pojęła, dlaczego przyjęcie stało się takie hałaśliwe tuż przed jej wyjściem: Haskinsowie podawali gościom mocne alkohole.

- Chyba trochę mnie poniosło.

- Chyba tak! - rzuciła zimno Zuzanna. Mandy odwróciła się i spojrzała wrogo na Greera.

- On... on mnie pocałował i... i obłapiał, i rozerwał moją śliczną sukienkę. Och Zuzanno, czy możemy wracać do domu?

- Oczywiście. Panie Greer...

- Ja się tym zajmę, Zuzanno - odezwał się z tyłu spokojny głos. Dopiero wtedy Zuzanna zauważyła

Iana, który zbliżył się bezszelestnie i stanął za jej plecami.

- Och, Ianie, co ty sobie o mnie pomyślisz! - Mandy zalała się łzami i wtuliła twarz w ramię Zuzanny.

- Już ci mówiłem, kiedy mnie pocałowałaś: myślę, że jesteś bardzo młoda i nieświadoma niebezpieczeństw czyhających na niewinne dziewczęta ze strony mężczyzn. -

Ian mówił cicho i Zuzanna była pewna, że głos nie dociera do Hiram Greera. - Nadal tak uważam.

- Tak mi wstyd - szepnęła Mandy.

- Nie masz powodów, by się wstydić, dziecinko.

Zuzanna zaskoczona odkryciem prawdy o pocałunku, a po wypadkach dzisiejszej nocy przytłoczona poczuciem winy, poklepała Mandy po plecach. Jeśli ktokolwiek zrobił coś, czego powinien się wstydić, to ona, nie siostra. Tak jak powiedział Ian, jedyną winą Mandy była jej młodość.

- On nie... nie skrzywdził cię? - zapytał Ian bardzo delikatnie.

- Nie, właściwie nie. Ale... - Mandy zaszlochała znowu.

Ma pan szczęście - powiedział Ian głośniej, zwracając się do Greera. - Ponieważ gdyby zrobił pan coś więcej poza rozdarcie sukni, zabiłbym pana. Jest pan dorosłym mężczyzną i wie pan równie dobrze jak ja, że mimo tych wszystkich flirtów to tylko naiwna, mała dziewczynka. Zajęta pocieszaniem zapłakanej siostry Zuzanna prawie nie zauważyła gdy Ian je wyminął. To, co zdarzyło się potem, nastąpiło tak szybko, że było po wszystkim, zanim zrozumiała, co zamierza: z obrzydliwym stukiem trafił pięścią w szczękę Greera. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i runął na nieszczęsny różany krzak.

- Mam nadzieję, że złamałeś mu szczękę - stwierdziła z pasją Mandy, oglądając się na ten odgłos. Ian pokręcił głową i rozprostował palce.

Nie - powiedział z śalem. - Nie uderzyłem dość mocno. Będzie miał siniak i nic więcej. Powrót do domu przebiegał właściwie w milczeniu, choć od czasu do czasu Mandy wygłaszała płomienną krytykę charakterów wszystkich mężczyzn ze szczególnym uwzględnieniem Hiram Greera. Przed domem Ian pomógł im wysiąść. Mandy, przyciskając do piersi rozerwaną suknię, ruszyła biegiem, gdy tylko dotknęła stopami ziemi.

- Przepraszam cię za to, co myślałam o tobie i Mandy. Powinnam wiedzieć - szepnęła Zuzanna, gdy dłonie Iana zatrzymały się na jej talii.

Ukryty w cieniu powozu, na chwilę przycisnął ją do siebie.

- Tak, powinnaś - szepnął, całując ją lekko w usta. - Mówiłem przecie, że nie interesują mnie twoje siostry. Może choć raz spróbowałaś mi uwierzyć.

- Ja... - zaczęła Zuzanna, lecz Mandy przerwała jej, wołając z we-1 indy.

- Zuzanno, idziesz? Jest mi niedobrze! Muszę iść. Wyrwała się, lecz chwycił ją za rękę.

Pewnego dnia złapię cię samą, z dala od twojej okropnej rodziny i wtedy nie będziesz miała pretekstu, by się mnie pozbyć.

Trzymał ją za rękę i uśmiechał się kwaśno, a spojrzenie szarych oczu wyczyniało dziwne rzeczy z jej sercem.

- Ianie, ja...

Niewiele brakowało. Prawie wyznała, Œe go kocha. Ale Mandy niecierpliwie tupnęła nogą.

- Zuzanno!

- JuŜ idę - odparła z roztagnieniem. A potem szepnęła nieśmiało: - Jutro.

Porozmawiamy jutro.

- Tak - powiedział. - Porozmawiamy.

Nie spuszczał z niej wzroku, gdy okrąŜała powóz. Kiedy weszła na ganek i objęła siostrę, usłyszała turkot kół, dzwonięcie uprzęŜy i powozik odjechał.

ROZDZIAŁ 31

Po raz pierwszy w Ŝyciu Ian podejrzewał, Ŝe jest zakochany. Ta myśl wywołała mieszane uczucie rozbawienia i niesmaku. LeŜał z rękami pod głową na tym potwornie niewygodnym łóŜku w maleńkiej chacie, która teraz - choć trudno w to uwierzyć - była jego domem. Nie mógł zasnąć. Swatki - mamusie od lat podstawiały mu swoje córki. Był

protektorem prawie dwudziestu aktorek i tancerek z opery, nie na raz oczywiście, lecz w ciągu dziesięciu lat, jakie minęły odkąd osiągnął pełnoletność. Jego ostatnia metresa, Serena, była kobietą tak piękną, jak tylko można sobie wymarzyć: o lśniącym czarnych włosach, skrzących się ciemnych oczach, skórze koloru miodu i figurze niemal równie doskonałej jak Zuzanny. Serena odpowiadała mu znakomicie i nawet ją polubił przez sześć miesięcy znajomości. Ale nigdy nie poruszyła jego serca choćby w przybliŜeniu tak mocno, jak panna Zuzanna Redmon.

Z rozbawieniem myślał o niej w ten sposób, przywołując w pamięci obraz dnia, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Sztywna, pospolita, władcza, zaniedbana stara panna z Kolonii, nawykła do wydawania rozkazów, była osobą spoza jego sfery. I pozostała taka, choć teraz wiedział, Ŝe ta pedantyczna stara panna to tylko fasada, kryjąca pełną Ŝaru i uczuć kobietę o duszy tak pięknej jak twarz Sereny. sły juŜ dość długo, by pojąć, Ŝe w przeciwieństwie do twarzy dusza pozostawała piękna na zawsze. Jeśli męŜczyzna planował stały związek, w kobiecie liczyła się tylko dusza.

Nie znaczy to, Ŝe Zuzanna nie była piękna fizycznie. Była. Kiedy miał ją nagą i spragnioną, o zaróŜowionej skórze, miękkich ustach i oczach zamglonych poŜądaniem, kiedy jej włosy spływały wokół twarzy jak falista lwia grzywa, widok ciała z dojrzałymi piersiami i biodrami z wąską talią zapierał dech. Bez tej ponurej sukni stała się inną istotą. Właściwie nauczona - a miał szczerzy zamiar ją wyedukować - byłaby w łóŜku najwspanialszą partnerką.

Nawet teraz dzika i gorąca, gdy juŜ stłumi w niej te dziwne idee moralności i grzechu, będzie równie mocno jak on spragniona miłości.

WyobraŜał sobie, Ŝe takiej kobiecie potrafiłby dochować wierności. Zresztą, gdyby co noc dzielił z nią łóŜko, pewnie brakłoby mu sił, jeśli nawet nie woli, na uboczne romanse.

CzyŜby myślał o małŜeństwie? Był zaskoczony, Ŝe rozwaŜa taki pomysł. AleŜ jakie inne wyjście pozostało mu wobec takiej kobiety jak Zuzanna? RóŜniła się od dam do jakich przywykł, lecz niewątpliwie była damą. W pewien sposób, jedyny, który miał znaczenie, była większą damą niŜ te, które nadawały ton towarzystwu.

Nie mogłaby pozostać jego kochanką. Choć kochał się z nią dwukrotnie i to gorąco, jakaś subtelność umysłu, której u siebie nawet nie podejrzewał, cofała się na samą myśl, że mógłby ją postawić w takiej sytuacji. Ale jeśli z nią spał, to musiał ją zaliczyć do jednej z dwóch kategorii: kochanki albo Sony.

Panna Zuzanna Redmon nigdy nie byłaby szczęśliwa jako kochanka. Teraz, gdy oddała mu siebie, na pewno zechce go przekonać, żeby się z nią oświadczył.

Obiecała, że porozmawiają jutro. Czy zechce się oświadczyć? Przy jej władczym charakterze było to prawdopodobne. Zastanawiał się jak do tego przystąpi. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie różne scenariusze.

Zachichotał głośno, gdy pomyślał jak zareaguje na wiadomość, że naprawdę jest markizem.

Zajęty własnymi myślami nie usłyszał jak otwierają się drzwi i nie dostrzegł

mężczyzny, który przemknął przez pokój - do chwili, gdy bez najmniejszego ostrzeżenia wielki, mroczny cień pochylił się nad łóżkiem.

Najpierw pomyślał, że to ten drań Likens chce zemścić się na nim zamiast na Zuzannie. To by Ianowi odpowiadało. Potem przyszło mu do głowy, że Greer, ten dureń, wciąż oszołomiony alkoholem, podążał za nim do domu w nadziei, że odplaci za cios w szczękę.

Błyskawicznie rozważał rozmaite możliwości, a mięśnie napięły się do ataku.

Jedynym nieprzyjacielem, o jakim nie pomyślał, był właśnie ten, którym w sekundę później okazał się napastnik.

- Pora ci umierać, Derne - warknęła zjawa i błysnął nóż, opadając ku piersi Iana. Choć było to prawie niemożliwe, wrogowie znowu go odnaleźli.

ROZDZIAŁ 32

Wczesnym rankiem Zuzanna, formując ciasto w bochenki, śpiewała. Przez całą noc melodia rozbrzmiewała w jej snach i nawet teraz nie potrafiła o niej zapomnieć. Niemal widziała twarz Iana tak blisko przy swojej, jak wtedy, gdy śpiewała dla niego w altanie.

Widziała delikatny blask szarych oczu i kpiący uśmiech pięknych ust. - Jakże mnie krzywdzisz, miłości moja, tak odpychając surowo...

Nie przejmując się nawet szczególnie tym, czy ktoś jej nie widzi, idąc do piekarnika wykonała jeden i drugi piruet, Ian mówił, że zarówno grzech jak i piękno tkwi w oku patrzącego. Może taniec nie jest aż tak wielkim grzechem i może naprawdę uznał ją za piękną.

Wyjdzie za niego za rękę. Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Zaryzykuje, tak jak ją do tego namawiał. Zrobi coś śmiałego, niebezpiecznego i zapewne głupiego. Chwyci Sycie w ręce, dopóki jeszcze ma szanse. Poprosi Iana, by uczynił ją swoją Słoną.

Naturalnie wybuchnie skandal. Sąsiedzi będą plotkować, a kilku największych zarozumiałców pośród kongregacji zacznie spoglądać na nią z góry. Ale w ciągu tej nocy Zuzanna odkryła, że wcale się tym nie przejmuje.

Pragnęła Iana i postanowiła go zdobyć. Bierzcie, czego zapragniecie, powiedział Bóg.

Bierzcie i płacicie za to. I tym razem chciała zostać żoną Iana i godziła się na pełną cenę.

Jakieś piękne będą mieli dzieci, marzyła, nalewając wody do kociołka. Silne, ciemnowłose dzieci o doskonałych rysach i szarych oczach. A może okażą się podobne do niej. Oczywiście i tak będzie je kochać, miała jednak nadzieję, że otrzymają urodę Iana. To będzie dziwne uczucie zostać matką tak wspaniałego potomstwa.

Może dziecko już zaczęło w niej rosnąć. Tym razem myśl raczej ją podekscytowała niż wprowadziła w przerażenie. Jak cudownie byłoby mieć własne dziecko - jej i Iana - by je kochać!

Papa nie sprzeciwi się jej, gdy mu powie, że kocha tego mężczyznę i pragnie wyjść za niego. Nie sądziła nawet, by był zmartwiony, choć tego nie była całkiem pewna. W końcu Ian to sługa i skazaniec. Ale papa nigdy nie próbował powstrzymać jej przed czymś, na co się zdecydowała i nie zechce - nie potrafi - powstrzymać jej teraz. Miała nadzieję, że nie będzie próbował. Lubił Iana i wiedziała, że przede wszystkim troszczy się o jej szczęście.

A Ian uczynił ją szczęśliwą.

szczęście. Zuzanna uświadomiła sobie, że nawet nie pamiętała, jakie to uczucie. Od czasów sprzed śmierci matki, gdy leżała rano w łóżku i budził ją zapach śniadania i piosenka krzątającej się po kuchni pastorałowej, jeszcze nigdy życie nie wydawało się tak pełne możliwości. Zbyt długo jej świat był pozbawiony radości. Robiła, co należało, przeżywała każdy dzień, podjęła upuszczony przez matkę sztandar. Oddawała wszystko tym, których kochała. Ale nie była szczęśliwa.

Nie była też zrezygnowana. Czasem zadowolona. Z pewnością gotowa zaspokoić się tą połówką bochenka, którą otrzymała od losu. Nie mając własnych dzieci, wychować siostry.

Raczej dbać o dom ojca, niż założyć własny. Patrzeć jak jedna po drugiej siostry odnajdują miłość, wychodzą za mąż, rodzą dzieci. I w końcu zostać odstawiona na półkę, samotna.

Ale Ian zmienił wszystko. Wpadł w jej życie jak armatni pocisk i od tej pory już nic nie pozostało takie samo jak było. Nawet ona nie. Woląca tę nierozsądną, szaloną, a nawet grzeszną kobietę, którą się stała przy Ianie, od zasuszonej starej panny, jaką była wcześniej.

Może nawet pozwoli, by nauczył ją tańczyć.

Na tę myśl Zuzanna zachichotała. I wciąż śmiała się jak mała dziewczynka, gdy do kuchni wszedł Ben. Przygryzła wargi, by się uspokoić i spojrzała na niego z poczuciem winy.

Dostrzegła, że nie przyniósł drewna na ogień. Ręce miał puste, nerwowo zaciskał i prostował

palce. Coś się stało - powiedział zanim zdążyła o cokolwiek zapytać.

Szczupła twarz chłopca przybrała wyraz, którego Zuzanna jeszcze nigdy u niego nie widziała.

- Co takiego? - spytała, przerywając odmierzanie melasy. Lodowaty lęk wypełnił jej serce, choć nie wiedziała dlaczego. To było tylko przeczucie, złe przeczucie...

- Nigdzie nie widać Connelly'ego, a jego chata wygląda tak, jakby przeleciał przez nią huragan. Myślę, że odszedł, albo go porwali, albo co...

Co? Zuzanna patrzyła na niego przez jedno uderzenie serca, a lodowaty lęk z wolna ogarniał całe ciało. Nazbyt ostro odłożyła melasę i przeszła do tylnych drzwi. Dopiero wtedy uniosła spódnicę i ruszyła biegiem.

W chacie rzeczywiście panował chaos. Drzwi wisiały na jednym zawiasie, łóżko było przewrócone, a materac rzucony na drugą stronę izby i rozerwany tak, że wszystko pokrywały kukurydziane łuski. Reszta mebli wyglądała, jakby zaatakował je szaleniec albo ktoś ogarnięty furją. Dzbanek i misa z umywalki leżały rozbite na podłodze. Pękło nawet wiszące na ścianie lustro.

Iana nie było. Ani w stajni, ani na polu, gdzie Zuzanna próbowała go szukać. Zanim biegiem wróciła do chaty, zebrali się już wszyscy domownicy.

- Coś się stało Ianowi! - oznajmiła, a narastająca panika wyostrzyła jej głos.

- Daj spokój Zuzanno, przecie nie możesz tego wiedzieć - odparła Sara Jane.

- Może pan Greer coś mu zrobił. - Mandy była przestraszona.

- Albo Jed Likens - dodała Em.

- Craddock nie wrócił. - Ben rozejrzał się nerwowo. - Nie ma go od bardzo dawna.

Może to, co go dopadło, dostało też Connelly'ego.

- Ben! Zamknij buzię! - rzuciła gniewnie Sara Jane.

- Musimy go szukać. - Zuzanna starała się zachować spokój. Dla dobra Iana próbowała zachować spokój, i rozsądnie myśleć.

Było jasne, że w chacie toczyła się walka. Może na śmierć i życie. Ale z kim? I kto wygrał? Jeśli Ian zwyciężył, to gdzie jest? Drżała mimo dusznego upału.

- Nie wiesz przecie, córko, czy stało mu się coś złego. Może trafił tu niedźwiedź, albo stado szopów.

Wielebny Redmon przestał studiować wewnątrz chaty, spojrzawszy na pobladłą twarz córki i objął ją mocno. Wyraz twarzy jasno dowodził, że niezbyt wierzy we własne słowa. W jego spojrzeniu było

jeszcze coś. Właśnie zrozumiał, co czuła do Iana. Jednak nie oskarżał jej, a jego dotyk był ciepły i pocieszający.

- Wiem. Czuję to - oświadczyła Zuzanna.

To była prawda. Gdzieś w głębi zaczynała już wyczuwać ostry ból straty.

Pamiętała go z tamtego dnia, kiedy zmarła matka. Tylko że teraz był tysiąc razy gorszy.

Odsunęła się od ojca. Bałagan w chacie przyprawiał ją o drżenie, a jednak nie potrafiła wyjść. Coś tu było, coś, co przeoczyła... Wolno szła przez izbę, dotykając po kolei przedmiotów: przewróconego krzesła, stojącego na boku łóżka, wysypanych z materaca kukurydzianych łusek, potem samego materaca. I wtedy uświadomiła sobie, co ją niepokoi.

Materac nie był rozerwany. Został przecięty jakby nożem. Duża, ciemnobrązowa plama tworzyła nierówny krąg wokół rozcięcia.

Bojąc się odetchnąć, Zuzanna pochyliła się i dotknęła plamy. Była lekko wilgotna.

- Krew - szepnęła, patrząc na palce, a groza chwytła ją za gardło, niemal tłumiąc dalsze słowa. - Dobry Boże, to krew!

- Zuzanno, córko, chodźmy stąd. Ojciec stanął za nią.

- To krew, papo! Krew Iana.

Domyśliła się, była tego pewna, choć nie potrafiłaby wyjaśnić skąd. Wciąż wpatrzona w zabrudzone palce, pozwoliła odprowadzić się do drzwi.

- Bądź dzielna, dziecko. Bóg nie zsyła nam cięsarów, których nie potrafimy unieść.

Jeśli istotnie coś złego spotkało Con... ee, Iana, musisz pamiętać, że taka była Jego wola.

- Do diabła z nią! Słyszac ten krzyk, ojciec zdjął rękę z jej ramienia.

Zuzanno Redmon, doprawdy wstyd mi za ciebie! - rzucił ostro, a jego łagodne oczy nabrały niezwykłej surowości. Nie mógł znieść bluźnierstwa, Jeszcze nigdy w Syciu ojciec nie przemówił do niej tym tonem ani nie patrzył w ten sposób. Zuzanna przeżyła jednak szok zbyt wielki, by się tym przejąć. Mogła tylko patrzeć na swoje palce i mimo bluźnierstwa modlić się, gdyż modlitwa była dla niej jedynym źródłem, z którego przez całe Sycie czerpała pocieszenie w trudnych chwilach. Proszę Cię, Boże, pozwól, by Ianowi nic się nie stało. Tym razem zrezygnuję z niego, obiecuję. Nie będę więcej tańczyć. Nigdy więcej nie będę kwestionować nauk kościoła. Tylko pozwól, by nic mu się nie stało. Proszę. Proszę. Proszę.

To wołanie odbijało się gorączkowo w jej umyśle.

Ojciec złagodniał widząc, że córka blednie coraz bardziej. Znow ją objął i wyprowadził na

zewnątrz.

- No juŜ. Wiem, Œe naprawdê tak nie myŒlisz. - UŒcisnł j lekko. -JesteŒ dobr, bogobojn dziewczyn. Czasami serce buntuje siê przeciwko cierpieniom, ktre w tym Œyciu s zwykym losem Œmiertelnych.

- Tak niedawno go znalazam - powiedziaa łamiym siê gosem. - Nie mogê go teraz stracic. Nie mogê, papo!

No juŜ, juŜ-szepnł wielebny Redmon, bezradny wobec jej bolu. Zuzanna zawsze bya silna, wiêc teraz nie wiedział, jak j pocieszac. Ale wtedy, gdy patrzył na jej pochylon gowê, wyprostował siê nagle i jakby uroŒł o kilka centymetrw.

Skinł na Bena, ktory stał niedaleko przy dziewczetach.

- Biegnij do miasta. Powiedz konstablowi, by jak najŒpieszniej sprowadził ludzi na poszukiwania - powiedział cichym, lecz rozkazujym gosem.

Po raz pierwszy od lat Zuzanna syszaa u ojca ten ton. Spojrzaa zaskoczona.

Wydao siê jej nagle, Œe widzi go takim, jakim był dawniej, zanim po Œmierci matki pogrył siê w rozpacz. Zapomniaa juŜ jaki był silny, mimo łagodnoŒci zawsze bedacej nieodlaczn czeŒci jego natury. Gdy bya ma dziewczynk myŒlaa, Œe papa jest wszechmocny. Był najpotêŒniejszym, najodwaŒniejszym, najmdrzejszym czlowiekiem na Œwiecie i podziwiaa go za to. Przez chwilê, jedn chwilê, znw takim go zobaczya.

- A tymczasem corko, wracajmy do domu. Stanie tutaj nie ma sensu.

Zuzanna opara gowê o ramiê ojca i razem wyszli.

ROZDZIA 33

Minêy dwa miesice, ktore Zuzannie wydaway siê piekem na ziemi. Dwa miesice nieustajacej rozpacz, cierpienia tak głbokiego, Œe nie potrafia plakac, zgryzoty tak dojmujacej, Œe miaa wraŒenie, iŒ zlamie siê pod jej ciêŒarem. Musiaa wytêŒac wszystkie siy, odwagê i upor, by po prostu przeŒyc godziny pomiędzy jednym a nastêpnym szarym Œwitem. Gdy nie byo Iana, Œwiat przybrał dla niej tak waŒnie barwê: wszechogarniajacej szaroŒci.

Baa siê, Œe on nie Œyje, cho od czasu do czasu budzia siê w niej nadzieja. Lecz jeŒli nie umarł, to gdzie był? Œe zwyczajnie uciekł, jak sugerował konstabl, nie moga, nie chciaa uwierzyc. Nie zostawiby jej tak bez sowa. Nie po tym wszystkim, co zaszo między nimi.

Bya tego tak pewna jak niczego innego na Œwiecie.

Oficjalnie uznano go za zbiegego wiêźnia. Listy goncze z jego rysopisem zostay wydrukowane i rozesane aŒ po Richmond. Wydano nakaz aresztowania. Nikt go jednak nie widział.

Na pobliskich mokradłach znaleziono ciało i przez chwilę lęk Zuzanny zmienił się w grozę. Zwłoki były częściowo poŝarte przez aligatory, co utrudniało identyfikację. Na myśl, Őe Iana, jej pięknego Iana, mógł spotkać taki los, Zuzannie zrobiło się niedobrze. W końcu odkryto, Őe ciało naleŝy do zaginionego Craddocka. Powszechnie uwaŝano, Őe pijany wpadł

w mokradła i albo utonął, albo został zagryziony przez aligatory. Zuzanna wiedziała, Őe powinna odczuwać Őal z powodu tragicznej Őmierci pracownika, lecz czuła wyłącznie głęboką ulgę. W czasie Őałobnego naboŝeństwa i pogrzebu z trudem potrafiła się modlić zaduszę parobka. W myślach raz po raz powtarzała: dzięki ci, BoŐe, dzięki, Őe to nie Ian.

Mniej więcej tydzień później znaleziono kolejne ciało. MęŐczyzna został pochowany w płytkim grobie, wykopanym pod dywanem igieł w sosnowym lesie. Uwagę zwrócił silny odór rozkładającego się ciała. Od początku było jasne, Őe martwy jest obcym przybyszem, Zuzanna odczuwała więc tylko lekkie zaciekawienie tajemnicą, o której plotkowało całe Beaufort. Kim był, skąd przybył i jak doszło do tego, Őe skończył w leśnym grobie? Te pytania powtarzano bez przerwy, choć Zuzannę nie interesowały odpowiedzi. Dla niej było waŝne, Őe to teŐ nie był Ian.

Hiram Greer wciąż odwiedzał ich dom pod pretekstem dostarczania informacji o poszukiwaniach zbiega. Mandy nie przyjmowała wielokrotnie powtarzanych przeprosin i wyraźnie go unikała. Ale ponieważ nikt nie wiedział o jego wykroczeniu, a Zuzanna obawiała się, Őe straci jakąś wiadomość, nie zakazała mu wstępu. Wpadał co kilka dni. Właściwie nie miała dość energii, by czuć urazę o jego zachowanie owej nocy w róŝanym ogrodzie. Woląa o tym zapomnieć, ponieważ pamięć przynosiła takŐe inne, rozdzierające wspomnienia.

Przynajmniej nie nosiła w sobie dziecka. Wiedziała, Őe to błogosławieństwo, ale wciąż opłakiwała wymarzone dzieci, których juŐ nigdy nie urodzi, równie mocno jak opłakiwała Iana.

Była tak wytrącona z równowagi, Őe nie mogła nawet gotować. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by w kuchni nie znalazła pocieszenia, i ten fakt pewnie by nią wstrząsnął, gdyby tylko potrafiła wzbudzić w sobie jakąkolwiek emocję prócz zgryzoty. Ale nie potrafiła.

Rozpacz wypełniała ją, usuwając wszelkie inne stany. Oprócz niej nie odczuwała nic.

ZbliŐał się Őlub Sary Jane i Zuzanna musiała się ocknąć, by poczynić konieczne przygotowania. Kiedy płała, szyjąc Őlubną suknię siostry, Ődzono przynajmniej, Őe roni łzy przewidując coraz bliŐsze rozstanie. Tylko ona znała prawdę. Płała nad sobą, nad Őlubem z Ianem, który juŐ nigdy nie miał nastąpić. Nad swymi wymarzonymi dziećmi, które się nie narodzą. Nad piękną, słoneczną przyszłością, którą widziela przed sobą i którą jej okrutnie zabrano. Dostrzegala własny egoizm, lecz w tym stanie ducha nie potrafiła wzbudzić w sobie uczucia wstydu.

Rodzina przyglądała się z niepokojem, jak Zuzanna staje się coraz bledsza, apatyczna i zmęczona. Sara Jane zaproponowała wyprawę do oddalonego o jakieś szeŐdziesiąt kilometrów Charles Town, by na dwa tygodnie uciec od sierpniowych upałów. Takie okresowe migracje były zwyczajem w rodzinach plantatorów. Haskinsowie, pani Greer i inni miejscowi arystokraci wyjechali juŐ na resztę lata do domów w mieŐcie. Jednak Redmonowie, z pochodzenia farmerzy, nigdy przedtem nie

rozważali takiej możliwości. śycie towarzyskie, jakie w letnich miesiącach kwitło w Charles Town, dla wielebnego Redmona było czymś godnym potępienia. Choć pochwalił pomysł Sary Jane - zmiana scenerii powinna poprawić samopoczucie Zuzanny - sam jednak nie chciał wyjeżdżać pod całkiem rozsądnym pretekstem, że nie miałyby kto odprawiać niedzielnych nabożeństw. Zwykle Zuzanna tak się odrzuciłaby pomysł podróży (kto zajmowałby się domem?), lecz cierpiała tak bardzo, że nie protestowała, gdy ojciec i Sara Jane czynili przygotowania do wyjazdu. Dopiero gdy przyszło jej do głowy, że w Charles Town z opóźnieniem dotrą do niej ewentualne wieści o Ianie, zaczęła się opierać. Lecz wtedy było już za późno, gdy stały na pokładzie statku, który latem kursował wzdłuż wybrzeża.

Nawet na morzu panował parny upał. Zuzanna wraz z siostrami większą część podróży spędziła na pokładzie, siedząc pod zadaszeniem ustawionym dla wygody dam.

Nieustanne kołysanie wywoływało u niej i Sary Jane lekkie mdłości, więc zadowolowały się zamknięciem oczu i rozkoszowały muskającą twarz lekką bryzą. Mandy i Em były tak podniecone, że nie potrafiły usiedzieć spokojnie. Podskakiwały krzycząc na widok srebrnego błysku ryby lub bieli śagi w oddali. Towarzystwo było sympatyczne i na pokładzie panowała atmosfera przypominająca zebrania parafialne. W miarę jak upływały godziny, mdłości Sary Jane ustąpiły na tyle, że zdołała przełknąć nieco lemoniady i parę herbatników, a nawet włączyć się do beztróskiej paplaniny młodszych sióstr. Zuzanna czuła się za to coraz gorzej, marząc by ta podróż skończyła się jak najprędzej.

Przyszło jej do głowy, że bez Iana nie potrafi odczuwać już żadnej radości.

Zmierzchało, gdy „Bluebell”, gdy tak nazywał się statek, wpłynął do portu Charles Town.

Stracili przyływ, wiał też silny zachodni wiatr. Oznaczało to, że muszą zakotwiczyć na noc w zatoce i rano przybić do nabrzeża. Pasażerowie mogli dopłynąć do brzegu szalupą.

Było ich jedenastu, więc w szalupie panował ścisk. Zuzanna wyłącznie dzięki sile woli zeszła po rozkołysanej sznurowej drabince. Połączenie upału i ruchu sprawiło, że nie mogła zaufać własnemu ślądkowi. Zaciśnęła zęby, zamknęła oczy i modliła się, by dotrzeć do brzegu nie robiąc sobie wstydu.

Kiedy przycumowano łódź na kei, słońce zniknęło za horyzontem, pozostawiając pasma bladego różu, pomarańcza i złota, rozwijające się po coraz ciemniejszym fiolecie nieba. Uśmiechnięty marynarz przeniósł Zuzannę na brzeg. Sara Jane, Mandy i Em, które wyskoczyły tuż przed nią, pomrukując współczująco, pochylały się nad siostrą.

- Pewnie złapała ją morska choroba - wyjaśnił marynarz, odchodząc, by pomóc przy bagażu. - Niech trochę odpocznie nim nauczy się znowu chodzić po lądzie, a będzie zdrowa jak ryba. Zuzanna zaciśnęła zęby i otworzyła oczy.

- Ma rację - powiedziała słabym głosem. - Zostawcie mnie tu na chwilę. Wiem, że nabrzeże się nie rusza, ale nie założyłabym się o to. Kiepski ze mnie śglarz.

- Rozejrzę się za powozem - powiedziała Sara Jane. - Słyszałam, że można je wynająć przy wejściu do portu.

Nie możesz iść sama. - Zuzanna dostrzegła własny kufer, wypakowany już z szalupy, i usiadła na nim z westchnieniem ulgi. Gdyby tylko mogła się położyć. Kręciło jej się w głowie, coś skręcało żołądek, a kiedy spojrzała w stronę miasta, linia horyzontu z rzędem budynków i dwoma wysokimi wieżami zdawała się pochylona na bok. Widok morza był

jeszcze gorszy. Za wysokimi masztami i zwiniętymi żaglami statków toczyły się fale oceanu.

Zadrżała i zwróciła spojrzenie ku swemu najbliższemu otoczeniu. Wokół panowało poruszenie. Przybyli i odpływający pasażerowie obejmowali się i szlochali. Marynarze wymieniali rubaszne śarty, od czasu do czasu przerywane przekleństwem. Gwar rozmów akcentowały głośne huki i stukot, gdy z pobliskiego statku rozładowywano beczki. Grube sieci wyładowane belami bawełny wisiały na skrzypiących kołowrotach.

- Pójdę z Em, a Mandy zostanie z tobą - zdecydowała Sara Jane, z niepokojem patrząc na bladą twarz Zuzanny.

Mandy była rozczarowana, ale nie protestowała. Oczywiście, tak samo jak Em, chciała jak najszybciej zobaczyć Charles Town. Zuzanna wiedziała, że poczuje się lepiej, gdy tylko chwilę odpocznie. Gdyby musiała uważać na Mandy lub Em, zamknięcie oczu byłoby poważnym błędem.

- Idźcie wszystkie trzy. Nic mi się tu przeciwieć nie stanie. Posiedzę chwilę i może mój żołądek wreszcie uwierzy, że znów jesteśmy na lądzie. Sara Jane przyjrzała się siostrze uważnie i z wahaniem skinęła głową.

- Wrócimy za chwilę. Zuzanna pomachała im ręką, po czym usiadła wygodnie i zamknęła oczy.

Gdyby tylko mogła się położyć...

Nie wiedziała czemu podniosła powieki. Jakiś dreszcz, ukłucie świadomości, magnetyczny prąd, który przepłynął wzdłuż pleców. Ale otworzyła oczy, jak przez mgłę widząc na nabrzeżu kolorowy strumień ludzi, mijających ją w odległości kilku metrów.

Kobieta w jasnoczerwonej sukni i w fantastycznym kapeluszu z piórami rozmawiała z żołnierzem w równie czerwonym mundurze. Dwaj chłopcy gonili się, najwyraźniej walcząc o piłkę, którą trzymał pierwszy. Siedmioosobowa rodzina z kobietą w ciąży na czele przeszła wolno w stronę opuszczonego ze statku trapu. Wysoki mężczyzna w szerokim błękitnym płaszczu i trójganiastym czarnym kapeluszu nasuniętym na oczy wyprzedził ich, wyraźnie zmierzając na ten sam statek.

Zuzanna otworzyła szeroko oczy i usta. Zerwała się z kufra, jak gdyby ktoś szarpnął za strunę przebiegającą przez całe jej ciało, od stóp do głowy.

- Ian - szepnęła chrapliwie. Potem głośniej: - Ian!

Po oczywiŝcie niemoŝliwe. Lecz sposób chodzenia i postawa tego męŝczyzny poruszyły w niej znajomą strunę. To niemoŝliwe, a jednak... Ian!

Teraz był to krzyk. Kilku przechodniów obejrzało się. Stojąc u trapu, męŝczyzna spojrział przez ramię. Kapelusz ocieniał mu oczy, a podniesiony kołnierz płaszcza zakrywał

dolną część twarzy. Mimo to sam i uch głowy sprawił, ŝe ŝołądek Zuzanny zacisnął się w supeł.

- Ian!

Ruszyła ku niemu, jak przez mgłę. Czy to moŝliwe? Lecz serce krzyczało, ŝe tak.

Kobieta w szkarłacie i ŝołnierz przyglądali się jej z zaciekawieniem. Zuzanna nie zwracała na nich uwagi.

Męŝczyzna zawahał się, lecz ruszył dalej, a nawet przyspieszył kroku. Zuzanna biegła.

- Ian!

Przyglądało się temu coraz więcej osób. Matka licznej rodziny przycisnęła do siebie najmłodsze z dzieci. Zuzanna pędziła, jakby ścigała ducha, którym z pewnością był; jakby miał zmienić się w dym, jeśli nie dotrze do niego w przeciągu kilku sekund. Serce wyrывało jej się z piersi, a krew dudniła w skroniach.

- Ian!

Dogoniła go i pochwyciła za płaszc. Palce zacisnęły się na gładkiej, chłodnej wełnie i pociągnęły mocno. Jeśli to nie on, jeśli ścigała i zrywała płaszc z kogoś obcego, uznają za obłąkaną. Moŝe była obłąkana. Moŝe ta rozpacz odebrała jej rozum. Ale wiedziała, wiedziała...

Trzymała go za rękaw płaszcza, więc musiał się odwrócić. Zrobił to i przez chwilę, cudowną straszliwą chwilę, Zuzanna patrzyła w oczy szare jak nadchodzący od morza sztorm.

Jakiś mięsień drgnął w kąciku jego ust. Nic się nie zmienił. Policzki i brodę pokrywał ślad czarnego zarostu. Instynktownie uniosła rękę, by dotknąć szorstkiej skóry.

- Ian - szepnęła, pewna teraz, ŝe to on.

Mocniej chwyciła wełnę płaszcza, jakby obawiając się, ŝe zniknie. Nagle zaatakowała ją powracająca fala słabości. Zachwiała się zdziwiona, ŝe twarz Iana znika za mgłą, rozdziela się na dwa niewyraźne obrazy. Po raz pierwszy w ŝyciu upadła zemdlona.

ROZDZIAŁ 34

Kiedy Zuzanna otworzyła oczy, było ciemno. Nie ciemnością nocy, lecz smętną szarością zamkniętej przestrzeni. Poniewaŝ, co odkryła z niepokojem, znalazła się właśnie w zamkniętej przestrzeni. Leŝała na plecach, na cienkim materacu ułożonym o pół metra nad podłogą. Nad sobą, niezbyt

wysoko, widziała metrowej szerokości drewnianą półkę. Po lewej stronie miała gładką, obitą drewnem ścianę. Gdy odwróciła się w prawo ujrzała maleńki, niczym skrzynia, pokój. Oprócz czarnego, żelaznego piecyka, stolika i krzeseł, nie było tu żadnych mebli. Umieszczone w dziwnym miejscu okrągłe okno było jedynym źródłem światła. Co dziwne, całe pomieszczenie zdawało się kołysać.

Nie patrzyła na drzwi, więc raczej usłyszała niż dostrzegła uderzenie stali o krzemień.

Kiedy odwróciła głowę, osłaniał dłońią knot oliwnej lampy.

Ian.

Knot wolno zajął się płomieniem. Męszczyzna umieścił szklany Klosz na podstawie i spojrzał na nią.

Ian.

Usiadł na krześle tuż przy drzwiach. Miał na sobie czarne spodnie, białą koszulę z elegancko zawiązaną wstążką, lśniące buty i kamizelkę ze srebrzystego atłasu, Ian.

Tym razem powiedziała to głośno i z niedowierzaniem, unosząc się z wysiłkiem.

Bolała ją głowa, było jej niedobrze, ale nie potrafiła oderwać wzroku od jego twarzy. Może zasnęła i teraz śniła? Czyżby widziała widmo, które zniknie, gdy tylko się obudzi? - Witaj, Zuzanno.

Witaj, Zuzanno? Witaj, Zuzanno? Widmo z pewnością nie powitałoby w tak prozaiczny sposób swej miłości, którą chciało pocieszyć wracając z tamtego świata. Zuzanna zmrużyła oczy. Śadne widmo nie siedziałoby tak nonszalancko krzyżując nogi w kostkach, z dłońmi złożonymi na brzuchu i przymkniętymi oczami. Śadne widmo nie miałoby na policzkach ciemnego zarostu!

Był prawdziwy i równie materialny jak ona. Witaj, Zuzanno? Czy tyle miał do powiedzenia po pełnych cierpienia dwóch miesiącach rozstania? Czy to już wszystko po tym, jak chorowała ze zgrzyoty, oplakiwała go tak mocno, że śmiech po stracie matki wydawał się błahostką?

- Witaj, Zuzanno? - powtórzyła z niedowierzaniem i szeroko otworzyła zdumione oczy.

- Zgaduję, że zastanawiałaś się, gdzie zniknąłem. - Wydawał się lekko zakłopotany i nawet zmienił swą nonszalancką pozę. Pochylił się i złożone dłonie wsunął między kolana.

Zgaduję, że się zastanawiałaś... - Zuzanna, wciąż oszołomiona, w połowie zdania zacisnęła zęby. Świadomość tego, co się wydarzyło, uderzyła w nią jak grom. On wcale nie zginął. Nigdy nie był martwy! Sądząc po wyglądzie, nie był nawet ranny. Po prostu odjechał, kiedy mu to odpowiadało! A właściwie dlaczego nie? Przecież powiedział jej, że zrobi to, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. W końcu dostał czego chciał, prawda? Poskromił dumną córkę pastora, by skorzystać ze słów, których sam kiedyś usłyszał. Wykorzystał ją, nie raz, lecz dwa razy i przekonał się, jaka jest gorąca. W tej niezapomnianej chwili, kiedy zaproponowała mu wolność, powiedział, że zostaje, ponieważ bawi go pościg za nią. Ale potem dopadł swej ofiary, łowy się skończyły i widocznie przestały go bawić. Przeszedł na świeże pastwiska, nie myśląc nawet o kobiecie, którą za sobą zostawił.

- Tak, moŜna powiedzieć, Ŝe zastanawiałam się, gdzie przepadłeś - odparła ze ŜciŜniętym gardłem.

Krew zawrzała jej w Ŝyłach, ogień błysnął w oku. Zerwała się na równe nogi, zaciskając i rozprostowując palce. Szukała jakiejŜ broni. Jeszcze nie był martwy, ale Bóg jej Ŝwiadkiem, będzie, kiedy z nim skończy!

- AleŜ Zuzanno, uspokój się na chwilę. Wszystko ci zaraz wytłumaczę...

Ta pojednawcza propozycja była klasycznym przypadkiem musztardy po obiedzie. Z

nieartykułowanym krzykiem wŜciekłości Zuzanna, dostrzegając oparty o piecyk pogrzebacz, dopadła go jednym skokiem, a potem ruszyła, by zniszczyć tego łotra o podłej duszy, który ukradł jej serce i nierozwaŜnie wdeptał je w ziemię.

- Ty bezczelny draniu! A ja myślałam, Ŝe nie Ŝyjesz!

Rzuciła się na niego, wysoko unosząc trzymany oburącz pogrzebacz. Po dwóch krokach dotarła do niego i zaatakowała tę lŜniącą, czarną grzywę, której obraz nawiedzał ją dniem i nocą przez ponad dwa miesiące. Wkrótce zrobi z niego widmo!

- Zaczekaj chwilę!

Podniósł rękę i odsunął się na bok. Pogrzebacz trafił go w ramię, wydobywając jęk bólu. Stołek przechylił się i zrzucił Iana na podłogę. Jęknął raz jeszcze, ładując z hukiem, ale nie miał czasu, by się podnieść, gdyŜ dopadła go znowu. Zadała jeszcze kilka solidnych ciosów, zanim klnąc siarczyŜcie zdołał wyrwać pogrzebacz z jej rąk. Krzycząc ze złości, Ŝe została rozbrojona, Zuzanna rozejrzała się za nową bronią.

- Do licha, Zuzanno! Z kocią gracją zerwał się na nogi i odrzucił pogrzebacz.

Ty tchórzliwy draniu! Znalazła na stole jeszcze jedną lampkę, na ŜczęŜcie nie zapaloną i cisnęła w jego stronę. Odskoczył w ostatniej chwili; lampa trzasnęła o Ŝcianę.

- DoŜć tego! - ryknął, a kiedy odkryła noŜyce do przycinania knota i rzuciła nimi równieŜ, podbiegł, chwycił ją w pasie, po czym wrzeszcząc i kopiąc powalił na podłogę.

Pod nią poruszało się twarde drewno. Nad głową miała ukoŜny sufit, a okrągły, metalowy walec uwolniony po strzaskaniu lampy pot uczył się po podłodze u jej stóp.

Zuzanna jednak nic nie widziała. Kopała, drapała i gryzła tego złoustego kundla, który próbował przygnieŜć ją do podłogi.

- Au! -jęknął, kiedy wbiła mu zęby w ramię.

Złapał ją za nadgarstki, przycisnął ponad głowę i wyrwał ramię poza zasięgi zębów.

Przesunął twarde udo, przyciskając jej nogi do podłogi. Trzymał ją tak unieruchomioną, by nie

zdołała już zrobić mu krzywdy. Zuzanna patrzyła gniewnie. Była tak wściekła, że mogłaby obgryźć mu paznokcie, albo ten jego zbyt elegancki nos!

- Zejdź ze mnie ty odraśający potworze!

Posłuchaj przez chwilę... Znów próbował ją uspokoić. Ciekawe, jaką bajkę wymyślił, żeby i tym razem ją oszukać? Czy naprawdę wyobrażał sobie, że była tak naiwna, by jeszcze raz uwierzyć i dać się przekonać? Tak, pewnie tak, ponieważ w przeszłości dała mu wszelkie dowody, że jest właśnie tak głupia. Ale to było dawniej!

- Nie chcę słyszeć ani jednego słowa! Płakałam po tobie, ty cuchnący skunksie! Nie mogłam spać, ani jeść, ani nic! Tylko rozpaczać! Ojciec się o mnie martwił! I siostry!

Przestałam się zajmować kongregacją! A wszystko przez ciebie! Ty robaku! Ty glisto!

- Zuzanno, posłuchaj...

Dość już „Zuzanno, posłuchaj”! Dostałeś ode mnie to, co chciałeś i odszedłeś! Taka jest prawda, więc nie próbuj jej ukrywać za pięknymi słówkami! Jesteś obrzydliwym kundlem i... Przytrzymał jej ręce jedną dłonią, a drugą zamknął usta. Wydawała stłumione okrzyki wściekłości i daremnie próbowała się wyrwać.

- Wiem, że masz powód, by się na mnie złościć, ale kiedy mnie wysłuchasz, zrozumiesz, że nie miałem wyboru. Musiałem zniknąć. Wróciłbym, przysięgam. Lecz przedtem musiałem załatwić pewną sprawę - mówił szybko.

Szare oczy były szczerze jak oczy świętego. Tym razem nie ulegnie jego sztuczkom!

Znad kneblującej ją ręki, Zuzanna spoglądała na niego z furją.

Zmarszczył czoło, jakby szukając właściwych słów, które mogłyby ją przekonać. Nic z tego, pomyślała i przebiła go morderczym wzrokiem.

- Być może trudno będzie ci w to uwierzyć, do diabła, wiem, że będzie ci trudno, ponieważ nigdy nie wierzyłaś nawet w jedno moje słowo, ale nie popełniłem przestępstwa, o które mnie oskarżono. Więcej nawet, nie popełniłem żadnego przestępstwa. Dowody przeciw mnie były fałszywe, moja tożsamość ukryta, a ława przysięgłych przekupiona, by uznać mnie winnym. Miałem być zamordowany w Newgate. Tak przypuszczam. Ale na szczęście przekupstwo działa w obie strony. W zamian za mój sygnet strażnik włączył mnie do grupy skazańców odpływających do Kolonii. W przeciwnym wypadku nie sądzę, bym do dziś pozostał wśród żywych.

Wzrok Zuzanny musiał wyrażać głęboki sceptycyzm, gdy mocniej zmarszczył brwi i spojrzał błagalnie. Kiedyś, dawniej, we wcześniejszym okresie ich znajomości, mogłoby ją to wzruszyć, ale tym razem jakoś nie.

- Podróż statkiem skazańców była piekłem, ale postanowiłem to przetrwać.

Jeśli przeżyję, myślałem, wrócę do Anglii i zemścę się na tych, którzy mnie zdradzili i odebrali wszystko, co do mnie należało. Ten kawałek papieru, który mówił, że przez siedem lat jestem tylko trochę lepszy od niewolnika, nic dla mnie nie znaczył. Nie miałem zamiaru akceptować go dłużej niż to konieczne. Kiedy kupiłaś mnie na aukcji, pomyślałem, że sprawa będzie łatwa. Odpocznę, odzyskam siły, a potem odejdę. Ale nie zaplanowałem miłości do ciebie, ani tego, że wrogowie w Anglii odkryją, że wymknąłem się z ich sieci i przybędą, by mnie odnaleźć. Owej nocy zaatakował mnie jeden z ich najemników, wysłany tu, by mnie zabić. Pewne rzeczy, które powiedział w czasie walki, sugerowały, że raz już był na twojej farmie, by usunąć mnie z tego świata. Przez pomyłkę zamordował biednego Craddocka. Jeśli sobie przypominasz, tej nocy kiedy zniknął Craddock, nie spałem w swojej chacie.

Nie powiedział tego, lecz Zuzanna dokładnie pamiętała, gdzie spędził tę noc. W jej łóżku. Jeśli sądził, że to wspomnienie mu pomoże, to mylił się tak dalece, jak to tylko możliwe. A jeśli chodzi o miłość do niej... ha! Musiałaby być wariatką, by w to uwierzyć po wszystkim, co jej zrobił! Nie znika się bez jednego słowa do ukochanej osoby! Coś w wyrazie jej twarzy musiało zdradzić, że nie wierzy jego słowom, ponieważ spojrzał na nią z uwagą i mówił dalej niemal zmęczonym tonem.

- Jak było tak było. W każdym razie wrócił, by spróbować jeszcze raz, ale to ja go zabiłem. Wiedziałem jednak, że muszę odejść, gdy jeśli zjawił się jeden i przegrał, przyjdą następni. Nie mogli dopuścić, by wyszło na jaw, że unikałem śmierci, którą dla mnie zaplanowali. Stawka jest teraz zbyt wielka.

Musiałem cię opuścić, Zuzanno. Gdyby nie to, ty i twoja rodzina znaleźlibyście się w równie wielkim niebezpieczeństwie.

Znow spojrzał na nią, jakby czekał na znak. Parsknęła pod jego dłoń, a on ku jej zaskoczeniu cofnął rękę.

- Zdajesz sobie sprawę, że twoje tłumaczenia, choć wzruszające, są mniej więcej tak przejrzyste jak błoto. Ktoś to cię ściga, jeśli można wiedzieć? I dlaczego? Uniosła brwi.

Zawahał się, jakby szukał słów. Potem westchnął.

- Mówiłem ci już, Zuzanno, ale wtedy nie chciałaś mi wierzyć, że jestem, lub byłem, człowiekiem bardzo bogatym. Dokładnie, jestem markizem Derne, najstarszym synem i dziedzicem księcia Warrender. Jednak moja matka wolałaby, by dziedziczył młodszy brat, więc razem uknuli spisek, by usunąć mnie z tego świata. Posunęli się tak daleko, że teraz nie mogą się cofnąć. Za wszelką cenę muszą mnie zabić, chyba że potrafię pokrzyżować im plany, co mam nadzieję zrobić po powrocie do Anglii.

Przez chwilę Zuzanna wahała jego słowa. W to, że był markizem, szlachcicem, mogła prawie uwierzyć. To wiele wyjaśniało, poczynając od wyglądu, poprzez arogancję do niedbałej elegancji, która wydawała się u niego tak naturalna. I mówił w noc przyjęcia u Haskinsów, gdy szli do różanego ogrodu, że jego matka nie żyła dla niego zbyt macierzyńskich uczuć, i że on sam był cierniem jej życia...

Lecz zaraz opanowała się i zarumieniła, zawstydzona własną naiwnością. Niewiele brakowało, a znów by ją przekonał! Musi zapamiętać raz na zawsze, że gdyby czystym przypadkiem nie znalazła się wtedy na nabrzeżu w Charles Town, nigdy więcej by go nie zobaczyła.

- To są największe brednie, jakie słyszałam w Syciu! Markiz Derne, rzeczywiście!

Nie myślisz chyba, że jestem tak głupia, by ci uwierzyć?

- Ale to prawda, przysięgam. Ja...

- Chciałabym wiedzieć - przerwała groźnie, gdy znowu przechyliła się podłoga - czy jesteśmy na pokładzie jakiegoś statku? Spojrzał na nią przeprasząco.

- Zemdlałaś, a statek musiał odpłynąć. Nie mogłem zostawić cię nieprzytomnej na kei. Poza tym wiedziałem, że gdy tylko odzyskasz zmysły, wszystkim wokół opowiesz, że mnie widziałaś. A wolałbym, by władze nie czekały w porcie, kiedy przybijemy do Anglii.

Gotowe znowu zaciągnąć mnie do więzienia jako zbiegłego skazańca. Widziałem wasze listy gończe.

Zuzanna puściła mimo uszu oskarżycielski ton ostatniego zdania.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy na statku zmierzającym do Anglii? - jęknęła.

- Tak. Ta krótka odpowiedź sprawiła, że przymknęła oczy.

- Dobry Boże!

- Polubisz Anglię, obiecuję ci. Jest tam chłodno, bez tego waszego piekielnego upału. I...

- Jeśli natychmiast ze mnie nie zejdziesz, będzie ci potem niewymownie przykro -

przerwała groźnie, gwałtownie blednąc. - Nie jestem dobrym żeglarzem, ostrzegam cię.

ROZDZIAŁ 35

Kiedy pogoda spędziła Iana z pokładu po raz szósty podczas tyłu dni, pomyślał z Sajem, że dzielenie jednej kajuty z Zuzanną przypominało raczej pobyt w worku z wściekłą lisicą. W dodatku z bardzo chorą lisicą. Gdy powiedziała, że nie jest dobrym żeglarzem, wyraziła się niezwykle łagodnie. Chorowała prawie bez przerwy przez całe trzy tygodnie rejsu.

Ostrożnie otworzył drzwi i wszedł do kajuty. Latarnia wisiała u sufitu, a jej słoty blask pozwalał się zorientować, czy nie grozi jakieś niebezpieczeństwo. Sekutnica siedziała na koi, a pani Hawkins podawała jej talerz rybowego kleiku. Panią Hawkins wynajął za kilka szylingów, by zajmowała się Zuzanną. Była chudą, przygarbioną kobietą, która już dawno przekroczyła wiek średni. Teraz spojrzała na Iana podejrzliwie. Podróżowała z inną kobietą i wydawało się, że generalnie darzy mężczyzn głęboką nieufnością.

- Cieszę się, że pan przyszedł, milordzie. Muszę wracać do swojej kajuty. Birdie, to znaczy moja towarzyszka podróży, przesłała mi wiadomość, że teś nie czuje się najlepiej i że mnie potrzebuje.

- Może pani przyjść jutro? - Jeśli w jego głosie zabrzmiał niepokój, Ian nie mógł nic na to poradzić.

Perspektywa opieki nad Zuzanną, która była równie chora i słaba, co wściekła, nie pociągała go zanadto. Całkiem możliwe, że nie pozwoliłaby cokolwiek dla niej zrobić.

- Zależy jak będzie się czuła Birdie.

- Proszę spróbować.

Skinęła głową, poprawiła poduszkę z taką energią, że Zuzanna prawie wylała swój kleik, po czym podeszła do stojącego jak na szpilkach Iana. Bez słowa wyciągnęła kościstą dłoń. Ian spojrzał, sięgnął do kieszeni i wyjął monetę z niewielkiego zapasu, jaki zgromadził

pracując przez dwa miesiące po ucieczce z farmy. Byłoby tego dość na zaspokojenie jego potrzeb, gdyby nie musiał dodatkowo opłacić podróży „Sony”, kiedy odkryto, że znalazła się na pokładzie. Ta odrobina, która jeszcze pozostała, musiała wystarczyć aż do wybrzeży Anglii. Potem skontaktuje się ze swymi bankierami.

- Dobrej nocy, milordzie. I tobie, milady.

Pani Hawkins skłoniła głowę, ominęła Iana i wyszła. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Ian zeszywniał. Jeśli na dzisiejszy wieczór były zaplanowane jakieś fajerwerki, to pewnie zaczną się teraz.

- Nie mogę uwierzyć. Powiedziałeś jej, że jesteś markizem i że jesteśmy małżeństwem

- powiedziała Zuzanna zrzędlawie.

Ian poczuł ulgę. Przez pierwszy tydzień, gdy tylko wsunął głowę do kajuty, rzucała w niego wszystkim, co wpadło jej w ręce. Przez następny tydzień wrzeszczała, a przez trzeci nie odzywała się ani słowem. Przyjemnie było słyszeć, jak mówi mniej więcej rozsądnie.

- Jestem markizem. Wolalabyś, bym powiedział, że jesteś moją metresą? - odparł

Ian, zanim zdążył się zastanowić. Gdy tylko padło to nieszczęsne słowo, skrzywił się, przewidując skutki.

Nie jestem twoją metresą! Chora i blada Zuzanna wciąż potrafiła rzucić spojrzenie przeszywające go dreszczem. Podejrzewał, że reaguje w ten sposób, gdy w pierwszym tygodniu przyzwyczał się, że zaraz po takim spojrzeniu nadlatuje pocisk.

- Nic takiego nie sugeruję - wyjaśnił tym samym łagodnym tonem, którego używał

przez całą podróż. - Po prostu gdybym nie powiedział, że jesteś Soną, uznałaby cię za moją kochankę.

- Powinieneś umieścić mnie w osobnej kabynie!

- Kochanie, nie mam pieniędzy na drugą kabine. Zresztą nie ma już ani jednej.

Statek jest wyładowany po brzegi.

- Nie mów do mnie kochanie!

To było przejęzyczenie. Ian stłumił chęć wzniesienia oczu do nieba. W takim humorze Zuzanna wyprowadziłaby z równowagi nawet świętego, a Bóg wiedział, że on nie był

świętym. Wyczuwał jednak, że zasłużył na takie traktowanie po piekle, na jakie skazał ją, wyjeżdżając bez słowa. To zabawne, ale ani przez chwilę nie przypuszczał, że będzie go opłakiwać. Nikt nigdy nie przejmował się nim na tyle, by rozpaczać po jego odejściu. Płakała po nim; tak mówiła. Nie potrafił sobie wyobrazić silnej, energicznej Zuzanny roniącej łzy.

Nie wiedział, że sprawi jej tyle bólu. Wyobrażał sobie, że załatwi swoje sprawy i wróci, by podjąć romans tam, gdzie go przerwali. Wyobrażał sobie to ponowne spotkanie i jej radosne zdumienie. Nawet w najbardziej szalonych snach nie przewidywał takiej straszliwej wściekłości ani tego, że Zuzanna tymczasem pochoruje się z rozpacz.

- Jak się czujesz? - Wiedział, że to głupie pytanie, ale niewiele było tematów, które nie posłużyłyby za pretekst do awantury.

Czekając na odpowiedź, zdjął surdut i starannie powiesił go na oparciu krzesła.

- Źle.

To krótkie stwierdzenie trochę go ośmieliło. Podszedł, oparł ramię o górną koję, która oczywiście należała do niego, i spojrzał na chorą.

- Wyglądasz lepiej.

Nie była to całkiem prawda. Miała na sobie halkę z długim rękawem, ponieważ kiedy wniósł ją na pokład w czarnej, niedzielnej sukni, nie miała przy sobie nocnej koszuli. Szeroki dekolt halki odsłaniał kremowobiałą szyję i ramiona. Pled, sięgając pod pachy skrywał resztę ciała. Lecz bez trudu przypominał sobie to, czego nie mógł zobaczyć. Splecione w luźny warkocz włosy zwisały na plecach. Drobne, uwolnione z warkocza kosmyki okalały głowę brązową aureolą. Choroba sprawiła, że twarz jej zeszczupełała, a zapadnięte policzki i nowy, delikatniejszy kształt podbródka przydały jej nieoczekiwanie kruchego wyglądu. Podkrążone orzechowe oczy z długimi gęstymi rzęsami były większe i piękniejsze niż kiedykolwiek.

Niektórym mogłaby się wydawać bardziej atrakcyjna teraz niż poprzednio, ale dla niego wyglądała na chorą. O wiele bardziej wolałby tę zdecydowanie pospolitą kobietę, którą zostawił, niż delikatniejszą jej wersję... byle tylko odzyskała zdrowie.

- Nie dzięki tobie. Czy pomyślałeś, jak martwi się o mnie rodzina? Gdy tylko dotrzemy do Anglii,

muszę wracać. Przecież na pewno sądzą, że zapadłam się pod ziemię!

Nie miał pieniędzy, by natychmiast odesłać ją do Kolonii. Najpierw musiał odwiedzić bankierów, ale na razie nie warto było o tym wspominać. Dostyc ma dzień swojej biedy, pomyślał i przymknął oczy, uświadamiając sobie, że to cytat z Biblii. Wyraźnie zbyt wiele czasu spędził w towarzystwie pastora baptysty, skoro przychodziły mu do głowy takie myśli.

- Pomóc ci z tym kleikiem?

W pierwszych dniach podróży był przekonany, że raczej umrze z głodu niż pozwoli mu się nakarmić. Nie pozwoliła, by pomógł jej się rozebrać, by wilgotnym ręcznikiem otarł

twarz lub rozczesał włosy. Krótko mówiąc, aś nadto wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie śyczy sobie mieć z nim nic wspólnego. Przerażony stanem jej zdrowia i brakiem opieki, zwierzył się kapitanowi. Nie wyznał wszystkiego, tylko tyle, że jego śona bardzo cierpi na morską chorobę. Kapitan ucieszony, że może pomóc przedstawicielowi arystokracji, polecił

mu panią Hawkins. I choć nie była ona dokładnie tym, na co Ian liczył, przyjął to co los mu dawał.

- Dziękuję, sama potrafię jeść.

Gniew Zuzanny nieco złagodniał, ale nie na tyle, by mógł otrzymać twierdzącą odpowiedź. Odwrócił się i rozluźnił kokardę. Statek zakołysał i Zuzanna krzyknęła, Ian odwrócił się tak gwałtownie, że uderzył głową o koję.

- Co się stało? - Potarł dłonią czoło. Uderzenie nie było mocne, ale jednak bolesne.

- Ten kleik. Wylałam go, kiedy bujnęło statkiem. Teraz wszędzie go pełno. Jeden rzut oka upewnił Iana, że wcale nie przesadza.

- Czekaaj, daj mi to. - Odebrał pusty już talerz i odstawił na niewidki stojak przybity do ściany.

Co mam teraz zrobić? - Zuzanna spojrzała kompletnie załamana. Oczywiście nie mogła zostać w tej koi. Odpowiedź była jasna, chociaż Ianowi nie mogła przejść przez gardło.

Zanim wykrztusił pierwsze słowo, wiedział, jak zareaguje na tę sugestię.

- Na dzisiejszą noc musisz się przenieść do mnie, na górną koję. Przez chwilę przyglądała mu się ze zdumieniem.

- Ha! - powiedziała, Ian zacisnął wargi.

- Nie mam zamiaru ci się narzucać, jeśli to właśnie cię martwi. Ale twoja koja jest całkiem mokra.

- Wolę raczej spać w mokrej koi niż z tobą! - odparła, krzyżując ręce na piersi i spoglądając na niego wrogo. Ian stracił cierpliwość.

Jesteś śmieszna, Zuzanno - syknął gniewnie. Pochylił się, chwycił ją na rękę, podniósł

i ułożył na górnej koi tak szybko, że zdążyła tylko pisnąć. Oczy jej błysnęły, podciągnęła pod siebie nagie nogi i przysiadła na piętach, Ian cofnął się szybko. Nawet się na niego nie zamachnęła.

- Bardzo dobrze - oznajmiła, jakby czyniła wielkie ustępstwo. - Będę spać tu na górze.

A ty możesz spać na podłodze.

Ian nie miał zamiaru spać na podłodze, ale wołał o tym nie wspominać, dopóki nie będzie musiał.

- Zdejmij halkę i wejdź pod koce. Jest zimno. Nie chcesz się chyba przeziębic. -

Pochylił się, by zdjąć pościel z dolnej koi.

- Tak, to by ci się podobało. Nie jestem taka głupia! Ian rzucił pościel na podłogę i wyprostował się.

- Zuzanno - powiedział spokojnym tonem. - Jeśli sama nie zdejmiesz tej halki, ja to zrobię.

- Nie zrobisz! Nie ośmielisz się!

Dlaczego nie? - Cierpliwość rozplynęła się i po raz pierwszy od odkrycia jak bardzo ją skrzywdził, poczuł, że budzi się w nim gniew. - Nic mnie nie powstrzyma. Jestem większy, silniejszy i mam już zupełnie dosyć twoich fochów. A teraz ściągnij tę piekielną, moką halkę!

Wsparł pięści na biodrach i zmarszczył czoło. Odpowiedziała równie upartym spojrzeniem.

Nagły przechył statku odmienił jej twarz: zbladła, przełknęła ślinę. Patrząc na nią poczuł

litość i krótki rozbłysk złości zgasł.

- Zuzanno - zaczął cicho. - Proszę cię, zdejmij halkę. Możesz spać w jednej z moich koszul. Przez chwilę wzięła decyzję, wreszcie ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

Dobrze. Ale musisz się odwrócić. Ian milczał, nie chcąc zaprzepaścić tego drobnego zwycięstwa. Podszedł do kufra, gdzie trzymał parę podstawowych rzeczy, jakie musiał kupić przed wyruszeniem na morze. Wyjął koszulę, rzucił jej i odwrócił się plecami.

Co było przecieś śmieszne. Nawet nie widząc, mógłby w najdrobniejszych szczegółach wyrysować jej ciało. Znał je doskonale od pełnych piersi aż do delikatnych stóp.

Przechowywał w pamięci wiotkość talii, lekką wypukłość brzucha i krągłość pośladków.

Tak szczegółowe przypomnienie było błędem, Ian stwierdził, że ogarnia go podniecenie. Jeśli Zuzanna to dostrzeże...

- Dobrze. Możesz się odwrócić.

Siedziała na piętach i podwijiała za długie rękawy koszuli. Patrzyła na niego, wyraźnie gotowa do obrony i właściwie rozumiała nawet dlaczego. W tym zbyt na nią dużym, męskim okryciu, wyglądała cudownie. Chociaż oczywiście nie mogła o tym wiedzieć.

Cisnęła w niego poduszką. Leciała w stronę jego Śoładka i pochwycił ją zaskoczony.

CzyŚby Zuzanna do swych irytujących sztuczek dodała czytanie w myślach?

- Będzie ci potrzebna na podłodze - powiedziała i wsunęła się pod koc.

Ian uśmiechnął się ponuro, ale milczał. OdłóŚył poduszkę, zebrał mokrą pościel i metodycznie rozłóŚył na krzesłach, by wyschła do rana. Zdmuchnął latarnię i rozebrał się.

Sądząc po oddechu, było w zasadzie możliwe, Śe Zuzanna zasnęła. Wsadził poduszkę pod pachę, oparł stopy o dolną koję i delikatnie ułóŚył się obok niej.

- Straciłeś zdolność mówienia prawdy? - Rozwścieczony syk sprawił, Śe włosy na karku stanęły mu dęba. Rozgniewana panna Zuzanna Redmon, o czym przekonał się na własnej skórze, była jędzą, z którą naleŚało się liczyć. - Obiecałeś, Śe będziesz spał na podłodze.

A potem odepchnęła go z całej siły.

ROZDZIAŁ 36

Ian chwycił brzeg koi. Niewiele brakowało, a upadłby na podłogę. Ta chwila lęku przełamała resztki jego naduŚywaney do granic cierpliwości. Czarę przepełniło to, Śe nazwała go kłamcą i na dodatek tym pogardliwym tonem, którym ostatnio stale się do niego zwracała.

- Do licha, Zuzanno! Nie jestem kłamcą! - ryknął i podciągnął się na koję, zanim zdąŚyła zaatakować znowu. - KaŚde słowo, które ci powiedziałem, jest prawdą! Ty po prostu nie chcesz mi uwierzyć!

Kłamca, kłamca! - powtarzała, przesuwając się na koniec koi. Bał się, iŚ jest tak zawzięta, Śe rzuci się na podłogę tylko po to, by go ukarać, więc chwycił ją za kostkę i przytrzymał.

- Jak śmiesz mnie dotykać! Puść mnie natychmiast! Słyszysz? Natychmiast!

Przekręciła się tak, Śe siedziała podparta łokciami i kopała z całej siły. Nie puszczając jej stopy, Ian musiał się uchylać i unikać ciosów drugiej.

- Na szczęście nie muszę juŚ słuchać twoich rozkazów, panno Zuzanno -syknął

przez zęby, wpadając we wściekłość. - Mam dość tych fochów, które trwają od trzech tygodni!

- Fochów...! - Lecz cokolwiek chciała jeszcze dodać, stłumił to pisk, który wydała, gdy szarpnął ją za nogę i przycisnął ciałem do koi.

Opryszek! Potwór! Kundel! Zejdź ze mnie! Och! Wiła się i szarpała, aŚ unieruchomił

ją, obejmując ramionami. Owinął nogi wokół jej nóg, przytrzymując podobnie jak ręce. Na szczęście miał fizyczną przewagę. Gdyby była tak silna jak on, wołał nie myśleć, jak skończyłaby się ta walka. Była rozgniewana jak wiedźma. Gdyby miał czas i ochotę, by się nad tym zastanowić, z pewnością rozbawiłoby go porównanie tej parszającej kocicy, którą trzymał w ramionach, do dumnej i cnotliwej panny Zuzanny Redmon, jaką kiedyś spotkał.

- Au!

Zapomniał o zębach sekutnicy. Zatopiła je w jego ramieniu i przez jedną chwilę Ian musiał stłumić chęć, by ją udusić i w ten sposób skończyć z tą nieznośną dziewczką.

Poradził sobie, jedną ręką przytrzymując nad głową oba jej nadgarstki, a drugą chwytając pod brodę. Pochylił się groźnie w nadziei, że nastraszy ją zanim któreś z nich dozna poważnej krzywdy.

- Jeśli jeszcze raz ugryziesz mnie, kopniesz, zadrapiesz lub zranisz w jakikolwiek sposób, to ja... - Zamilkł, ponieważ wiedział, że tak naprawdę nie zrobiłby niczego, co mogłoby uszkodzić choć jeden włos na głowie tej jędzy. Miał tylko nadzieję, że ona o tym nie wie i uzna brak szczegółów za szczególnie złowieszczy. Powinien wiedzieć, że to daremne.

Phi! - oświadczyła niezbyt elegancko i plunęła mu w twarz. Zdarza się w stosunkach między ludźmi, że jeden z partnerów popełnia błąd tak zasadniczy, że na zawsze zmienia to relacje między nimi. Splunięcie w twarz było dla Iana właśnie takim punktem zwrotnym.

- To już koniec - oznajmił i puścił jej brodę, by wytrzeć twarz. Ogarnął go lodowaty spokój, choć czuł, że wściekłość próbuje wyrwać się na powierzchnię. - Zrobiłaś, co mogłaś skarbie i jeśli spróbujesz nadal sprawiać mi kłopoty, przyłożę rękę do twego siedzenia i spuszczę takie lanie, że nie będziesz mogła usiąść!

- Jak śmiesz mi grozić! - Kobieta najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, jak kruchy jest lód, po którym stąpa.

- Zuzanno - powiedział cicho, przysuwając twarz tak, by mimo ciemności ujrzała jak bardzo jest zdeterminowany.

Wcale ci nie grozę. Setki razy przeproszałem za to, że opuściłem cię bez słowa, setki razy tłumaczyłem, dlaczego było to absolutnie konieczne. Byłem wcieleniem cierpliwości, gdy ty wyładowywałaś na mnie swój piekielny temperament. Powiedziałem ci wyłącz nie prawdę, a ty nazwałaś mnie kłamcą. Mam już dosyć. Teraz cię puszcę, a potem będziemy leżeć obok siebie w tym jedynym suchym łóżku, jakie nam pozostało, i spać. Czy to jasne?.

Cisza. Ian czekał, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi, prócz szybszego niż zwykle rytmu jej oddechu. Po chwili postanowił zaryzykować i puścił jej dłonie. Nic. Nawet najmniejszego ruchu, czy dźwięku. Tylko oddech. Uwolnił jej nogi. Wciąż nic. Leżała nieruchoma i milcząca, jakby uznała wolę silniejszą od własnej i potężniejszy gniew, Ian ośmielił się odetchnąć z ulgą. Jak widać, wystarczyło tupnąć nogą. Zuzanna była jędzą, ale jak wszystkie jędze potrafiła rozpoznać swego pana i władcę.

- Tak lepiej - stwierdził i usiadł, by wygodnie ułożyć się do snu. I to okazało się błędem.

- Doprawdy? - syknęła, jak wilczyca zerwała się z materaca i pchnęła go z całej siły.

Ian wyczuł jej ruch i poczuł na ramieniu dotyk tych drobnych rączek.

Zaskoczenie zrekompensowało brak siły. Stracił równowagę i poczuł chłód drewnianej podłogi, gdy runął na nią, uderzając się w ramię. A potem przez chwilę czuł już

tylko ból.

Leżał oszołomiony. Mimo jego gróźb, ostrzeżeń i przeprosin, ta megiera naprawdę ośmieliła się go zepchnąć! Świadomość tego zaszokowała go w niemal równym stopniu, co upadek.

Leżąc na koi Zuzanna nasłuchiwała uważnie. Wciąż była bardzo wściekła. Ale gdy przebrzmiał głuchy stuk upadku, a po nim nie nastąpiło nawet jedno przekleństwo, zaczęła się poważnie niepokoić.

Tak naprawdę nie chciała go zranić. Musiała mu tylko pokazać, że nie da się poskromić, jak to obrzydliwie określił. Koją tkwiła najwyżej półtora metra nad podłogą.

Przecież po takim upadku nie mógł chyba stracić przytomności? Położyła się i wyjrzała przez krawędź. Było zbyt ciemno, by mogła dostrzec coś więcej niż leżący na podłodze cień.

Chrapliwy oddech świadczył, że go nie zabiła, ale poza tym nie widziała nic. Może uderzył się w głowę?

- Ian?

Choćby to, że zawołała go po imieniu, świadczyło o jego zwycięstwie. Nawet tego unikała podczas trzech tygodni, kiedy więził ją pod pokładem statku. Dla swoich własnych, jak zwykle egoistycznych celów, oderwał ją od rodziny i dawnego życia. Musiała wprawdzie przyznać, że był zdumiewająco potulny wobec jej nieustającej wrogości. Przynosił bulion i słabą herbatę, próbował przekonać, by jadła i piła. Kiedy rzucała w niego jednym i drugim, sprzątał bez słowa i przynosił następne porcje. Wreszcie gdy stanowczo odmówiła, by się nią opiekował, znalazł panią Hawkins. Potem zniknął z kabiny, kiedy tylko mógł, a gdy wracał, stąpał cichutko jak myszka. Gdyby ich stosunki były bardziej poprawne, musiałyby się uśmiechnąć, widząc wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę, który próbuje nie rzucić się w oczy w maleńkiej kajucie. To oczywiście niemożliwe, była tak świadoma jego obecności, jakby tupał i krzyczał za każdym wejściem. Lecz ich stosunki nie były poprawne.

Pilnowała się i okryła tarczą stanowczości na wypadek gdyby chciał się w nie wdrzeć. Od samego początku wiedziała, że miłość do niego złamie jej serce. Raz już je złamał i raczej da się powiesić za nogi w wędzarni, niż pozwoli mu na to po raz drugi.

Ale przecież nie chciała go skrzywdzić.

- Ian? - powtórzyła niepewnie.

Statek przechylił się znowu, lecz była już tak przyzwyczajona, że prawie tego nie zauważyła. Zatrzeszczało drewno, latarnia musiała się zakołysać, gdy okręcił się hak, na którym wisiała. Poza tym nie doszedł jej śladem inny dźwięk. Nic więcej. Nawet szmeru jego oddechu.

- Ian!

Wiedziała, że nie umarł, była tego pewna. A jednak, choć okazał się opryskiem o podłym sercu, nie mogła zostawić go w ciemności, na podłodze, może ranego. Musiała przynajmniej sprawdzić.

- Ian! - spróbowała po raz ostatni. Nic.

Ostrożnie zsunęła nogi z koi i zeskoczyła na podłogę. Niewiele brakowało, by wylądowała na jego plecach. Postawiła stopę między rozrzuconymi nogami, lecz nadal się nie poruszył. Przeszła nad nim i przykucnęła obok piersi.

- Ian?

Dotknęła dłonią twarzy, natrafiając na ciepłą skórę pokrytą szorstkim zarostem.

- Zapłacisz za to, jędzo - rozległ się groźny warkot. Ian chwycił ją za rękę i pociągnął.

- Ty kłamco! - krzyknęła, wiedząc, że tym razem wpadła na dobre. Ten drań udawał!

- Jeśli jeszcze raz tak mnie nazwiesz, to Bóg mi świadkiem, że cię uduszę. Ian objął

ją i przetoczył się. Leżeli teraz na boku, twarzami do siebie.

Zuzanna wiedziała naturalnie, że jest nagi. Nie można mieszkać z mężczyzną w tak małym pomieszczeniu i nie wiedzieć, że sypia nago. W jego koszuli, splątanej wokół bioder, była niemal równie naga. Czowała ciepło skóry, szorstki dotyk włosków na jego nogach. Po raz pierwszy od miesiący znalazła się tak blisko Iana. Gdyby nie знаła tego nicponia, zakreśliłoby się jej w głowie.

Ale nie wpadnie w pułapkę zmysłów. Skończyła z grzechem i skończyła z głupotą.

Wyczuwała, że ta bliskość działała na niego tak, jakby podziałała i na nią, gdyby na to pozwoliła. Stanowczo zacisnęła zęby.

- Zaśartowałaś sobie, a teraz mnie puść - powiedziała ze spokojem, na jaki tylko mogła się zdobyć w tych okolicznościach.

Przyszło jej do głowy, że to nie pora na eskalację wrogości. Nie teraz, gdy on był nagi, a ona prawie naga i oboje tacy... rozgrzani.

- Ostrzegałem cię chyba, co zrobię, jeśli nie będziesz spać grzecznie ze mną w mojej koi? - Przesunął rękę i wymownie poklepał ją po pośladku.

Zuzanna z ulgą przekonała się, że koszula sięga przynajmniej do tego miejsca. Mimo to jego ręka

palila przez material jak rozsarzone selazo.

- Jeśli się ośmielisz... - zaczęła sztywniejac, by pokonać ogarniającą ją słabość.

- Zuzanno - powiedział niemal znudzonym tonem. - Ośmieliłbym się. Ale stwierdzam, że nie mam ochoty wymierzać ci klapsów. MoŜesz mnie jednak do tego zmusić, jeśli naprawdę się postarasz.

Wciąż opierał dłoń o jej pośladek. Mogłaby spróbować ją zrzucić, lecz miała wraŜenie, że kaŜdy ruch w tej sytuacji byłby powaŜnym błędem.

- Pozwól mi wstać - wykrztusiła przez zeszywniałe wargi. Milczał przez chwilę.

- Powiedz proszę - odezwał się wreszcie.

- To dziecinne!

Mam wraŜenie, że juŜ ustaliliśmy, jak bardzo jestem dziecinny. A teraz powiedz: proszę, Ianie, pozwól mi wstać. Zuzanna zgrzytnęła zębami. Ale naprawdę znalazła się w cięŜkiej sytuacji, poniewaŜ niczego nie pragnęła bardziej niŜ zostać tam, gdzie była. Umysł

nadal mu nie wybaczył, serce broniło się dzielnie, lecz to głupie, płochę ciało chyba nie zrozumiało, o co chodzi. A dłoń na jej pośladku rozbudzała jakieś nieprzyzwoite pragnienia.

- Proszę, Ianie, pozwól mi wstać - mruknęła niechętnie, poddając się. Ale warto było, jeśli dzięki temu zdąŜy uciec, nim po raz kolejny zrobi z siebie idiotkę.

- Nie - odparł i choć było zbyt ciemno, by mieć pewność, zdawało jej się, że uśmiecha się drwiąco. Z wolna zdawała sobie sprawę z jego perfidii.

- Nie!?!- powtórzyła. - Ty skunksie! Ty śmierdzielu! Ty... Roześmiał się.

- Być moŜe jestem wszystkimi tymi stworzeniami, lecz jestem teŜ człowiekiem, którego musisz ugłaskać, jeśli chcesz wyjść cało z opresji, w którą sama się wpędziłaś. To będzie kosztowało cię więcej niŜ to ponure proszę. Będzie cię kosztowało całusa.

- Wolalabym pocałować... - Chciała powiedzieć świnię, ale pamiętała, jak kpił z jej sympatii dla świń, i przełknęła ostatnie słowo.

- To prawdziwe nieszczęście, skarbie. Bo jeśli nie chcesz leŜeć tu przez całą noc, musisz jednak mnie pocałować.

ROZDZIAŁ 37

- Nienawidzę cię!

- To fatalnie. No dalej, Zuzanno, pocałuj mnie. Albo będę musiał się zastanowić jak cię przekonać. - Sugestywnie poklepał ją po pośladku. Zuzanna z trudem powstrzymała się przed szarpnięciem.

- Jesteś najbardziej godnym pogardy... - Zebrała się na odwagę, ściągnęła wargi i dotknęła jego ust. -
Masz.

Zaśmiał się.

- Ty to nazywasz pocałunkiem? Prawie nic nie poczułem. Uczyłem cię przecieŜ, a teraz chcę zebrać
plony moich nauk. Pocałujesz mnie czy... - Rozsunął palce na pośladku.

Zuzanna skuliła się odruchowo.

- Dobrze! - powiedziała, patrząc na niego wrogo, choć oczywiście nie mógł tego widzieć.

Wszystko, byle oderwać się od niego, zanim podda się Œarowi, który ogarniał jej ciało.

JeŜeli natychmiast nie zabierze tej ręki, ona sama tam sięgnie, by odsunąć koszulę. Tak bardzo
pragnęła czuć dotyk jego dłoni, Œe traciła wolę walki. Pocałunek moŜe się okazać błędem, choć
miała nadzieję, Œe zapanuje nad sobą. Natomiast pozostawanie w jego ramionach było błędem z całą
pewnością.

- Prawdziwy pocałunek, z językiem i całą resztą - uprzedził. Zuzanna opanowała się, zdecydowana
dać temu Œwintuchowi to, czego Œadał. Lecz kiedy przycisnęła wargi do jego warg, on nie otworzył
ust.

- To nieuczciwe - odsunęła głowę. - Jak mogę cię pocałować, kiedy nie współpracujesz?

- Wobec tego przekonaj mnie do współpracy. - Po tonie głosu poznała, Œe uśmiecha się kpiąco.
Poczuła gniew. - Zrób to dobrze, a pozwolę ci wstać.

- To jest szantaŜ!

SzantaŜ ma swoje zalety - zauwaŜył i znów ścisnął jej pośladek. Zuzanna szarpnęła się i jęknęła.
Wrząc ze złości, starała się nie zwracać uwagi na targające nią wewnętrzne drŜenie.

Wysunęła ramiona z jego objęć - uprzejmie jej na to pozwolił - i zarzuciła mu na szyję.

- Przytul mnie mocniej i powierć się.

Szkarłatna na twarzy i wdzięczna spowijającym ich ciemnościom, Zuzanna wzmocniła uścisk. A
potem powierciła się, uŜywając tego obrzydliwego określenia.

- Och. - Głos był dziwnie chrapliwy. - A teraz język.

Z wahaniem przysunęła usta, wysunęła czubek języka i przeciągnęła po jego zaciśniętych wargach.

- Tak, dobrze. Bardzo dobrze - szepnął. - Teraz wsuń język do moich ust. I powierć się. Lubię jak się
wiercisz.

Zuzanna poruszyła się znowu, a Ian posłusznie otworzył usta. Zapomniała już jak smakuje. Gorący, lekko pachnący piśmem z aromatem tytoniu - gdzie on palił cygara? - i wilgotny, bardzo wilgotny.

- Wystarczy. Pocałowałam cię - stwierdziła, cofając się pośpiesznie. - Teraz mnie puść.

Wciąż jednak obejmowała go za szyję i tuliła się do piersi. Jej ręce stały się dziwnie bezwładne.

- Pocałowałaś mnie - przyznał, głębokim, chrapliwym głosem, który wzbudził w niej dreszcze. - A co powiesz, jeśli zrewanżuję się tym samym?

Nie, krzyczały jej myśli. Przestań, wrzeszczało serce. Ale ciało, zdradzieckie ciało, płonące od pocałunku i dotyku jego dłoni zadrżało przyzwalająco.

Oszołomiona wrzącą w umyśle walką, poruszyła się niespokojnie. Ten ruch okazał się tragiczny w skutkach. Materiał koszuli wysunął się spod jego dłoni i teraz palce spoczywały na miękkim, gładkim ciele.

- Ach. - Nie mogła stłumić tego westchnienia.

- Jeśli zamierzasz mi przerwać, lepiej zrób to szybko - powiedział tak, jakby miał

kłopoty z formułowaniem słów. - Bo sprawiłaś, że jestem gorętszy niż petarda.

- Nie - szepnęła.

- Chcesz, żebym przestał? - Sądząc po głosie, nawet samo postawienie takiego pytania sprawiało mu ból.

Nie. Zuzanna drżała, cierpiała, płonęła pragnieniem. Mocniej chwyciła go za szyję.

- Nie. - To był jęk satysfakcji.

Dłoń na pośladku przycisnęła ją mocniej. Gładził jej nagą skórę, aś przylgnęła do niego jak mech do kory dębu.

Rozpinał jej koszulę, pocałunkami podążając śladem palców. Kiedy ostatni guzik opuścił swoje miejsce, rozsunął poły i ustami prześliznął po brzuchu, dolinie między piersiami, a potem ognistym szlakiem dotarł na miękki szczyt. Zuzanna krzyknęła.

- Spokojnie - szepnął, ściągając koszulę z jej ramion.

Zuzanna miała wrażenie, że umrze, jeśli potrwa to choćby chwilę dłużej.

Pomogła mu zdjąć koszulę. Potem, co było bezwstydne i wiedziała o tym, lecz już się nie przejmowała, objęła dłońmi jego głowę i mocniej przycisnęła do piersi.

Całkiem straciła rozum, straciła rozsądek, była tylko drżącym, rozplomienionym ciałem.

- Kocham cię, kocham - krzyknęła w ostatniej sekundzie, nim uniesienie eksplodowało jak płonący pocisk.

Dopiero po chwili, tylko z pozoru bardzo długiej, uświadomiła sobie, co powiedziała.

Wtulona w niego, z głową opartą na silnym ramieniu, Zuzanna zlodowaciała. Nie miało to nic wspólnego z przeciągiem, dmuchającym tuś nad podłogą.

Nie odpowiadał, ani gdy sam się odprężył, ani później. Mośe nie słyszał, nie zrozumiał jej wyznania.

Minęła jeszcze chwila. Wycisnął na jej wargach szybki, mocny pocałunek i usiadł. Po kilku sekundach stał już na nogach, a ona szukała na podłodze odrzuconej koszuli. Wiedziała, choć nie zdawała sobie sprawy skąd, co on zamierza.

Uderzenie krzemienia potwierdziło domysły. Zajaśniał płomyk latarni i ciepły, złocisty blask zalał całą kajutę, Ian umocował klosz i spojrzał na Zuzannę spod zmrużonych powiek. Obciągnęła brzegi koszuli. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Coś podobnego - powiedział. - To bardzo ciekawe. Mówiłaś poważnie?

Nie wiem o co ci chodzi. - Lecz oczywiście wiedziała. Wyraz jego twarzy świadczył, że zdaje sobie z tego sprawę równie dobrze jak ona.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz. Czy naprawdę? Obserwował ją tak, jak ptak może obserwować szczególnie soczystą dżdżownicę. Zuzanna z trudem wytrzymywała to spojrzenie.

- Być może. Wtedy. - Czyśby był rozczarowany?

Tylko wtedy? Było jasne, że nie zamierza zostawiać tej sprawy. Wstałaby i odwróciła się, lecz ta koszula, choć doskonale okrywała ją powyżej ud, pozostawiała jednak na widoku sporą część obnażonych nóg. To głupie, naturalnie, martwić się, że zobaczy kawałek jej nogi, podczas gdy on stał przed nią goły jak niemowlę, a w dodatku pięć minut temu kochali się gorąco. A jednak nie potrafiła wyzbyć się wstydu.

- Czy to takie ważne? - spytała więc wprost. Ściągnął wargi.

- Owszem. Dla mnie ważne. Przecież to proste pytanie: czy mnie kochasz?

Patrząc na niego, próbując obmyśleć jakąś odpowiedź, która nie całkiem byłaby kłamstwem i jednocześnie pragnąc wyznać wszystko, Zuzanna poczuła, że zasycha jej w gardle. Wiedziała, że ryzykuje złamanym sercem, i że tym razem ból będzie większy niż

poprzednio.

- Och, jeśli musisz to wiedzieć, to tak - odparła i mimo wysiłków spuściła oczy.

Wyczuła raczej niż zobaczyła, że poruszył się. I nagle był tuż przed nią, trzymał ją za brodę.

- Tak, co? - Uśmiechnął się, choć nie do końca był to uśmiech, i spojrzał jej w oczy.

W czasie tej dzikiej nocy włosy wysunęły mu się spod wstążki i opadły okalając twarz. Wygiął zmysłowo wargi, a wzrok miał ciepły i skupiony. Sam jego widok sprawiał, że serce zaczynało jej mocno bić.

- Tak, kocham cię, Ianie - szepnęła, gdy nie mogła trzymać tego dłużej w sekrecie.

Uśmiechnął się wtedy, tym razem naprawdę, i uszczypnął ją w brodę.

- To bardzo ciekawe - powiedział niemal obojętnie. - Ponieważ, widzisz, ja też cię kocham.

ROZDZIAŁ 38

Śadna podróż poślubna nie była nigdy tak cudowna jak pozostałe trzy tygodnie rejsu.

Odrzuciwszy zahamowania, Zuzanna oddała się Ianowi ciałem i duszą. Kochała go z ognistą pasją, o której wiedziała, że wystarczy jej na całe życie. Jeśli nawet nie całkiem ufała jemu czyjego zapewnieniom o uczuciach dla niej, cóż, będzie się martwić później. Teraz, nieważne jak długo miało to potrwać, należało do niej i nie liczyło się nic więcej. Nie tęskniła nawet za rodziną i nie przypominała Ianowi, że obiecał odwiedzić ją do domu zaraz po przybyciu do Anglii. Zamiast tego napisała list, gdzie opisała niemal wszystko, co się jej przydarzyło, i przyrzekała wrócić najszybciej, jak tylko zdoła. Szczęśliwa z Ianem, jeśli nie mogła o nich zapomnieć, to przynajmniej starała się nie myśleć.

Anglia, kiedy wylądowali, nie spełniła jej oczekiwań. Przede wszystkim, jak uprzedzał

Ian, była chłodna. Dla kogoś przyzwyczajonego do życia w krainie wilgotnego, niemal tropikalnego upału, okazała się po prostu zimna. W dniu kiedy przybyli do Londynu, szara mgła otulała miasto niczym koc i przesłaniała ulice. Pogarszały ją jeszcze tysiące kominów, wypływając w zakryte niskimi chmurami niebo gęste, tłuste kłęby dymu. Drobne, czarne płatki sadzy, płynęły w powietrzu jak śnieg. To, co zdołała zobaczyć, nie zrobiło na niej szczególnego wrażenia. Stojące jeden przy drugim ceglane domy, z rzadka tylko jakieś źdźbło trawy lub drzewo. Tłumy ludzi śpieszących tu i tam, sprzeczki wybuchające z najbłahszych przyczyn. Sprzedawcy zachwalali swój towar ostrymi głosami, których Zuzanna prawie nie rozumiała. Powozy wszelkich rozmiarów i kształtów wypełniały ulice, pędząc w obie strony z przerażającą szybkością. Na jednej z ulic, którą Ian nazwał Piccadilly, czarny faeton z ozdobionym złotymi liśćmi herbem na drzwiach przejechał tak blisko, że niemal otarł się o ich wynajęty powóz. Zuzanna odskoczyła od okna, do którego przyklepiła nos.

- Co się stało? - zapytał leniwie Ian.

Zadowolony uśmiech igrał mu na wargach, gdy obserwował, jak z szeroko otwartymi oczyma podziwiała Londyn. Zuzanna widziała ten uśmiech i wiedziała, że to ona jest źródłem rozbawienia. Zbyt jednak była zaciekawiona, by się obrażać.

- Ten powóz... prawie się z nami zderzył.

Wyrzwał przez okno, po czym wrócił do poprzedniej pozycji: długie nogi wyciągnięte do przodu, skrzyśowane w kostkach, głowa oparta o wytartą welwetową poduszkę, ramiona uniesione i palce splecione na karku. Był taki przystojny w tej pozie, że niewiele brakowało, by się pochyliła i go pocałowała.

Wiedziała jednak, że wtedy porwie ją w ramiona i rozpocznie sesję gorącej miłości już

tutaj, w powozie. Najlepszy dotyk czy uśmiech potrafił rozbudzić u Iana wielki apetyt na miłość, o czym przekonała się z dużą ciekawością. A nie miała zamiaru dotrzeć do celu - do hotelu, jak powiedział Ian - z potarganymi włosami i ubraniem w nieładzie. Zadowolila się więc uśmiechem.

- To tylko Cambert. Wierzy, że potrafi powozić co do cala, ale w rzeczywistości ma cięskie, niezręczne łapska. Słusznie się obawiałaś, że może nas zahaczyć. Miał już parę takich wypadków.

- Cambert? Ian zachował się tak, jakby nieuważny woźnica był jego dobrym znajomym.

Ale powóz był wyraźnie przeraźliwie drogi, a mężczyzna na koźle nosił strój, który kosztował chyba bająnskie sumy. To dziwne, że człowiek, który w drodze liczył każdego szylinga i pensa, przyznawał się do znajomości z tak oczywiście bogatym, londyńskim dżentelmenem. A jednak, choć była pewnie głupia, ten diabeł o jedwabnym języku prawie ją przekonał, że naprawdę jest markizem. Na pewno chciała w to wierzyć... jak we wszystkie jego słowa.

- John Bolton, lord Cambert. Jest nieco starszy ode mnie, ale znamy się już z dziesięć lat.

W jej wzroku musiało się odbić ząptwienie, gdy wyprostował się nagle i uśmiechnął.

- Wciąż mi nie wierzysz, prawda?

Opuścił szybę w oknie i krzyknął coś do woźnicy. Po chwili powóz zjechał na bok i skręcił w lewo.

- Co ty robisz? - Zaniepokoiła ją pełna zadowolenia mina Iana.

- Zabieram cię do mojego bankiera. Chciałem się zachować jak dżentelmen i najpierw odwiedzić cię do hotelu, byś mogła odpocząć, a samemu zająć się twardymi i ponurymi realiami życia, takimi jak zdobywanie funduszy. Ale zmieniłem zdanie. Przygotuj się na uczczenie tryumfu, kochanie. Zuzanna zmarszczyła brwi.

- Nie chodzi o to, że ja ci nie wierzę, właściwie, ale...

- Otóż to. Właściwie. Nie potrafię ci wytłumaczyć jak bardzo zranił mnie twój brak wiary. Musisz wiedzieć, że nie skłamałem ci ani razu.

- Akurat! Ian wzniósł oczy do nieba.

- Widzisz? Ona mi nie wierzy! - powiedział śałośnie, jakby zwracał się do wyższych potęg. Zuzanna

musiała się roześmiać.

- Jeśli naprawdę jesteś markizem...

- Jestem.

- ...bogatym jak Krezus...

- Też jestem. Lub byłem. Sytuacja trochę się skomplikowała, lecz mam nadzieję, że matka, która żywi głęboką niechęć do skandali i jeszcze większy lęk o własną skórę, nie naruszyła moich pieniędzy. Chodziło jej raczej o tytuł dla brata. Podejrzewam, że póki nie zdobędzie dowodu mej śmierci, nie będzie się spieszyć z przejmowaniem majątku.

W to właśnie najtrudniej mi uwierzyć: że twoja matka i brat mogliby pragnąć twojej śmierci, a nawet spiskować, by cię zabić. Rozbawienie zniknęło z jego twarzy, zastąpione jakimś nieugiętym i twardym wyrazem.

- Mówiłem ci już, że matka tak się od ciebie różni jak noc od dnia. Nigdy o mnie nie dbała. Zresztą brat też nie. Zupełnie zatruła uczucia Edwarda wobec mnie.

- Co z twoim ojcem? Jeśli to możliwe, Ian zamknął się w sobie jeszcze bardziej.

Gdy miałem dziewięć lat, ojciec miał wypadek na polowaniu. Ściśle rzecz biorąc, przypadkowy strzał rozniósł mu połowę czaszki. Ale żyje. W każdym razie jego ciało przeżyło. Przez te dwadzieścia dwa lata nie odzyskał sprawności umysłu.

- Jakie to straszne! - Serce Zuzanny ścisnęło się z żalu.

Z szelestem spódnicy jej najlepsza czarna popelina trochę się podniszczyła z powodu długotrwałego używania - przesunęła się, usiadła przy nim i objęła za szyję.

- Nie martw się, skarbie - szepnęła, całując go w policzek. - Jest w tym prawda co mówią, że ci, którzy mieli trudne dzieciństwo będą mieli wyjątkowo szczęśliwą starość.

- Mam nadzieję - odparł Ian, a w jego głosie znów wyczuła wesołość. Wsunął dłoń za jej głowę i wargami odszukał usta. Powóz zahamował.

- Niech to szlag - mruknął Ian. - Choć może i dobrze. Pewnie nie chcesz stanąć przed panem Dumboldtem, wyglądając jakbyś właśnie skończyła igraszki na sianie, czy w naszym przypadku w powozie.

- Nie. - Zuzanna otarła usta i przyglądała dłonią włosy. - Nie powinnam. Ianie, może jednak będzie lepiej, jeśli zawieziesz mnie najpierw do hotelu. Uśmiechnął się, znów całkowicie opanowany.

Nic z tego, skarbie. Chcę wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze. Wóznicy otworzył drzwi, Ian wysiadł i podał dłoń Zuzannie. Stali przed typowym, wysokim i wąskim ceglany budynkiem, gdzie przymocowana do fasady tabliczka poważnymi czarnymi literami na szarym tle głosiła: „Panowie M.

Dumboldt i synowie”.

- A skąd wiesz, że jest w domu? - zawahała się Zuzanna.

Dumboldt zawsze jest w domu - odparł spokojnie Ian. Prowadząc Zuzannę przed sobą, pokonał schody i wszedł do środka, nie zatrzymując się nawet, by zapukać. W wypełnionym meblami gabinecie siedzieli dwaj mężczyźni. Młodszy, ubrany jak do wyjścia, tylko bez kapelusza, zajmował miejsce przy biurku i spierał się o coś ze starszym dżentelmenem w samej koszuli. Sądząc po identycznych profilach, musieli być ojcem i synem.

- Dzień dobry, Dumboldt. Dzień dobry, Tony - odezwał się przyjaźnie Ian, wprowadzając Zuzannę do pokoju.

Obaj mężczyźni podskoczyli, jakby ktoś nagle wystrzelił, i wytrzeszczając oczy spoglądali na Iana. Młodszy, Tony, jak się domyśliła Zuzanna, zerwał się na nogi.

- Derne! - sapnął Dumboldt.

- O Boże! - krzyknął Tony.

- Muszę porozmawiać z panem o interesach, Dumboldt. Jeśli nie sprawi to panu kłopotu, możemy przejść do prywatnego gabinetu. - Ian zachowywał się uprzejmie, ale nawet najbardziej ograniczona osoba mogła dostrzec, że mimo wytartego ubrania to Ian był człowiekiem, któremu tamci chcieli usłużyć.

- Sądziłem ... to znaczy powiedziano nam... ee, była taka sugestia, że może pan być, ee... - Dumboldt przerwał i zaczerwienił się.

- Powiedziano nam, że pan nie żyje - dokończył otwarcie jego syn. Ian pokręcił głową.

- Jak widać, to nieprawda. Choć po prawdzie starano się, by nią była. Opowiem panu całą historię na osobności. Poproszę także, by ją pan zanotował, na wypadek gdyby osoba za to odpowiedzialna raz jeszcze próbowała usunąć mnie z tego świata. Ale najpierw chciałbym przedstawić pana mojej siostrze. Zuzanno, to pan Dumboldt i pan Tony Dumboldt.

B... bardzo mi miło - Zuzanna zająknęła się lekko, gdy nie podobało jej się, że przedstawił ją jako swoją siostrę. Lecz, jak twierdził Ian, alternatywa była jeszcze gorsza, więc czy jej to podobało czy nie, uznała, że musi się pogodzić z kłamstwem.

- Milady. - Obaj mężczyźni skłonili się głęboko.

Zuzanna szeroko otworzyła oczy i ponad ich głowami spojrzała na Iana. Uśmiechał się tryumfalnie.

- A... i żeby wyjaśnić wszystko do końca. Dumboldt, kim jestem?

- Słucham, milordzie?

Jak się nazywam, człowieku! Moje nazwisko! - powtórzył niecierpliwie Ian.

Dumbledore odpowiedział pośpiesznie, choć wyraźnie uważał pytania za w najwyższym stopniu dziwne.

- No więc, jest pan Ianem Charlesem Michaeliem Georgem Henrym Connollym, milordzie.

- A tytuł? - Szare oczy wpatrywały się w Zuzannę. Wiedziała co usłyszy, zanim Dumbledore powiedział pierwsze słowo.

- Markiz Derne, baron Speare, lord...

- Wystarczy, Dumbledore, bardzo ci dziękuję. - Spojrzał kpiąco na Zuzannę i zwrócił się do Dumbledore'a. - A teraz gdybyśmy przeszli na stronę...

Oczywiście, milordzie. Natychmiast. Starszy mężczyzna wprowadził ich do swego gabinetu. Zachowywał się niemal słuŹalczo. Oszłomiona Zuzanna słuchała, jak Ian precyzyjnie opisuje wszystko, co mu się przydarzyło (opuścił tylko niektóre elementy, na przykład chłostę, którą przeŹył) i kto był za to odpowiedzialny. Wydawało się, Źe prawdą było wszystko, co powtarzał jej przez sześć tygodni, poczynając od fałszywego oskarŹenia (nie pozwolono mu mówić na procesie, a jego toŹsamość nie została w ogóle ujawniona), aŹ

po mordercę, który podąŹył za nim do Karoliny.

A teraz Ian Charles Michael George Henry Connelly, markiz Derne, ostatnio skazaniec i słuŹa panny Zuzanny Redmon z Beaufort w Karolinie, powrócił, by zemścić się.

Wychodząc juŹ, Źegnany gorącymi zapewnieniami Dumbledore'a, Źe podejmie wszelkie kroki, by markizowi Derne nie groziło powtórzenie tej obrzydliwej sprawy, Ian obrócił się w drzwiach i zapytał niemal z roztargnieniem:

- A co u mojego ojca? Nie słyszałaś moŹe?

- Milordzie, poza wieściami o twojej rzekomej śmierci, prawie nie kontaktowałem się z pańską rodziną. Gdyby jednak cokolwiek spotkało jego ksiąŹęcą wysokość, jestem pewien, Źe zostałbym poinformowany.

- Tak. - Ian włoŹył na głowę nieco wyŹwiechtany trójganiasty kapelusz i chwycił

Zuzannę pod rękę. - Nie przypuszczam, by ośmielili się coś mu zrobić, póki nie zyskali pewności, Źe zginąłem.

- Nie, milordzie. I ja tak przypuszczam - odparł smutnie Dumbledore. - Sądę, Źe Tony sprowadził juŹ powóz.

- Dziękuję, Dumboldt.

- To dla mnie zaszczyt, milordzie, jak zwykle.

Gdy jechali do hotelu, Ian uśmiechnął się złośliwie.

- I co?

Zuzanna zaczerwieniła się.

- Myliłam się co do ciebie. Serdecznie przepraszam. Roześmiał się.

- To nie wystarczy, dziewczyno. Chodź tu i zacznij mi to rekompensować.

Ostrzegam, że może to zabrać sporo czasu, gdyś poważnie uraziłaś moje uczucia. Miną tygodnie, miesiące, lata zanim mi odpłacisz.

Otworzył ramiona. Zuzanna przeszła go najpierw strofującym spojrzeniem, potem miną okazała, że akceptuje warunki kapitulacji. I padła mu w ramiona. W końcu istniały gorsze kary.

ROZDZIAŁ 39

Hotel „Crillon”, w którym się zatrzymali, był najbardziej luksusowym przybytkiem, jaki Zuzanna w Syciu widziała. Marmurowe podłogi, złożone sufity, a na ścianach freski przedstawiające leśne łąki, przejrzyste błękitne jeziora i cherubiny. Pokój, który dzieliła z Ianem był oszalamiający. Wszystko wydawało jej się wprost cudowne, poczynając od wielkiego, bogato rzeźbionego łóżka z baldachimem, mahoniowej szafy i toaletki z lustrem, a

po zwierciadło tak wysokie, że mogła widzieć całe swoje odbicie.

Zachwyt musiał odbić się na jej twarzy, gdyś Ian roześmiał się i pocałował ją. Później, kiedy zademonstrował jej wyjątkową przewagę tego akurat materaca nad wszystkimi, jakie dotąd dzielili, zamówił do pokoju olbrzymi obiad i wyraźnie świetnie się bawił obserwując, jak Zuzanna próbuje dziwnych potraw. Wydały jej się troszkę mdłe, ale by zadowolić Iana zachwycała się głośno.

Ian zdecydował, że następną sprawą do załatwienia jest garderoba dla nich obojga.

Zuzanna nie znalazła powodów, by protestować. Miała już serdecznie dosyć swojej czarnej sukni.

Sam powołał małym, wypożyczonym z hotelu powozikiem, zabrał ją do ekskluzywnego, niewielkiego magazynu Madame de Vangrisse. Przed wejściem Zuzanna zawahała się. Z zewnątrz lokal wyglądał dość skromnie, miał jedno okno wystawowe, a w nim doprawdy piękną suknię ze złocistej satyny. Lecz gdy Ian otworzył drzwi, Zuzanna wstrzymała oddech. Bele wyszukanych tkanin leżały rozrzucone na miękkich sofach i kanapach w wielkim, wyłożonym dywanami pomieszczeniu. Materiały w krzykliwych kolorach spływały z nisz w ścianach. Wszędzie wisiały wysokie zwierciadła, a w nich przeglądały się najelegantsze kobiety, jakie Zuzanna w Syciu widziała. Równie eleganccy dżentelmeni siedzieli w fotelach i na sofach, obserwując damy prezentujące nowe suknie.

-
Nie mogę tam wejść!

Gdyby nie stał tuś za nią, Zuzanna cofnęłaby się od drzwi. Ta wyszukana dekadencja nie była dla takich jak ona! Lecz Ian z kpiącym uśmiechem popchnął ją lekko do środka.

- Oczywiście, że możesz. Od pierwszego spojrzenia marzyłem, by zobaczyć cię odpowiednio ubraną. Zauważyłem, że chociaż wykonujesz różne rzeczy dla sióstr, rzadko szyjesz suknie dla siebie.

- To dlatego, że nie są mi potrzebne. Rozmawiali szeptem, lecz Zuzanna czuła się coraz bardziej zakłopotana.

Niektóre z dam oglądały się, by spojrzeć na nowo przybyłych. Przyglądały się jej, a potem wzruszały ramionami z wyraźną wzdargą, Ian na dłuższej przyciągał ich uwagę, ale że patrzył tylko na Zuzannę, a jego strój sugerował prowincjusza, i on był wkrótce ignorowany.

- Teraz będą ci potrzebne. Nie pozwól, by te kobiety cię onieśmieliły. Jesteś warta więcej niż one wszystkie razem wzięte. Hellen Dutton, tam... - Ruchem głowy wskazał

wysoką, piękną blondynkę. - Może i jest hrabiną Blakely, ale też jedną z najbardziej znanych rozpustnic w Londynie. Jej dzieci nazywają gromadką z Baddington, gdyś każde zostało poczęte przez innego ojca. Ma ich siedmioro.

Mówił dalej, szepcząc jej do ucha nieprzyzwoite historie o tych pięknych kobietach.

Wreszcie Zuzanna musiała się roześmiać - tak absurdalne było zestawienie ślicznych twarzy ze sprośnymi opowieściami. Podejrzewała, że większość wymyślił. Gdy jednak odwróciła głowę, by mu to zarzucić, dostrzegła dziewczynę, obserwującą ich lekceważąco spod wysoko uniesionych brwi.

- Czy mogę w czymś państwu pomóc? - spytała lodowatym tonem. Było jasne, że strój Zuzanny, niezbyt elegancki w Beaufort, w stolicy wyglądał tysiąc razy gorzej; nie znalazł więc uznania w jej oczach. Zuzanna zeszywniała. Nie lubiła, gdy zwracano się do niej w ten sposób.

Jak widzisz, potrzebuję sukni - odparła stanowczo. Postawa dziewczyny zmieniła się lekko, gdyś Zuzanna wypowiedziała to zdanie z wyższością, mimo iż była kilka centymetrów niższa od pomocnicy Madame Vangrisse.

- Powiedz Madame, że przyjechał Derne - oświadczył Ian, uśmiechając się lekko.

Tak, proszę pana - odparła tym razem już grzeczniej i odeszła. Po chwili zjawiała się drobna kobieta o włosach w nieprawdopodobnym odcieniu czerwieni. Przez chwilę przyglądała się Ianowi podejrzliwie, a potem z okrzykiem rzuciła mu się na szyję.

- Miło cię znowu widzieć, Bridget. - Ian takś ją uścisnął.

Mon cher Derne! - Zuzanna zeszywniała, patrząc jak te w oczywisty sposób uszminkowane wargi wycisnęły pocałunek na ustach Iana. - Jak dobrze znowu cię widzieć!

Gdzie się ukrywałeś? Poza Londynem, prawda? Przyprowdziłeś mi nową klientkę? -

Odsunęła się, by spojrzeć na Zuzannę. - Pewnie krewna? Sugestia, że nie jest kobietą, którą Ian wybrałby na towarzyszkę, gdyby nie była jakąś kuzynką, dla Zuzanny była oczywista, Ian jednak puścił ją mimo uszu.

- Zuzanna jest moją markizą - odparł, z sympatią szczypiąc kobietę w policzek. -

Pochodzi z Kolonii i, jak widzisz, trzeba doprowadzić jej strój do porządku. Potrzebuję dla niej pełnej garderoby, wszystko nowe, od samej skóry i to w ciągu tygodnia. Jedną lub dwie suknie chcemy zabrać już dzisiaj.

Jedna, dwie dzisiaj, a reszta w ciągu tygodnia! Alors, przyjacielu, prosisz o wiele!

Będzie to sporo kosztować, jak sam pewnie pojmujesz, ale rzecz jest do zrobienia. - Bridget zwróciła swe czarne oczy na Zuzannę i oceniła jej figurę. - Och, nic nie widzę przez tę... tę suknię. Musimy zdjąć ją z ciebie, milady, a potem się zobaczy. Skinęła na Zuzannę i odeszła.

Zuzanna obejrzała się nerwowo na Iana, a on uśmiechnął się.

- Idź - powiedział. - Nie zje cię. Poczekam tutaj. Nie mam zamiaru pozwalać, byś sama wybierała suknie. Wiem, że znowu zdecydowałabyś się na włosienicę i posypała głowę popiołem.

- Pani markizo, *s'il vous plait*, czas nagli! - zawołała Bridget przez ramię.

Natychmiast głowy niemal wszystkich dam w magazynie odwróciły się i dziesięć par oczu wbiło w Zuzannę swe spojrzenia. Cichy szum rozmów towarzyszył jej, gdy szła przez pokój. Zuzanna wysoko uniosła głowę, choć słysząc wygłaszane komentarze, nie mogła powstrzymać rumieńca.

- Słyszałaś kto to jest? Markiza Dernego!

- Nonsens! Markiz nie ośeniłby się z myszą!

- Słusznie, tym ona właśnie jest. No cóż, Derne jest wystarczająco przystojny za nich oboje. O, patrz, przyszedł razem z nią! Muszę się przywitać. Nie widziałam go od wieków. Chyba nie było go w kraju?

Rozmowy trwały, lecz Zuzanna dotarła do sanktuarium magazynu - przebiegła.

Policzki jej płonęły. Mysz, myślałby kto!

- Zechciej się nie poruszać, milady, a pomogę ci zdjąć tę suknię.

W mgnieniu oka została rozebrana do gołej skóry. Oczy Bridget rozszerzyły się na widok wypukłości

i zagłębien jej ciała.

- *Sacre bleu*, to zbrodnia przeciw naturze, by ukrywać takie kształty pod łachmanem! -

Bridget z niesmakiem spojrzała na starą suknię Zuzanny.

Zuzanna miała przeczucie, że już nigdy nie zobaczy swojej najlepszej niedzielnej sukienki i nagle poczuła zadowolenie. Jeśli nie może być piękna, przynajmniej nie musi być zaniedbana. Zastanowiła się, dlaczego tak bardzo przejmuje się swoim wyglądem, któremu przecieś nigdy nie poświęcała uwagi. Lecz wtedy, bez żadnego namysłu, odpowiedź sama pojawiła się w jej głowie: Ian. Dla Iana chciała wyglądać atrakcyjnie.

- Masz piękną figurę, milady. Muszę przyznać, że jestem zachwycona.

Piękną figurę? Zuzanna spojrzała w zwierciadło. Zarumieniła się, widząc w nim odbicie swojej nagości, i szybko odwróciła wzrok. Ta ocena jednak pozostała w jej pamięci, łagodząc urazę po porównaniu z myszą.

- I fryzjera, prawda? - spytała Bridget, pokazując Zuzannie stopy delikatnej jedwabnej bielizny. - Lisetto, przyslij tu natychmiast Klotyldę i przynieś tę złotą suknię z wystawy!

Jedwabna bielizna! - myślała Zuzanna, pozwalając wciągnąć sobie przez głowę delikatnie haftowaną koszulę. Mandy byłaby zachwycona! Zuzanna poczuła ukłucie bólu na wspomnienie siostry. Wszystkich sióstr. I papy. Wprawdzie bardzo kochała Iana, lecz zaczynała już tęsknić za rodziną.

Zuzanna została zasznurowana w fiszbiny satynowego gorsetu, który podniósł jej piersi do granic przyzwoitości i sprawił, że wąska talia wyglądała jeszcze cienie. Na nogi wsunięto jej jedwabne pończochy, zabezpieczone wstęgami podwiązek. Zanim włożyła halkę, krynolinę i złote atłasowe pantofelki z jedwabnymi kwiatami i pięciocentymetrowymi obcasami (odrobinę za duże, lecz Bridget wypchała czubki watą i zapewniła, że na razie wystarczą) była już bardziej niż trochę zmęczona podążaniem za modą. Tylko pamięć o tym, że nazwano ją myszą, powstrzymywała Zuzannę od przzerwania tego przedstawienia.

Przeciągnięto jej przez głowę złotą suknię, spięto w talii, gdzie była za szeroka i zdjęto na powrót. Wzięto miarę. Zjawiła się Klotylda, siostra Bridget i zaczęła układać włosy Zuzanny.

- *Ils sont beaux* - zawołała, podziwiając falującą masę loków. Mimo to bezlitośnie zaatakowała je nożyczkami, natarła pachnącą pomadą, a potem upięła wysoko. Następnie raz jeszcze ubrano Zuzannę w złocistą suknię.

Dziewczyna miała wrażenie, że przebywa w magazynie całe godziny. Bridget zapewniła jednak, że minęły najwyżej trzy kwadransy.

Na myśl o Ianie, który czeka na nią tak długo, ruszyła w pośpiechu, by mu się pokazać. Bridget zatrzymała ją.

- Nie chce pani spojrzeć w lustro? - spytała wyraźnie urażona. Zuzanna zrozumiała nagle, że chce,

bardzo chce zobaczyć, jak wygląda. I otworzyła usta ze zdumienia.

Młoda kobieta, która spoglądała na nią z lustra, była złocistą wizją. Lśniaca satyna błyszczała w jasnym świetle lamp. Kaskady jasnej koronki opadały na ręce i szerokimi falbanami zdobiły spódnicę. Prostokątny, głęboki dekolt ukazywał górną część piersi, które przede wszystkim zwróciły uwagę Zuzanny. Uznałaby to za nieprzyzwoite, gdyby nie fakt, że wszystkie damy nosiły takie suknie. Mimo to z trudem powstrzymała się, by nie zakryć dekoltu dłońmi. - Nie sądzisz, że jest zbyt głęboki? - zwróciła się do Bridget, która stała obok podekscytowana.

- *Non, madame, to jest le dernier cri!* - zapewniła kobieta. - Proszę spojrzeć na fryzurę! Czyż nie jest wspaniała?

Tak zachęcona, Zuzanna spojrzała i poczuła się wstrząśnięta. Klotylda wysoko upięła włosy w gęstwę luźnych loków, dodając jej tym wzrostu i jednocześnie wyszczuplając twarz.

Szeroki podbródek wydawał się niemal owalny, a złocista suknia budziła złote iskierki w oczach. Włosy także lśniły złotem, dzięki tajemniczej pomadzie Klotyldy.

- I talia... jest tak wąska! Derne wpadnie w zachwyty! Choć oczywiście on już wie, co ukrywała ta wronia sukienka! - Wypowiedzi towarzyszył znaczący chichot.

Na myśl o tym, że Ian zaraz ją zobaczy, Zuzannę ogarnął wstyd. Nie była jeszcze gotowa, by pokazać mu się w tym stroju. We własnych oczach wyglądała wspaniale, a Bridget i Klotylda oczywiście powiedzą to, co lepsze w ich interesie. Lecz jak oceni ją Ian?

Nade wszystko nie chciała wydać mu się śmieszna. Na myśl przyszło jej określenie „owca udająca jagnię”.

- Chodźmy, milady. Musimy zaskoczyć pana Derne.

Bridget pociągnęła ją do frontowego pokoju. Zuzanna potknęła się, nie przyzwyczajona do wysokich obcasów, ale uspokoiła się widząc luno. Uniosła głowę i wyprostowała plecy. Być może wyda się śmieszna, lecz stanie przed nim z godnością.

Gdy szła ku niemu, spojrzał na nią tak, że Zuzanna znów miała ochotę zakryć dłońmi głęboki dekolt. Na jej policzki wypłynął gorący rumieniec. Jak śmie patrzeć na nią w ten sposób! I wtedy dostrzegli, że jeszcze nie poznał, kogo pośrokiem.

- *Voilà, milordzie!* - oznajmiła Bridget i Ian przeniósł wzrok na twarz Zuzanny.

Widziała jak szeroko otwiera oczy, jak przygląda się jej z niedowierzaniem i wstaje.

- Mój Boże! - powiedział dziwnie zduszonym głosem, podczas gdy spojrzeniem chłonał upięte wysoko włosy, modne pantofelki i kaskady koronki. - Mój Boże, Zuzanno, jesteś prawdziwą piękną! Ktoś by się tego domyślił?

- Derne, to ty?

Słodki, kobiecy głos nie przygotował Zuzanny na widok tej olśniewającej piękności, która przemknęła obok i rzuciła się Ianowi na szyję. Zaskoczony, zdążył tylko powiedzieć

„Serena...”, a kobieta znalazła się w jego ramionach. Wypielęgnowane palce wsunęły się w czarne włosy, by ściągnąć jego głowę do pocałunku.

Trzeba przyznać, że Ian rzucił Zuzannie dość rozpaczliwe spojrzenia, gdy Serena całowała go, jakby był utraconą miłością jej Sycia. Zresztą prawdopodobnie był.

- Och, *madame*, proszę się nie przejmować. Ona to już... historia, tak? Z czasów przed małżeństwem- szepnęła pocieszająco Bridget, gdy Ian chwycił Serenę w pasie i siłą odsunął

od siebie.

- Gdzie się podziewałeś, najdroższy? - spytała płaczliwie Serena, kładąc szczupłe dłonie na rękawach jego surduta. Przyjrzawszy się dodała: -1 czemu jesteś ubrany jak prowincjusz? To niepodobne do ciebie, Derne. Ty, który zawsze jesteś na szczycie!

- Wyjechałem do Kolonii z powodów, o których wolałbym tu nie mówić. Uwierz, było mi przykro, że opuściłem cię bez słowa. Ale przywiozłem ze sobą kogoś, kogo powinnaś poznać.

Derne jest niemożliwy. Tak bezczelny, że przedstawi Sonie kochankę! -szepnęła Bridget na strome do Klotyldy, która właśnie stanęła obok. Zuzanna usłyszała to i spojrzała na nie gniewnie. Nie potrzebowała Bridget, by wywnioskować, że Ian i ta kobieta byli kiedyś więcej niż przyjaciółmi. Świadczył o tym sposób, w jaki go dotykała, timbre głosu, gdy mówiła o nim najdroższy, i jego czuły wzrok. Dopiero potem Zuzannie przyszło do głowy, że przecież ona nie jest Sioną Iana. Ale gdy obserwowała tę bezwstydną kreaturę lepiącą się do jej mężczyzny, czuła się jak zdradzona małżonka.

Ian obrócił kobietę w jej stronę. Zuzanna spojrzała na piękną, białą jak lilia twarz pod upiętymi, kruczoczarnymi włosami, na wielkie ciemne oczy, usta jak pączek róży i wysoką obfitą figurę, doskonale podkreśloną ciemnozieloną suknią z jeszcze większym niż jej dekoltem. I wiedziała, że w każdym konkursie piękności ta kobieta zwyciężyłaby bezapelacyjnie. Nawet Mandy nie mogłaby się z nią mierzyć.

- Zuzanno to jest Serena, lady Crewe. Sereno, to jest Zuzanna, moja Sona.

Zuzanna zauważyła lekkie wahanie w jego głosie, gdy nazwał ją Sioną.

Domyśliła się, że gdyby nie zwiódł w ten sposób Bridget i Klotyldy, byłby bardziej prawdomówny. W końcu chyba nie chciał, by lady Crewe pomyślała, że jest nieosiągalny do rozgrzania jej łoża!

- Twoja... Sona! - Serena otworzyła usta i rozszerzonymi oczyma spojrzała na Zuzannę.

Zuzanna dziękowała Bogu, że nie nosi już swojej najlepszej niedzielnej sukni.

Wprawdzie nie mogła konkurować z urodą tej kobiety, ale przynajmniej nie czuła się zupełnie pokonana. Uniosła głowę, rzuciła Ianowi groźne spojrzenie i wyciągnęła dłoń.

- Witam, lady Crewe - powiedziała spokojnie. Serena takŜe obejrzała się na Iana.

- JakiŜ czarujący akcent - wymruczała, czubkami palców muskając lekko dłoń Zuzanny. - Z Kolonii, mówiłeś chyba?

- Pochodzę z Karoliny - odparła Zuzanna. Nie chciała, by Ian mówił w jej imieniu.

Kobieta juŜ jej nie cierpiała, to było jasne. Trudno się dziwić, skoro z pewnością uznała, Őe Zuzanna ukradła jej męŜczyznę.

- Czarujące - mruknęła znowu Serena i odwróciła się do Iana. -Zawsze przyjemnie jest odnowić stare znajomości, prawda?

- Czasami - odparł z uśmiechem.

Ku wściekłości Zuzanny, Serena połoŜyła mu dłoń na ramieniu, stanęła na palcach i szepnęła coś do ucha. Uśmiechnął się znowu, pokręcił głową i zaszeptał coś w odpowiedzi.

- Ach, *madame la marquise*, zabierze pani ze sobą takŜe błękitną suknię?

Dokonałyśmy wszystkich poprawek. Reszta będzie gotowa za parę dni.

Bridget z dobrego serca próbowała odwrócić jej uwagę. Zuzanna zrozumiała to i skinęła głową. Nie przeoczyła jednak pocałunku, który Serena złoŜyła Ianowi na poŜegnanie i klepnięcia w siedzenie, jakim ją obdarzył w rewanŜu. Jasne rumieńce wypłynęły na policzki Zuzanny, a wzrok jakim go obrzuciła, gdy wychodzili z magazynu, niemal krzeszał iskry.

- Jeśli język ci nie płonie od tych wszystkich kłamstw, jakich nagadałeś, to powinien -

oświadczyła z sztucznym uśmiechem, gdy pakował sprawunki do powozu.

Ignorując jego dłoń, sama wsiadła i prawie się przewróciła, zahaczając obcasem o próg. Z godnością odzyskała równowagę i usiadła sztywno wyprostowana, Ian zajął miejsce obok.

- A o które konkretnie kłamstwo ci chodzi? - zapytał z niemal przesadną uprzejmością, gdy juŜ cmoknął na konia i ruszyli.

Z wprawą kierował powozem na zatłoczonej ulicy. Lecz Zuzanna prawie nie zwróciła uwagi na to, jak zręcznie wsunął się pomiędzy wóz mleczarza i powozik, mając mniej niŜ cal luzu.

- To, Őe jestem twoją markizą. Lady Crewe bardzo się zdenerwowała, gdy przedstawiłeś jej swoją Őonę. - Zuzanna zaakcentowała lekko ostatnie słowo.

- Serena to tylko stara przyjaciółka.

- Ach tak. Mogę sobie wyobrazić, że pewnego dnia i mnie opiszesz w ten sposób.

- Nie ma żadnego porównania między tobą i Serena. No dobrze, Serena była moją kochanką. Mówiłem ci, że miałem wcześniej kobiety. Serena była jedną z nich. Należę do przeszłości.

- Nie sprawiała wcale wrażeń, że chciałyby znaleźć się w przeszłości.

- Zuzanno - powiedział. - Jesteś bardzo zazdrosną kobietą. Masz szczęście, że to lubię.

Co? - Zamrugła oczami zaskoczona. Wyszczерzył zęby, przesunął dłońmi lejce i powóz gładko jak po jedwabiu włączył się w uliczny ruch.

- Wyglądasz pięknie, gdy siedzisz tak i fukasz na mnie niby kocica.

Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a budzi się we mnie pośądanie. Mam zamiar zawieźć cię z powrotem do hotelu, zdjąć tę wspaniałą suknię i kochać się z tobą, a nie będziesz miała siły, żeby się na mnie złościć.

Poczuła ochotę na to samo. Ale postanowiła, że on się o tym nie dowie.

Zadzierając do góry nos, oświadczyła:

- Nie mam teraz ochoty kochać się z tobą.

Zuzanno - powiedział bardzo cicho. - I kto tu jest kłamczuchem? Właśnie zatrzymali się przed hotelem, więc Zuzanna nie miała już czasu na odpowiedź. Gdy weszli do pokoju, obserwowała go uważnie ściągając z nóg pantofle, które zaczynały ją uwierać.

- Buty cisną? - zapytał ze współczuciem. Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Westchnął.

- Czarownica - stwierdził. - Chodź tu.

Nie. Odpakowała błękitną suknię, niemal równie piękną jak złocista, i zawiesiła ją w szafie. Bez butów i w kamizelce Ian stanął obok niej.

- Ładna - stwierdził z aprobatą, gdy wyjęła i ułożyła na półce jedwabną bieliznę.

Zamknęła drzwi szafy dokładnie w chwili, gdy objął ją z tyłu ramionami.

A ty jesteś piękna - szepnął. - Pragnę cię. Przesunął wargami po szyi Zuzanny.

Odwróciła głowę i z zaskoczeniem stwierdziła, że w zwierciadle obok szafy widzi ich odbicie. Razem wyglądali tak pociągająco, że nie mogła oderwać oczu.

Mimo góry złocistych loków na głowie, wydawała się przy nim bardzo mała.

Wyglądała pięknie i kobieco. On stał obok, wysoki i muskularny, a biały materiał koszuli przylegał do szerokich ramion. Pod grzywą lśniących, czarnych włosów głowa pochylała się ku jej szyi. Pocałował ją znowu, a widok ust przesuwających się po białej skórze, gdy równocześnie czuła ich wilgotny dotyk, podniecał ją bardziej niż kiedykolwiek. Silne ramiona obejmowały ją w talii. Stała nieruchomo i zwróciła tym jego uwagę. Uniósł wzrok, podążył za jej spojrzeniem, a potem jego odbicie uśmiechnęło się chytrze.

- Nie, nie odwracaj się - powiedział, gdy właśnie chciała to zrobić -. Patrz.

Obejmował ją w pasie, przyciskał i pieścił, patrząc jak ogląda siebie w zwierciadle.

Gorące, szare głębie jego oczu parzyły, gdy spoglądała na nie w lustrze. Gładził ją delikatnie, długimi palcami dotykając lekko skóry. Rozsunęła wargi, jakby z trudem łapała powietrze.

Nagle gorący ból zawirował gdzieś w głębi. Jęknęła. Głos, który wydobył się z jej ust, wydawał się dobiegać tak samo od rozpustnicy w lustrze. Ta wizja i równoczesne rozkoszne doznania, była najbardziej erotycznym wrażeniem na świecie. Spojrzała na odbicie w lustrze i wtedy poznała samą siebie. Ta drżąca, bezbożna kobieta była grzeszną tajemnicą, którą cnotliwa córka pastora od tak dawna skrywała w swoim wnętrzu.

ROZDZIAŁ 41

Przez następne dwa tygodnie Ian pokazywał jej Londyn. Zabrał ją do amfiteatru Astleya, na uliczny jarmark i do dzikich bestii w Exchange. Zobaczyła aktorów i śpiewaków, ryczącego lwa i nieprzyzwoitą farsę, podczas której śmiała się do łez i czerwieniła po uszy.

Pojechali powozem na Bond Street, gdzie z rozbawieniem spoglądała na puszających się modnych fircyków, tokujących, jak to określił Ian. Potem do muzeum, gdzie mogła obejrzeć to, co nazwał bardzo dobrą kopią Wenus z Milo. Zarumieniła się. Obejrzeni też przytłaczającą swym majestatem katedrę Winchester. Świat, jaki jej ukazał, był tak daleki od tego, w którym się wychowała, że z trudem mogła uwierzyć, by znajdował się na tej samej planecie. Kiedy o tym myślała, poczuła ukłucie w okolicy serca i szybko stłumione pragnienie, by wrócić do domu.

Wreszcie powiedział jej o balu. Mówił dość obojętnie, co tylko wzbudziło podejrzenia. W taki sposób zachowywał się zawsze w sprawach, które były dla niego ważne.

Bez trudu wyciągnęła z niego informację niezbędną, by zrozumieć to zachowanie. W przyszłą środę jego matka, księżna Warrender, wydawała bal na zakończenie sezonu, w domu przy Berkeley Square, gdzie właśnie się sprowadziła, Ian postanowił wziąć w nim udział, a Zuzanna nie miała zamiaru puszczać go samego.

Stroje przysłano we wtorek, lecz Sadna z sukien nie odpowiadała jej tak, jak złocista.

Zuzanna zdecydowała, że właśnie ją założy. Miała pewne skrupuły, że będzie przedstawiona matce Iana jako Sona, którą przecież nie była. Woląca jednak nie protestować. Zresztą w tych okolicznościach nie sądziła, by nastąpiły jakieś formalne prezentacje. Czy syn przedstawia Sonę

matce, która próbowała go zamordować?

Ian pełnił funkcję garderobianej. Chciał wynająć jakąś dziewczynę, lecz Zuzanna uparcie odmawiała posiadania pokojówki. Przez całe Śycie sama dbała o siebie i nie miała zamiaru tego zmieniać. Radził sobie całkiem dobrze, przynajmniej wszystkie haftki były zapięte, a włosy upięte w tym nowym stylu. Tego popołudnia podarował jej wachlarz z kości słoniowej, z uroczą sceną na łące wymalowaną na białym jedwabiu. Prezent zwisał teraz na wstążce u jej nadgarstka.

Ian takŜe zaopatrzył się w nową garderobę, a jego kostium balowy był szczególnie wspaniały. ZałoŜył ciemnografitowy frak, białą jedwabną kamizelkę haftowaną w ekstrawagancki wzór z kwiatów i ptaków, oraz parę czarnych spodni tak obcisłych, Őe -jak Őartował - bał się usiąść. Białe jedwabne pończochy zdobiło złoto, a trzewiki miały czerwone obcasy. Wyznał, Őe gdy zesłano go do Newgate, nosił prawie identyczne buty i pończochy.

Zdołał je zachować przez jeden dzień. Ukradziono mu je, kiedy tylko zasnął. Miał szczęście, Őe znalazł buty zmarłego więźnia. Zuzanna, zafascynowana i przeraŜona, wspomniała jego obrzydliwe buciory. Chętnie usłyszałyby więcej o doświadczeniach ze słynnego więzienia.

Jednak zawiązywał kokardę pod szyją (co, jak odkryła, było dla dŜentelmena sprawą niezwykle waŜną), nie mógł więc z nią rozmawiać, nie ryzykując pogięcia delikatnych fałd.

Ulica prowadząca do Berkeley Square była zatłoczona powozami. Wydawało się, Őe całe londyńskie towarzystwo zdąŜa na bal. Ich faeton odprowadził na bok woźnica, którego Ian właśnie w tym celu wynajął, a oni przeciskali się przez tłum ludzi na schodach. Zuzanna juŜ się przekonała, Őe Śycie w Londynie kwitło w innych godzinach niŜ w Beaufort, więc nie przeraŜiło jej, gdy zegar wybił północ.

Niepokoila ją za to perspektywa samego balu. Nigdy jeszcze nie uczestniczyła w tak wspaniałej uroczystości. W porównaniu z tym, przyjęcie u Haskinsów wydawało się po prostu ubogie. W dodatku nie miała pojęcia, jak się zachować.

- Trzymaj się blisko mnie - poradził Ian, kiedy szeptem zdradziła mu swoje strapienie.

Nie miała wielkiego wyboru, gdyŜ trzymał ją mocno za rękę, więc tylko podziękowała za dobrą radę.

Ze wszystkich stron głoŝno witano Iana, a on wyjaśniał cierpliwie, Őe był w Koloniach (nie tłumaczył jak doszło do tej podróŜy) i Őe przywiózł pannę młodą. Przy drzwiach stał

krępy lokaj, który donoŝnie anonsował nowo przybyłych. Według Zuzanny, bardziej wyglądał

na markiza niŜ Ian. Zanim do niego dotarli, miała wrażenie, Őe przedstawiono jej połowę Londynu.

Kiedy przyszła ich kolej, lokaj spojrział na Iana, potem jeszcze raz i wytrzeszczył oczy.

- Pan Ian! - powiedział. - To znaczy, milordzie! Dano nam do zrozumienia, Őe pan...

Przerwał i chrząknął, dyskretnie osłaniając usta dłonią w białej rękawiczce.

Ian uśmiechnął się krzywo, acz ze zrozumieniem.

- Nie Źyje - dokończył. - Tak, wiem. Co u ciebie, Reems?

- Doskonale, milordzie. Miło znów pana widzieć, jeśli wolno mi tak rzec. Słusba będzie zachwycona, kiedy im powiem, Źe pan, ee...

- Zmartwychwstał? - zasugerował wesoło Ian. - Lepiej nas zaanonsuj, Reems.

Zatrzymujemy kolejkę. Ach... to jest moja Źona.

Reems wybałuszył oczy, a Zuzanna uśmiechnęła się lekko. Doprawdy, coraz trudniej było jej znosić to kłamstwo. JuŹ wkrótce musi coś z tym zrobić... Zanim jednak zdążyła postanowić, co dokładnie, Reems zaintonował:

- Markiz i markiza Derne!

Fala zaskoczenia przebiegła wzdłuŹ zebranych. PodąŹając za spojrzeniem Iana, Zuzanna dostrzegła u szczytu sali jasnowłosą, wysoką kobietę, która właśnie odwracała się w ich stronę. Spojrzała na Iana, zachwiała się i zbladła. Opanowała się jednak natychmiast. Z

dumnie uniesioną głową czekała, aŹ syn podejdzie, bez pośpiechu prowadząc Zuzannę, Ian wydawał się absolutnie spokojny.

Wreszcie stanęli przed kobietą. Zuzanna przekonała się, Źe jest starsza, niŹ sądziła początkowo, i nie tak piękna. Nie miała jasnych włosów, lecz upudrowane na biało. Wokół

ust widoczne były głębokie zmarszczki.

- Matko - Ian pochylił głowę, lecz jego uśmiech nie należał do przyjemnych.

Derne. Kobieta, która potrafi zwracać się do własnego syna tytułem zamiast imieniem, nie była osobą, którą Zuzanna chciałaby poznać. Zjeżyła się instynktownie, gdy matka Iana spojrzała w jej stronę.

- OŹeniłeś się?

Mówiła chrapliwie, a kącik ust drżał w nerwowym tiku. Była to jedyna oznaka, Źe nie panuje nad sobą.

- W czasie, gdy miałem przyjemność przebywać w Koloniach. Szczerze mówiąc, Zuzanna najprawdopodobniej ocaliła mi Źycie. - Uśmiechnął się znowu, lecz tym razem było to raczej odsłonięcie zębów.

- Wszyscy zatem mamy wobec niej dług. - Spojrzała na Zuzannę. - Skoro Derne nie chce mnie przedstawić, sądzę, Źe sama muszę to zrobić. Jestem Mary, księżna Warrender.

- Bardzo dobrze wiem kim jesteś, pani - oświadczyła Zuzanna bez uśmiechu.

- Ach. - Księżna zachwiała się znowu.

- Proponuję, byśmy przeszli do biblioteki na rozmowę, matko. W końcu nie widzieliśmy się... jak długo?

- Bardzo długo - odparła bezdźwięcznie i pozwoliła, by Ian wsunął jej dłoń pod swoje ramię.

- Jest tu Edward? Byłoby dobrze, gdyby również to usłyszał.

- Wolalabym, jeśli pozwolisz, nie mieszać do tego Edwarda. - Po raz pierwszy jej głos zabrzmiał ostro.

Obawiam się, że nie będzie to możliwe. Ale chodźmy, porozmawiamy na osobności.

Tutaj jest zbyt wiele uszu. Rzeczywiście. Zuzanna zauważyła, że wszyscy się im przyglądają, Ian ruszył przez tłum z uprzejmym uśmiechem przyklejonym do twarzy, podobnie jak jego matka. Zuzanna dostrzegła Helen Dutton, hrabinę Blakely, znaną rozpustnicę (tak przynajmniej twierdził Ian) w sukni z magazynu Madame de Vangrisse. Towarzyszył jej starszy, bardzo gruby mężczyzna, który trzymał ją mocno za rękę i mówił coś szybko z gniewnym wyrazem twarzy. Jeśli to był jej mąż, to Zuzanna rozumiała teraz powody

„gromadki z Baddington”. Nie chciałyby być siostrą takiego człowieka. Kilka osób wydało jej się znajomych, choć nie potrafiła skojarzyć ich z nazwiskami. Potem zauważyła jeszcze Serenę, lady Crewe, która obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem, Ian otworzył drzwi i cofnął

się, przepuszczając najpierw Zuzannę, a potem matkę.

- Czy ona musi być przy tym? - Księżna skinęła głową w stronę Zuzanny, gdy tylko zamknął drzwi. Ian pokiwał głową.

- Zuzanna zasługuje by być obecną przy wyjaśnianiu tej sprawy. Gdyby nie ona, twój plan mógłby się powieść.

Księżna obrzuciła Zuzannę wzrokiem pełnym nienawiści, przeszła nerwowo przez pokój i stanęła obok wielkiego biurka z obitym skórą blatem. Odwróciła się w ich stronę. Za jej plecami widniały niezliczone półki pełne oprawnych w skórę ksiąg, a twarz oświetlał

płonący na kominku ogień.

- Co mnie w tej chwili powstrzyma od przerwania egzystencji twojej, a przy okazji i twojej siostry? - W głosie księżnej zabrzmiała nuta niemal rozkosznego tryumfu.

Uniosła dłoń, odsłaniając srebrzysty pistolet, Ian przyglądał się temu przez chwilę, potem ruchem głowy nakazał Zuzannie, by stanęła za nim. Naturalnie nic takiego nie zrobiła.

Zastanawiała się jednak z rosnącym lękiem czy ta kobieta naprawdę była tak szalona, by zastrzelić ich oboje, gdy w domu znajdowało się kilkuset świadków? Modliła się, by tak nie było, ale stanęła o krok bliżej Iana. Może zdąży rzucić się pomiędzy niego a pocisk lub przynajmniej odepchnąć go z linii strzału.

- Zanim pociągniesz spust, powinnaś wiedzieć, co odkrył Dumboldt, którego upoważniłem do zajęcia się tą sprawą. Znamy prawdę o Edwardzie, matko. Cała historia została spisana z nazwiskami świadków i datami. Jeśli cokolwiek mi się stanie, wybuchnie skandal na całą Anglię. I oczywiście Edward nie będzie mógł dziedziczyć.

- Nie wiem o czym mówisz. - Głos był bardziej chrapliwy niż poprzednio i Zuzannie zdawało się, że dłoń księżnej zadrżała.

- Mówię o dacie urodzenia Edwarda, matko. Jest trzy miesiące starszy niż zawsze twierdziłaś. W chwili jego poczęcia mój ojciec od sześciu miesięcy przebywał na kontynencie. Zatem Edward nie może być jego potomkiem.

- To nieprawda!

Dumboldt odnalazł wiarygodnych świadków, którzy przysięgają, że tak właśnie było.

Łącznie z akuszerką, która odbierała dziecko. Odkrył również tożsamość prawdziwego ojca Edwarda i ma dowody. Wszystko to zostało notarialnie spisane, matko, i będzie ujawnione, jeśli umrę lub zniknę. Skandal zrujnuje życie Edwarda, nie mówiąc już o twoim.

Twarz księżnej wykrzywiła się gwałtownie. Usta i dłoń drżały. Zuzanna znów postąpiła o krok w stronę Iana. Spojrzał na nią z ukosa, po czym na powrót skupił uwagę na matce.

- Zawsze cię nienawidziłam, Derne. Byłeś obrzydliwym chłopcem. Ojciec cię rozpieszczał, gdy ty bezwzględnie potrzebowałeś różgi. Lecz na taki środek nie chciał się zgodzić. Gdybym to ja decydowała, trafiłbyś do domu dla podrzutków.

- Co doprowadza nas do kolejnej sprawy. Mojego ojca - rzekł Ian tonem zbyt obojętnym jak na taki temat. Zuzanna spuściła z oczu rozkołysany pistolet i skoncentrowała się na twarzy ukochanego. - To ty zorganizowałaś wypadek na polowaniu, prawda? Odkrył

okoliczności urodzin Edwarda i groził rozwodem.

- Nieprawda! - Wargi jej znowu zadrżały.

- Nie? Gdybym potrafił to udowodnić przed ławą przysięgłych, trafiłabyś do więzienia na resztę życia, bez względu na fakt, że jesteś moją matką. Roześmiała się histerycznie. Pistolet zakołysał się.

- To jest największy sekret. Przy całym swoim śledztwie nie wykryłeś tego i nigdy nie zdołasz! Dobrze, zrobię ci prezent z tej wiadomości. Nie jestem twoją matką, za co szczerze dziękuję Bogu! Twoja matka była nikim, jakąś wieśniaczką, z którą twój ojciec flirtował i poślubił tylko dlatego, że oczekiwała ciebie. Kiedy umarła przy porodzie, był zadowolony, gdy nie nadawała się na księżnę

Warrender. Potem ośenił się ze mną, kobietą z rodu Speare, którego korzenie sięgają wprost do Wilhelma Zdobywcy. Byłam i jestem odpowiednią osobą na księŜnę! Byłam tak odpowiednia, Őe zechciał, by wszyscy uwierzyli, Őe jego dziedzic jest moim synem. Ale nie jesteś nim i nigdy nie będziesz. Jesteś synem dziewczki, poczętym pod krzakiem gdzieś w Sussex! Nie jesteś godzien nazwiska, które nosisz!

Przez moment cisza w pokoju była niemal dotykalna. Potem Ian jednym skokiem pokonał pokój i chwycił pistolet księŜnej. Wyrwał go i spojrzał na nią bez współczucia, gdy upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. - Dzięki, Őe mi to powiedziałaś, Wasza Wysokość

- oświadczył z lodowatą uprzejmością, chowając pistolet do kieszeni. - Zwróciłaś mi wolność.

Wziął Zuzannę pod ramię i wyprowadził, a właściwie wyciągnął z pokoju, nie oglądając się na klęczącą kobietę.

Nad ranem, gdy wrócili do domu, kochał się z Zuzanną szczególnie namiętnie. Później obejmowała go czule, dopóki nie zasnął w jej ramionach.

ROZDZIAŁ 42

Gdy Zuzanna obudziła się następnego dnia, było juŜ bliŜej południa niŜ świtu, Ian spał

obok, oddychając cięŜko. Oboje byli nadzy, a rozrzucone w nieładzie ubrania leŜały na podłodze. Na pościel padały promienie słońca, przebijające się przez szczeliny w zasłonach.

Słoneczny dzień w Londynie! -zdumiała się Zuzanna. Od przybycia do Anglii zdarzyło się to po raz pierwszy.

Wiedziała, choć nie miała pojęcia skąd, Őe ostatniej nocy Ian uwolnił się od koszmaru, który wypędził go z tego świata. Mógł teraz przeŜyc Őycie tak, jak powinien: jako bogaty, rozpieszczony angielski arystokrata. A co jej pozostało?

Mimo całego tego udawania, wciąż była jego kochanką, a nie Őoną. A wobec tej prawdy Zuzanna poczuła się jak Ewa, gdy pierwszy raz spostrzegła swoją nagość. Ogarnął ją wstyd. Nie została wychowana, by być czyjąś metresą. Przeczyło to wszystkiemu, w co wierzyła.

JakŜe rozpaczałby ojciec, gdyby widział otchłań, w której się pogrąŜyła! WyobraŜając sobie twarze jego i siostr Zuzanna poczuła, Őe słabnie. Nie była lepsza niŜ jawnogrzesznica.

Większość członków kongregacji ojca uznałoby ją za skazaną na wieczne potępienie.

Zuzanna zadrŜała i spojrzała na Iana, by odkryć, Őe szeroko otwarte szare oczy przyglądają się jej z uwagą.

- Co się stało? - zapytał bez wstępu.

Zuzanna zawahała się przez chwilę, a potem zdecydowała, Őe wyzna, co ją dręczy.

- To nie może dłużej trwać - oznajmiła, nie patrząc na niego. - Muszę wracać do domu.

- Co? - Usiadł i odgarnął włosy z czoła. - Nie bądź śmieszna. Nie możesz wrócić do domu. Musisz wyjść za mnie. Jeśli to miały być oświadczenia, zdecydowanie czegoś im brakowało.

- Prosisz o moją rękę? - spytała, pobudzona promykami nadziei.

Nie, do diabła. Co tu jest do proszenia? Jesteś ze mną prawie trzy miesiące. Śadnie z nas nie ma już wyboru. Musimy się pobrać, albo spędzisz resztę życia naznaczona piętnem dziwki. To zabolowało. Zabolowało tak bardzo, że Zuzanna zepchnęła słowa gdzieś w głąb umysłu i odmówiła rozważania tej kwestii.

- To ładnie, że martwisz się o moją reputację. - Jeśli w jej głosie zabrzmiała zjadliwość, zupełnie tego nie dostrzegł.

- Prawda? - Przeciągnął się, ziewnął i usiadł na łóżku. - Teraz, skoro już nie śpię, równie dobrze mogę się ubrać. Muszę porozmawiać z Dumboldtem o pewnych sprawach. Idź

na sprawunki albo gdzie tylko zechcesz. - Przerwał, jakby przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. - Ponieważ oboje zgadzamy się, że to konieczne, mógłbym przy okazji postarać się o zezwolenie. Mam przyjaciela, którego wuj jest biskupem, i może zdoła mi pomóc. Jeśli dziś zdobędę potrzebne dokumenty, jutro możemy się pobrać. Jeśli ci to odpowiada.

- Tak szybko?

Jeśli ma się stać to, co stać się musi, lepiej by stało się jak najprędzej -zacytował i z uśmiechem poszedł do gotowalni, by się ogolić. - Wychodząc zabierz pokojówkę z hotelu.

Nie wypada, żeby markiza chodziła samotnie po Londynie. Zuzanna obserwowała go podczas ubierania, jak każdego ranka od trzech miesięcy, i rozmyślała. Kiedy już gotów do wyjścia pochylił się, by obdarzyć ją pocałunkiem w czoło i plikiem banknotów rzuconych na kolana, wiedziała, że podjęła decyzję.

Dlatego objęła go za szyję i niemal rozpaczliwie pocałowała na pożegnanie.

- Mogę zostać - powiedział zaskoczony i wsparł kolano o łóżko, jakby chciał się tam z nią znaleźć.

Obejmowała go jeszcze przez chwilę, potem roześmiała się z przymusem i cofnęła rękę.

- Idź, załatwiaj swoje sprawy - powiedziała z uśmiechem. - Wyglądasz bardzo pociągająco.

- Później - powiedziała, machając mu ręką, choć słowo niemal uwięzło jej w gardle.

- Dobrze, później - zgodził się. - Ale tylko dlatego, że muszę porozmawiać z Dumboldtem. Kiedy wrócę, może ci się uda zwabić mnie znowu do łóżka.

Cóż za podniecająca perspektywa - wykrztusiła Zuzanna z pozornym spokojem, choć miała ochotę

plakać. Lecz nonszalancja wywarła pożądaną efekt. Wyszedł uspokojony, skinąwszy jej ręką.

Rozplakała się, gdy tylko trzasnęły drzwi. Potem usiadła, otarła oczy, ubrała się i spakowała. Piękne pióra nie zrobią z kury baśnią, a ona nie bardziej była markizą niż on farmerem. Wracała do domu, do Beaufort, gdzie było jej miejsce. Uwolni go od ciężaru przymusowego małżeństwa z kobietą, która nigdy nie zdoła przystosować się do jego świata.

Nie miał zamiaru sprowadzać jej do Anglii. Zostawił ją przecież, kiedy opuścił farmę. Gdyby nie to przypadkowe spotkanie w Charles Town, pewnie nigdy by go już nie zobaczyła. Nie wierzyła jego zapewnieniom, że wróciłby po nią.

W tym, co ich łączyło, znalazła więcej nieba niż we wszystkim, co wcześniej spotkało ją w Syciu. Ale teraz to się skończyło i nadszedł czas, by wracać do domu.

ROZDZIAŁ 43

Nieco ponad dwa miesiące później Zuzanna znów pogrążyła się w rutynie Sycia w Beaufort. Ona i siostry popłakały się przy powitaniu. Pierwszej nocy w domu, szarpana poczuciem winy, wyznała ojcu część tego, co zrobiła. Spodziewała się niemal, że przepędzi ją sprzed progu, jak biblijny patriarcha. Zamiast tego przytulił ją mocno. - Córkę, miłość kobiety do mężczyzny to rzecz dana przez Boga. Jeśli to co zrobiłaś, zrobiłaś z miłości, nie masz się czego wstydzić.

Wtedy rozplakała się na jego ramieniu.

Sara Jane (która zerwała zaręczyny, gdy Peter Bridgewater nalegał na ślub niezależnie od tego, czy Zuzanna będzie obecna) a także Mandy i Em, traktowały ją jak honorowego gościa mniej więcej przez pierwsze dwie doby. Potem gwałtownie wróciły do dawnej postawy, oczekując, że pokieruje domem i farmą, i zadba o potrzeby kongregacji. Wkrótce miała wrażliwość, że nigdy stąd nie wyjeżdżała.

Dwa tygodnie po powrocie, gdy Zuzanna na kłęczkach pielęła grządki w ogrodzie, Em, która jej pomagała, uniosła głowę i osłaniając dłonią oczy spojrzała na drogę. Zuzanna nie zwróciła na to uwagi, zajęta wrywaniem mleczy pomiędzy marchewki. Kiedy Em zerwała się na nogi, tylko spojrzała na nią z irytacją. Doprawdy Em zaczynała być leniwa jak Mandy.

- Zuzanno - odezwała się Em niepewnym głosem. - Gdyby miał cię odwiedzić naprawdę ważny gość, a ty byłabyś cała ubłocona i brudna, czy wolałabyś dowiedzieć się o tym wcześniej, żebyś mogła pójść do domu i przynajmniej umyć ręce?

O czym ty mówisz? - Pytanie siostry wydało jej się tak bezsensowne, że przerwała pracę. Em otworzyła usta, by coś powiedzieć, potem zrezygnowana wzruszyła ramionami.

- Sama popatrz - poradziła i skinęła głową w stronę drogi.

Mężczyzna na wielkim dereszku zatrzymał się właśnie przed ich bramą.

Brownie na werandzie szczełała bez przekonania, a Klara na płocie nawet się nie przeciągnęła.

- Wielkie nieba! - Zuzanna zerwała się na nogi.

W tej chwili nie miała nastroju do przyjmowania gości. Musiała skończyć pielienie, potem przygotować kolację i... Szeroko otwartymi oczyma przyglądała się zsiadającemu z konia mężczyźnie.

Wciąż stała jak skamieniała, gdy przywiązał wodze do krzaka i ruszył ku niej, płosząc gdaczące kury. Em, z równie szeroko otwartymi oczami, spoglądała to na swoją siostrę, to na gościa.

Odezwał się pierwszy.

- Witaj, Zuzanno - rzekł chłodno. Potem skinął głową młodszej dziewczynie. - Miło cię znowu widzieć, Em.

- Panie... panie markizie - zająknęła się Em, która знаła część, choć nie wszystkie szczegóły przygód Zuzanny.

Ian - powiedział. - Mów do mnie po prostu Ian. Spojrzał na Zuzannę. Zatrzymał się, stanął na rozstawionych nogach i krzyżując ręce na piersi obserwował ją niemal posepnie.

Zuzanna poczuła, że jej serce budzi się znowu do Sycia i zaczyna bić mocno. Przyglądała mu się prawie z chciwością. Nikomu, nawet sobie nie przyznawała się do nadziei, że może po nią przyjechać. A teraz stał przed nią w eleganckim niebieskim surducie i czarnych spodniach.

Ciemne włosy lśniły w słońcu, oczy spoglądały ponuro, a zmysłowych ust nie zmięczał

uśmiech. Lekki, ciemny cień zarostu pokrywał policzki i brodę. Był tak grzesznie przystojny, jak go pamiętała. I wyraźnie zły na nią.

- Co ty tu robisz? - wykrztusiła.

Krytycznym wzrokiem zmierzył ją wolno od czubka głowy do stóp, a potem znowu do góry. Zuzanna nagle uświadomiła sobie, że zwinęła włosy tak jak zwykle, a ubrana jest w suknię, którą sama kiedyś uszyła i używała do prac w ogrodzie. W kroju przypominała worek i w dodatku była brudna. Wyraźnie mu się nie spodobała.

- A jak pani myśli, panno Zuzanno Redmon? Co mogę tu robić? - spytał tonem, świadczącym, że z trudem hamuje gniew. - Czy pozwolisz, że porozmawiam z twoją siostrą sam na sam? - zwrócił się niecierpliwie do Em.

Em, wciąż lekko oszołomiona, spojrzała pytająco na Zuzannę. Ta skinęła głową.

- Wszystko w porządku - rzuciła, nie odrywając oczu od Iana. Em niemal biegiem ruszyła do domu.

- Ładnie mnie wykiwałaś - rzucił wściekle, gdy zostali sami. - Dlaczego, jeśli mogę spytać? Byłem gotów się z tobą ośenić. Do diabła! Powiedziałem ci przecie!

- Nie chcę kogoś, kto jest „gotów” się ze mną oŚenić. - Zuzanna poczuła, Śe w niej równieŚ budzi się gniew. - I byłabym wdzięczna, gdybyś tutaj nie przeklinał.

- To, co robisz, skłania człowieka do przekleństw - warknął przez zęby. - Co to znaczy, Śe nie chcesz kogoś, kto jest gotów się z tobą oŚenić? To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką w Śyciu słyszałem.

- Więc i ja muszę być idiotką, gdyŚ tak właśnie uwaŚam.

Przez chwilę myślała, Śe podejdzie do niej i nią potrząśnie. Ale opanował się po jednym porywczym kroku i ograniczył do gniewnego spojrzenia.

- Czy masz pojęcie, jak się czułem, gdy wróciłem do hotelu ze specjalnym pozwoleniem w kieszeni, i stwierdziłem, Śe zniknęłaś bez śladu? Zostawiłaś mi tylko dwa słowa: Bądź szczęśliwy. Coś takiego! Nie miałaś w sobie nawet tyle kurtuazji, by mnie uprzedzić, Śe wyjeŚdŚasz!

Sądziłam, Śe będziesz próbował mnie zatrzymać. Serce Zuzanny biło teraz jak szalone, ale radością. Był potwornie wściekły, ale przyjechał.

- Masz cholerną rację, Śe próbowałbym cię zatrzymać. Do diabła, zatrzymałbym cię!

Przykułbym cię do siebie, gdybym musiał, Śebyś nie uciekła, póki nie będziemy poślubieni.

- Właśnie dlatego ci nie mówiłam! Warknął coś z furią pod nosem i jednym krokiem znalazł się przy niej.

Chwycił ją za ramiona i zdawało się, Śe tym razem nią potrząśnie.

- Muszę prosie, by puścił pan moją córkę, sir . - Głos naleŚał do ojca.

Spoglądając ponad ramieniem Iana, Zuzanna przekonała się ze zdziwieniem, Śe stał w pobliŚu, wyglądając wątro w swym stroju kaznodziei. Lekki wiatr burzył jego siwe włosy, a łagodne oczy spod zmarszczonych brwi przyglądały się im obojgu. Za ojcem kryły się zbite w gromadkę trzy siostry.

- Witaj, wielebny. - Ian skinął głową, nie wypuszczając Zuzanny. - Próbuję ją przekonać, by za mnie wyszła. Nastąpiła chwila zupełnej ciszy.

- Zuzanno, w końcu ktoś ci się oświadczył! - pisnęła Em, uciszona natychmiast przez Sarę Jane i Mandy, przeraŚone brakiem oglady najmłodszej siostry.

- Dlaczego? - rzuciła Zuzanna, ignorując uwagę Em. - Bo musisz?

- A to ciekawe, córko - stwierdził wielebny Redmon, zbliŚając się o krok. Twarz mu złagodniała. - Nie wspomniałaś, Śe chciał się z tobą oŚenić.

- Nie, do diabła, nie dlatego, Śe muszę! - zawołał Ian, ignorując komentarze równie dokładnie jak Zuzanna. - Nie musiałem płynąć za tobą z Anglii aŚ tutaj, prawda? Jestem nawet gotów tu

zamieszkać, jeśli masz na to ochotę. Skoro ten cholerny, piekielnie gorący kraj jest potrzebny, by uczynić cię szczęśliwą, to go kupimy.

- Muszę przyznać, że nie jestem zachwycony pomysłem, by wyjechała z panem do Anglii - zauważył w zamyśleniu ojciec.

- A co z tobą? - zapytała wolno Zuzanna. - Czy nie chcesz mieszkać w Anglii? W końcu jesteś markizem.

- Mówisz tak, jakby to była śmiertelna choroba. Nic na to nie poradzę, sama wiesz, tak samo jak ty na swoje kręcone włosy. Równie dobrze mogę być markizem tam, jak i tutaj.

Nawet lepiej, jeśli tylko będziesz przy mnie. Co jakiś czas możemy odwiedzać Anglię.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę masz zamiar mnie poślubić? - Zuzanna wciąż była ostrożna, choć zaczynała się uśmiechać.

- Według mnie, tak to właśnie wygląda, córko - stwierdził wielbny Redmon.

- Oczywiście, że chce, Zuzanno - rzuciła z niesmakiem Mandy. - Po cóż by przepłynął za tobą cały ocean.

- Tak, Zuzanno, naprawdę chcę cię poślubić. Kocham cię, do licha. I co teraz powiesz? - Policzki lekko mu poczerwieniały, jakby odczuwał zakłopotanie, że tyle osób słucha tak osobistej rozmowy. Puścił ją i na powrót skrzyżował ramiona na piersi.

- Powiedz tak, Zuzanno! Powiedz tak! - zawołały chórem dziewczęta.

Tak - szepnęła, a potem, cała brudna, rzuciła mu się w ramiona. Pocałował ją tak gorąco, że gdy w końcu ją puścił, zyskał szczerzy aplauz trzyosobowej, żeńskiej części publiczności. Przynajmniej do chwili, gdy ojciec nie obejrzał się z groźną miną.

- Witaj w rodzinie, synu - rzekł wielbny Redmon i wyciągnął rękę.

Obejmując ramieniem tulącą się do niego Zuzannę, Ian uściśnął ciepło dłoń pastora.

- Dziękuję bardzo, sir. Będę się o nią troszczył.

- Gdybym w to nie wierzył, nie pozwoliłbym na ślub. - Głos ojca zabrzmiał

poważnie. Lecz oczy błysnęły wesoło, gdy pochylił się, by pocałować Zuzannę w policzek. -

Wiesz, że ma skłonności do rządzenia.

- Wiem. - Ian zerknął w dół, na czubek głowy Zuzanny. - Ale jakoś sobie z nią poradzę. Uszczypnęła

go ostrzegawczo. Podskoczył i roztarł dłonią obolałe miejsce.

- Zuzanno, pamiętasz tę niebieską suknię, którą przywiozłaś? Sądzisz, że mogłabym ją włożyć na twój ślub? - spytała błagalnie Mandy.

- Sądzę, że tak.

- I na spotkanie parafialne w przyszłym tygodniu?

- Zobaczymy.

- A możesz ją troszkę przerobić? Oczywiście tylko troszeczkę.

- Mandy, kochanie, możesz wziąć sobie tę suknię na zawsze i to z moim błogosławieństwem. Tobie i tak jest lepiej w niebieskim niż mnie.

- Zuzanno, jesteś aniołem! - Mandy radośnie klasnęła w ręce.

- Nie skarbie, nie jestem - odparła Zuzanna, po kolei odbierając od sióstr pocałunki i powinszowania. - Możesz mi wierzyć. Nikt nie jest aniołem.

- Aleś tak - powiedział cicho Ian, unosząc jej rękę do warg. Zuzanna spojrzała na niego i cała miłość, jaką czuła, zapłonęła w orzechowych głębiach, Ian ucałował jej dłoń, a potem przycisnął do szorstkiego policzka. - Ty jesteś. Jesteś moim aniołem.

-

Table of Contents

[Rozpoczni](#)